TELEFON DO KOŚCIOŁA
Sprawdzamy, jak działa pomoc ofiarom molestowania

IDĄ NORMALNE WYBORY
Samorządy: PiS przegra, nawet jeśli wygra

CIOTKA ŚMIERĆ
Jagoda Szelc, reżyserka: Chcę zostawić po sobie nic

MIASTO POGODY
Jak bardzo można tęsknić za Barceloną

Kraków 20 maja 2018 nr 21 (3593) cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Protest w naszym imieniu

SIOSTRA MAŁGORZATA CHMIELEWSKA O ŻYCIU Z NIEPEŁNOSPRAWNYM SYNEM

W NUMERZE DODATKI:
KATALOG COPERNICUS FESTIVAL 2018
WOLNOŚĆ KRZEPI

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425
21
9 770041 480802

REKLAMA

58.KRAKOWSKI FESTIWAL FILMOWY
58th KRAKOW FILM FESTIVAL

27.05—3.06.2018
krakowfilmfestival.pl

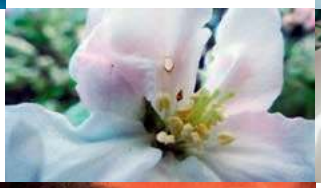

Producent:

KRAKOWSKA FUNDACJA FILMOWA KRAKOW FILM FOUNDATION

Współorganizator:

Stowarzyszenie Filmowców Polskich

Projekt zrealizowany przy wsparciu finansowym:

Kraków

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ
POLISH FILM INSTITUTE

MAŁOPOLSKA

KS. ADAM

Boniecki: *Gdyby nie Duch Święty*

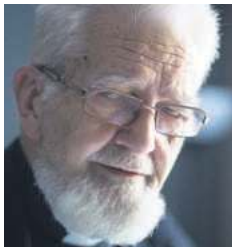

Chociaż szanuję, a nawet podziwiam ruch odnowy w Duchu Świętym, nigdy do niego nie przystąpiłem. Szanuję, bo widzę, jak pod jego wpływem znajomi się zmieniają (na lepsze). Podziwiam ich, bo sam chyba nigdy nie wejdę na taki poziom modlitewnych doświadczeń, jak oni. Mój podziw budzą osoby, które w ruchu odnowy odegrały i odgrywają ważną rolę, jak biskup Bronisław Dembowski czy ojciec Joachim Badeni. Mam jednak nadzieję, więcej: jestem pewien, że Bóg przez Ducha Świętego ma – poza ruchem odnowy w tymże Duchu – wiele sposobów dotarcia do człowieka.

Przede wszystkim zaś dziełem Ducha Świętego jest Kościół. Kościół jako przedmiot wiary. W Kościele widzimy także to, co materialne i ludzkie, ale wierzymy, że Bóg działa w nim zgodnie z zamysłem swej łaski. Kuszące przeciwstawianie charyzmatu i instytucji nie jest najszczęśliwsze. Są to dwa sposoby działania, każdy posługuje się właściwymi sobie metodami, oba zmierzają do jednego celu – budowania dzieła Chrystusa. Chociaż między charyzmatem a instytucją powstają napięcia, kiedy dar łaski się nie mieści w ramach instytucji, to życie Kościoła wymaga obu porządków. Każda odnowa Kościoła oznaczała ożywienie charyzmatów i żadna nie kwestionowała instytucji, dążąc do jej ożywienia.

Wracając do Ducha Świętego, przypomnijmy, że sprawowanie każdego sakramentu oparte jest na epiklezie, czyli wezwaniu Ducha Świętego. Dlatego każdy chrzest jest „chrztem w Duchu Świętym", każdy sakrament jest sprawowany mocą Ducha Świętego. Dlatego Kościół wzywa Go podczas sprawowania Eucharystii, podczas święceń kapłańskich i biskupich, przy udzielaniu rozgrzeszenia, przy małżeństwie. To wzywanie Ducha Świętego wyraża przekonanie Kościoła, że ani ziemskie środki, ani instytucja nie sprawią skutków sakramentalnych. Kościół wierzy, że chodzi o skutki nadprzyrodzone, których sprawcą nie jest on sam, lecz Bóg-Duch Święty, i o to Kościół w tych momentach błaga.

Doświadczenia uczestników odnowy charyzmatycznej bywają uchwytne, wręcz spektakularne. Można czasem odnieść wrażenie, że działanie Ducha Świętego w Kościele jest uchwytne jakoś mniej.

Moje doświadczenie – człowieka, który ponad 58 lat jest księdzem, czyli człowiekiem „instytucji" – temu przeczy. Jestem przekonany, że oglądałem działanie Ducha Świętego choćby wtedy, kiedy moje ubogie słowa, w sakramencie pojednania czy głoszone z ambony, przynosiły skutki ponad ich miarę. Widziałem je także w wymiarze Kościoła-instytucji. Kiedy się zdawało, że instytucja zdławi charyzmat Kościoła, Jan XXIII zwołał Sobór Watykański II. Wiem, o czym mówię, bo byłem formowany i wyświęcony przed Soborem. A kolejni papieże, w końcu stojący na czele „instytucji"? By wspomnieć Jana Pawła II, który idąc drogą wyznaczoną przez Sobór, zgromadził w Asyżu na modlitwę o pokój wszystkich wierzących (na różny sposób) w Boga, który modlił się z Żydami w synagodze oraz wyznał przed Bogiem i ludźmi winy ludzi Kościoła (instytucji). A co powiedzieć o papieżu Franciszku, który niestrudzenie przywraca w Kościele harmonię między charyzmatem i instytucją?

„Różne są dary łaski, lecz ten sam Duch; różne też są rodzaje posługiwania, ale jeden Pan; różne są wreszcie działania, lecz ten sam Bóg, sprawca wszystkiego we wszystkich. Wszystkim zaś objawia się Duch dla [wspólnego] dobra" (1 Kor 12, 4-7).

Nie zamartwiam się trudną sytuacją Kościoła, choć nie sądzę, by ratunkiem okazały się ruchy charyzmatyczne, wspólnoty podstawowe, neokatechumenat, Opus Dei czy inne ruchy. Jestem spokojny, bo Kościół ożywia Bóg-Duch Święty. Gdyby nie On, Kościoła z pewnością dawno by nie było. ©℗

TP

Chwalimy się znowu!

NAGRODĘ SPECJALNĄ „ARTFRONT" ZA ILUSTRACJĘ PRASOWĄ
– pod honorowym patronatem Dziekana Wydziału Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie
– otrzymała **JOANNA RUSINEK** za serię grafik do tekstów o molestowaniu kobiet w Polsce, zamówioną przez „Tygodnik Powszechny" i opublikowaną w wydaniach 44 i 47/2017.

Nagroda za ilustrację jest przyznawana po raz pierwszy w historii konkursu Izby Wydawców Prasy GrandFront. W tegorocznej edycji otrzymaliśmy także wyróżnienie za okładkę „Sądny dzień" z lipca 2017 r.

GrandFront 2017 przypadł w udziale „Dziennikowi Gazecie Prawnej" za okładkę „Trójpodział władzy".
GRATULUJEMY LAUREATOM KONKURSU, DZIĘKUJEMY JUROROM!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Atlantyckie wyobcowanie
WOJCIECH PIĘCIAK

6-10 Wiadomości / Komentarze

19 Tygodnik Czytelników

20 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Najsłabszy powinien być VIP-em
ROZMOWA Z S. MAŁGORZATĄ CHMIELEWSKĄ: *Życie z ciężko niepełnosprawnym to piekło i raj*

27 To będą normalne wybory
JAROSŁAW FLIS: *Słaba pozycja PiS w samorządach nie zmieni się jesienią*

29 Integracja po polsku
BARTOSZ JÓZEFIAK: *W miejscowości pod Warszawą najlepiej widać blaski i cienie w relacjach Polacy – uchodźcy*

■ ■ WIARA

34 Ten, który przypomina
ROZMOWA Z ANDRZEJEM SIONKIEM, EWANGELIZATOREM: *Duch Święty uwalnia nas od skupienia na sobie*

38 Wiatr wieje z Południa
O. KASPER KAPROŃ: *Synodalność może być sposobem na kryzys Kościoła*

40 Obrońca Prymasa
TERESA BOGUCKA: *Pamięć o księdzu Wojciechu Zinku powraca*

42 Poród z Ducha
PIOTR SIKORA:
(6) *Medytacje Wielkanocne*

■ ■ ŚWIAT

44 Wenezuela w oparach absurdu
DOMINIKA MATEJKO:
Socjalistyczny reżim trzyma się mocno

47 Policzone dni mesjanistycznej lewicy
MARCIN ŻUREK *o Ameryce Łacińskiej*

BARBARA NIEWIADOMSKA

■ TEMAT TYGODNIKA ■

12 Abonent poza zasięgiem
ANNA GOC

Czy szukając pomocy zadzwonisz do księdza, który przyjmuje zgłoszenia od ofiar molestowania – i równocześnie jest rzecznikiem prasowym kurii?

16 Zanim dotknie się dna
ROZMOWA Z EWĄ KUSZ, PSYCHOTERAPEUTKĄ:

Są miejsca w polskim Kościele, gdzie zgłoszenie nadużycia seksualnego na osobie nieletniej będzie empatycznie załatwione. Ale są też takie, gdzie może być różnie.

■ FELIETONY ■

33 ANNA DZIEWIT-MELLER
43 SZYMON HOŁOWNIA
59 ANDRZEJ STASIUK
84 JAN KLATA **85** PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

■ DODATKI SPECJALNE ■

Katalog Copernicus Festival 2018

Wolność krzepi

Rzeszów podróżuje w przestrzeni i czasie

Okładka: S. MAŁGORZATA CHMIELEWSKA Z SYNEM ARTUREM
Fotografia: GRAŻYNA MAKARA
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

50 Chmury nad Bejrutem
AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA *o wygranej Hezbollahu w Libanie*

52 Druga ormiańska rewolucja
WOJCIECH JAGIELSKI

■ ■ HISTORIA

56 Wszystkie drogi prowadzą do Lwowa
ROZMOWA Z PHILIPPE'EM SANDSEM

■ ■ NAUKA

60 Kwantowy tancerz
MIROSŁAW DWORNICZAK:
Mija setna rocznica urodzin Richarda P. Feynmana

■ ■ KULTURA

72 Siedem czarnych czapli
ROZMOWA Z JAGODĄ SZELC, REŻYSERKĄ: *Chciałabym zostawić po sobie „nic"*

76 Kurtyna z żelaza
SEBASTIAN SMOLIŃSKI
o „Zimnej wojnie" – nowym filmie Pawła Pawlikowskiego

78 Rozpamiętanie
ROZMOWA Z PIOTREM MATYWIECKIM, POETĄ

81 Wielki, bo w błazeńskiej szacie
DARIUSZ KOSIŃSKI *o spektaklu Jana Klaty „Wielki Fryderyk"*

82 Sfinks bez tajemnic
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Prawdziwa historia" Polańskiego*

83 Warto zobaczyć w TV

84 Młody jubilat
LEKTOR *o książce Jerzego Jarniewicza „Sankcje"*

■ ■ ZMYSŁY

86 Komunikacja miejska
KALINA BŁAŻEJOWSKA
o tęsknocie za Barceloną

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Magdalena Rittenhouse, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Teresa Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Joachim Trenkner, Marek Zając
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

OBRAZ TYGODNIA

ATLANTYCKIE WYOBCOWANIE

Polityka Donalda Trumpa, który ignoruje sojuszników, może doprowadzić do pęknięcia wewnątrz Zachodu. Na początek – psychologicznego.

WOJCIECH PIĘCIAK

Mural na ścianie byłej ambasady amerykańskiej w Teheranie, 8 maja 2018 r.

VAHID SALEMI / AP / EAST NEWS

Gdy za niespełna miesiąc prezydent USA i przywódca Korei Północnej spotkają się w Singapurze, powinni szybko znaleźć wspólny język. Może nawet znajdą w sobie rodzaj wspólnoty. Bo mimo lat świetlnych, jakie dzielą Stany i komunistyczny skansen, Donald Trump i Kim Dzong Un zdają się podobni. Obaj chcą znaczyć dużo więcej, niż pozwalają im na to ich możliwości. Obaj narcystycznie wielbią siebie i pozwalają się wielbić (choć za wyłamanie się ze schematu ich otoczeniu grożą skrajnie odmienne skutki: w USA można napisać książkę, jak były szef FBI, w państwie Kima stracić głowę).

Obaj są przy tym amoralni. Kim jako pan życia i śmierci swych poddanych. Trump jako ekstremalna odmiana polityka amoralnego systemowo, w życiu publicznym i prywatnym. Systemowo w tym sensie, że choć łamanie norm nie jest w zachodniej demokracji rzadkie (również u prezydentów USA), to ujawnienie tego uważane jest (powinno być), także przez samych zainteresowanych, za coś złego. Tymczasem Trump ostentacyjnie niszczy granice tego, co dopuszczalne, a pogardę dla norm postrzega jako dowód siły, niezależności i wyjątkowości (wielu jego sympatyków chyba podziela ten punkt widzenia). Gdybyż jeszcze, w jego decyzjach dotyczących światowej polityki, w ślad za tym faktycznie szły mądrość i strategia, za sprawą których Ameryka i Zachód stawałyby się silniejsze...

↦

↦ Trudno przewidzieć, jakie skutki dla Bliskiego Wschodu będzie mieć decyzja, którą Trump podjął w minionym tygodniu – jednostronnie wypowiadając porozumienie nuklearne z Iranem. Negocjowana kilkanaście lat i podpisana w 2015 r. przez Iran i sześć krajów (stałych członków Rady Bezpieczeństwa ONZ – USA, Wielką Brytanię, Francję, Rosję i Chiny – oraz Niemcy) umowa przewidywała zamrożenie irańskiego programu atomowego, a w zamian zniesienie sankcji. Wprawdzie premier Izraela Netanjahu, twierdzi, że Iran łamie ustalenia, ale nie przedstawił na to dowodów.

Widać za to, że brak broni atomowej nie przeszkodził Iranowi w umacnianiu wpływów na Bliskim Wschodzie jako regionalnego mocarstwa, które „meblujе" swe otoczenie, wykorzystując do tego wojnę w Syrii. Przypadek (raczej) sprawił, że również w minionym tygodniu doszło do pierwszego otwartego starcia irańsko-izraelskiego: Irańczycy ostrzelali wzgórza Golan, a Izrael – irańską infrastrukturę militarną w różnych miejscach Syrii. I może tu właśnie w irańskiej ekspansji, a nie w rzekomym łamaniu umowy atomowej, należy szukać przyczyn decyzji Trumpa.

Ale nawet jeżeli są powody, by twardo „powstrzymywać" Iran – ramię w ramię z Izraelem i Arabią Saudyjską – to jest też dość powodów, by nie załatwiać tego w taki sposób. W przekonaniu o swej mądrości i sile Trump nie tylko postawił Londyn, Paryż i Berlin (i inne stolice) przed faktem dokonanym, ale uczynił to w sposób upokarzający: firmy z tych państw mają „90 do 180 dni" na opuszczenie Iranu, pod groźbą sankcji. Nowy ambasador USA w Berlinie, ponoć gorliwy „trumpista", zaczął pracę od tego, że wezwał niemieckie firmy (wzorem idola na Twitterze), by „niezwłocznie" zniknęły z Iranu. Można sobie wyobrazić, jak to odebrano.

Europejskie firmy nie zbiednieją – handel z Iranem to ułamek ich aktywności (niemiecki eksport do Iranu wynosił ostatnio 3 mld euro rocznie, zaś do USA 115 mld). Za to polityczne skutki decyzji (i stylu) Trumpa mogą być poważne. Histerią byłoby twierdzić (jak wpływowa niemiecka gazeta), że to „chwilowy koniec transatlantyckiego sojuszu". Ale duży krok w tym kierunku został uczyniony – także na płaszczyźnie psychologicznej.

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

Tekst ukończono w niedzielę 13 maja

DON EMMERT / AFP / EAST NEWS

Rudy Giuliani i Donald Trump

Gorąco w Białym Domu

GDY UWAGA ŚWIATA koncentruje się na bliskowschodniej polityce prezydenta USA, jego afery toczą się poniekąd zwykłym trybem. W miniony piątek okazało się, że specjalny prokurator Robert Mueller prowadzi przesłuchania w związku z milionowymi darowiznami, które komitetowi inauguracyjnemu Trumpa przekazały osoby powiązane m.in. z Rosją i Arabią Saudyjską. Nikomu nie postawiono zarzutów, ale jeśli okaże się, że podobnych wpłat dokonano też na rzecz kampanii Trumpa, byłoby to złamanie prawa.

Także w piątek nowy prawnik prezydenta Rudy Giuliani zapewnił, że Trump nie wiedział o lukratywnym biznesie, w jaki zamienił swą osobistą relację z prezydentem jego były już prawnik Michael Cohen. Chodzi o wynagrodzenia, jakie brał od firm szukających dostępu do nowego prezydenta. Wśród klientów Cohena był bank związany z rosyjskimi oligarchami.

Giuliani miał poprawić sytuację Trumpa. Ale zaczął od wpadki: powiedział w wywiadzie, że prezydent oddał Cohenowi 130 tys. dolarów, które ten zapłacił aktorce filmów dla dorosłych Stormy Daniels za milczenie o rzekomym romansie z Trumpem. Ten zaprzeczył i oświadczył, że Giuliani musi się zaznajomić z faktami. Wkrótce prawnik nazwał informacje o zwrocie pieniędzy plotkami.

© JAN SMOLEŃSKI

Dziewiąta epidemia eboli ogłoszona w Kongu

MARCIN ŻYŁA

TRZY, GÓRA CZTERY MIESIĄCE – TYLE WEDŁUG WŁADZ Demokratycznej Republiki Konga może zająć opanowanie epidemii gorączki krwotocznej ebola, którą w minionym tygodniu Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) ogłosiła w okolicach Bikoro w północno-zachodniej części kraju. Laboratoryjnie potwierdzono dotąd tylko dwa przypadki, ale ostatnio odnotowano kilkanaście prawdopodobnych zachorowań.

Kongo ma największe w świecie doświadczenie walki z ebolą (ubiegłoroczną epidemię opanowano w kilka tygodni), jednak tym razem są pewne, szczególnie złowieszcze okoliczności: podejrzane przypadki raportowano w paru miejscach odległych od siebie o kilkadziesiąt kilometrów; okolice Bikoro są trudno dostępne (podróż motocyklem do najbliższego miasta zajmuje 15 godzin), co utrudnia walkę z epidemią; w dodatku wiarę w skuteczny dotąd system powiadamiania o eboli podważyła informacja, że poprzedni raport o możliwych przypadkach gorączki krwotocznej (z marca) utknął w szufladach urzędników Prowincji Równikowej.

Najgorzej jednak, że Bikoro jest położone nad jeziorem Tumba, które łączy się z rzeką Kongo, najważniejszym korytarzem komunikacyjnym kraju. Zaledwie 500 km dalej w dół rzeki, w Kinszasie i Brazaville, stolicy sąsiedniej Republiki Konga, mieszka ok. 13 mln ludzi. Od zarażenia ebolą do pierwszych objawów może upłynąć nawet 6 dni; mniej więcej tyle trwa tam rejs z Bikoro. Nowe ognisko epidemii w którymś z tych miast – to scenariusz, który urzędnikom WHO mógł się do tej pory pojawiać tylko w najgorszych koszmarach.

©℗

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

PO WIZYCIE W SEJMOWYM HOLU najważniejszych osób w państwie – prezydenta Andrzeja Dudy, pierwszej damy, premiera Mateusza Morawieckiego i minister Elżbiety Rafalskiej – przyszedł czas na przedstawiciela Kościoła katolickiego: w sobotę z niepełnosprawnymi i ich opiekunami rozmawiał metropolita warszawski kardynał Kazimierz Nycz (na zdjęciu), odmawiając z nimi wspólną modlitwę i zapewniając o (duchowym) wsparciu. Ale w sprawie postulatów protestujących trwa impas: parlament przyjął ustawę zrównującą wysokość renty socjalnej z najniższą rentą ZUS-owską (1029,80 zł), jednak rządzący nadal nie zgadzają się, by niepełnosprawnym wypłacano 500-złotowy, comiesięczny dodatek, proponując w zamian szczególne uprawnienia w dostępie do opieki zdrowotnej, leków i wyrobów medycznych. Protest w Sejmie trwa od 18 kwietnia. ©℗ PW

Ziobro bierze się za swoich

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Jeśli Zbigniew Ziobro chciał urządzić pokaz siły dla swych kolegów z PiS, to zatrzymanie nieformalnego doradcy prezydenta idealnie się do tego nadaje.

Minister sprawiedliwości lubi mieć takie prokuratury, które spełnią jego najskrytsze marzenia. Dziś na oczko w głowie ministra wyrasta Prokuratura Regionalna w Białymstoku. To właśnie ona postawiła zarzuty Michałowi Królikowskiemu, konserwatywnemu prawnikowi, który doradzał Andrzejowi Dudzie wyrzucenie do kosza ziobrowych wersji ustaw sądowych, a wcześniej blisko współpracował z Jarosławem Gowinem.

Królikowski jest adwokatem, a białostoccy dworzanie Ziobry stawiają mu zarzut prania brudnych pieniędzy w celu osiągnięcia korzyści majątkowej. Grozi mu do dziesięciu lat odsiadki.

Chodzi o pieniądze przyjęte przez Królikowskiego w tzw. depozyt adwokacki od klienta podejrzewanego o paliwowe przekręty. Abstrahując od zarzutów, sposób potraktowania Królikowskiego jest wyraźnym sygnałem politycznym. Ziobro wyrównuje porachunki i z nim, i z Dudą. Najpierw wysłano po Królikowskiego służby na drugi koniec Polski, noc spędził pod celą, a zarzuty usłyszał następnego dnia – po czym go wypuszczono, karząc m.in. zawieszeniem prawa do wykonywania zawodu.

Ta sama prokuratura postawiła wcześniej liczne zarzuty byłemu wiceministrowi finansów Jackowi Kapicy. Miał przymykać oko na przekręty w sektorze hazardowym. Szkopuł w tym, że musiał być przestępczym altruistą, bo sam miał nie mieć z tego nic. Sąd właśnie stwierdził, że zatrzymanie Kapicy było niezgodne z prawem – ale z nim przynajmniej uwinięto się w jeden dzień.

Obie te sprawy pokazują, że nie przypadkiem szefową prokuratury w Białymstoku została Elżbieta Pieniążek. To była agentka CBA, przyjaciółka agenta Tomka i prokuratorka lojalna wobec Ziobry. Przez najbliższe półtora roku będzie miała dużo pracy. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl

W SKRÓCIE

KREDYT. „Mam już z czego przelać" – wyznał w poniedziałek w Radiu ZET Michał Dworczyk, poseł PiS i szef Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, pytany o to, czy zwrócił już przyznaną mu w zeszłym roku przez rząd nagrodę pieniężną. Były wiceminister obrony dodał, że sprzedał też swój 18-letni samochód. „To jest tak jak w życiu. Człowiek jakieś tam działania podejmuje i potem ponosi ich konsekwencje" – mówił Dworczyk. We wtorek 15 maja minął wyznaczony przez władze PiS termin oddawania nagród przez ministrów z tej partii.

FAJRANT. Tragiczny finał zmiany dwójki młodych policjantów z Pobiedzisk, wezwanych do rzekomo nietrzeźwego mężczyzny leżącego przy drodze. Funkcjonariusze kończyli pracę, wywieźli więc nieprzytomnego do lasu, zamiast odeskortować go do izby wytrzeźwień. 36-latek zmarł. Zdaniem lekarzy wskutek krwawienia wewnątrzczaszkowego, które mogło powstać np. w wyniku upadku i uderzenia. Policjantów zwolniono dyscyplinarnie. Starszy rangą został tymczasowo aresztowany.

NALOT. Szczecińscy policjanci spisali uczestników konferencji naukowej w Pobierowie poświęconej myśli filozoficznej Karola Marksa. Funkcjonariusze działali na zlecenie szczecińskiej prokuratury rejonowej, która nakazała im sprawdzenie, czy organizatorzy panelu nie dopuścili się przestępstwa „publicznego propagowania totalitarnego ustroju państwa".

ODLOT. Małopolska kurator oświaty Barbara Nowak opublikowała na Twitterze rysunek kobiety z nożem schowanej za wózkiem inwalidzkim. Napisała też, że domagała się od Rzecznika Praw Dziecka „reakcji na przykłady wykorzystywania dzieci do konfliktów ludzi dorosłych". Komentarz urzędniczki do sejmowego protestu niepełnosprawnych nie jest jej pierwszym internetowym występem – kilka miesięcy temu Nowak proponowała np., by po byłym obozie KL Auschwitz-Birkenau mogli oprowadzać tylko licencjonowani przez IPN polscy przewodnicy.

PROF. MICHAŁ BILEWICZ, PSYCHOLOG SPOŁECZNY:

Umorzenie, czyli przyzwolenie

ANNA GOC: Prokuratura właśnie umorzyła śledztwo w sprawie transparentu „KOD, Nowoczesna, GW, Lis, Olejnik i inne ladacznice – dla was nie będzie gwizdów, będą szubienice”.

PROF. MICHAŁ BILEWICZ: To groźba samosądu wobec konkretnych osób. Umorzenie śledztwa w tej sprawie zdumiewa. Pokazuje, że działania prokuratury najprawdopodobniej są umotywowane politycznie.

Jedna z osób rozwieszających transparent zeznała, że nie wiedziała, co jest na nim napisane. Prokuratorzy uwierzyli.

W kibicowskich strukturach są grupy tzw. ultrasów, czyli tych, którzy odpowiadają za oprawy meczowe. Na meczach nie ma miejsca na spontaniczność, zwłaszcza w przypadku tak dużego transparentu.

Dlatego znamienna jest bezradność prokuratury w wykryciu i ukaraniu sprawców.

Jak Pan ocenia obecne działania przeciw mowie nienawiści?

Rząd powołał ostatnio komisję, która ma się zajmować przeciwdziałaniem przemocy faszystowskiej. Rosną statystyki przestępstw z nienawiści odnoszące się do muzułmanów – albo jest ich coraz więcej, albo prokuratura wszczyna coraz więcej śledztw. Więc jakieś działania są podejmowane.

W przypadku transparentu Legii mamy do czynienia z językiem przemocy politycznej. Umorzenie takiego śledztwa jest groźne – daje jasny komunikat: przyzwolenie na kolejne transparenty z podobnymi hasłami. A od transparentu do działania droga jest bardzo krótka.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

MACIEJ ZIENKIEWICZ

DR HAB. MICHAŁ BILEWICZ *jest psychologiem społecznym, profesorem na Wydziale Psychologii UW, gdzie kieruje Centrum Badań nad Uprzedzeniami.*

JAKUB WŁODEK / AGENCJA GAZETA

JACEK MAJCHROWSKI zapowiedział, że będzie się ubiegać o piątą kadencję na stanowisku prezydenta Krakowa, choć do niedawna sugerował, że jest gotów poprzeć Władysława Kosiniaka-Kamysza z PSL. Wskutek tej wolty do kosza idą plany wspólnej listy do rady miasta PO, Nowoczesnej, PSL i stronników Majchrowskiego. Platforma jeszcze nie ogłosiła, czy zamierza zgłosić swojego kandydata. ©℗ PB

ZUS i truskawki

MAREK RABIJ

Pracownicy zatrudnieni przy sezonowych pracach polowych będą mieć w końcu ubezpieczenie społeczne i chorobowe. Właściciele latyfundiów wieszczą nadchodzącą falę bankructw. Politycy partii Razem – powrót parobków na polską wieś. Przy zbiorach truskawek, szparagów, chmielu oraz innych zajęciach polowych rokrocznie znajduje pracę ok. 500 tys. osób.

Nowela ustawy o ubezpieczeniach społecznych rolników wprowadza nową kategorię zatrudnienia – umowę o pomoc przy zbiorach. To w istocie hybryda etatu (pracownik ma ubezpieczenie społeczne i chorobowe, a narzędzia do pracy ma zapewnić mu pracodawca) i umowy-zlecenia, która ulega rozwiązaniu w dniu wypowiedzenia. W ciągu roku kalendarzowego jedna osoba będzie mogła przepracować na takich warunkach do 180 dni.

Zdaniem ustawodawcy nowe umowy to kompromis między potrzebami producentów rolniczych a oczekiwaniami pracowników sezonowych. Sądząc jednak po pierwszych reakcjach, więcej na razie jest niezadowolonych. Właściciele gospodarstw obawiają się, że dodatkowe obciążenie pozbawi rentowności większość upraw. Politycy partii Razem w umowach o pomocy przy zbiorach widzą z kolei legalizację statusu parobka, uważając, że pracownicy sezonowi powinni mieć po prostu umowy etatowe na czas określony, czyli nie tylko z ubezpieczeniem, ale też z prawem do urlopu.

Najlepiej podczas przypadających na czas żniw wakacji. ©℗

W SKRÓCIE

TRZY RAZY ABP GĄDECKI: O PAŃSTWIE PRAWA… „Organizacja społeczeństwa winna być oparta na równowadze władz, czyli na braku dominacji jednej władzy nad drugą. Władze te [ustawodawcza, wykonawcza i sądownicza] winny być niezależne wobec siebie, winny się dopełniać, hamować i kontrolować” – mówił 13 maja przewodniczący Episkopatu na Skałce w uroczystość św. Stanisława. Abp Stanisław Gądecki mówił o władzy ludu, państwie prawa, trójpodziale władz, pluralizmie poglądów i postaw, wartościach, zgodności porządku prawnego z prawem moralnym, prawach człowieka oraz laickości państwa (cała homilia na powszech.net/gadecki). W tradycyjnej procesji z Wawelu na Skałkę uczestniczył m.in. prezydent Andrzej Duda.

…O PROTEŚCIE RODZICÓW OSÓB NIEPEŁNOSPRAWNYCH… „W trudzie codziennej wierności rodzice ci powinni móc liczyć także na pomoc państwa, Kościoła i społeczeństwa. Tego wymaga nie tylko solidarność, ale także zwykła sprawiedliwość. Mamy świadomość, że prawa osób niepełnosprawnych, ich rodziców i opiekunów nie były traktowane dotąd z wystarczającą uwagą” – napisał 9 maja przewodniczący Episkopatu, odnosząc się do strajku w Sejmie rodziców osób niepełnosprawnych. Metropolita poznański zaapelował o odważne decyzje polityczne, a także o to, by osoby niepełnosprawne „nie były politycznie instrumentalizowane”.

…O OCHRONIE ŻYCIA NIENARODZONYCH. „Podzielamy Pani przekonanie, że stanowisko w sprawie ochrony życia nie powinno być oparte na mitach i stereotypach (…). Najnowsze osiągnięcia nauki dowodzą jednoznacznie, że w życiu człowieka nie ma – poza chwilą poczęcia – drugiego momentu, który można by uznać za początek istnienia człowieka” – napisał 8 maja abp Gądecki w odpowiedzi na list otwarty Katarzyny Lubnauer, który przewodnicząca partii Nowoczesna w kontekście sporów o zaostrzenie prawa antyaborcyjnego skierowała do Episkopatu Polski pod koniec marca.

PIN z wami

PARAFIA W JASTRZĘBIEJ GÓRZE jako pierwsza w Polsce ma terminal do kart płatniczych.

Wyraźnie zakłopotany proboszcz ks. Andrzej Batorski tłumaczy, że prosili o to sami wierni, i nie wyobraża sobie, by terminal był w użyciu także poza kancelarią parafialną. Jakby transakcja bezgotówkowa była niegodna przestrzeni kościoła, w przeciwieństwie do gotówki. I proboszcz, i cały polski Kościół być może powinni jednak pogodzić się z faktem, że Polacy pokochali płatności bezgotówkowe, zwłaszcza kartami. Z danych NBP wynika, że intensywność korzystania z takich narzędzi zakupowych tylko w latach 2009-16 wzrosła o blisko 50 proc. ©℗ MR

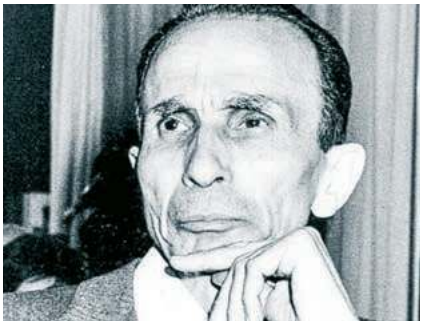

VATICANNEWS.IT

Zmarł papieski wydawca

MARIO AGNES, wieloletni dyrektor „L'Osservatore Romano", zmarł 9 maja w swoim mieszkaniu w Watykanie. Miał 86 lat. W 1984 r. Jan Paweł II mianował go dyrektorem watykańskiego dziennika. Funkcję tę pełnił do emerytury w 2007 r., ciesząc się wielkim zaufaniem papieża. Wcześniej, w 1976 r., z nadania Pawła VI kierował wydawnictwem katolickiego dziennika „Avvenire".

Niewątpliwie wywarł wielki wpływ na kształt „L'OR". Do gabinetu jego poprzednika, Valeria Volpiniego, drzwi zawsze były otwarte. Agnes miał inny styl, do niego droga wiodła przez sekretariat. Zlikwidował funkcję zastępców (zwolniony został Gian Franco Svidercoschi).

Benedykt XVI nadał odchodzącemu na emeryturę Agnesowi tytuł honorowego dyrektora, podkreślając jego wierność Magisterium Kościoła i wychwalając jego trudy, „aby każdego dnia wypełnić swoje obowiązki i nie zawieść oczekiwań przełożonych". ©℗ KS. ADAM BONIECKI

Nie podchodzić, nie rozmawiać, nie słuchać

DIABEŁ TO POKONANY PRZEZ BOGA, wściekły pies przykuty łańcuchem: nie podchodźmy do niego, bo gryzie – przestrzegł w homilii papież Franciszek. Przypomniał, że to „ojciec kłamstwa" i wprawdzie „jego światło jest olśniewające, ale zanika". Papież przestrzegł przed dialogowaniem z szatanem, ponieważ jest on od człowieka inteligentniejszy.

Wywiadu na ten temat udzielił KAI współpracownik „TP", teolog ks. Grzegorz Strzelczyk. Krytykując egzorcystów, którzy upubliczniają to, co dzieje się podczas rytuału, podkreślił, że „już samo wdawanie się w rozmowy z diabłem to stanie na granicy posłuszeństwa Kościołowi". Tym gorzej, jeśli „te diabelskie wyznania są kolportowane". Stoi bowiem za tym pełne pychy „przekonanie, że potrafimy go zmusić do prawdomówności". Problem jest głębszy: nauczanie o tzw. zagrożeniach duchowych skupia się na demonach zamiast na grzechu, utrudniając nawrócenie. Zdaniem ks. Strzelczyka czas na reakcję biskupów: „Będzie trzeba zacząć napominać niektórych księży, (...) oni już przygotowują odbiorców na to, że będą prześladowani za prawdę". ©℗ MAM

MAX ROSSI / REUTERS / FORUM

Papież Franciszek w Nomadelfii, Toskania, 10 maja 2018 r.

Franciszek, Zeno i „komuniści"

DLA KOŚCIOŁA SĄ PARAFIĄ, DLA PAŃSTWA stowarzyszeniem. Prowadzą ekologiczne gospodarstwo. Hodują strusie. Produkują sery i wino. Dzielą się pieniędzmi, nie mają nic na własność. Wychowują 300 dzieci, w większości adoptowanych. W zeszły czwartek mieszkańców Nomadelfii, małej wioski w Toskanii, odwiedził papież Franciszek.

Ich historia zaczęła się w 1931 r., kiedy młody ksiądz Zeno Saltini przygarnął pierwszego bezdomnego chłopca. Po kilku latach prowadzenia sierocińca wiedział już, że dzieciom trzeba dać więcej. Zebrał ludzi zdecydowanych na adopcję i gotowych żyć razem, jak pierwsi chrześcijanie. Zamieszkali na terenie byłego obozu koncentracyjnego w Fossoli i nazwali się Nomadelfia (gr. „prawem braterstwo"). Oskarżano ich o propagowanie komunizmu. W 1952 r. Watykan rozwiązał wspólnotę, a ponad 800 dzieci trafiło do sierocińców. Ks. Zeno poprosił o przeniesienie do stanu świeckiego. Przez kolejne dziesięć lat odszukiwał swych podopiecznych i budował dla nich domy w pobliżu Grosseto, na ziemi otrzymanej od dobrodziejów. W 1962 r. wrócił do kapłaństwa, a papież Jan XXIII mianował go proboszczem nowo utworzonej parafii Nomadelfia.

Dziś wspólnota liczy 60 rodzin. Przez 70 lat stała się domem dla blisko 5 tys. dzieci. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

LOS ALAMOS NATIONAL LABORATORY / MATERIAŁY PRASOWE

878 sekund

TYLE ŻYJE NEUTRON – jeden z trzech podstawowych składników materii.

Jeśli ważysz 60 kg, to mniej więcej 30 kg tej masy pochodzi od neutronów. Pozostałe 30 kg należy prawie w całości do protonów, ponieważ elektrony – trzeci składnik naszych ciał – ważą tyle, co nic. Tym dziwniej jest pomyśleć, że neutron jest cząstką nietrwałą – wystrzelony prosto przed siebie rozpadnie się średnio po ok. kwadransie (pozostawiając po sobie, co ciekawe, proton i parę innych cząstek). Wewnątrz jądra atomowego uzyskuje jednak stabilność i dzięki temu możemy sobie w spokoju istnieć.

Zmierzenie średniego czasu życia neutronu jest niełatwe. Cząstki trzeba wyprodukować, a następnie przetrzymywać na czas pomiaru w pełnej izolacji od atomów. Naukowcy z Los Alamos Neutron Science Center posłużyli się płytką misą o średnicy ok. 2 m, do której wlali 420 litrów zimnego „gazu neutronowego" (w Los Alamos produkcja neutronów to chleb powszedni). Ścianki misy wyposażone były w magnesy zapewniające neutronom bezpieczną izolację od materii. Potem w neutronowym płynie zanurzano w regularnych odstępach czasu czujnik neutronów, mający postać długiej pałeczki pokrytej materiałem emitującym po zderzeniu z neutronami błysk światła.

Okazuje się, że poprzednie oszacowania średniego czasu życia neutronu, wynoszące 880-890 sekund, trzeba nieco zmniejszyć, i w artykule zespołu z Los Alamos, opublikowanym w „Science", podano wartość 877,8 sekundy, plus minus ok. 1 sekundy.

Nie wiadomo, jak długo żyją protony – na pewno dłużej niż obecny wiek wszechświata. © ŁUKASZ LAMŻA

Dotacje tylko dla słusznych

PIOTR KOSIEWSKI

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego ogłosiło wynik konkursu na wspieranie czasopism kulturalnych. Dotacje przyznano periodykom tak ważnym jak „Pamiętnik Literacki" czy „Didaskalia". Jednak wśród pism o określonym rysie ideowym na wsparcie mogą liczyć tylko konserwatywno-prawicowe: „Arcana", „Christianitas", „Pressje", „Teologia Polityczna". Wśród pominiętych są „Kultura Liberalna", „Przegląd Polityczny", „Res Publica Nowa", ale też „Więź", „Znak" i dodatek książkowy „Tygodnika Powszechnego" (*nota bene* Tygodnikowe „Lekcje czytania" w konkursie na promocję czytelnictwa też pominięto).

Kontrowersje wokół konkursu zdarzały się i za poprzednich rządów, jednak w trybie odwoławczym ministerstwo starało się naprawić decyzje najmocniej kwestionowane. Minister Gliński powtarza, że chce wspierać tych, którym wcześniej pomocy odmawiano. Tyle że np. w latach 2012-15 wszystkie ważne pisma prawicy, od „Arcanów" po „Frondę", dotacje otrzymywały. Miejmy nadzieję, że i teraz tak się stanie z pismami nielubianymi przez obecną władzę. MKiDN to instytucja państwa, a nie agenda rządzącej aktualnie partii.

Warto zwrócić uwagę na jeden szczegół. Wnioski ocenia tzw. komitet sterujący, jednak ministerstwo także przydziela punkty, w tym za „ocenę strategiczną". Mają one znaczący wpływ na przyznanie dotacji, a przy sposobności pokazują politykę władzy. W tym roku najwyższą ocenę (30 pkt.) przyznano m.in. „Frondzie Lux" i „Pressjom" oraz „Forum Dziennikarzy" (jego wydawca to prorządowe Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich) i organowi tradycjonalistów „Cywilizacja. O nauce, moralności, sztuce i religii". Natomiast „Res Publica Nowa", „Więź" i „Znak" otrzymały po 13 pkt., a rocznik „Zagłada Żydów", wydawany przez Centrum Badań nad Zagładą – tylko 11. Trudno o bardziej czytelny sygnał polityczny. ©

Sezon nagród w pełni

NOBLA LITERACKIEGO NIE BĘDZIE, za to u nas się dzieje! Nagrodę im. Herberta odebrała poetka irlandzka Nuala Ní Dhomhnaill, Silesiusa za całokształt – Bohdan Zadura, za książkę poetycką roku – Jerzy Jarniewicz, za debiut – Agata Jabłońska. Wkrótce gala Nagrody im. Szymborskiej – wiemy już, że nagrodzono Szwedkę Linn Hansén i jej tłumaczkę Justynę Czechowską, 9 czerwca poznamy laureata z Polski. Rok temu w finale nie było żadnej poetki, teraz są Julia Fiedorczuk, Marta Podgórnik, Ilona Witkowska (nominowane też do Silesiusa) i Natalia Malek – plus Wojciech Bonowicz. Wśród nominacji do Nagrody Literackiej Gdynia (esej, proza, poezja, przekład, gala 31 sierpnia) pierwsza kategoria jest tak różnorodna (m.in. felietony Masłowskiej, biografia Iwaszkiewicza autorstwa Radosława Romaniuka, praca Mariana Sworznia o Kanale Białomorskim, esej wspomnieniowy Marcina Wichy), że jurorom nie zazdroszczę. W prozie obok debiutu powieściowego Martyny Bundy doceniono małe formy, w tym „Mikrotyki" Pawła Sołtysa i „Florydę" naszego kolegi Grzegorza Bogdała – gratulacje! W poezji powtarzają się nazwiska Jabłońskiej, Malek i Dominika Bielickiego (także Silesius), seniorem w tym gronie jest Jerzy Kronhold. Wśród przekładów królują języki słowiańskie. Tymczasem napięcie rośnie – 17 maja poznamy dwudziestkę Nike... ©℗ TOMASZ FIAŁKOWSKI

MATERIAŁY PRASOWE / NAGRODA LITERACKA GDYNIA

PREMIERA

Już w sprzedaży wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego”

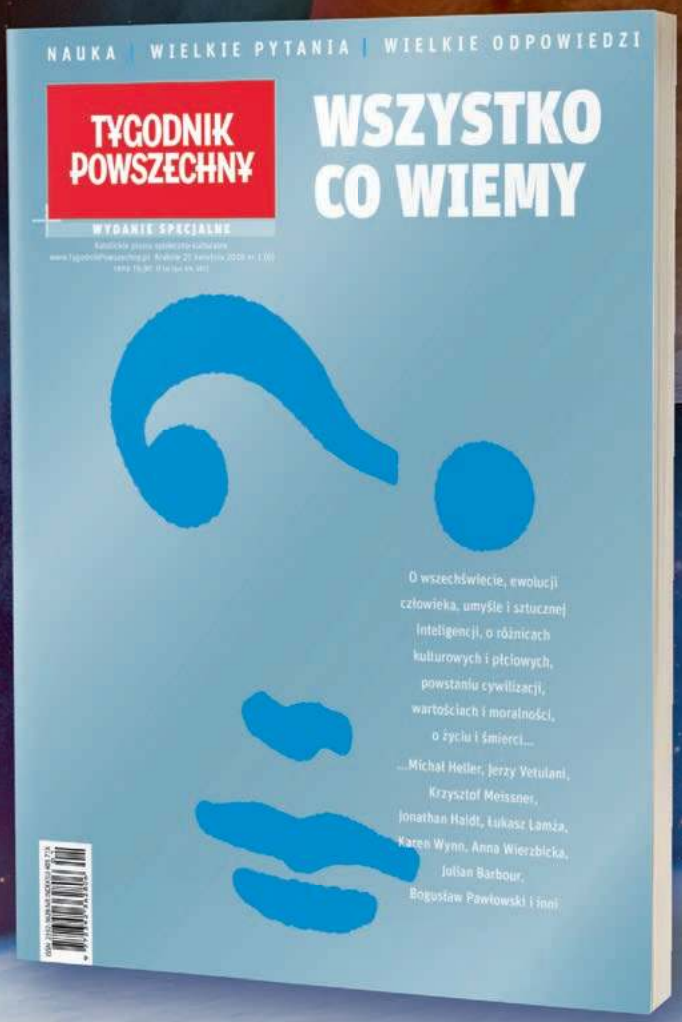

Niezastąpiona lektura na lato!

Ponad 160 stron przewodnika

O wszechświecie – skąd się wziął i jaki jest

po tajemnicach wszechświata.

O człowieku – i o tym, dlaczego mimo różnic potrafimy się dogadać

Już w salonach prasowych,

O umyśle – tym genialnym i tym zwykłym

w e-wydaniu

O cywilizacji – jak zmienia nas, nasze umysły i naszą planetę

i podczas

O wielkich ideach naukowych i dylematach moralnych

Copernicus Festival!

Wielkie nazwiska: Heller, Vetulani, Wynn, Wierzbicka, Barbour i wielu innych

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // MONTAŻ „TP” / NASA.GOV

TEMAT TYGODNIKA

ABONENT POZA ZASIĘGIEM

Czy szukając pomocy zadzwonisz do księdza, który przyjmuje zgłoszenia od ofiar molestowania – i równocześnie jest rzecznikiem prasowym kurii?

TEKST: ANNA GOC | ILUSTRACJE: BARBARA NIEWIADOMSKA

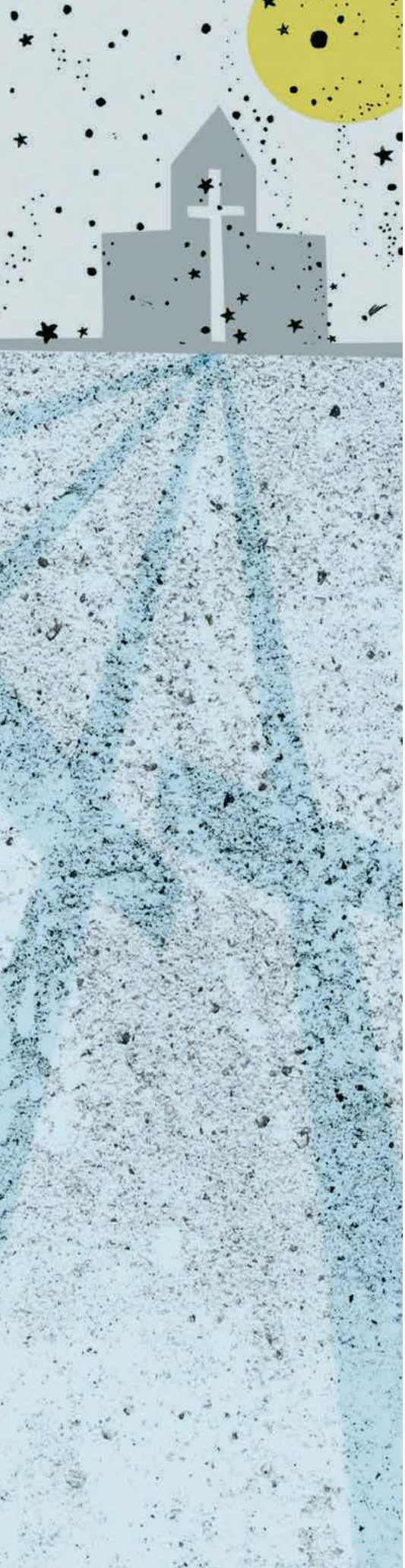

Marta była molestowana przez księdza 20 lat temu. Nie szuka już pomocy. Zgłosiła sprawę przełożonym tego księdza, jest po kilku latach terapii. Teraz sama chce pomóc ofiarom, dlatego sprawdza, jak Kościół reaguje na ich zgłoszenia.

1 Miałam wtedy 15 lat. On był przed trzydziestką. Śmiały, energiczny, zabawny. Potrafił przynieść żywego baranka na mszę dla dzieci. Kiedyś spytał: „A ty, co tak często jesteś na mszach w tygodniu?". Czy przypuszczał, że coś jest nie tak? Czy domyślał się, że przed czymś uciekam?

Pewnego dnia przyszedł do mojego domu, choć nikt go nie zapraszał.

Może nie od razu, może nie tego samego dnia, ani nie następnego, może po kilku tygodniach, a może latach, ale w końcu chcesz coś zrobić z tym, co się wydarzyło.

Dobrze pamiętam tamten moment: jechałyśmy z koleżanką na wycieczkę, byłyśmy w pociągu, i ona nagle powiedziała: „Wiesz, ten ksiądz to podobno kawał skurwiela". A ja pomyślałam: „A co, jeśli komuś zrobi to, co mnie?".

2 Zaczynasz od szukania kontaktu. Ofiara księdza nie pójdzie do parafii. Nic nie da wpisywanie w wyszukiwarkę haseł: „molestowanie w kościele pomoc", „jak zgłosić molestowanie przez księdza". Nie wyświetli się numer telefonu, pod którym ktoś czeka.

Musisz znać inne określenie – „delegat biskupa ds. ochrony dzieci i młodzieży". Od kilku lat ma go każda diecezja i każde zgromadzenie zakonne. To wymóg watykańskiej Kongregacji Nauki Wiary z 2011 r.

Ale by system działał, ofiary powinny mieć dostęp do numerów telefonów delegatów.

3 Sprawdzamy wspólnie. Najpierw strona diecezji Marty. Potem kolejne.

Jeśli masz szczęście i mieszkasz np. w Gliwicach, od razu trafiasz na zakładkę „Ochrona dzieci", nazwisko delegata, jego adres mailowy i numer telefonu. Dzwonisz.

Na 44 diecezje w Polsce na stronach co czwartej nie znajdziesz informacji o delegacie. A molestowanie trzeba zgłosić w swojej. Ile zajmuje umieszczenie informacji na stronie? Dwie minuty? Pięć? A może nie o czas tu chodzi?

Z danych opublikowanych na stronie działającego przy jezuickiej Akademii Ignatianum w Krakowie Centrum Ochrony Dziecka wynika, że delegatów nie ma w prawie połowie diecezji w Polsce. Tylko w 18 diecezjach podane jest imię i nazwisko delegata, jego adres mailowy i numer telefonu. W kilku dane są niepełne, albo nie ma ich wcale (19 diecezji). Zdarza się, że link podany na stronie COD odsyła do niedziałającej strony diecezji.

Dyrektor COD o. Adam Żak SJ zapewnia, że od 2015 r. przeszkolono 130 księży. Skąd więc opieszałość niektórych biskupów i przełożonych zakonnych w podawaniu kontaktu do nich? Po co zostali powołani i przeszkoleni, skoro z połową z nich nie można się skontaktować?

Podobnie sytuacja wygląda wśród delegatów w zakonach – numerów telefonów i adresów mailowych nie ma do co trzeciego delegata z listy umieszczonej na stronie COD. Widzisz, owszem, komunikat, że strona jest w budowie i dane są umieszczane sukcesywnie, ale zastanawiasz się, dlaczego od trzech lat nie udało się przygotować kompletnej listy i jej opublikować?

Gdy sprawdzamy, kto zostaje delegatem, zaczyna niepokoić coraz więcej rzeczy.

Np. to, dlaczego w trzech diecezjach delegat ds. ochrony dzieci i młodzieży, który ma przyjmować zgłoszenia ofiar, i rzecznik prasowy, który ma dbać o wizerunek kurii, to ta sama osoba.

Dlaczego w innych diecezjach sprawami zgłoszeń ofiar zajmuje się kanclerz kurii, a telefon czy adres mailowy, podane jako te, pod którymi mogą zgłaszać się ofiary, to te same, pod którymi urzęduje w swoich godzinach pracy?

Dlaczego w kolejnej diecezji delegatem ds. ochrony dzieci i młodzieży jest rektor Wyższego Seminarium Duchownego?

Albo: dlaczego na stronie jednej z diecezji wśród blisko 30 osób pełniących różne funkcje tylko przy nazwisku delegata biskupa ds. ochrony dzieci i młodzieży nie podano numeru telefonu. Jest za to adres mailowy. Wygodne?

↦

↦ **4** Do tej rozmowy przygotowujesz się długo – mówi Marta.

Nie mam pojęcia, jak będzie wyglądała, więc na wszelki wypadek zadaję sobie po raz kolejny te same pytania, nie szukając nowych odpowiedzi.

Na pewno spytają: Co się wydarzyło. Zacznę od tego, że byłam wtedy blisko Kościoła. Blisko w każdym sensie. Gdy trzeba było podłogę zamieść, zamiatałam, kwiaty wymienić – wymieniałam. Albo nie, powiem o katechetce. Pojawiła się, gdy byłam w siódmej klasie. Przekonywała, że z Bogiem można rozmawiać jak z żywym, a ja uwierzyłam. Potem była Odnowa w Duchu Świętym, wspólne czytanie Pisma Świętego, spotkania w jej domu i w salce przy kościele.

Albo nie, powiem krótko: To była jednorazowa sytuacja. Miałam 15 lat. On był księdzem. Zajmował się dziećmi w naszej parafii.

A jeśli spytają o szczegóły? Marta przerabiała to wielokrotnie z terapeutką.

Powiedział, że ma dla mnie wiersz. Był zimny październik. Miałam na sobie zimową kurtkę. Weszliśmy do salki przy kościele. Przytulił mnie. Jakoś inaczej. Nie rozumiałam. Pocałował w policzek. Uciekłam. Biegłam przez miasto. Nie wiedziałam, co się stało, ale czułam, że coś złego.

A potem przyszedł do mojego domu. Przez chwilę rozmawiał z moim bratem. Brat wyszedł, on został. Zaproponował, żebyśmy się pomodlili w moim pokoju. Różaniec to długa modlitwa. Ale on modlił się ze mną na różańcu tylko przez chwilę. Siedziałam nieruchomo na materacu. Byłam sparaliżowana. Mówił, że mnie kocha. Nie uwierzyłam. To, co w Kościele, wydawało mi się czyste. A te kilkanaście minut były dla mnie brudne. Od razu wiedziałam: to, co zrobił, jest złe.

Gdy mama wraca z pracy, dziwię się, że niczego nie zauważyła. Przecież wszystko się zmieniło. Dopiero potem będzie dla mnie jasne, że takich rzeczy nie widać. Wieczorem bardzo chcę płakać. Ale nie potrafię. Krzyczę z twarzą przyciśniętą do poduszki. Nie mówię mamie o tym, co się wydarzyło, dość ma swoich problemów z ojcem.

Może spytają, czy mam z tym księdzem jeszcze kontakt. Nie mam i nie chcę mieć. Zadzwonił kilka lat temu. Nieznany numer, znajomy głos. Przedstawił się, poprosił o spotkanie. Wydawało mi się, że jestem silną kobietą. Inną niż tamta dziewczyna. Taką, która ma siłę się bronić i zareagować. A może chciałam to sobie tylko udowodnić? Pewnie chce przeprosić, pomyślałam. Przeprosił. A ja wybaczyłam. A może po prostu czytał, jak wszyscy wtedy w Polsce, artykuły o arcybiskupie Wesołowskim i głośnej sprawie z Dominikany?

Nie, powiem krótko: To była jednorazowa sytuacja. Miałam 15 lat. On był księdzem. Zajmował się dziećmi w naszej parafii.

Czy mam mówić o terapii? O tych kilku latach rozmów tylko o tym. Teraz już wiem, manipulował mną. Wiele razy: i wtedy, gdy podarował mi srebrny różaniec, który wyglądał jak biżuteria, i wtedy, gdy przechodząc obok mnie w kościele, szepnął, że czeka w konfesjonale. Nie poszłam. Dopiero terapeutka wyjaśniła: chciał, byś była współodpowiedzialna, by wina była po twojej stronie.

A może powinnam opowiadać chronologicznie. A więc szkoła i lęk, że nigdy nie przestanę już o tym myśleć. A jeśli nie przestanę myśleć, to nie będę mogła się uczyć. A jeśli nie będę mogła się uczyć, nie zdam do następnej klasy. A jeśli nie zdam...

Przełom: obóz w górach ze znajomymi, gdzieś wchodzimy, a ja nagle: nie myślę o tym.

Mijają pierwsze tygodnie, miesiące. Zaczynam się bać. Potem nienawidzić. Jego. Wyobrażam sobie, jak wbijam mu nóż w serce. Ale bardziej nienawidzę siebie. Ile razy patrzyłam w oplute lustro? Ostrzygłam włosy, ostrzygłam je, by były brzydkie, najbrzydsze. Chciałam być gruba. Jadłam, i jadłam, i jadłam. Myślałam o tabletkach, które brał mój brat, o tym, że mogłabym nie żyć.

Lepiej powtórzyć: to była jednorazowa sytuacja. Miałam 15 lat. On był księdzem. Zajmował się dziećmi w naszej parafii.

Wiem, że są takie słowa, które mogą jeszcze zranić.

„Winna". Przez wiele lat bałam się tego. Że to ja go sprowokowałam. W kościelnych wspólnotach szukałam ojca. W domu go nie było. Moim ulubionym momentem podczas mszy było przekazanie znaku pokoju. Znaliśmy się. Przytulał Marcin – wielki ksiądz, i Radek – wielki ojciec rodziny. Chciałam, by ta chwila trwała. A może brakowało kogoś, kto doradzi, obroni, z kim będzie przez chwilę bezpiecznie?

„Bóg cię kocha". Czy choć raz w waszej wspólnocie słyszałam historię o Bogu, który nie kocha ludzi? Świadectwa. Bóg tylko dobry. Historie, jak się ludźmi opiekuje, jak zmienia ich życie. A skoro tak, myślałam, to może ja jestem zła. Może to był mój grzech. Kara boska. Bo jeśli ja myślę o sobie źle, to dlaczego Bóg miałby myśleć o mnie dobrze. Gdyby mnie kochał, obroniłby mnie. Nie obronił, znaczy – nie kocha mnie. Skoro zmartwychwstał, to dlaczego ja tego nie doświadczam?

Ale w mojej historii jest i dobry ksiądz. To jemu opowiadam o tym, co się wtedy wydarzyło. Dwie godziny, kilka zdań. W zamian on czyta przypowieść o człowieku, na którego zastawiono pułapkę. I pyta, co czuję. Pierwsza myśl: jestem zła, to ja zastawiłam pułapkę. A on na to: „Mnie ten cytat kojarzy się z tym, że ksiądz zastawił pułapkę na ciebie".

Mam jeszcze jedną wątpliwość: a co, jeśli nikt nie zrozumie? Ile razy czytałam o tym, że ludzie bronią swojego proboszcza? Nawet wtedy, gdy ujawniają się kolejne ofiary, powtarzają zarzuty.

Dotąd powiedziałam tylko jednemu księdzu, siostrze, przyjaciółce z liceum. Inni mężczyźni? Próbowałam, ale nie znalazłam takiego, który mógłby zrozumieć. Nawet nie zauważyłam, kiedy to stało się kryterium bliskości.

5 Marta zaczyna dzwonić. Nie wie, w jakich godzinach pracuje delegat, więc wybiera godziny między 13 a 15. Dzwoni najpierw do swojej diecezji. Nikt nie odbiera. Próbuje jeszcze raz, dalej nic. Gdyby miała 15 lat, a to wszystko wydarzyło się kilka tygodni temu, nie zadzwoniłaby więcej. Ale teraz chce sprawdzić. Wybiera numer delegata z kolejnej diecezji. Na początku wyjaśnia, że do swojej diecezji nie udało się jej dodzwonić i że chce wiedzieć, jak takie rozmowy przebiegają.

„Halo, kuria" – ktoś odbiera. Innym razem słyszy kobiecy głos, może to siostra zakonna. Pyta o nazwisko delegata, rozmówczyni prosi, by chwilę poczekała. Szuka, pyta. Przekazuje słuchawkę, w tle słychać gwar.

Kolejna rozmowa.

Marta: – Dzień dobry, dzwonię w sprawie zgłoszenia o molestowanie. Chciałabym spytać, jak mogę to zrobić.

Delegat: – Musielibyśmy się, no nie wiem, jakoś spotkać.

Marta: – W ten sposób się zgłasza takie sprawy?

Delegat: – Tak. Muszę pani powiedzieć, że jest pani pierwszą, która dzwoni w tej sprawie.

Pierwszą?

Marta myśli o tym, co działo się w Polsce w ciągu ostatnich 20 lat. Nie to, że wyszukiwała takie sprawy, śledziła je, czytała wielokrotnie te same teksty. Ale kiedy się działo, przeżywała.

Zaczęło się od Bostonu. Tekstów dziennika „The Boston Globe", które jeden po drugim odsłaniały skalę tuszowanego od lat skandalu pedofilskiego w amerykańskim Kościele. Czyta i cieszy się. Bo wyszło na jaw. Czyta i wścieka się. Bo przez tyle lat, bo tyle ofiar, bo bezkarność, bo bezduszność. Ale wtedy, po raz pierwszy, czuje, że jest nadzieja.

Przeżywa też kolejne historie. To, jak media opisują ofiary abp. Juliusza Paetza, ks. Wojciech Gila. Ale najbardziej chyba słowa abp. Józefa Michalika: „Słyszymy nieraz, że to często wyzwala się ta niewłaściwa postawa, czy nadużycie, kiedy dziecko szuka miłości. Ono lgnie, ono szuka. I zgubi się samo i jeszcze tego drugiego człowieka wciąga".

Kolejna nadzieja, czerwiec 2014 r., Kraków. Pierwsze nabożeństwo pokutne za grzechy księży pedofilów i słowa bp. Piotra Libery: „Zawstydzeni i skruszeni prosimy o przebaczenie. Prosimy Boga i prosimy ludzi skrzywdzonych przez kapłanów".

Nie, nie poszła. Ale czytała raporty z konferencji, oglądała transmisje w mediach. Zapamiętała: molestowanie nie zawsze dotyczy dzieci w rozumieniu prawa. Większość molestowanych przez księży to chłopcy. Część z tych przypadków wynikała z niedojrzałości emocjonalnej księży. Często to są jednorazowe przypadki.

6 Marta wybiera numer kolejnego delegata.

Delegat: – Kancelaria kurii.

Marta: – Dzień dobry, dzwonię w sprawie zgłoszenia o molestowanie.

Cisza. Po drugiej stronie słychać ciężkie westchnienie.

Po chwili delegat: – No co tam się dzieje? To jest jakieś stare czy aktualne?

Marta odkłada słuchawkę.

7 Będzie miała ochotę odłożyć ją jeszcze kilka razy:

– gdy słyszy, że nie ma innej możliwości niż zorganizowanie pierwszego spotkania w budynku kurii i że muszą w nim wziąć udział dwaj księża,

– gdy delegat przekonuje, że księdza trzeba będzie zawiesić i „rozpoznać sprawę po cichu, czy nie ma sytuacji wobec większej liczby osób",

– gdy dowiaduje się, że najważniejsze jest wyrzucenie tej sprawy z siebie.

8 Ale wśród kilku rozmów z delegatami, którzy odbierają telefon, są i takie, po których wie, że zgłoszenie ma sens.

Delegaci reagują na pytania, nie dopytując.

Marta: – Czy podczas naszego spotkania będzie psycholog?

Delegat: – Może pani o to poprosić. Jeśli chodzi o niepełnoletnich, to takie spotkanie zwykle odbywa się w obecności rodziców i psychologa. Forma spotkania zależy od pani. Podobnie jak to, gdzie ono się odbędzie. Możemy spotkać się w pani domu, możemy w pomieszczeniu kościelnym lub jeszcze innym, wybranym przez panią.

Marta: – Jak będzie wyglądało spotkanie?

Delegat: – Przedstawi pani swoją historię, a osoba, która się z panią spotka, pomoże ją pani spisać. Taka notatka musi być sformalizowana, mieć formę powiadomienia.

Marta: – Co się z nią dalej stanie?

Delegat: – Trafi do biskupa. Pani zgłoszenie rozpoczyna dochodzenie wstępne, prowadzone w diecezji lub zakonie. Jego efektem ma być ustalenie, czy przestępstwo jest prawdopodobne. Dalsza procedura zależy od tego, czy zgłoszenie dotyczy osoby pełnoletniej, czy nie. Jeśli chodzi o osobę poniżej 18. roku życia, zawiadamiamy też prokuraturę. Pani jako dorosła może zrobić to sama. Wtedy będą dwie procedury równoległe – jedna w sądzie kościelnym, druga w prokuraturze. We wszystkich przypadkach biskup przesyła sprawę Stolicy Apostolskiej, do Kongregacji Nauki Wiary, a ta nadaje sprawie bieg. Decyduje, czy zajmuje się tym sama, czy zleca ją diecezji.

Marta: – Kto w diecezji bada tę sprawę?

Delegat: – To zależy od diecezji, prawo kościelne nakłada ten obowiązek na ordynariusza. Wyznaczona jest zwykle jedna osoba, by takie dochodzenie przeprowadziła. U nas w diecezji ja się tym zajmuję.

Marta: – Czy będę musiała spotkać się ze sprawcą?

Delegat: – Nie, nie musi pani. W sądach kościelnych nie ma czegoś takiego jak rozprawy znane z telewizji. Wszystko dzieje się na podstawie zeznań, dokumentów, które sporządza się oddzielnie. Kolejne spotkania powinny być ograniczone do minimum.

Marta: – Czy po zgłoszeniu będę wiedziała, co dalej dzieje się ze sprawą?

Delegat: – Tak. Może pani o to prosić. To też zależy od Stolicy Apostolskiej, która podejmuje decyzje, a jeśli ona tak zdecyduje, biskup miejsca panią powiadomi.

Marta: – A o zakończeniu postępowania?

Delegat: – Również.

Marta: – Czy ponoszę jakieś opłaty podczas postępowania?

Delegat: – Nie. Ma pani prawo, żeby takie nadużycie zgłosić. Ono musi być zweryfikowane. To są trudne rzeczy, ale do sprawdzenia. Nie jest tak, że jest słowo przeciwko słowu.

9 Do delegatów, których diecezje nie podają numeru telefonu, Marta wysyła maile. Wybiera dwóch. Zadaje w nich wiele pytań. Odpowiada jeden delegat, ale tylko na maila, nie na pytania, proponuje spotkanie.

Drugi wciąż milczy.

©℗ ANNA GOC

Imię bohaterki zostało zmienione.

MAGDALENA GUZIAK-NOWAK

EWA KUSZ jest psycholożką, seksuolożką i terapeutką. Wicedyrektorka Centrum Ochrony Dziecka przy krakowskiej Akademii Ignatianum.

Zanim dotknie się dna

EWA KUSZ, PSYCHOTERAPEUTKA:

Są miejsca w polskim Kościele, gdzie zgłoszenie nadużycia seksualnego na osobie nieletniej będzie empatycznie załatwione. Ale są też takie, gdzie może być różnie.

ARTUR SPORNIAK: Ofiara wykorzystana seksualnie przez osobę duchowną decyduje się zadzwonić do kurii. I już pierwsza trudność – może nie znaleźć informacji, do kogo ma się zgłosić.

EWA KUSZ: W każdej diecezji i w każdym zakonie jest wyznaczony delegat. Więc ostatecznie taka osoba musi do niego trafić. Ale chciałam od razu doradzić jedną rzecz: ofiara, zgłaszając swój przypadek, nie musi tego robić sama – może mieć obok siebie kogoś zaufanego. O takiej możliwości mówią wytyczne Episkopatu. Może to być ktoś z rodziny, z przyjaciół, może to być psycholog czy prawnik. Obojętnie kto, ważne, że przy tej osobie ofiara czuje się bezpiecznie. Wtedy punkt startu staje się łatwiejszy. To niekoniecznie ona – z całym bagażem traumy i w stresie – dzwoni, może to robić osoba towarzysząca.

Są miejsca w polskim Kościele, gdzie zgłoszenie nadużycia seksualnego wobec osoby małoletniej będzie bardzo empatycznie załatwione. Ale są też takie, gdzie może być różnie...

Wszyscy delegaci przeszli szkolenie w krakowskim Centrum Ochrony Dziecka. Skąd te różnice?

To prawda, szkolenie było takie samo. Ale wiele zależy od empatii samego delegata i od atmosfery, jaką współtworzy albo toleruje jego przełożony.

Wytyczne precyzują: przełożony „ma zapewnić maksymalne poczucie bezpieczeństwa, okazać wolę życzliwego wysłuchania i przyjęcia prawdy oraz upewnić w przekonaniu, że osoby, ujawniając swoje cierpienie, pomagają też Kościołowi w przywróceniu naruszonego ładu moralnego”.

Jasno sformułowane – nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego niektórzy przełożeni kościelni nie zauważają, że te warunki nie są spełnione.

Porozmawiajmy zatem, jak to powinno wyglądać. Ofiara może traumatycznie reagować na sam widok koloratki. Czy delegat musi być księdzem?

W tym momencie delegatami są księża i zapewne to się szybko nie zmieni, więc zgłaszający na pewno trafi na osobę w sutannie albo w koloratce.

Czy spotkanie musi się odbywać na terenie kurii?

Znam przypadki, że nie odbywało się na terenie kurii. Delegat powinien respektować życzenie osoby zgłaszającej odnośnie do miejsca spotkania. Spodziewam się, że wielu będzie to uwzględniać, choć znajdą się też tacy, którzy będą dyskutować albo stawiać warunki, że tylko kuria. Podczas szkoleń zalecaliśmy, by delegat szedł za oczekiwaniami ofiary.

Wytyczne nakazują, by przyjmować zgłoszenia od osób niepełnoletnich w obecności psychologa. Czy osoby pełnoletnie mogą sobie zażyczyć takiej obecności, by poczuć się bezpieczniej?

Jeżeli ofiara prosi o to, by obecny był psycholog, mądry delegat powinien taką prośbę spełnić. Czasem to delegaci zgłaszają się do Centrum z prośbą, byśmy polecili jakichś psychologów.

A ofiary nie zgłaszają się bezpośrednio do Centrum?

Kierowane są do odpowiedniego przełożonego kościelnego. Czasem przychodzą z negatywnymi doświadczeniami. Wtedy pośredniczymy w kontakcie z przełożonym kościelnym lub delegatem.

Jak wygląda zgłoszenie – czy osoba jest przesłuchiwana?

Nie. Delegat wysłuchuje osobę pokrzywdzoną – ale to nie jest przesłuchanie, bo to nie proces. Nawet we wstępnym dochodzeniu kanonicznym, które po zgłoszeniu zarządza przełożony kościelny, nie ma typowego przesłuchania, choć rozmowa może być protokołowana, by osoba pokrzywdzona mogła sprawdzić, czy jej wypowiedzi zostały dobrze zrozumiane. Na tym etapie osoba przyjmująca zgłoszenie może ewentualnie delikatnie dopytać, jeśli coś jest niejasne.

Kościół w wytycznych zobowiązał się do pomocy psychologicznej, duszpasterskiej i – jeśli jest potrzeba – prawnej. Jak to wygląda w praktyce?

Znowu powiem, jak to powinno wyglądać, bo wiem, że nie wszędzie tak to wygląda. Osoba przyjmująca zgłoszenie powinna zadać pytanie, czy taka pomoc jest oczekiwana. Nie powinno się jej narzucać. Ale jeśli ofiara wyrazi taką potrzebę, konkretną pomoc powinno się zapewnić pomagając znaleźć terapeutę i opłacając terapię. Podobnie jest z prawnikiem. Co do pomocy duchowej, to ksiądz, który miałby jej udzielać, powinien znać specyfikę skutków wyrządzonej krzywdy, czyli powinien być odpowiednio przeszkolony.

W których miejscach to dobrze funkcjonuje?

Ordynariat Polowy, Gniezno, Płock, obie diecezje warszawskie, Bielsko-Biała, Zielona Góra, Wrocław... Wymieniam tylko niektóre miejsca, które spontanicznie przychodzą mi na myśl.

Osobom zgłaszającym często zależy na wiedzy, co się potem dzieje ze sprawcą i z procesem. Okazuje się to niekiedy trudne.

Ostatecznie zależy to od tego, jak prowadzący sprawę interpretują tzw. sekret papieski, którym objęte jest dochodzenie. Ale informacje, że księdzu została ograniczona posługa, albo że sprawa została przekazana do Kongregacji Nauki Wiary, nie są zdradą sekretu papieskiego i powinny być ofiarom przekazywane. Taka wiedza często uspokaja osoby dotknięte wykorzystaniem seksualnym.

W jednym z tekstów wydanych ostatnio przez WAM w zbiorze „Seksualne wykorzystywanie małoletnich w Kościele" pisze Pani, że głównym czynnikiem ryzyka sprzyjającym nadużyciom jest „kultura klerykalna". Co to takiego?

To kościelna odmiana tzw. kultury korporacyjnej. Osoby duchowne traktuje się jako wybrane, wyjątkowe. Krzewią ją nie tylko księża – także świeccy. Benedykt XVI mówi o tendencji w Kościele i społeczeństwie do przychylniejszego traktowania duchowieństwa.

To dla nas wygodne, bo zdejmuje z nas, świeckich, odpowiedzialność za Kościół.

Ale też niektórzy z nas potrzebują mieć guru, który będzie zapewniać nam bezpieczeństwo.

Pisze Pani o poczuciu wyjątkowości, odizolowaniu, tworzeniu przez duchownych ekskluzywnego klubu...

Takie zamknięte środowisko zaczyna się rządzić swoimi zasadami. Jeśli stanie się coś niedobrego, zadziałają różne mechanizmy, które będą zmierzały do tego, by to ukryć. Przełożony będzie się czuł zobowiązany bronić całej struktury. Wśród księży pojawi się odruch „krycia kolegi" – jeśli ja będę dziś go bronić, on się kiedyś, gdy to mnie się noga powinie, odwdzięczy.

Czynnikiem ryzyka jest też autorytarne sprawowanie władzy – co to znaczy?

W zjawisku wykorzystania seksualnego ważne są dwa elementy: zaspokajanie nie tylko potrzeby seksualnej, ale także potrzeby władzy i kontroli nad ofiarą. Sprawcy korzystają z władzy, którą mają. Księża, którzy są sprawcami, dodatkowo korzystają ze swojej władzy duchowej. Często będącej poza kontrolą i poza krytyką. Problem braku kontroli władzy jest też obecny na poziomie przełożonych, którzy kryją sprawców.

Ostatnio skalę tego zjawiska zobaczyliśmy w Chile, gdzie wpływowego kapłana pedofila chronili najwyżsi hierarchowie, łącznie z reprezentującym papieża nuncjuszem.

↦

REKLAMA

pah
Polska Akcja Humanitarna

Pomóż cywilom razem z Polską Akcją Humanitarną!

WPŁAĆ online: www.pah.org.pl/wplac lub na konto:
Alior Bank 02 2490 0005 0000 4600 8316 8772
dopisek UKRAINA

Czy powołanie osobnego trybunału do sądzenia biskupów mogłoby coś zmienić?

Dwa lata temu papież Franciszek w liście apostolskim „Come una madre amorevole" upoważnił odpowiednie kongregacje – zajmujące się biskupami, zakonami, Kościołami wschodnimi i misjami – do prowadzenia dochodzeń i usuwania wyższych przełożonych z urzędów kościelnych w przypadku „poważnego braku sumienności" w badaniu przez nich przypadków wykorzystywania seksualnego małoletnich. Przepisy są, ale nie wiadomo, jak są stosowane. Wcielanie ich w życie zależy także od nas – od naszej wrażliwości, odwagi, konsekwencji w zgłaszaniu nadużyć, w dopominaniu się o sprawiedliwość dla ofiar.

Wspomina Pani również o problemach z formacją przyszłych księży – jednym z głównych czynników ryzyka jest ich niedojrzałość, narcyzm.

I z literatury przedmiotu, i z mojego doświadczenia jako biegłej sądowej wynika, że niedojrzałość jest wręcz głównym czynnikiem ryzyka. Na przykład w dowodzie ksiądz ma nie wiadomo jak dużo lat, ale emocjonalnie czuje się na poziomie nastolatka. W związku z tym wchodzi w relacje z nastolatkami, bo są dla niego bezpieczniejsze. Czuje się ich rówieśnikiem emocjonalnym. Kontakt z dorosłym jest bardziej wymagający. Staje się więc kolegą dla ministranta czy dla dziewczyny. Wiele razy słyszałam to od sprawców: ofiara była moim przyjacielem. Oczywiście można robić różne specyfikacje przypadków nadużyć, ale mówię o najczęstszym problemie.

Jak temu przeciwdziałać?

Trzeba po prostu wykorzystać sześć lat seminarium na formację ludzką.

To znaczy np. wysłać kleryków na staż do hospicjum?

To znaczy, że głównym kryterium nie powinno być to, żeby kleryk dobrze zdał egzamin, był poprawny w kaplicy czy zachowywał się zgodnie z regulaminem. Tylko żeby miał kontakt z samym sobą – ze swoim światem przeżyć, uczuć, żeby umiał tym zarządzać. Jeśli pójdzie do hospicjum czy gdzieś indziej, dalej będzie w jakiejś roli, a chodzi o to, żeby był sobą. Oczywiście pójście do hospicjum w formacji ludzkiej nie musi przeszkadzać.

EWA KUSZ:

Głównym czynnikiem ryzyka jest niedojrzałość. Ksiądz emocjonalnie czuje się na poziomie nastolatka. W związku z tym wchodzi w relacje z młodymi osobami, bo są dla niego bezpieczniejsze.

A co z częstym wśród księży zamykaniem się w kręgu własnego rocznika seminaryjnego jako sposobem na zaspokajanie potrzeby przyjaźni?

Posiadanie bliskich przyjaciół dorosłych nie jest wcale złe. Byleby się nie zamykali w tej grupie. Zdrowa grupa ma własną tożsamość, ale jest otwarta na zewnątrz.

A brak bliskich relacji z kobietami?

Dla mnie jako terapeuty najważniejsza jest sama zdolność nawiązania dojrzałej bliskiej relacji z osobą dorosłą. Jeśli będę miał gotowość do nawiązania bliskiej dorosłej relacji, to wejdę w nią i z kobietą, i z mężczyzną. Wtedy osoba małoletnia nie będzie dla mnie partnerem.

Skąd się bierze w polskim Kościele niefrasobliwość w podejściu do przypadków nadużyć i lekceważenie potrzeby umiejętności zarządzania kryzysem? Wielu biskupów nie dostrzega kryzysu nadużyć seksualnych, lekceważy je, nie reaguje szybko i zdecydowanie. Pokutuje myślenie, że skandal powstaje wtedy, gdy zostanie ujawniony, a nie wtedy, gdy dziecko zostanie skrzywdzone.

Wciąż przeważa myślenie: to nie mój problem. W Stanach Zjednoczonych przed kryzysem bostońskim w 2002 roku nie było jedności w uznaniu problemu, dopiero po fali ujawnień podjęto wspólne działania. Potem Irlandczycy żałowali: czemu nie nauczyliśmy się od Amerykanów? Podobnie było w Europie i Australii. Trochę jest tak, że ten problem „nie istnieje", dopóki nie dotknie się dna. Zawsze uczymy się szybciej na własnych niż na cudzych błędach. Sprzyja temu fakt, że tak wiekowa struktura, jak instytucja Kościoła, ma poczucie stabilności, które usypia. Myślimy: Kościół przetrwał już dwa tysiące lat, nic więc nie może się stać. Każdy kraj przerabia mniej więcej to samo. My, Polacy, robimy te same błędy.

Czeka nas bolesna nauka?

Tak uważam.

U nas kuleje to na najprostszym poziomie – zbierania danych statystycznych. Zdaje się, że Sekretariat Episkopatu wciąż nie może się doprosić u dużej części ordynariuszy przesyłania danych o liczbie przypadków. Dlaczego?

Nie potrafię tego zrozumieć. Chyba wciąż nie ma poczucia, że mamy wspólny problem w Kościele. Każdy mierzy się z własnym na poziomie diecezji.

Inna rzecz, że w krajach, w których Kościół zaczął coś robić, współbrzmiało to z procesem wzrostu społecznej świadomości. Problem wykorzystania małoletnich – zauważony w Kościele, okazywał się również problemem społecznym. U nas, w Polsce, nie stał się on jeszcze problemem społecznym. Nie został zinstytucjonalizowany. Mamy poczucie, że Kościół w naszym kraju jest sam.

Niewrażliwość części biskupów odzwierciedla niewrażliwość społeczeństwa?

Tę zależność pokazuje choćby problem ze zbieraniem statystycznych danych, który istnieje także w państwie. Załóżmy, że będziemy znać dane kościelne – do czego będziemy mogli je porównać? Społeczeństwo i Kościół to połączone i napędzające się koła.

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

„TP" 18-19/2018

Do Doroty Masłowskiej

Wywiad z Panią przeczytałam z mieszanymi uczuciami zaciekawienia, rozbawienia i lekkiej irytacji. Obraz Warszawy, jaki wyłonił się z tej rozmowy, jest tak dalece sprzeczny z moimi odczuciami, doświadczeniem, a i wiedzą, że postanowiłam przedstawić swój punkt widzenia – osoby wrośniętej w to miasto. Pojmuję, że zaprezentowała Pani własne, subiektywne spostrzeżenia. Mówi Pani o Warszawie ze swojej perspektywy „słoika". I to jest ciekawe. Odniosłam jednak wrażenie, że traktuje Pani ten opis jak obiektywny ogląd rzeczywistości. Nawiasem mówiąc, wiele z tych obserwacji należy do kanonicznego zestawu poglądów, którym posługują się ludzie nieznający tego miasta. Zabrakło mi jeszcze stereotypu „warszawskiego cwaniaka". Po pierwsze: wbrew obiegowym opiniom, w Warszawie nie brak starych, mocno zakorzenionych środowisk. Nie brak rodzin żyjących w tym mieście od wielu pokoleń – sama z takiej pochodzę. Nie wszyscy zginęli w czasie II wojny, nie wszyscy stąd wyemigrowali, wielu wróciło po powstaniu. Specyfiką Warszawy – tak jak wszystkich miast stołecznych – były (i są) fale migracji „słoików": po powstaniu styczniowym, po I i II wojnie światowej. Ci przybysze wtapiali się w miasto, współtworząc jego charakter. Przypomnę też, że do 1989 r., przez blisko pół wieku Warszawa była miastem raczej zamkniętym dla tych, którzy chcieli się tu osiedlić. Władze komunistyczne wymagały bowiem stałego zameldowania, a z tym wiązało się posiadanie mieszkania (lub rodziny czy bliskich). Nie muszę wyjaśniać, jak wyglądał rynek mieszkaniowy w PRL-u. Paradoksalnie ta paranoiczna sytuacja sprzyjała umacnianiu lokalnej tożsamości tych, którzy osiedlili się tu wcześniej. Wreszcie, ostatnia wielka fala przybyszy dotarła do Warszawy po 1989 r., gdy stolica stała się otwartym i atrakcyjnym miejscem pracy i kariery dla tysięcy młodych ludzi. Od potężnej powojennej migracji upłynęło kilkadziesiąt lat i co najmniej dwa pokolenia zdążyły urodzić się i dorosnąć w Warszawie. Zapewniam, że wielu ludzi ma tu „mamę, ciocię i panią od polskiego". A nawet prababki, męczących wujów i wścibskie pociotki. Niewątpliwie nie dotyczy to tych, którzy przyjechali do Warszawy kilka lat temu i są tu przelotem. Wystarczy jednak przejść się na Powązki 1 listopada, aby przekonać się, że tych, którzy odwiedzają rodzinne groby, jest całkiem sporo. Po drugie: z kwestią zakorzenienia (lub jego braku) wiąże się stosunek do przestrzeni publicznej. Z tym w całej Polsce jest pewien problem. Jednak z lokalnym patriotyzmem, czyli z warszawską tożsamością, nie jest chyba najgorzej. Działają tu dziesiątki towarzystw i organizacji, rodzi się wiele inicjatyw. I nie myślę bynajmniej o tak oczywistych gremiach jak Towarzystwo Przyjaciół Warszawy czy Stowarzyszenie Gwary Warszawskiej. A iluż ludzi podtrzymuje pamięć o dawnej Warszawie i zażarcie zabiega o „swoich" patronów ulic, śląc dezyderaty (bywa, że nieoczywiste) do Zespołu Nazewnictwa Miejskiego! Po trzecie: jako utalentowana, młodziutka pisarka trafiła Pani do kapryśnego środowiska celebrytów, w którym faktycznie zauroczenie mija szybko i prawdopodobnie (nie wiem na pewno, bo nie należę) bez ostrzeżenia. To jednak nie jest cecha warszawska, ale celebrycka. Zapewniam, że z niektórymi ludźmi (z Warszawy!) przyjaźnię się od szkoły podstawowej. No, nie są celebrytami. Po czwarte: rozśmieszyła mnie konstatacja (znów dość stereotypowa), że „Warszawa jest bardzo brzydkim miastem". Zgodzę się, że nie odpowiada klasycznym kanonom piękna, ale żeby zaraz „bardzo brzydka"? Rozumiem, że Powiśle, Trakt, stara Ochota, Mokotów, Żoliborz, a nawet kawał Pragi i tym podobne miejsca to dla Pani uroda zbyt banalna. Skoro tak, rekomenduję (poza Pani ulubionym Żeraniem) Wawer, a szczególnie bazarki: to jest prawdziwe żerowisko dla literatów! Niektóre Pani obserwacje wydały mi się świeże i zabawne. Jak ta, że „ciężko" się Pani w Warszawie czyta. Na to nigdy bym nie wpadła. Te spostrzeżenia są zawsze z boku, z zewnątrz. Przypuszczam, że Pani świadomie utrzymuje dystans i „outsiderskość", bo to sprzyja pisaniu. Ale czasem może warto spróbować wejść w miasto i spojrzeć na nie z perspektywy „rdzenia". Oprócz blokowisk jest jeszcze inna Warszawa.

ALEKSANDRA BERNATOWICZ
warszawianka, historyk sztuki

TP

Kluby „TP" zapraszają

BIELSKO-BIAŁA – poniedziałek, 21 maja, godz. 17.00
Spotkanie autorskie „Dalej jest noc..." z prof. Dariuszem Libionką.
Miejsce: Książnica Beskidzka (ul. Słowackiego 17A).

BIELSKO-BIAŁA – czwartek, 24 maja, godz. 17.30
Spotkanie z ks. Adamem Bonieckim.
Miejsce: LO Towarzystwa Szkolnego (ul. Frycza Modrzewskiego 12).

GDAŃSK – czwartek, 24 maja, godz. 18.30
Spotkanie „Jedność w różnorodności. Analiza porównawcza trzech pontyfikatów".
Gościem będzie prof. Józef Majewski.
Miejsce: Dom Hospicyjny (ul. Kopernika 6).

GRUDZIĄDZ – czwartek, 18 maja, godz. 17.30
Spotkanie „Tygodnik Powszechny – jak to się zaczęło?". Miejsce: kawiarnia Kontynenty (ul. Starorynkowa 12/14).

SŁUPSK – środa, 23 maja, godz. 17.00
Spotkanie „Żydzi i czarownice". Gościem będzie Zuzanna Radzik. Miejsce: Miejska Biblioteka Publiczna (ul. Grodzka 3). Spotkanie będzie połączone z promocją książki Enzo Bianchiego „Jezus i kobiety".

PAWEŁ

Śpiewak:
Przybyć do studni

Nazwa święta Szawuot pochodzi od słowa „tygodnie". W tym roku wypada 19 maja. Wtedy mija 50 dni od sederu – kolacji na święto Pesach. Obchodzimy tego dnia święto pierwszych zbiorów, lecz przede wszystkim czcimy dar Tory.

Szawuot ma wiele wspólnego z objawieniem, grzmieniem trąb, błyskawicami przecinającymi niebo i głosem Wiekuistego. W synagodze czytane są przykazania, tablice Mojżesza. W domu modlitwy całą noc studiowana jest Tora. Akurat ten wymiar święta jest wyjątkowo piękny. Wokół stołu pełnego jadła mlecznego siedzą młodzi i starzy, słuchając pouczeń nauczycieli. Można mówić, o czym się chce. Byle krótko, do rzeczy i ładnie. Co roku prosi mnie moja wspólnota o kilka słów. W tym roku chciałbym mówić o studniach w Torze.

Studnia pojawia się w trzech sytuacjach, gdy mowa o narzeczeństwie i małżeństwie. Do studni przybył służący Abrahama, szukając przyszłej żony dla Izaaka. Tam spotkał siostrę Labana – Rebekę. Zaimponowała mu troską o zwierzęta. Napoiła wielbłądy przybysza, otoczyła go opieką. Zdała, rzec można, test na żonę. Otrzymała prezenty i przybyła do Kanaanu ze służącym. Po drodze napotkali Izaaka skupionego na popołudniowej modlitwie.

Po raz drugi do studni dociera znużony Jakub. Gromadzą się wokół niej pasterze ze swoimi trzodami. Pojawiła się Rachel. Była piękna. Jakub zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Wezbrała w nim męska moc i sam poruszył kamienną przykrywę przykrywającą studnię. Miał w sobie siłę wielu mężczyzn. Odsłonił otwór prowadzący w głąb ziemi. Symbolika aż nadto erotyczna.

Po raz trzeci u studni Mojżesz spotyka córki przyszłego teścia Jetro. Pomaga im napoić zwierzęta, a potem teść zaprasza go do siebie. Jetro okaże się pierwszym w Torze, który przyjął religię Izraela.

Przy studni spotykano się, rozmawiano, poznawano i zakochiwano. Ale studnia pojawia się jeszcze inaczej. Żywot Izaaka związany jest z budowaniem studni. Dobry gospodarz musiał dbać o ziemię, pastwiska oraz trzody. Obraz studni pojawia się też dwa razy w historii Józefa (pięknie o tym pisze Tomasz Mann w trylogii „Józef i jego bracia"). Pierwszy, gdy stał u studni w świetle księżyca. Nagi. Przeglądał się w poświacie miesiąca. Musiał się sobie podobać. Miał coś z narcyza. Zastał go tak Jakub, nieco zgorszony zachowaniem syna.

Drugi, gdy bracia, chcąc pozbyć się syna Rachel, zarozumialca i ojcowskiego faworyta, wrzucili go do wyschniętej studni, gdzieś w okolicach miasteczka Szechem. Trzy dni spędził Józef w dole. Pojawili się kupcy i za kilka srebrników kupili młodzieńca. Studnia jest tu więzieniem. Pustką. Zapomnieniem. Józef mógł słyszeć gniewne słowa braci. Był bezsilny. Nie wiedział, co się z nim stanie.

W studni kończyła się jego młodość. Kończył się okres niewinności. Może w niej uwięziony zrozumiał swoje przeznaczenie i przeznaczenie rodziny starego Izraela. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
W lekkim powiewie

„Kiedy nadszedł dzień Pięćdziesiątnicy, byli wszyscy w tym samym miejscu. Nagle rozległ się szum z nieba, jakby gwałtownie wiejącego wiatru. I napełnił cały dom, w którym przebywali. Zobaczyli też języki podobne do ognia. Rozdzielały się one i na każdym z nich spoczął jeden. Wszystkich napełnił Duch Święty" – opowiada autor Dziejów Apostolskich.

Porywisty, gwałtowny wiatr, ale i łagodny powiew, ogień wydobywający się z ziemi, błyskawice i grzmoty, trzęsienie ziemi, niecodzienne zjawiska kosmiczne w Starym Testamencie towarzyszyły Bogu, kiedy Ten zjawiał się pośród swojego ludu. W opisach Nowego Testamentu dzieje się podobnie, choć w sposób mniej widowiskowy.

Przy narodzeniu Jezusa pojawia się tajemnicza gwiazda. Kiedy Jezus prosi Ojca o uwierzytelnienie Jego Misji i mówi: „Ojcze, uwielbij swoje imię!", Bóg odpowiada. „Wtedy zabrzmiał głos z nieba: »Już uwielbiłem i jeszcze uwielbię«. Ludzie, którzy tam stali i usłyszeli ów dźwięk, mówili: »Zagrzmiało«, inni jednak twierdzili: »Anioł przemówił do Niego«".

Śmierci Jezusa towarzyszy trzęsienie ziemi, zaćmienie słońca i księżyca. Podobnie rzecz się ma ze zmartwychwstaniem: „A oto nastąpiło wielkie trzęsienie ziemi, bo anioł Pański zstąpił z nieba i odsunął kamień". Symbolem Boga jest również gołębica, która od Noego jest posłańcem dobrej nowiny – oto tam, gdzie panowała śmierć, powraca życie. Rodzi się „nowa ziemia i nowe niebo".

Jednym słowem: przyjście Boga i Jego obecność, Jego działanie, gdy jest prawdziwe, a nie – powiedzmy – wydumane, zawsze w teraźniejszości powoduje jakieś drżenie, trzęsienie, zamieszanie, zdziwienie, przerażenie, a nawet zgorszenie. Dzieje się tak dlatego, że Bóg nie popełnia autoplagiatu. Zawsze mówi i działa w sposób niepowtarzalny, gdyż nie konserwuje ziemi i nieba, ale je ciągle stwarza.

Papież Franciszek, zastanawiając się, dlaczego ci, którzy jakby z urzędu powinni byli pierwsi odgadnąć, kim jest Jezus, doprowadzili do Jego śmierci, mówi, że owszem: „Otrzymali [oni] prawo, które było życiem, ale je »przedestylowali«, zamienili w ideologię, i nieustannie kręcąc się wokół siebie, nie są w stanie wyjść, a każda nowość stanowi dla nich zagrożenie". Tymczasem Kościół „wykraczał poza swoje ograniczenia. Nie był zamkniętą grupą wybranych, lecz Kościołem misyjnym", a „równowaga Kościoła polega właśnie na mobilności, na wierności Duchowi Świętemu"; równowaga „Kościoła przypomina równowagę na rowerze: jest zdecydowana i dobra, gdy rower jest w ruchu; jeśli staniesz, upadasz". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Duch Prawdy

Starcy powiadali: „Umysł jest jak źródło. Jeśli je pogłębiasz, staje się czyste, jeśli zanieczyszczasz – mętnieje”.

Z APOFTEGMATÓW OJCÓW PUSTYNI

Jak wytwórca strzał prostuje strzałę, tak też uważny człowiek prostuje swój umysł – rozbiegany i niestały, trudny do upilnowania.

DHAMMAPADA

Wybrał PIOTR SIKORA

Na „ostatniej prostej” ku Pięćdziesiątnicy Kościół czyta słowa Jezusa z Ostatniej Wieczerzy: „Jeszcze wiele mam wam do powiedzenia, ale teraz [jeszcze] znieść nie możecie. Gdy zaś przyjdzie On, Duch prawdy, doprowadzi was do całej prawdy” (J 16, 12-13).

Jezus mówi wpierw o tym, że prawdy nie wystarczy poznać; trzeba ją jeszcze unieść (grec. *bastazo* – „podnieść”, „wytrzymać”; św. Hieronim tłumaczy to przy pomocy łacińskiego *portare* – „nosić”). Uczniowie najwyraźniej mogliby zrozumieć to, co Jezus ma im jeszcze do powiedzenia. Ale... nie potrafiliby tego unieść – nie potrafiliby z Prawdą wytrzymać.

„Potem” stanie się to dla nich możliwe. „Potem” – to znaczy po doświadczeniu Pięćdziesiątnicy: żyjąc w Duchu Świętym – poddając się prowadzeniu Ducha Świętego – podporządkowując Duchowi nie tylko swoje myślenie, ale i działanie – będą mogli się zmierzyć z poznaną prawdą.

Prawdą, której człowiek – bez pomocy Ducha Świętego – nie potrafi unieść, jest przykładowo ciężka prawda o grzechu, cudzym czy własnym. Gorzka prawda o człowieku. Bywa nie do uniesienia. Gdy ją poznajemy, nie wiemy niemal, co ze sobą zrobić. Zwłaszcza jeśli musi ona pozostać naszą własną wiedzą – nie możemy jej zrzucić na innego. To prawda, którą możemy unieść wyłącznie w Duchu Świętym.

On – w tajemnicy Trójjedynego Boga – pozostaje Osobową Miłością, która przekracza ludzką zdolność przyjęcia i akceptacji. W Nim – w tej Miłości – można udźwignąć każdą prawdę o człowieku.

W Nim też można rozeznać, kiedy należy zachować się dokładnie tak samo, jak Jezus wobec uczniów na Ostatniej Wieczerzy. To znaczy, kiedy należy powstrzymać się przed przekazaniem prawdy drugiemu: kiedy – z Miłości – nie powiedzieć mu prawdy, której nie ma jeszcze siły unieść. Poczekać.

Jezus nie czeka biernie na moment, w którym apostołowie „dojrzeją” i będą już w stanie unieść prawdę. Nie! On wypracowuje dla nich ten moment. Idzie na krzyż. I dalej: w całą swoją Paschę, aby ze środka swojego „odejścia” podarować im Ducha – Tego, który ich uzdolni do zmierzenia się z całą prawdą.

Może – zanim zdecydujemy się skonfrontować człowieka z całą prawdą – warto zadać sobie samemu pytanie: czy zrobiliśmy rzeczywiście wszystko, aby go na nią przygotować? A może nierzadko raczej „wyrzucamy” trudną prawdę, by chronić samych siebie.

Duch prawdy nie przekazuje jej od razu całej – w gotowej formie. On nas prowadzi do prawdy. Wchodzi w rolę Przewodnika. Duch nam proponuje dochodzenie do prawdy. A więc proces: wolniejszy, szybszy; łatwiejszy, trudniejszy.

To inicjacja w dynamiczny proces, a nie bezpieczną stabilizację „posiadacza prawdy”: „Mam!”, „Rozumiem!”, „Jestem pewien!”. Duch mówi, że każde z tych stwierdzeń jest nazwaniem raczej etapu niż finału; raczej drogi niż celu.

Tak: Chrystus w Duchu Świętym przekazuje swoim uczniom pełnię prawdy. Ale także – w tymże Duchu – uzdalnia ich i wzywa do jej coraz pełniejszego poznania. Udziela im przy tym – również w tymże Duchu – dość pokory, by nie mylili jednego z drugim. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (20-27 V)

Niedziela, Zesłanie Ducha Świętego: Dz 2, 1-11; Ps 104; 1 Kor 12, 3b-7. 12-13; J 20, 19-23;
Poniedziałek, NMP Matki Kościoła: Rdz 3, 9-15. 20; Ps 87; Dz 1, 12-14; J 2, 1-11;
Wtorek: Jk 4, 1-10; Ps 55; Mk 9, 30-37;
Środa: Jk 4, 13-17; Ps 49; Mk 9, 38-40;
Czwartek: Jr 31, 31-34; Ps 110; Mk 14, 22-25;
Piątek: Jk 5, 9-12; Ps 103; Mk 10, 1-12;
Sobota: Jk 5, 13-20; Ps 141; Mk 10, 13-16;
Niedziela, Najświętszej Trójcy: Pwt 4, 32-34. 39-40; Ps 33; Rz 8, 14-17; Mt 28, 16-20.

KRAJ

NAJSŁABSZY POWINIEN BYĆ VIPEM

S. MAŁGORZATA CHMIELEWSKA:

Istnieje „przemoc pomocowa". Ludzie, którzy nie mają do czynienia z potrzebującymi na co dzień, mówią: damy pomoc rzeczową, a nie gotówkę, bo wiemy lepiej.

ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Dobrze Siostra sypia?

S. MAŁGORZATA CHMIELEWSKA: Artur, mój przybrany 32-letni syn, ma oprócz autyzmu i niepełnosprawności intelektualnej padaczkę lekooporną. Od ponad 30 lat, czyli od kiedy do mnie trafił, ktoś musi spać obok niego.

Ktoś, czyli Siostra.

Jeśli jestem w domu, to tak. Artur ma często ataki padaczki właśnie w nocy. Każdy ma swój świat, ale świat Artura – człowieka z głębokim autyzmem – różni się bardzo od tego naszego. Na przykład słucha w nocy radia, i to naraz z trzech odbiorników! Od tego naprawdę można oszaleć.

Ze względu na Artura, ale też z powodu lat spędzonych w pracy z bezdomnymi, przyzwyczaiłam się do nocnego trybu życia. Kładę się bardzo późno. A Artur czeka.

Czeka, aż Siostra położy się obok niego.

Żyje w ustawicznym lęku, że go opuszczę. Prawdopodobnie dlatego, że na początku jego życia porzuciła go jego biologiczna matka. Musi mieć pewność, że go nie zostawię.

Musi Siostra go zostawiać, gdy co jakiś czas wyjeżdża.

Wtedy jest specjalna procedura czekania: „za ile paluszków" – czyli dni – wróci Gosia. Codziennie jest o jeden paluszek mniej.

Kto wtedy zostaje z Arturem?

W naszym domu są dwie osoby, które potrafiły i chciały wejść w jego świat, i które zostały zaakceptowane przez Artura. To między innymi Tomek, który u nas mieszka. Gdy ostatnio nie było mnie przez kilka dni, przyjechała tu jedna z moich córek.

Czyli jedna z przygarniętych przez siostrę dzieci, które teraz są już dorosłe i prowadzą własne życie.

W pewnym momencie było ich nawet dziewięcioro – tworzyliśmy rodzinę zastępczą. Został Artur, jedyny niepełnosprawny. A wracając do mojego ostatniego wyjazdu, przyjechał też tu przybrany brat Artura. Opiekował się nim, kąpał.

Na co dzień kąpie go Siostra.

Czasami pomaga jeden z chłopaków mieszkających w domu. Proszę mi wierzyć, że to nie jest łatwe: Artur może dostać ataku padaczki w wannie. Albo zacząć rzucać czymś po ścianach, bo coś poszło nie tak, jak sobie wyobrażał, albo inaczej niż wedle porządku, do którego on – autystyk – się przyzwyczaił.

Co jeśli Artur dostanie ataku padaczki podczas snu?

Usłyszę to. Zawsze.

Instynktownie?

Śpię przy nim od 29 lat, czyli odkąd trafił pod moją stałą opiekę. Usłyszę go, nawet gdy jego atakowi początkowo nie towarzyszy żaden hałas.

Siostra Małgorzata Chmielewska z synem Arturem przed domem w Nagorzycach. 10 maja 2018 r.

Dziś jest trudniej niż wtedy, gdy Artur był dzieckiem?

Paradoksalnie trudniej, bo choć wiele lat temu miałam tych dzieci więcej, to ci pozostali pomagali mi w opiece nad Arturem. Mimo że życie z nim bywało piekłem. Mieszkaliśmy w bardzo małym domku, gdzie była jedna łazienka, i jak Artur się zamykał w środku ze stertą książek, to żadne z dzieci nie mogło skorzystać z toalety. Czasami trzeba było te drzwi wywalać z kopa.

Ale nigdy nie słyszałam narzekań. Przeciwnie, wszystkie moje dzieci Artura kochały i kochają.

Jak wygląda Wasz dzień?

Artur budzi się po ósmej. Ja też muszę wstać, bo po pierwsze trzeba dać Arturowi śniadanie, po drugie pilnować. Zdarza mu się „wychodzić w Polskę". Po prostu, wyjść i iść w dowolnym kierunku. Do tej pory nie dorobiłam się skutecznego systemu monitoringu. Jest kamera w naszym pokoju, który zamykany jest od wewnątrz na szyfr. W środku jest oczywiście łazienka z ubikacją. Ale gdy Artur jest poza pokojem, trzeba go pilnować.

Rano jemy więc śniadanie: Artur na znak, że jest głodny, klepie się po brzuszku. Śniadanie nie może być byle jakie, ale takie, jakie „pan sobie życzy" (*śmiech*). No i musi być specjalne, bezpieczne krzesło, bo on tego ataku padaczki może też dostać podczas jedzenia.

Co wtedy?

Wtedy trzeba go ratować. A potem, czasami półprzytomnego, zaprowadzić albo zanieść do pokoju.

Ile waży Artur?

Około 60 kilogramów.

Siostra go prowadzi? Dźwiga?

Zdarzało się. Choć zwykle jest ktoś do pomocy, z kim mogę zanieść Artura za ręce i za nogi do pokoju.

Artur jest pełnosprawny fizycznie.

Jeździ nawet na rowerze. Precyzja, z jaką potrafi przejechać między dwoma zaparkowanymi tuż obok siebie samochodami, jest zadziwiająca (*śmiech*). Jeździ też na quadzie. Ma dwa, i gdy jeden się zepsuje, zaczyna się piekło – jako ↦

↦ autystyk nie potrafi zaakceptować jakiegokolwiek odstępstwa od ustalonego rytuału.

W zeszłym roku w piątek popsuł się jeden z tych quadów. Artur zdemolował pół domu, wyrwał nawet kilka klamek – bo „ochód się popsuł". Piątek wieczór, wieś – proszę spróbować zdobyć quada! Pojechaliśmy do specjalnej firmy – nie mieli. Jakimś cudem przez znajomych znaleźliśmy miejsce, gdzie sprzedali nam ten „ochód".

Rozpieszcza go Siostra.

Na ile mogę. Oburzonym tym moim rozpieszczaniem tłumaczę, że faceci w jego wieku mają żony i kolegów, z którym idą wieczorem na piwo. A on? On tak naprawdę jest przeraźliwie samotnym człowiekiem, mimo że ma mnie. Bywa, że godzinami stoi przy oknie i patrzy w dal...

Bywa Siostra zrezygnowana, wycieńczona?

Naturalnie, w jakimś sensie jestem Artura niewolnikiem. Owszem, z własnego wyboru, z miłości. Ale bywa ciężko, bo np. nie mogę wyjść z domu przez dziesięć dni. A gdy wyjeżdżam, mam wdrukowane w umysł, że on został.

Miała Siostra przez te 29 lat myśl: „oddam go"?

Nigdy w życiu! Choć bywają momenty rezygnacji, potwornego zmęczenia. Np. Artur rozbiera się do naga i biega – tak reaguje na sytuację, w której ktoś mu czegoś zabronił albo odmówił. Bywa też agresywny – próbuje bić.

Siostrę też?

Tak, ale myśmy się już nauczyli uskakiwać, to kwestia wprawy. Proszę pana, życie z człowiekiem ciężko niepełnosprawnym to jest i piekło, i raj.

Raj?

Artur potrafi o mnie zadbać. Robi mi herbatkę. Albo sprząta stół – „dla Gosi".

Widziałem, jak pocałował Siostrę w czoło.

Tak okazuje miłość.

To jest najważniejszy człowiek w Siostry życiu.

To jest facet mojego życia i nigdy się z nim nie rozwiodę (*śmiech*).

Protest w Sejmie powinien się zakończyć, ale nie rezygnacją z postulatów, tylko ich spełnieniem. Powtórzę: to nie są wygórowane żądania. To jest minimum godności.

Zejdźmy na ziemię: jaki jest dochód Artura?

740 złotych i – jeśli dobrze pamiętam – 18 groszy. To renta socjalna.

Po wprowadzeniu nowych przepisów, o które walczą niepełnosprawni i ich opiekunowie w Sejmie – ponad tysiąc...

...brutto! Na rękę pewnie osiemset kilkadziesiąt, może 900. Plus 153 złote zasiłku pielęgnacyjnego.

Siostra jako opiekunka...

...nie dostaję grosza. Jest świadczenie dla opiekunów, ale ja mam emeryturę, a pieniądze dostają tylko ci, którzy nie mają innego dochodu. Moja emerytura to nieco ponad tysiąc złotych.

Jak sobie radzicie?

Tak, że gdy są potrzebne jakiekolwiek pieniądze na przyjemności Artura, to musi mi je ktoś dać. Np. na wyjazd do Ostrowca Świętokrzyskiego i kino. Albo trzydniowy wypad, podczas którego idziemy do kina i kupujemy to, co chce, choćby książeczki. Artur kocha książeczki.

W księgarni jednej z galerii jest już znany. Czasami go tam na chwilę zostawiam, a panie wiedzą, że gdyby próbował się przepchać przez kasy z książkami bez płacenia, to mają mnie znaleźć. Raz usłyszałam przez megafon: „Siostra Chmielewska proszona jest o zgłoszenie się do kas".

Zdarzało się, że nie było Was na coś stać?

Ciągle się zdarza! Na szczęście cały czas jest też ktoś, kto daje pieniądze. Wtedy zdarza nam się nawet zaszaleć. Raz wychodząc ze mną z zoo Artur zobaczył balony napełniane helem. Kupiłam wszystkie dziesięć dostępnych – sprzedawca patrzył na mnie jak na wariatkę. Po powrocie Artur wziął te balony i zaczął jeden po drugim wypuszczać w niebo (*śmiech*). Mieszkańcy domu w krzyk. A ja na to: jego balony? Jego! Jeśli to daje mu szczęście, to o co chodzi? Inni czerpią je z picia piwa albo kupowania idiotycznych gadżetów, Artur z tego, jak kolorowe balony lecą w niebo.

Ktoś może powiedzieć: znanej siostrze Chmielewskiej jest łatwiej niż protestującym rodzicom w Sejmie.

I w jakimś sensie będzie miał rację, bo żyję we wspólnocie, zwykle ma mi kto pomóc, podczas gdy ci rodzice są sami. Z drugiej strony, życie z niepełnosprawnym jest zawsze podobne. Odpowiedzialność – z której nikt mnie nigdy nie zwolni – też taka sama.

W kuchni Waszego domu jest telewizor. Oglądała Siostra sceny z korytarza sejmowego?

Nie oglądam telewizji, nigdy. Ale o proteście dowiedziałam się szybko z internetu.

I co sobie Siostra w pierwszej chwili pomyślała?

Że oni walczą w moim imieniu. A w zasadzie w imieniu Artura. Pomyślałam sobie też od razu: dobrze, że walczą. Bo ten protest jest słuszny.

A „wydźwięk polityczny"?

Ten protest ma wydźwięk chrześcijański, a nie polityczny. To znaczy my, chrześcijanie, powinniśmy o nim tak myśleć.

Jeden z postulatów został spełniony. Drugi jest sporny: protestujący chcą 500 złotych miesięcznego dodatku, rząd oferuje usługi i pomoc rzeczową.

Mój Artur nie potrzebuje usług ani pomocy rzeczowej, jemu nie jest potrzebna ani rehabilitacja, ani pieluchomajtki. On potrzebuje na wyjazd do kina, na dwie książeczki od czasu do czasu. Potrzebujemy na benzynę, żeby go gdziekolwiek zawieźć.

A może po prostu tych 500 złotych w kasie państwa nie ma?

Ale było na wprowadzenie tego niesprawiedliwego systemu rozdzielania pieniędzy, w ramach którego np. każda rodzina z co najmniej dwójką dzieci dostała 500 plus?

S. MAŁGORZATA CHMIELEWSKA
jest przełożoną Wspólnoty Chleb Życia, żyjącą wśród ludzi w trudnej sytuacji. Założyła w Polsce osiem domów dla osób bezdomnych i chorych. Mieszka razem z bezdomnymi i uchodźcami w Nagorzycach, w województwie świętokrzyskim.

Siostra jest przeciw 500 plus?
W takim kształcie – tak. Choć jestem gorącą zwolenniczką wspierania rodzin. Dlaczego te 500 złotych dostają rodzice zarabiający kilkanaście tysięcy złotych, a nie dostaje go mająca jedno dziecko samotna matka, która „przekracza próg dochodowy", bo zarabia tysiąc kilkaset złotych harując gdzieś na kasie? Teraz słyszę, że rząd chce dawać wszystkim rodzicom jednorazową zapomogę w wysokości 300 zł.

Rząd się zapętlił w rozdawnictwie?
Rząd się zapętlił w bezsensownym rozdawnictwie! Politycy po prostu nierozsądnie, nieroztropnie i niesprawiedliwie gospodarują pieniędzmi na cele społeczne. Dając tam, gdzie nie potrzeba, a skąpiąc tam, gdzie ta potrzeba jest paląca.

Finanse to jedno, a język, jakim mówi się o protestujących, to drugie. Przepraszam, będę cytował.
Znam te cytaty, są straszne.

Poseł Pięta proponował, by ludzi z Sejmu wynieść i przekazać policji. Posłanka Krynicka znalazłaby paragraf na rodziców, bo „przetrzymują dzieci" w Sejmie. Poseł Żalek mówi, że zrobiono żywe tarcze z dzieci. „Po tym, jak opiekunowie zachowują się w Sejmie, jestem przekonany, że nie można im dać gotówki"... Siostra się śmieje?
To jest śmiech bezsilności, przez łzy. Niech pan już dalej nie cytuje.

Co to za język?
Knajacki. Poniżający i dla niepełnosprawnych, i ich opiekunów. Powiem więcej: to jest język przemocy. Istnieje coś takiego jak „przemoc pomocowa". Systemy tworzone są przez ludzi, którzy nie mają do czynienia z cierpieniem i potrzebującymi na co dzień. W tym przypadku mówią: damy pomoc rzeczową, a nie gotówkę, bo „my wiemy lepiej", co się należy.

Ci zacytowani przez pana politycy mówią też do mnie. Przecież Bóg jeden raczy wiedzieć, co ja zrobię z tym moim Arturem, otrzymawszy „żywą gotówkę". Może go poćwiartuję i włożę do beczki?

Takie myślenie, taki język to jest wyraz niesłychanej pogardy.

Cytowałem posłów, którzy przyznają się do katolicyzmu. Do wartości chrześcijańskich.
Obowiązkiem każdego polityka jest dbanie o dobro wspólne. Obowiązkiem polityka przyznającego się do katolicyzmu jest dodatkowo budowanie pokoju i sprawiedliwości społecznej. To mówili papieże, choćby Jan Paweł II czy Franciszek. Więc jeśli ci państwo sami o sobie mówią, że są katolikami, to używając takiego języka popełniają po prostu grzech. Tym większy, że ich słowa są wypowiadane publiczne i gorszą ludzi. Wszyscy znamy ten cytat: „Myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem". Mową! Mową można kogoś zniszczyć bardziej, niż strzelając z pistoletu, bo w tym drugim przypadku może umrzeć z godnością. Ci politycy powinni zostać natychmiast ukarani przez społeczeństwo – w drodze wyborów oczywiście. A gdyby sprawa jednak trafiła do sądu, byłabym za tym, by w ramach kary popracowali w jakimś ośrodku dla niepełnosprawnych.

A wracając do polityków katolików. Wielokrotnie stykałam się z politykami, którzy deklarowali się jako niewierzący, ale w trudnych sytuacjach było ich stać na zwykłą empatię. Bardzo mi np. swego czasu pomógł Aleksander Kwaśniewski, a prymas Glemp powiedział mi, że go to nie dziwi, bo to jest po prostu dobry, wrażliwy człowiek. Podobnie pani Jolanta Szymanek-Deresz, która zginęła w katastrofie smoleńskiej.

Dobroć, szlachetność nie przebiega przez podziały polityczne ani – niestety – przez wiarę i niewiarę. Powiem więcej: katolicyzm może być wykorzystywany do czynienia zła, np. wtedy, gdy cyniczny polityk mówi o swoim przywiązaniu do Kościoła tylko po to, by zyskać głosy wyborców.

Czego oczekuje Siostra w takich sytuacjach, jak ta w Sejmie, od duchownych, hierarchów?
Przypominania Ewangelii!

Abp Hoser powiedział, że protestujący powinni iść na kompromis i nie upierać się przy „gotówce". Dodał, że to protest polityczny, w którym Kościół nie jest stroną.

↦

REKLAMA
ANTYKWARIAT KWADRYGA
KUPI KSIĄŻKI, STARE POCZTÓWKI, MAPY, GRAFIKI.
DOJEŻDŻAMY.
TEL. 22 622 11 54

↦ Szymborska mówiła, że wszystko jest polityczne. Protest sejmowy też jest polityczny, bo jaki niby miałby być, skoro to politycy decydują o losie tych ludzi?! Swoją drogą, abp Hoser jeszcze bardziej ten spór upolitycznia, bo przecież zajmując takie stanowisko, stanął po stronie polityków, zamiast ująć się za najsłabszymi.

Zapominamy niestety, również w Kościele, o fundamentalnej prawdzie: w naszej wspólnocie to najsłabszy powinien być VIP-em.

Nie jest?

Nie jest, bo zbyt rzadko mówimy o tym, że silni i bogatsi muszą z czegoś rezygnować. Nie ma mocnych listów pasterskich na ten temat. Nie ewangelizujemy w tym duchu ludzi. Nie słyszą też tego przesłania w Kościele dzieci. Nie mówi się o tym podczas przygotowania do pierwszej komunii świętej.

Pan ma dzieci?

Jedno właśnie przystępuje do pierwszej komunii.

I słyszał pan, by było uczone, że komunia to wspólnota, i że to ma swoje realne konsekwencje w życiu codziennym? Że jeśli kolega jest słabszy albo głodny, to trzeba mu pomóc? Słyszał pan o tym, by szkoła albo Kościół zainteresowali się, czy na pewno wszystkie dzieci stać na pokrycie wszystkich kosztów komunii? Kupna sukienki komunijnej, garnituru, prezentów?

Słyszałem głównie o „zaliczaniu" kolejnych partii materiału. I widziałem wielogodzinne przygotowania: jak składać w kościele ręce, jak wychodzić rzędem z ławek, jak wchodzić.

I tu wracamy to polityków. Przecież wypowiedzi tych posłów przyznających się do katolicyzmu są właśnie efektem takiej formacji. I religijności, w której liczy się uroczystość, a w życiu codziennym „niech się bida wścika". Oczywiście nie wszyscy tak myślą. I nie wszyscy mówią z pogardą o protestujących. A wielu ich nawet popiera.

Zastanawia mnie jedno: dlaczego tak mocno popieramy dopiero teraz? Przecież ci ludzie są na marginesie od dekad.

Moja diagnoza jest taka: po upadku komunizmu w sposób rozpaczliwy usiłowaliśmy nadrabiać po okresie komunistycznej nędzy. Silnym to się udało, słabszym przez lata rzucaliśmy ochłapy. Teraz doszli do ściany.

A może jest tak, że w Polsce by kogokolwiek poruszyć, trzeba dokonać samospalenia albo wtargnąć do Sejmu?

W Polsce wszystko trzeba wydzierać sobie siłą. Gdyby nie ten protest, nadal byśmy żyli w błogim zadowoleniu. Ja akurat mówię to od lat, nie tylko za tej czy innej władzy. Tyle że ja jestem skromna zakonnica, mogę sobie szczekać. Dzięki temu protestowi społeczeństwo uświadomiło sobie, w jakich warunkach żyją niepełnosprawni.

Nie do końca: są grupy, które nigdy się w Sejmie nie pojawią, o których się nie mówi. Np. niepełnosprawni dorośli, zwykle przykuci do łóżek seniorzy, i ich opiekunowie.

Ich sytuacja to jest kolejny wielki skandal, o którym się nie mówi. Opiekunowie dostają 520 złotych od państwa, i to warunkowo, podczas gdy opiekunowie dzieci i tych, którzy są od dzieciństwa niepełnosprawni – ponad 1400 złotych. Nie mówię tego przeciw tej drugiej grupie, po prostu takie są fakty.

„Jesteśmy więźniami naszych domów" – powiedziała mi pani opiekująca się mężem chorym na Alzheimera. A potem dodała: w więzieniu mają lepiej, bo mają spacerniaki.

Tak to niestety wygląda. Ci ludzie nie mogą liczyć na żadne wsparcie. Znam małżeństwo, mieszkają w lesie. Oboje chorzy i starzy. Ona dostaje te 520 złotych dla opiekuna, on utrzymuje się z nędznej renty. Bywa, że brakuje im na jedzenie, które my im dowozimy.

Oni nie przyjdą pod Sejm.

Nie przyjdą. To jest grupa najsłabsza: bez pieniędzy, wsparcia, siły przebicia, bez niczego.

Rozmawiamy 10 maja, protest trwa. Co dalej?

Powinien się zakończyć, ale nie rezygnacją z postulatów, tylko ich spełnieniem. Powtórzę: to nie są wygórowane żądania. To jest minimum godności.

A czy politycy spełnią te postulaty, czy zaczną inaczej myśleć o niepełnosprawnych, o starzejącym się społeczeństwie, o tym, że brakuje już teraz opiekunek, geriatrów, instytucji wsparcia, tego nie wiem. Liczę mimo wszystko na otrzeźwienie.

A Wasza przyszłość? Artura? Co będzie, jak Siostry nie będzie?

Pyta pan o coś, co spędza sen z powiek każdego rodzica osoby niepełnosprawnej. Nie narzekam na zdrowie, ale przecież w końcu umrę. I wiem, że żaden DPS się Arturem dobrze nie zajmie. Przyjąć przyjmą, ale wiemy, jak to wygląda: będzie leżał odurzony lekami, aż umrze na opadowe zapalenie płuc. Nikt nie będzie co chwila przychodził, karmił, pilnował, żeby Artur skupił się na jedzeniu wtedy, gdy akurat jest zainteresowany tabletem albo skręcaniem jakichś śrubek. Nikt na świecie nie da mu tego, co ja.

Budujemy kolejny dom: nowoczesny, dla starszych, bezdomnych ludzi. Może Artur trafi do jednego z takich domów, ze wspaniałą opieką? Wiem jedno: od żadnego z moich „dzieci", które mają już swoje dorosłe życie, nie mogę wymagać deklaracji, że zajmą się Arturem. Jak któreś podejmie taką decyzję, będzie wspaniale, ale oczekiwać mi tego od nich nie wolno. Bo to decyzja na całe życie, na dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Tak naprawdę nie wiem, co będzie. Może oboje zginiemy w wypadku do tego czasu? Żeby była jasność: żadnego wypadku nie zamierzam powodować – chcę tylko powiedzieć, że przyszłości nie jesteśmy w stanie zaplanować. Więc nie ma też co się zadręczać. Na razie robię, co mogę, resztę zostawiam Panu Bogu.

©℗ Rozmawiał
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, w sprawie I Ns 76/18, toczy się postępowanie z wniosku Sławomira Łabędzia i Krzysztofa Łabędzia o zasiedzenie działki nr 114/2, położonej w Sulejówku przy ul. Starzyńskiego 10.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych do zgłoszenia udziału w sprawie w terminie 3 miesięcy pod rygorem pominięcia.

KRZYSZTOF MYSTKOWSKI / KFP / REPORTER

Kandydat PiS na prezydenta Gdańska Kacper Płażyński, 7 maja 2018 r.

To będą normalne wybory

JAROSŁAW FLIS

PiS ma w tej chwili bardzo słabą pozycję w samorządach. Nic nie wskazuje, by na jesieni miało się to radykalnie zmienić.

Choć do oficjalnego początku kampanii wyborczej jeszcze daleko, to nikt nie ma cienia wątpliwości, że walka o samorządy już się rozpoczęła. Najbardziej konkretnie zainicjował ją PiS – lider sondaży – zgłaszając kandydatów w wyborach prezydentów kilkunastu największych miast. To wydarzenie pokazuje też, że znalazł się on w pułapce.

Rzecz w tym, że partię, która prowadzi w sondażach i rządzi samodzielnie w kraju, otaczała przez dwa lata aura wszechmocy. Budowała swoją pozycję, także przy udziale wielu sfrustrowanych komentatorów, na bezsilności opozycji. Sejmowa opozycja rzeczywiście na poziomie krajowym nie może ugrać niczego spektakularnego. Ale to przecież nie znaczy, że na innych poziomach jest tak samo. Oczekiwania wzrosły jeszcze, gdy sejmowa większość pod koniec zeszłego roku zmieniła kodeks wyborczy. To wywołało panikę wśród wielu opozycyjnych polityków i ekspertów. Widzieli w tym grę PiS o pełnię władzy w Polsce, swoje obawy zaś uznali za obraz rzeczywistości.

Tymczasem realia są takie, że PiS ma w tej chwili bardzo słabą pozycję w samorządach i nic nie wskazuje, by miało się to radykalnie zmienić. Realnym sukcesem będzie już uszczknięcie ciut większego kęska z lokalnego tortu. Problem potwierdza najnowszy sondaż poparcia w wyborach sejmikowych – może i PiS jest największą partią w przeważającej liczbie województw, lecz większość mandatów zdobywa wciąż tylko na Podkarpaciu. Jednocześnie media, prezentując te wyniki, mimowolnie pokazały siłę mentalnej pułapki. Dziennikarze nawet skądinąd poważnych i zdystansowanych tytułów oraz stacji informują, że „PiS wygrywa w większości województw", choć jedyne, co w świetle tych wyników zdoła dla siebie ugrać, to rola jedynej regionalnej opozycji.

Problem pogłębia sprzeczność między tym, jak wygląda struktura poparcia dla PiS a tym, co interesuje media. Dla nich liczy się tylko władza w całym kraju i jeszcze trochę w Warszawie oraz miastach wojewódzkich. Tymczasem akurat w nich PiS ma wyraźnie pod górkę. W większych miastach jego wyniki są znacząco niższe od średniej. A jednak kładąc tak duży nacisk na kandydatów prezydenckich, partia dostosowuje się do oczekiwań, najwyraźniej pozbawiona pomysłów na przełamanie tego stanu. Media mają skłonność do centralizmu, podobnie wyobraża sobie zarządzanie państwem Jarosław Kaczyński. Prawda jest jednak taka, że w wyborach samorządowych obraz rywalizacji politycznej jest odmienny.

Nawet gdyby PiS był największą partią w miastach, to ciągle może liczyć na dużo mniej niż 50 proc. poparcia. A w bezpośrednich wyborach prezydentów, tak samo jak burmistrzów i wójtów, bez wątpienia istotne jest nie to, kto będzie pierwszy na mecie w pierwszej turze, ale kto w drugiej zbierze ponad połowę głosów. Nie chodzi więc o to, czy ma się więcej niż inni, lecz o to, czy więcej niż wszyscy pozostali razem wzięci.

Niechęć nie do przełamania

Tak czy owak, sytuacja w każdym z miast jest odmienna. Widać to nawet po liście kandydatów, których zgłosił PiS, ale jeszcze mocniej widoczne jest to ↦

↦ po jej porównaniu z listą tych, z którymi kandydaci PiS będą się musieli zmierzyć.

W wielu miastach rządzą politycy wrodzy PiS, bo popierani przez jedną z opozycyjnych partii sejmowych. Tak wygląda sytuacja w Poznaniu, Łodzi, Lublinie czy Bydgoszczy, które mają prezydentów z PO, czy w Częstochowie lub Olsztynie, gdzie włodarze wywodzą się z SLD lub PSL. Wielu z nich wystartuje ponownie z poparciem całej opozycji, nawet jeśli nie pojawi się ono od razu. Pewnie tu i ówdzie poszczególne partie wystawią kandydatów startujących *pro forma* lub próbujących szczęścia. Lecz oczywiste jest, że w przypadku niepowodzenia ich poparcie przejdzie w drugiej turze na urzędujących prezydentów. W takich miastach sytuacja jest stosunkowo prosta: niezależnie od tego, jakich kandydatów wystawi PiS, ich szanse na zwycięstwo są czysto teoretyczne. Oczywiście, mogą oni wykorzystywać błędy i słabości obecnych prezydentów, których zazwyczaj nie brakuje. Warto zwrócić uwagę, że w wielu z takich miast PiS postawił na mocne nazwiska. Kandydat na prezydenta Poznania Tadeusz Zysk ma doświadczenie w innych dziedzinach i nie jest bezpośrednio kojarzony z partią. W Łodzi i Lublinie kandydatami są posłowie, którzy zdobyli stanowiska dzięki wcześniejszemu zaangażowaniu w miejskie sprawy.

W kilku ważnych miastach dotychczasowi włodarze nie wystartują (np. w Warszawie albo we Wrocławiu) albo, jak w Gdańsku, są silnie kontestowani nawet przez własny obóz polityczny. W takim przypadku sytuacja nie jest tak klarowana i brak oczywistych faworytów. Pomimo szansy na to, że kandydaci PiS mogą wygrać pierwszą turę, w drugiej musieliby włożyć ogromny wysiłek w przełamanie niechęci elektoratu – w minionej dekadzie PiS miał tam wynik zdecydowanie odległy od takich, które pozwalałyby marzyć o zwycięstwie.

Jeszcze inna sytuacja dotyczy miast rządzonych przez ludzi, którzy umiejętnie rozgrywają animozje w gronie ewentualnych przeciwników – jak Szczecin i Kraków. Tutaj gra toczy się w trójkącie, pomiędzy nimi a kandydatami PiS i potencjalnymi, choć jeszcze nie wskazanymi, kandydatami ze strony PO (w ewentualnej koalicji z Nowoczesną). Do tej pory prezydentom Szczecina (Piotr Krzystek) i Krakowa (Jacek Majchrowski) udawało się bez trudu ogrywać ogólnopolskie partie, gdyż elektoraty każdej z nich wolały poprzeć w drugiej turze obecnego włodarza niż kandydata konkurencji – zapewniając mu w ten sposób reelekcję, nawet jeśli wyniki pierwszej tury pokazywały, że większość wyborców wolałaby zmianę.

Kliki nie zawsze złe

W trakcie prezentacji pisowskich kandydatów rzucał się w oczy brak dwóch miast: Katowic i Kielc. Ideowy dystans obecnych prezydentów do PiS nie jest tak duży, aby partia widziała sens w wystawianiu przeciwko nim swoich ludzi. Takie próby, podjęte we wcześniejszych wyborach, kończyły się porażką. Stąd nie dziwi pomysł, by partia raczej ich poparła, niż z nimi walczyła. Bardziej zaskakujące jest to, że oni sami to poparcie przyjęli, chociaż płynie z tego więcej zagrożeń niż korzyści. Mógł przekonać się o tym przed czterema laty formalnie niezależny prezydent Poznania, który ze względu na zbyt bliskie związki z PiS został pokonany przez pretendenta z PO.

Poparcie dla urzędujących prezydentów Katowic i Kielc ma jeszcze jeden smaczek. PiS właśnie przeforsował ograniczenie liczby kadencji, argumentując je zagrożeniem płynącym ze strony lokalnych klik. Tak się akurat składa, że prezydent Kielc jest jednym z najdłużej urzędujących w Polsce. Trudno uzasadnić, dlaczego chce się wprowadzać w skali kraju zakaz startu po dwóch kadencjach i jednocześnie popiera się kandydata sprawującego swój urząd już od 16 lat. W przypadku Kielc to jednocześnie poparcie dla kogoś, kto został namaszczony przez poprzedniego, wieloletniego włodarza. Mógłby zatem służyć za modelowy przykład trwałości „lokalnej kliki".

Dobór kandydatów PiS jest wypadkową wielu sił i wcale nie ma jednolitego charakteru, jak zwykli to przypisywać głównej partii jej przeciwnicy. Część odbywa się według zwykłej procedury, kiedy posłowie danej partii w mieście starają się nie dopuścić nikogo nowego do gry, w której mógłby zostać w przyszłości ważnym podmiotem, grożącym ich pozycji. Tak można potraktować kandydaturę Małgorzaty Wassermann w Krakowie czy Tomasza Latosa w Bydgoszczy. Są jednak od tego wyjątki, i to znaczące: wspomniany już Tadeusz Zysk w Poznaniu, były prezydent Szczecina z lat 90. Bartłomiej Sochański, w Gdańsku obiecujący Kacper Płażyński, który również nie bardzo wpisuje się w stereotypowy obraz partii rządzącej.

Typowe kariery

Warto przy tym zwrócić uwagę, że właściwie poza Małgorzatą Wassermann większość posłów wystawionych w walce, która okazała się beznadziejna dla wielu z ich poprzedników, różni się jednak od tamtych przypadków swoim miejskim doświadczeniem. To we władzach lokalnych zdobywali oni swoją pozycję. Należą do młodszego pokolenia – tego, które

POŻEGNANIE

Ś.† P.

Jerzy Jogałła

urodzony 2 kwietnia 1940 r. w Krakowie

aktor teatralny i filmowy, reżyser, przez wiele lat związany z Teatrem Ludowym w Nowej Hucie oraz z Teatrem Starym, autor filmu „Missa Cracoviensis".

Kochany Mąż, Ojciec i Dziadek, wierny przyjaciel,
zmarł w Krakowie 7 maja 2018 roku po krótkiej i ciężkiej chorobie,
opatrzony Świętymi Sakramentami.

Msza św. pogrzebowa została odprawiona
w opactwie oo. Benedyktynów w Tyńcu 14 maja 2018 roku,
po czym nastąpiło złożenie ciała na cmentarzu tynieckim.

Elżbieta, Łukasz z Magdaleną, Pico i Klara,
Dominika i Randy z Janem

wychowało się na samorządności, a nie na Solidarności. To dowód na to, że niezależnie od różnych głupstw i szaleństw, będących przez minione 2,5 roku udziałem partii rządzącej, staje się ona typową dużą partią polityczną stabilnej demokracji. Są w niej różne ścieżki kariery i różne osobowości. Generalnie swoją pozycję buduje się w niej powoli – nawet jeśli niektórzy pną się błyskawicznie dzięki odziedziczonemu nazwisku.

Tyle tylko, że wszyscy ci ludzie muszą w lokalnych starciach płacić za wątpliwe diagnozy i terapie serwowane przez ich ugrupowanie na poziomie ogólnokrajowym. To z pewnością nie zwiększa ich szansy na zwycięstwo. Po stronie opozycji – także w lokalnych partiach władzy – jeszcze większą rolę odgrywają wewnętrzne podchody i skomplikowane układy interesów personalnych. To one sprawiają, że PiS nie walczy ze spójnym blokiem, lecz z szeregiem mniej lub bardziej luźnych koalicji. Akurat w tych wyborach to większy problem dla niego niż dla nich.

Patrząc na rozkręcaną atmosferę, można zaryzykować tezę, że jesienne wybory samorządowe będą zdecydowanie bardziej normalne, niż wielu głosiło to jeszcze przed paroma miesiącami. Nawet jeśli widać starania ze strony PiS, to szczyt możliwości tej partii – świeżość i entuzjazm – już najwyraźniej minął. Najważniejsze jest jednak to, że wpadając w koleiny zainteresowań centralnych mediów i swojego lidera, straciła ona szansę na sukces na tym polu, gdzie teoretycznie byłoby go odnieść najłatwiej. Bo przecież PiS, patrząc na jego wyniki, powinien mieć większe szanse w małych miejscowościach.

Tylko że jako partia przywiązana do centralizacji i podchodząca sceptycznie do lokalnych elit bardzo słabo potrafi odnaleźć się na jeszcze niższym szczeblu, w miastach powiatowych i gminach wiejskich. Fakt, że wśród wymienianych przez Jarosława Kaczyńskiego nie pojawił się ani jeden kandydat na wójta czy burmistrza, jest kolejnym dowodem na brak głębokiej potrzeby samorządowego zaangażowania. Bez tego jednak nie sposób zdobyć we władzach lokalnych mocnej pozycji. Wygląda na to, że nawet jeśli Polska jest jedna, to nie wszyscy są w niej tak samo warci uwagi prezesa. Przynajmniej do momentu, gdy będą ogłaszane wyniki.

© JAROSŁAW FLIS

Integracja po polsku

BARTOSZ JÓZEFIAK

W małej miejscowości pod Warszawą najlepiej widać blaski i cienie w relacjach Polacy – uchodźcy.

W studiu telewizji TVN o uchodźcach rozmawiają Maciej Konieczny z partii Razem i poseł Tomasz Rzymkowski z Kukiz'15. „Przyjęliśmy tysiące czeczeńskich uchodźców z ogarniętego wojną kraju. Wtedy prawica nie miała problemu" – przypomina Konieczny.

„Przykład Czeczeńców jest bardzo dobry. Wystarczy pojechać do Góry Kalwarii i porozmawiać z mieszkańcami pobliskiego ośrodka dla uchodźców. Usłyszeć ich opinie na temat przybyszów z Kaukazu. Od razu można nabrać wrażenia, że to był błąd" – odparowuje Rzymkowski.

„Dlaczego?" – dopytuje prowadzący Andrzej Morozowski.

„Straszenie nożami i tego typu incydenty są normalnością w Górze Kalwarii. To są fakty!" – grzmi poseł i odsyła do internetu.

Na YouTubie znajdziemy film przygotowany przez Media Narodowe, projekt organizatorów „Marszu Niepodległości". Otwiera go sekwencja sprzed ośrodka. Zaparkowane samochody, ludzie przed bramą. Grupa mężczyzn rzuca się na siebie z pięściami. Wypowiedzi mieszkańców gminy: „Czeczeni mówią wprost, że pieniądze które dostają w polskich złotych, wymieniają na euro, wywożą. Nie pracują, bo nie mają takiego zamiaru. Mają bardzo dużo dzieci, bo za każde dostają bardzo dużo pieniędzy". „Dla nich pobicie Polaka to normalka". „My nie możemy się bać w swoim własnym kraju".

Na pewno coś było

Linin, gmina Góra Kalwaria, czterdzieści minut jazdy od Warszawy. Wąska asfaltowa droga, lasy, bloki dla wojskowych, domy pomiędzy sadami. Jednostka wojskowa zamieniona w największy w Polsce ośrodek dla uchodźców. Tu czekają na decyzję osoby, które poprosiły o ochronę międzynarodową. Ukraińcy, Gruzini, ale głównie Czeczeni. Z ośrodka mogą swobodnie wychodzić, po pół roku legalnie pracować. Dzieci trafiają do pobliskich szkół.

W sadzie nieopodal pan Janusz przycina gałęzie.

– Sam zatrudniłem czterech. Pół dnia porobili i więcej ich nie chciałem – mówi. – Towar niszczą. Nie chcą robić. Nie do pracy są stworzeni! Podobno dostają po 700 złotych na głowę. Za nic. Jeden co prawda lepiej robił, ale już zniknął.

Ludzie, którzy pobudowali się naprzeciwko ośrodka, mówią, że teraz żałują. Jak była jednostka, to każdy wierzył, że będzie bezpiecznie. A według nich jest dokładnie na odwrót.

Po drugiej stronie ulicy willa, wielki podjazd, luksusowe auto. Młode małżeństwo nie podaje nazwisk. Wiadomo, co ci uchodźcy wymyślą?

– Jeszcze niedawno po dwudziestu chłopa stało przy drodze, ręce w kieszeni, albo siedzieli w kucki. Blokowali przejazd. To jest inna religia. Oni będą robić swoje enklawy i już. Teraz jest spokój, odkąd na stałe pilnuje ich policja – mówi pan domu.

A pani domu twierdzi, że samochód jej zarysowali. Zaczęli się śmiać, pojechali dalej. Poszła na policję, ale mundurowi rozłożyli ręce. Czeczeni nie mieli ubezpieczenia. Poza tym, przyznaje małżeństwo, nic ich nie spotkało. Nie słyszeli, żeby kogoś pobili. Ale na pewno coś było.

Prawo szariatu

O ośrodku zrobiło się głośno w kwietniu zeszłego roku, gdy w szkole w Coniewie chłopiec z Polski pobił się z czeczeńskim kolegą. Interweniował ochroniarz. Czeczen zadzwonił do mamy. Przyjechała z dwoma kolegami. Pani zrobiła awanturę, panowie popchnęli nauczyciela, spadły mu okulary. Później, jak pisały media i opowiadali mieszkańcy, ↦

YOUTUBE

Kadr z filmu o agresji uchodźców czeczeńskich w Lininie, Media Narodowe, maj 2017 r.

mężczyźni spacerowali przed szkołą, walili pięściami w drzwi i okna. Portal wPolityce.pl donosił: „Pobito ochroniarza na oczach dzieci!"

„To przelało czarę goryczy" – opowiada na filmiku Michał Gwardys, którego dzieci uczą się w szkole. To lider stowarzyszenia Rodzina Polska Pamięć i Tożsamość. W 2016 roku pod ramię z ONR-em protestował przeciwko „islamizacji Polski". Rok później zebrali kilka tysięcy podpisów pod petycją o likwidację ośrodka. Ówczesny szef MSWiA Mariusz Błaszczak odpisał, że prawo nie pozwala na jego zamknięcie, ale policja ma się tematem zająć. Teraz przed ośrodkiem cały czas stoi radiowóz.

Piotr, który ma dom w Lininie, wspomina: – Wcześniej ci z ośrodka rozbijali się samochodami, rajdy robili, wyścigi. Wszyscy są ekstremistami w dużej mierze. Ich religia się nie asymiluje. A uciekają, jak jest wojna. A z Polski ktoś uciekał? Każdy chwycił, co miał, i bronił ojczyzny.

Żona Piotra dodaje: – No i pamiętajmy: Polacy, niestety, w dużym stopniu są rasistami. Dlatego ich nie zaakceptują.

Sąsiedzi Dorota i Andrzej opowiadają, jak Czeczeńcy podjeżdżali samochodami do sadów. Jeden pilnował, reszta pakowała jabłka do worków. A wypadki! Wpadli w samochód sąsiadki. Miała połamaną miednicę. Nie zgłosiła na policję, bo się bała. Zresztą policjanci bali się Czeczenów, nie chcieli być posądzeni o rasizm.

W sieci jest film, na którym widać, jak Czeczeni zabraniają Ukraińcom nosić krótkie spodenki. Wprowadzają prawo szariatu!

Dorota codziennie musiała wyjeżdżać po córkę wracającą z liceum, bo ta nie chciała spacerować pod ośrodkiem. Bała się zaczepek mężczyzn. Choć, prawdę mówiąc, nigdy nic złego ją nie spotkało.

Dyrektorka w szkole organizowała dni kultury czeczeńskiej, ale to się za bardzo nie podobało polskim matkom. Protestowały: bo niby dlaczego dyrektorka chciała narzucać ich religię, ich zwyczaje?

Sąsiadka poszkodowana w wypadku z dziennikarzem nie chce rozmawiać. Podobnie mężczyzna, którego córkę Czeczeni podobno wciągali do samochodu.

Agnieszka Klimek, sołtys Linina, opowiada, że Czeczeńcy przynoszą noże do szkoły. Ponoć nie uczą się, chodzą po klasie, puszczają samoloty. Polskie dzieci nie mogą się uczyć. – Synowi Czeczeni podarli plecak, inny uderzył go w twarz. Do szkoły wezwano ojca czeczeńskiego chłopca. Strzaskał syna po twarzy. Takie tam jest wychowanie! Na szczęście już się uspokoiło. Dzieci z ośrodka porozdzielano po różnych szkołach – mówi Klimek.

Dla kogo te kontrole?

Jarosław Piasecki z komendy w Piasecznie słucha, notuje, łapie się za głowę. Jakie wciąganie do samochodu? Jakie noże? Wypadek? Groźby? Oni takich zgłoszeń nie mieli.

Po interwencji mieszkańców wystawili patrol. Zrobili kontrole drogowe, wlepili 38 mandatów, zatrzymali 6 dowodów rejestracyjnych. Tak z połowa należała do Polaków, którzy po drogach rozbijali się starymi traktorami. Nawet się polscy kierowcy denerwowali: co to jest, policja miała pilnować cudzoziemców, a nam robi kontrole! Stłuczki czeczeńskich samochodów z polskimi były dwie. Czeczeńcy mieli dowody rejestracyjne, prawa jazdy.

Co do przestępczości, to w Górze Kalwarii jest ona najniższa w powiecie.

Bogumiła Lachowicz, dyrektorka szkoły w Coniewie, przez 10 lat miała jeden przypadek, gdy czeczeńskiemu dziecku zabrano nóż. Ostatnio zarekwirowali kilka noży sprężynowych uczniom – ale polskim. Takie harcerskie. Rodzice im kupili.

Bywały lata, że połowę uczniów w szkole stanowili obcokrajowcy. Często dzieci przyjeżdżające z gór Kaukazu, tutaj pierwszy raz w systemie edukacji.

Dyrektorka przez lata przygotowywała rodziców na spotkanie z obcą kulturą.

W szkole były zajęcia: „Czym jest islam?", „Dlaczego religie się różnią?", „Kto to jest uchodźca?". Na szkolnych festynach Polki i cudzoziemki przygotowywały ciasto w jednej kuchni, a uczniowie z Czeczenii prezentowali narodowy taniec lezginkę.

Eksperci tłumaczyli nauczycielom: czeczeńskie dzieci muszą sobie wywalczyć pozycję w klanach. Narodowym sportem są zapasy. To, co niektórzy uważają za przemoc, to tradycja. Z czasem dostosują się do polskich zachowań.

W klasie, gdzie połowa uczniów nie mówi po polsku, jedni uczą się o pierwiastkach, drudzy dostają książeczki z nazwami dni tygodnia. Tu chemia i fizyka, a tu „a, b, c". Ale polskie dzieciaki i tak mają najlepsze wyniki w gminie.

Dyrektorka tłumaczyła polskim rodzicom: „Dopiero co przyjechało nam trzydziestka nowych dzieci. Nie da się ich wychować w pięć dni".

Sama wiele się nauczyła. Np. jak rozmawiać ze starszyzną z ośrodka. Czeczeńskim ojcom nie podawać ręki. W rozmowie siedzieć za biurkiem, jak urzędnik, żeby wzbudzać szacunek.

Coś pękło we wrześniu 2015 r. Jak dyrektor Lachowicz oglądała telewizję w wakacje, to czuła, że będą kłopoty. I miała rację.

Rodzice, naoglądawszy się uchodźców w telewizji, zaczęli dopytywać: na jakiej podstawie ci tutaj są w Polsce? Dlaczego się tu uczą? Ile dostają miesięcznie? Czy można ich wyrzucić?

Po wtargnięciu panów do szkoły było tylko gorzej. Nikt z uczniów nie widział uderzania w szyby. Nie było pobicia ochroniarza. Tych ludzi w Polsce już nie ma. Ale to za mało.

Nowa rada rodziców ustaliła: żadnych zajęć z tolerancji, integracji i innych takich bzdur. Dyrektorce kazano zdjąć wszystkie gazetki ścienne o cudzoziemcach. Informacje o tym, jak się przywitać w innym języku, zastąpiły fotografie żołnierzy wyklętych.

Teraz, jak cudzoziemskie dzieci przynoszą cukierki, polskie nie chcą ich wziąć. Uczniowie piątej klasy deklarują: Polska dla Polaków. Do szkoły zawitało, kiedyś nieznane, słowo „ciapaty". „Wystrzelać tych ciapatych" – popisują się dzieci, które jeszcze chwilę temu bawiły się ze znajomymi z ośrodka.

Za pomoc dziękujemy

– Te wielkie pieniądze, które dostają uchodźcy w ośrodku, to 70 złotych. Na osobę. Miesięcznie. Jak żyć za 70 złotych? – zastanawia się Sharpudin Ilyasov, lider Stowarzyszenia Diaspory Czeczeńskiej w Polsce.

Przyjechał do Polski 11 lat temu. Wtedy Czeczeńców było w Polsce ok. 20 tys. Dzisiaj zostało ok. 8 tys. Bardzo dużo wyjechało do Niemiec, Francji. Nic dziwnego. Azylant z ośrodka oprócz 70 zł od państwa dostaje jeszcze 270 zł na dziecko, które chodzi do szkoły. Szału nie ma. Niełatwo też wynająć mieszkanie, bo jak Polak w słuchawce słyszy czeczeński akcent, to zaraz propozycja staje się nieaktualna.

Sharpudin pracował od rana do nocy: po budowach, przy sprzątaniu, jako ochroniarz w Biedronce, choć w Czeczenii był prawnikiem. Jego żona sprzątała w domach Polaków. Inną pracę trudno znaleźć, bo szefowie mają ten sam odruch, co właściciele mieszkań. Czeczen? Nie, dziękujemy.

O szczegółach swojego wyjazdu mówić nie chce. Wielu Czeczenów obawia się, że ciężka ręka Kadyrowa dosięgnie ich nawet w Polsce. Pokazują dokumenty. Raport Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka mówi o paleniu domów osób podejrzanych o terroryzm i ich rodzin. Służby Kadyrowa łatwo sprawdzą, kto jest bojownikiem. Zeznania wymuszają za pomocą pałek i wstrząsów elektrycznych. W aresztach molestowanie i gwałty nie są nowością. Każdy, kto nastąpi na odcisk Kadyrowa, może się już pakować. Za to przestępcy mają się całkiem nieźle. W ciągu pięciu lat w milionowej Czeczenii w konfliktach zginęło sześć tysięcy osób.

Sharpudin pyta więc: jak dzieci czeczeńskie mają być spokojne, jak widziały to, co widziały?

Mimo to polscy urzędnicy nie kwapią się, by pomagać Czeczenom. W 2017 r. o udzielenie ochrony międzynarodowej poprosiło 5 tys. osób. Pozytywnie rozpatrzono 520 spraw. Negatywnie 2 tys. Mieszkańcy ośrodków na decyzję czekają latami. Urzędnicy tłumaczą, że tyle trwa wydanie decyzji, potem odwołanie do sądu, trzy instancje... Mało komu starcza cierpliwości. W zeszłym roku trzy tysiące osób podziękowało Polsce za pomoc i pojechało szukać szczęścia na Zachód.

Ośrodki to błąd

Pracownicy ośrodka tłumaczą zachowanie lokatorów. Nie ma co bronić kradzieży jabłek, ale faktycznie: z czego mają żyć? A że kupują auta, to nic dziwnego, bo ośrodek jest w centrum lasu, pośrodku niczego. Do Biedronki mają pięć kilometrów.

Sharpudin zaś tłumaczy kłótnię z Ukraińcami: chodziło o pana, który spacerował w spodenkach po wspólnym przedpokoju. Tu nie chodzi o zasady religii, tylko zasady współżycia. Po hotelu też nikt w gaciach nie paraduje.

Jolanta Binicka z Refugee.pl mówi wprost: polskie ośrodki to błąd. Integracji nie sprzyjają, bo powstały na odludziu, często w byłych bazach wojskowych. We Francji i Wielkiej Brytanii uchodźcy zostają ulokowani w mieszkaniach. Sami robią zakupy, załatwiają swoje sprawy, gotują. Nie mieszkają pośrodku lasu. Szybko uczą się języka. A w Polsce myślą tak: „Po co uczyć się języka, skoro urzędnik wszystko załatwi?". Młodzi wystają przed ośrodkiem, nudzą się, bo co mają robić? ↦

Deportacje bez świadków

GDY STRAŻ GRANICZNA wydala cudzoziemca, mogą mu, zgodnie z przepisami obowiązującymi od 2014 r., towarzyszyć przedstawiciele organizacji pozarządowych. Przepis ten jest jednak martwy. Spośród czterech instytucji, których Straż Graniczna powiadamia o planowanej deportacji, tylko jedna – Helsińska Fundacja Praw Człowieka – włącza się w ogóle w procedury. Ale i tak czyni to sporadycznie. W latach 2016-17 przez warszawskie lotnisko wydalono ponad 600 cudzoziemców. Przedstawiciel HFPC był obecny przy tej procedurze wtedy tylko trzy razy. W tych samych latach żadne z 900 doprowadzeń drogą lądową nie było objęte monitoringiem. Zbyt lakoniczne informacje, które nadchodzą od Straży Granicznej, powodują, że np. w głośnej sprawie Ameera Alkhawlany'ego, Irakijczyka wydalonego rok temu wbrew wyrokowi sądu, nikt nie interweniował. © PIOTR LITKA

Czytaj więcej na: **powszech.net/ /deportowani**

Fundacja prowadziła zajęcia zawodowe. Był kurs fryzjerski, krawiecki, manicure, zajęcia dla budowlańców. Frekwencja wysoka, ale kursów już nie ma. Rząd wstrzymał wypłatę pieniędzy z unijnego Funduszu Azylu, Migracji i Integracji. To uderzyło we wszystkie organizacje pomagające obcokrajowcom.

Refugee.pl współtworzy też dni otwarte ośrodka. Sąsiedzi z okolicy próbują potraw z Ukrainy, Gruzji czy Czeczenii. Są tancerze capoeiry, klaun, wata cukrowa. W ubiegłym roku nie przyszedł nikt. Ale integracja, choć śladowa, jednak istnieje. Dzieci czeczeńskie i polskie razem walczą w sekcji zapasów przy szkole. Refugee.pl prowadzi zbiórkę na sprzęt, ubrania, wyjazdy na zawody. Zawodnicy w 2017 roku zdobyli 35 medali.

Winny cały naród

Ośrodek to rozrzucone na kilku hektarach bloki, ambulatorium, wojskowa stołówka. Na obiad: zupa zacierkowa, gołąbek w sosie pomidorowym, ziemniaki. W kolorowym punkcie przedszkolnym dzieciaki przerzucają się zabawkami. Jest też pokój modlitw, wspólne kuchnie i prysznice. I pokoje: kilkanaście metrów kwadratowych, piętrowe prycze. Trochę jak w więzieniu.

Samochody zniknęły sprzed bramy. Teraz mieszczą się na parkingu. Kobiety w chustach na głowie spacerują z wózkami. Mężczyźni dopalają papierosy.

Przychodzi Sultan, którego społeczność wybrała na starszego. Czarna kurtka, czapka z daszkiem, równo przystrzyżona broda. W ośrodku od 4,5 roku.

Sultan, który 20 lat w Czeczenii był nauczycielem, słucha o pretensjach mieszkańców i się uśmiecha. Przywykli do takiego zachowania w Rosji. Jak coś złego zrobił Rosjanin, to zrobił to Iwan, Piotr. Jak coś zrobił Czeczen – to winny był cały naród.

Tłumaczy. Są młodzi Czeczeni, którzy lubią szybką jazdę, to prawda. A Polacy nie jeżdżą? Jak ostatnio Polak robił sobie rajdy wokół stacji, to nikt nie zwrócił uwagi. Jak są tacy w ośrodku, co piją, wyłudzają pieniądze, źle się obnoszą, to starszyzna prosi, by ich usunąć. Był taki, co okradł sklep, bił się. Mężczyźni z ośrodka wskazali policji, który to, chociaż to wbrew tradycji, takie rzeczy powinno się załatwiać we własnym gronie.

Sultan właśnie dostał decyzję z urzędu. Pozytywną. Zostanie w Polsce. Jego dzieci tu ułożą sobie życie. Syn uczy się w liceum. Będzie programistą.

W Czeczenii, żeby dostać pracę, trzeba wręczyć łapówkę. Ludzie Kadyrowa opodatkują nawet ogródek z pomidorami i ogórkami. W Polsce nikt Sultana nie zaczepia, a policja nie bije. Polacy chyba nie wiedzą, jakie mają szczęście.

Poproszę następne pytanie

Ośmiolatki szarpią się, zabierają piłkę. Na macie ćwiczą przewroty, przysiady. Trener ubrany w koszulkę polskiej husarii doradza: „Teraz wasza para ćwiczy razem". Rodzice na ławkach ze śmiechem komentują trening. Razem z polskimi dziećmi ćwiczą chłopcy z Czeczenii. Obok polskich mam pojedynki ogląda mama czeczeńska.

Marta, której córka ćwiczy zapasy, podpisywała petycję o likwidację ośrodka. Teraz myśli trochę inaczej. Jeśli uchodźcy nauczą się języka, to w porządku. Na zapasach nie przeszkadzają jej Czeczeni, bo są w małej grupie.

Ania też miała obawy, zanim posłała dziecko na zapasy. Jak to z tymi Czeczenami będzie? Ale jej przeszło.

Na korytarzu do treningu przygotowuje się starsza grupa. Czeczeńscy chłopcy i dziewczęta przyszli pieszo, siedem kilometrów. Witają się z polskimi kolegami. Dziewczyny biegają i piszczą po korytarzu, chłopcy gonią za nimi, woźna grozi palcem.

Pod szkołę podjeżdża Michał Gwardys, lider stowarzyszenia, które żądało likwidacji ośrodka. Jego dzieci też ćwiczą. Zagaduje czeczeńskich rodziców: czy dorzucą się do składki na salę? 15 złotych na miesiąc. „Tak, tak" – odpowiada brodaty mężczyzna.

Gwardys z prasą nie chce rozmawiać, bo gazety zrobiły z nich rasistów, buraków. Powie tylko, że były noże w szkole, groźby. Mieli prawo się bronić.

A czy nie przeszkadza mu, że jego dzieci teraz walczą ramię w ramię z dziećmi z Czeczenii? Czy nadal chce ich deportować?

Gwardys na to, że akcja stowarzyszenia nie była wymierzona w konkretne dzieci, tylko w całą społeczność. On tu sprzeczności nie widzi. „Następne pytanie poproszę".

© BARTOSZ JÓZEFIAK
Współpraca: MAGDALENA DĄBEK

DEBATY KLUBÓW TYGODNIKA POWSZECHNEGO

CYKL „WARTOŚCI CHRZEŚCIJAŃSKIE W SPOŁECZEŃSTWIE OBYWATELSKIM"

DEBATA
GODNOŚĆ W CZASACH WOLNOŚCI – MIĘDZY NAUKĄ, ETYKĄ I WIARĄ

Goście debaty:
s. Barbara Chyrowicz
prof. Magdalena Fikus
bp Marcin Hintz

Prowadzenie debat:
Ignacy Dudkiewicz

czwartek, 24 maja, godz. 18.00

Fundacja Konrada Adenauera
(ul. Dąbrowskiego 56)

Zgłoszenia na:
warszawa@klubtygodnika.pl

KLUBY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" TP KlubTygodnika.pl

TYGODNIK POWSZECHNY
Konrad Adenauer Stiftung
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ANNA

Dziewit-Meller: *Ciotka już przyjechała*

„Nie wiem, czy to temat dla »Tygodnika«, ale tak czy siak ciekawe, to sobie zobacz" – napisał mi kolega, wysyłając link do tekstu na stronie BBC o problemie zanieczyszczenia, jaki generują zużyte podpaski i tampony, których – jak wynika z tekstu – przeciętna kobieta zużywa podczas swych wszystkich życiowych menstruacji około 10 tysięcy sztuk. Kawał zanieczyszczenia, można by rzec. Zwłaszcza że wbrew wyobrażeniom tampony i podpaski to nie tylko biodegradowalna bawełenka, ale również tony plastiku.

Nim przejdę jednak do ekologicznych aspektów istnienia kubeczków menstruacyjnych jako znakomitej odpowiedzi na problemy planety z nadmiarem plastikowych odpadów, pragnę się pochylić nad pierwszą częścią zdania wysłanego mi w mejlu przez kolegę – czy aby comiesięczne krwawienie menstruacyjne może wejść na łamy prasy? Katolickiej?

Piszę ten tekst w nadziei, że może – albowiem dlaczego nie? Przecież równo połowa ludzkości doświadcza tego fizjologicznego procesu raz na miesiąc, przez pokaźną część swego życia, powinniśmy zatem jako gatunek raczej przywyknąć do tej myśli, że to normalna sprawa. Tak jak przywykliśmy do tego, że się czasem trzeba załatwić, zatem w toaletach publicznych dbamy o papier dla każdego, o mydło nawet, by potem umyć ręce, o papierowe ręczniki i o drogie suszarki, toć to podstawowa ludzka rzecz. Ale czym w takim razie w tej perspektywie byłby comiesięczny okres? Może rzeczą ludzką równie podstawową? Może podpaski są równie pierwszą potrzebą higieniczną jak papier toaletowy? Można by rzec – noś sobie swoje podpaski, kobieto! Owszem – jest w tym pewna logika, ale – z drugiej strony – czy nosimy ze sobą rolki papieru na wszelki wypadek? Pamiętam, że w latach 80. nosiliśmy, ale to było w XX wieku. Okres czasem zjawia się z zaskoczenia – czy upokorzenie związane z brakiem papieru toaletowego przewyższa jakoś to związane z brakiem podpaski, gdy TO się stanie?

Gdy zapytałam inne kobiety o ich doświadczenia związane z miesiączkowaniem, posypały się różne głosy – wśród których przeważały te mówiące o bólu, dyskomforcie oraz „kłopotliwej i wstrętnej dolegliwości, którą trzeba jakoś przeżyć". Lekarka z dłuższym stażem pisała o tym, jak w czasie okresu stała przy stole operacyjnym, trzymając haki na skraju omdlenia, bo za każdym razem podczas miesiączki traciła mnóstwo krwi, lecz dla nikogo nigdy nie stanowiło to powodu wystarczającego do tego, by przesunąć jej dyżur na inny dzień. Mama 10-latki pisała, że na zajęciach z wychowania do życia w rodzinie dzieci omawiały już aborcję, ale okresu wciąż nie, a inna z kolei, że w dobie chorobliwej wręcz obsesji na punkcie ciała, gdy trenerzy *fitness* są jak bogowie, rozmowy o czymś tak naturalnym jak menstruacja nadal przekraczają możliwości większości ludzi. Jeszcze inna z kolei dorzuciła, że nie mówi się o miesiączce w należyty sposób, prędzej żartuje i używa wulgarnych określeń. Wspominała, jak jej ojciec – w małej miejscowości, gdzie mieszkała – stanowił dziwadło kupując podpaski dla córek. A inne panie z kolei pisały, że zbliżając się do menopauzy każdą kolejną pojawiającą się miesiączkę witają z radością, że „to jeszcze nie teraz", jakby owo miesiączkowanie stanowiło sedno kobiecości, bo w dzisiejszej kulturze kobieta po menopauzie zaczyna być niewidzialna. Dziewczyny i kobiety pisały o kwiatach, jakie dostawały od ojców w dniu pierwszej miesiączki, i o przyjęciach, które szykują dla swoich córek w tym dniu właśnie – wielkim święcie nowej kobiecości.

Pojawiły się jednak również ostre głosy nawołujące do tego, by przestać czynić z kobiet ofiary własnej cielesności, które szantażują otoczenie swoim napięciem przedmiesiączkowym, sprowadzając się tym samym do owych labilnych emocjonalnie niewolnic hormonów. Skrzynka mejlowa puchła mi od wiadomości, tak wiele kobiet chciało podzielić się swoim doświadczeniem, o którym – jak wnioskuję z tych listów, ale i z własnego życia – mówimy mało i z ciągłym zawstydzeniem.

Nie tak dawno przez sieć przetoczyła się burza, gdy Instagram usunął zdjęcie umieszczone tam przez fotografkę i poetkę Rupi Kaur, które zdaniem administratorów „naruszało standardy społeczności". Widać na nim leżącą na boku kobietę, która właśnie dostała okres, z niewielką plamą widoczną na prześcieradle i jej spodenkach od piżamy. Dla Instagrama krew miesięczna – podobnie jak damskie sutki (męskie bynajmniej) – to coś, co nie mieści się w standardzie. Całkiem symbolicznie, można rzec.

Menstruacja jest tak potężnym tabu, że nawet w standardach Instagrama nie ma na spokojne rozmowy o niej miejsca. Nic więc dziwnego, że ekologowie, walczący z zanieczyszczeniem mórz i oceanów plastikiem, bez problemu mogą walczyć z torebkami foliowymi, ale nie są w stanie tak łatwo przebić się do ludzi z apelem o promowanie ekologicznych rozwiązań na czas okresu. Najpierw trzeba byłoby przyznać, że miesiączka to uniwersalna ludzka, a nie jakaś tam „babska" sprawa. ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Tychach, I Wydziałem Cywilnym, toczy się pod sygn. akt I Ns 239/17 postępowanie z wniosku Jana Klekota, z udziałem Klausa Knoppek, Markusa Knoppek, Christiana Knoppek, Tadeusza Knopek, Daniela Romika, Grzegorza Romika, Stafanie Keller, Ireny Święcickiej, Elżbiety Myalskiej, Magdaleny Marian, Teresy Strzody, Marii Mondry i Karoliny Romik, o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Bartłomieju Knopek, s. Marcina i Marii, zm. 10 stycznia 1999 r. w Bieruniu, którego ostatnim miejscem zwykłego pobytu był Bieruń.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w ciągu trzech miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

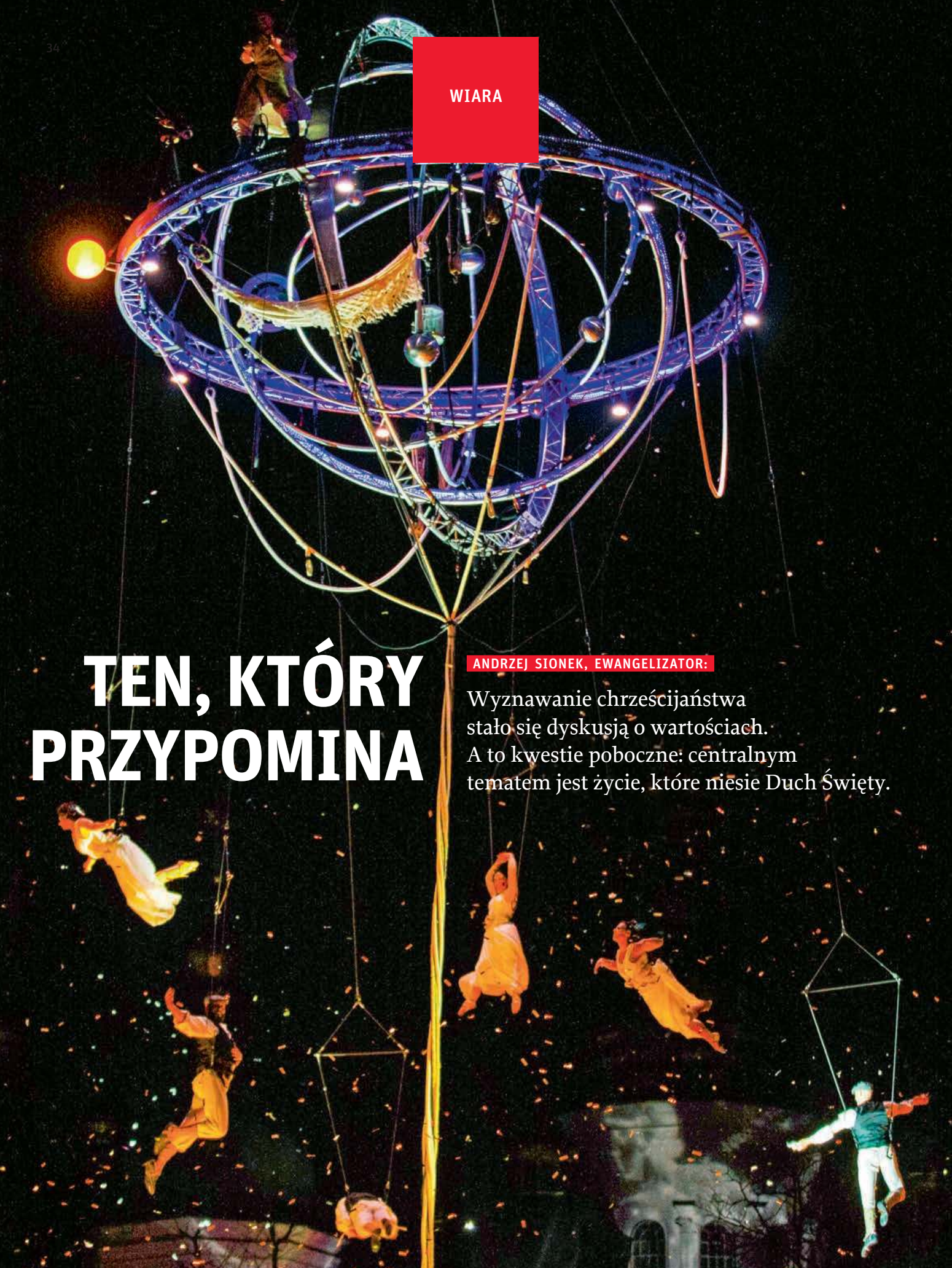

TEN, KTÓRY PRZYPOMINA

ANDRZEJ SIONEK, EWANGELIZATOR:

Wyznawanie chrześcijaństwa stało się dyskusją o wartościach. A to kwestie poboczne: centralnym tematem jest życie, które niesie Duch Święty.

MACIEJ MÜLLER: „Jeszcze wiele mam wam do powiedzenia, ale teraz [tego] znieść nie możecie. Gdy zaś przyjdzie On, Duch Prawdy, doprowadzi was do całej prawdy" – mówi Jezus do uczniów. Czy my dzisiaj już możemy znieść to, czego Chrystus wtedy nie mógł powiedzieć?

ANDRZEJ SIONEK: Między Paschą a Pięćdziesiątnicą uczniowie przeżywali kilkadziesiąt dni intensywnej próby wiary. Pojawiał się wśród nich Jezus zmartwychwstały. Tylko co to znaczy, że On zmartwychwstał? Dlaczego dowodzi, że nie jest duchem? Czemu przygotowuje nam posiłek? Wszystko to przekraczało wyobrażenia uczniów. Jezus w tym czasie jakby na nowo ich powołuje, a oni uświadamiają sobie cel własnego życia. Śmierć została starta, życie objawiło się w pełni. I w tę rzeczywistość wchodzi Duch Święty – Ten, który przypomina. My też musimy przeżyć na wzór uczniów ten proces przygotowania, odrzucenia ziemskich wyobrażeń, upokorzenia.

Upokorzenia?

Jezus nieraz wzdychał: „jak długo mam was znosić?". Uczniowie okazali się jednak gotowi przełamać własną pychę i dążyć do prawdy. By ich naśladować, musimy sobie odpowiedzieć, co to znaczy być Jego uczniem. Uczyć się z tego, co On zostawił, czy też być uczonym na bieżąco przez to, w jaki sposób On nas dziś prowadzi? W adhortacji „Gaudete et exsultate" Franciszek wzywa do życia w sprawiedliwości i jednocześnie zażyłości z Bogiem. Warto to odnieść do słów św. Jana, że Jezus jest drogą, prawdą i życiem. Za prawdą trzeba iść, czyli dokonać decyzji woli. W szukaniu Boga najpierw angażujemy intelekt, który ostatecznie przyzwoli – albo nie – abyśmy do Niego przylgnęli. Z jednej strony patrzymy więc na Jezusa jako nauczyciela prawdy, z drugiej – jako na Tego, za którym się podąża decyzją woli. Na realizacji tych dwóch wezwań polega nasze życie chrześcijańskie.

Dość teoretycznie to brzmi.

Może dlatego, że zapominamy, iż Jezus jest życiem. On mówi nie tyle: „przyjdźcie, a dam wam zrozumienie", co „przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię". To oznacza po prostu życie. Od Soboru Watykańskiego II dogrzebujemy się na nowo do życia. Bo w zbyt dużym stopniu zamieniliśmy wydarzenie udzielania się Bożego życia na kod moralny. Wyznawanie chrześcijaństwa stało się dyskusją o wartościach. A to kwestie poboczne: centralnym tematem jest życie, które nam się objawiło. To życie, które niesie Duch Święty, dające nam możliwość poznania prawdy i kroczenia jej drogami.

Jak wejść na tę drogę?

Będąc mądrzy we własnych oczach, daleko nie zajdziemy. Przyznanie nadmiernej roli intelektowi rodzi fałszywe przekonanie, że możemy żyć z Bogiem na tyle, na ile sami jesteśmy w stanie Go zrozumieć. W efekcie tworzymy wewnętrzny świat duchowy przykrojony na własną miarę. Pogrążamy się we własnych przekonaniach, w rzeczywistości zindywidualizowanej, zamkniętej. Żyjemy takim życiem, jak stary telewizor – grozi nam implozja, zapadamy się pod ciężarem swoich przekonań. To, co uważamy za wzrastanie w świętości, koncentruje nas coraz bardziej na nas samych.

Nieuchronne powątpiewanie w moc własnego intelektu może z kolei powodować inną aberrację: przenosi ciężar życia chrześcijańskiego na decyzje woli. Mówimy: „musisz bardziej się starać, pracować nad sobą". Mamy w Kościele bardzo poprawną doktrynę dotyczącą łaski – i niesłychany problem, by żyć nią na co dzień. Powtarzamy, że łaską jesteśmy zbawieni, ale rozumiemy to tak, że najpierw musimy bardziej się starać, a wtedy łaska będzie nam sprzyjać – jest jak wagonik doczepiony do pociągu naszego życia.

To wszystko sprawia, że stajemy się coraz bardziej chorzy – chorzy na nas samych. Jedynym wyjściem jest Duch Święty: Ten, który przypomina.

Tylko jak On się dostanie do tego zamkniętego systemu?

Przyjdzie, kiedy pogrążeni w tej duchowej depresji zawołamy: „pomóż!". Duch Święty uwalnia nas od skupienia na sobie, zaczyna wszystko przypominać i porządkować. To wszystko, co wiedzieliśmy, zaczyna się układać na nowo. Taki jest sens słów Pawła: „Gdyby ktoś mniemał, że coś wie, to jeszcze nie wie, jak wiedzieć należy" (1 Kor 8, 2).

Mówi Pan to z autopsji?

Jako młody człowiek, świeżo upieczony lider Ruchu Światło-Życie, próbując o własnych siłach czynić dar z siebie, odkrywałem, że nie potrafię reprezentować Boga przed ludźmi tak, jak powinienem. Czułem, że koncentruję uwagę słuchaczy bardziej na sobie niż na Nim. Dochodziłem do wniosku, że być może lepiej już zająć się wysokimi energiami (studiowałem wtedy fizykę jądrową). W modlitwie zawołałem: „pomóż". Stało się coś niespodziewanego – zniknęła koncentracja na własnych wysiłkach. Zaczęło mnie boleć to, w jakim stanie jest Kościół, poczułem zachętę, by oddać się jego odnowie. Nie potrafiłem już dalej się zajmować własną niedoskonałością. Bóg dał mi swoje myśli. Zostałem upokorzony. Nie tyle umniejszałem siebie w myślach, co myślałem o sobie mniej.

W Katechizmie jest ciekawa definicja pokory: to dyspozycja do darmowego przyjęcia daru.

To prawda. Ja wtedy otwarłem się na to, czym Bóg chce mnie wypełnić. Modlitwie towarzyszyła radość, której wcześniej nie było. Pojawiła się modlitwa, która przekraczała moje intelektualne możliwości werbalizacji. Potem dowiedziałem się, że to modlitwa językami.

Czyli co konkretnie?

Modlitwa, która rodzi się w odpowiedzi na dobrowolne poddanie Bogu świata swoich myśli i języka. Owoc współpracy z Duchem Świętym. Ta modlitwa nie gwałci naszej wolności: to my decydujemy, kiedy zaczynamy i kończymy. Ale w chwili, kiedy się modlimy, nie mamy nad nią żadnej kontroli. Bóg ma wolność w objawianiu siebie w sposób, który przekracza nasze rozumienie, ale z drugiej strony my mamy wolność, by to wyrazić w języku. Wypowiadając słowa, które są z Boga, mówimy do Niego tymi myślami, w których On ma upodobanie. Zanurzamy się w Bożej obecności: modlitwa językami wiąże nasze zmysły i, paradoksalnie, jest modlitwą słuchania – bo chcemy dojść do zrozumienia tego, o czym mówimy. Zrozumienie, które otrzymujemy, ma charakter prorocki.

Ale jak to wygląda, technicznie rzecz biorąc?

Może przypominać bełkotanie czy gaworzenie dziecka. Do mówienia językami dochodzi nie poprzez koncentrację na samym fakcie mówienia, nie przeżywa się tego na płaszczyźnie lingwistycznej, tylko w przylgnięciu do Ducha Świętego.

Kiedy doświadczy się uwalniającej obecności Bożej, pojawia się nieodparte ↦

NURPHOTO / GETTY IMAGES

pragnienie podarowania tego innym. Postanowiłem, że nie podejmę kariery fizyka. Oddałem się ewangelizacji. Mam silne poczucie, że uczestniczyłem w poruszeniu Ducha Świętego, który wtedy, po Soborze, zaczął intensywnie przypominać o sobie.

Silnie łączy Pan Sobór z Duchem Świętym.

Kard. Yves Congar mówił, że teksty soborowe są pokropione Duchem. Stało się to m.in. dzięki uwagom, które wnosili doradcy z Kościołów wschodnich i ze środowisk, które doświadczyły przebudzenia zielonoświątkowego. Duch mówi dzisiaj coraz częściej: „oddajcie mi mój Kościół". A my, katolicy, staliśmy się już chyba dostatecznie pewni, że własnymi siłami nic nie osiągniemy, by poprosić o pomoc i przyjąć chrzest w Duchu Świętym. To doświadczenie, znane wczesnemu Kościołowi, przywracane jest dzisiaj duchowości chrześcijańskiej. Ponad 120 mln katolików przyznaje się do jego przeżycia. Wtargnięcie Ducha Świętego zorganizowało ich życie na nowo, pozwoliło nie tylko zrozumieć, ale i przeżyć Słowo Boże, doświadczyć głębiej sakramentów. Nie myślą już o wartościach chrześcijańskich, ponieważ one realizują się spontanicznie, płynąc z relacji z Bogiem.

Mówi Pan o wtargnięciu Ducha Świętego w życie jako doświadczeniu wyczekiwanym. Ale czytając Biblię można odnieść wrażenie, że wejście Boga w życie ludzkie przewraca je do góry nogami. Mojżesz wychowywałby się na dworze córki faraona, Eliasz nie musiałby uchodzić na pustynię, Maryja i Józef mieszkaliby spokojnie w Nazarecie.

Wskaże mi pan choć jednego bohatera biblijnego, którego życie byłoby szczęśliwe?

Anna, matka Samuela?

Ale po ilu latach płaczu i wzdychania? (Na marginesie: Anna, modląc się, „mówiła tylko w głębi swego serca, poruszała wargami, lecz głosu nie było słychać". Czyli jej modlitwa przekraczała możliwości wyrażenia słowami). Ja nie znam ani jednego przykładu. Sukces nie jest imieniem Boga. Ale w życiu tych wszystkich ludzi nastąpiła tajemnica przemiany perspektywy. Uczniowie Jezusa na wieść o zamierzonych prześladowaniach mówią: „zostańmy tu jeszcze parę dni, widocznie mamy coś do zrobienia". Kto inny by uciekał... Duch Święty uczy odwagi, cierpliwości i męstwa. Nie można ukształtować w nas tych cech inaczej niż przez postawienie nas w niebezpieczeństwie. Taka musi być droga ku głębszej wierze. Żadna intelektualna refleksja temu wezwaniu nie sprosta.

Bez obecności głosu prorockiego wszystko, co wynika z Pisma i tradycji, można ująć w punkty i procedury prawa kanonicznego. Tylko że to nie chrześcijaństwo, lecz muzeum.

Ciężka szkoła. Chciałoby się z niej uciec.

I tak też się działo. Przecież wokół Jezusa obserwujemy wiwatujące tłumy, ale każdy trzyma się dostatecznie daleko, żeby przez przypadek nie otrzymać propozycji zostania Jego uczniem.

Dopiero kiedy pozbędziemy się troski o nas samych, otworzy się przed nami życie. „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich" – mówi Jezus. W człowieku prowadzonym przez Ducha pojawia się pasja do dawania, udzielania się, zaprowadzania Królestwa Bożego. Te zadania angażują i motywują serce bardziej niż cokolwiek innego. Człowiek tak naprawdę kocha umierać dla Boga i chce dzień po dniu dla Niego umierać.

Jak się modlić do Ducha Świętego? Chrystus nauczył nas zwracać się do Boga „Ojcze Nasz". Cała liturgia mszy też jest skierowana do Ojca.

Ale modlimy się zawsze w Duchu Świętym. Otrzymaliśmy Go za cenę śmierci Chrystusa na krzyżu, dlatego Jego pasją jest zwracanie naszej uwagi ku Jezusowi i ku Ojcu. Dzięki obecności Ducha wchodzimy w zamysł Jezusa – naszym pragnieniem staje się realizacja Jego pragnień. A wtedy On będzie żywotnie zainteresowany tym, żeby te nasze pragnienia spełnić. To jest modlitwa, która według słów Jezusa cieszy Ojca. A ostatecznie Duch Święty rodzi w nas modlitwę: „Przyjdź, Panie Jezu!".

Co oznacza zastrzeżenie Chrystusa, że Duch nie będzie mówił od siebie? Tak jakby był niedowartościowany.

Jezus podkreśla też, że sam nie powiedział nic, czego by nie usłyszał najpierw od Ojca. Każda Osoba Trójcy jest szczęśliwa w tak rozumianym „niedowartościowaniu" siebie, ponieważ czerpie dzięki temu od pozostałych. Duch Święty realizuje się w udzielaniu się innym. Zaprasza nas do relacji, w której nie będziemy się zastanawiali, jaka jest nasza wartość, tylko w jaki sposób widzi nas Bóg. Taka perspektywa chroni nas przed autopromocją i tworzeniem obrazu Boga na miarę naszych oczekiwań.

A jak to jest z charyzmatami?

Nie budujmy wokół nich atmosfery nadzwyczajności. Charyzmat to po prostu sposób aktywnej obecności Boga w Kościele. Konkretna łaska Boga, której nam udziela i przez którą nas kształtuje. Św. Paweł porównuje obdarowanie nas charyzmatami do ponownego stworzenia. Bóg dosięga nas, uciekinierów sprzed swojego oblicza, stwarza na nowo, a duchowym DNA, które w nas wlewa, są właśnie charyzmaty. Paweł pisze, że jeżeli Bóg stworzy cię na nowo, będziesz błogosławieństwem dla siebie i wszystkich, którzy cię słuchają. Charyzmaty są ważnym narzędziem zbawczym, przez które Królestwo Boże przychodzi na ziemię. Udzielanie się Boga w charyzmatach konstytuuje nas na nowo jako jednostki i porządkuje nasze odniesienie do innych.

Każdy otrzymuje dar na miarę przychylności Bożej. Można powiedzieć, że On sprawia różnice między nami i chce, żebym zaakceptował, że każdy ma coś, czego ja nie mam. Przestaję wtedy pretendować do tego, żeby mieć wszystko. Potrzebuję innych, od nich zależę. Jestem wolny od porównywania się, zazdroszczenia, rywalizacji. Charyzmaty zaprowadzają jedność, ponieważ określają Jezusa jako głowę ciała, do której wszyscy się odnoszą. Zaakceptowanie wymiaru charyzmatycznego w życiu każdego z nas i Kościoła ma kapitalne znaczenie. Bo jako ciało Chrystusa możemy objawić się światu zgodnie z Jego zamiarem tak, żeby świat uwierzył. Inaczej pozostaniemy „instytucją ubezpieczeniową" dla tych, którzy chcą się dostać do nieba.

Chyba nie dostrzegam w swoim życiu żadnego z charyzmatów: nie prorokuję, nie uzdrawiam, nie mówię językami.

Tym więcej charyzmatów można mieć, im mniej się o nich myśli. Bóg osadza charyzmat na tym, co „wyrosło z ziemi": na charakterze, gotowości służenia. Podstawowym wyzwaniem jest oddanie się służbie. Ludzi, którzy przyjeżdżają do naszego centrum w Lanckoronie i chcą rozeznać swoje duchowe potrzeby, wysyłamy do kuchni. Tam można odkryć, w jakim stopniu chcemy służyć ludziom. Kiedy przekroczymy siebie i podejmiemy służbę, inni wcześniej czy później dostrzegą, w jaki sposób namaścił nas Duch. W końcu będzie można uszczegółowić ten dar, a odpowiedzialni Kościoła go zauważą i zrobią mu miejsce.

Mój kolega, asystent polonistyki na UJ, bardzo pragnął modlić się językami. Po zajęciach chodził do kościoła, oddawał się postom i modlitwom. Przez to jego wysiadywanie w kościele cierpiała jego żona: nie pomagał w opiece nad dzieckiem. W końcu postanowił zmienić postępowanie. I któregoś dnia, podczas gdy prał pieluchy, zaczął się modlić językami. Bóg chce nas spotkać w najprostszych czynnościach naszego życia.

Otrzymanie charyzmatu nie grozi pychą?

Jezus potrafi nas tak upokorzyć, żebyśmy nie czuli się poniżeni, i tak wynieść, żebyśmy się nie nadęli. Wie, na jaką miarę może nas obdarzyć, żeby nas to nie przerosło. Kiedy otrzymasz charyzmat, nie pytaj „kim ja jestem?", tylko „kim Ty jesteś?". Żeby przyjąć dar i go unieść, musisz być skoncentrowany na Bogu.

Czy Paweł, wymieniając charyzmaty w Pierwszym Liście do Koryntian, używa przenośni, czy też dzisiaj naprawdę ktoś może prorokować jak Izajasz lub uzdrawiać jak Piotr?

Można zapytać: po cóż czytać Biblię i zawarte w niej pobożne historie, które wydarzyły się dawno temu? A może jednak to z nami coś jest nie w porządku, skoro te rzeczy już dzisiaj się nie dzieją? Jeśli mam pójść za wezwaniem wiary, to ona nie może być zamkniętą historią, musi się dziać. Chrześcijaństwo nie jest religią sprzed wieków, która nijak się ma do tego, co dziś przeżywamy. Jeśli Bóg coś daje, to daje na zawsze. Sam doświadczyłem uzdrowienia.

DAMIAN KLAMKA / EAST NEWS

DR ANDRZEJ SIONEK (ur. 1953) jest fizykiem i teologiem, prowadzi działalność ewangelizacyjną. Dyrektor Katolickiego Stowarzyszenia En Christo, członek Sekretariatu ds. Nowej Ewangelizacji Archidiecezji Krakowskiej, stały współpracownik Międzywydziałowego Instytutu Ekumenii i Dialogu przy Papieskim Uniwersytecie Jana Pawła II w Krakowie. Autor książki „Charyzmaty. Aktywna obecność Boga w Kościele".

Jak to wyglądało?

Byłem chory na autoimmunologiczne zapalenie wątroby. Do szpitala trafiłem w sytuacji bardzo dużego osłabienia. Miałem parametry wątrobowe rzędu 1300, a norma wynosi 40. Lekarze zachodzili w głowę, jak ja w ogóle żyję. Leki obniżyły poziom do 800. Moi przyjaciele z misji En Christo modlili się całą noc w intencji mojego uzdrowienia, a ja obudziłem się rano z parametrami ok. 200. Pytałem lekarzy, czy można mówić o wydarzeniu cudownym, odpowiedzieli, że z moim organizmem nic nie wiadomo.

Widział Pan proroków?

Tak, ale dla nas nie jest ważny prorok, tylko głos proroczy. To ważne, żebyśmy zwrócili uwagę na świat natchnień, które nas skłaniają do wypowiedzenia czegoś na zewnątrz. Droga Kościoła, tak jak widział ją Sobór, wiedzie od kontrolowania do rozeznawania. Bez obecności głosu prorockiego wszystko, co wynika z Pisma i tradycji, można ująć w punkty i procedury prawa kanonicznego. Tylko że to nie chrześcijaństwo, lecz muzeum. A głos prorocki prowokuje, nie pozwala stać w miejscu. Kościół idący za głosem prorockim staje się dynamiczny i nieprzewidywalny: nie wiesz, co jutro usłyszysz i gdzie pójdziesz.

Poda Pan jakiś konkretny przykład proroctwa, które Pan usłyszał w Kościele?

Głos prorocki często rozbrzmiewa w papieżu Franciszku. On sam w „Evangelii gaudium" przyznaje, że to, do czego był zachęcany przez Ducha, przyprawiało go o zawrót głowy. Ale nie pozwolił, żeby lęki ludzkie powstrzymały go przed pójściem za wezwaniem. Głos prorocki jest potrzebny, bo bez niego przesłanie o zbawieniu staje się abstrakcyjne, nieuchwytne, niedotykające życia. Musimy się wydobywać z ideologii, które stworzyliśmy sobie przez brak głosu prorockiego. Papież wzywa Kościół, żeby przekraczał swój system, nie żył chwałą dnia wczorajszego. Duch Święty przychodzi do nas z przyszłości, nie z przeszłości – tam przygotował nam mieszkanie i tam nas zaprasza.

Wykształcenie ścisłe pomaga Panu w odkrywaniu Bożego działania w świecie czy przeciwnie?

Studia nie były łatwe. Zaawansowana matematyka służąca do opisu świata cząstek elementarnych jest bardzo skomplikowana, podobnie technologie. Pytałem: „Panie Boże, skoro chciałeś mnie do ewangelizacji, jaki był sens, żebym to przechodził?". Potem zrozumiałem, że wykształcenie dało mi pewien sposób myślenia i język, którym wkrótce zaczęły mówić inne dziedziny wiedzy, w tym filozofia i teologia. W badaniach operowaliśmy np. terminem „wirtualny", w normalnym świecie wtedy niezrozumiałym. Dzięki studiom zrozumiałem potrzebę pokory. Widziałem, że olbrzymi wysiłek intelektualny czasem posuwa wiedzę o niewielki krok do przodu.

Ale matematyka jest czymś jeszcze bardziej uporządkowanym i szczelnym niż prawo kanoniczne, które porównał Pan do muzeum.

To, co dzisiaj wydaje się domknięte, często takie wcale nie jest – i do opisu zjawisk szuka się nowej matematyki. Postęp technologiczny, rewolucja internetowa są zapowiedzią tego, co szykuje dla nas Duch Święty: zobaczymy rzeczy, o jakich nam się nie śniło. Postęp komputerowy dokonywał się w bardzo wąskich środowiskach, zanim rozpowszechnił się na cały świat. Dzisiaj widzę ośrodki kondensacji, w których życie duchowe jest bardzo głębokie. Kiedy uchwycą to ludzie zgłodniali doświadczenia duchowego, nastąpi eksplozja i Duch rozleje się na cały świat.

©℗ Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

Wiatr wieje z Południa

O. KASPER KAPROŃ OFM

Świeccy w Ameryce Łacińskiej postulują, by to wspólnoty lokalne wybierały biskupów. Większa synodalność może być sposobem na kryzys Kościoła.

W maju zbiegły się dwa wydarzenia podkreślające rolę ludzi świeckich w Kościele. 8 maja Franciszek promulgował statuty nowej watykańskiej Dykasterii ds. Świeckich, Rodziny i Życia. W strukturach tej instytucji ważną rolę mają odgrywać ludzie świeccy; powinni być oni także zatrudnieni, na ile to jest możliwe, również w najróżniejszych instytucjach kościelnych całego świata. Międzynarodowa Komisja Teologiczna natomiast, będąca eksperckim ciałem naukowym podległym i zależnym od Kongregacji Nauki Wiary, opublikowała dokument o synodalności w życiu i misji Kościoła. Punktem wyjścia dokumentu jest nauczanie Franciszka stwierdzającego, że synodalność jest drogą, której Bóg oczekuje od Kościoła w trzecim tysiącleciu.

Synodalność należy rozumieć jednak szerzej niż tylko jako zgromadzenie biskupów. Pierwotnie w języku greckim słowo „synod" oznaczało „wspólną drogę, wspólne maszerowanie". „Kościół i Synod to synonimy" – mówił św. Jan Chryzostom, Kościół bowiem nie jest niczym innym, jak „wspólnym wędrowaniem" wiernych i pasterzy razem z biskupem Rzymu. Świeccy mają tu do odegrania dużą rolę. W przemówieniu wygłoszonym w Rio de Janeiro w lipcu 2013 r. podczas spotkania z biskupami Franciszek stwierdził, że: „*Sensus fidei* [zmysł wiary] nie pozwala na sztywne oddzielanie *Ecclesia docens* [Kościoła nauczającego – w domyśle: hierarchii] od *Ecclesia discens* [Kościoła nauczanego – wiernych świeckich], ponieważ także owczarnia »ma nosa«, co pozwala jej rozeznawać nowe drogi, jakie Pan otwiera przed Kościołem".

Niedowartościowanie świeckich

Komisja Teologiczna wyjaśnia znaczenie terminu „synodalność", jego podstawy w Piśmie Świętym, nauczaniu i tradycji Kościoła, a także możliwe sposoby realizowania, zarówno wewnątrz Kościoła, jak i w relacjach ekumenicznych. Następnie postuluje rozwój synodalnego wymiaru Kościoła. Apeluje m.in. o przezwyciężenie tych sposobów funkcjonowania i pojmowania Kościoła, które nie zostały odnowione przez eklezjologię komunii. Wspomina o zbyt dużej koncentracji zadań i odpowiedzialności, jaką posiadają pasterze, o niedocenianiu życia konsekrowanego i nadal peryferyjnej roli osób świeckich, szczególnie kobiet. Wnioskuje się zatem o zintensyfikowanie wzajemnej współpracy, bez klerykalizacji świeckich i zeświecczania duchownych. Praktyka prowadzonego w ten sposób dialogu w Kościele może stać się pięknym świadectwem dla świata, który przeżywa kryzys struktur demokratycznego uczestnictwa, niebezpiecznie dryfując w stronę form rządów autorytarnych, populistycznych i technokratycznych. W pełni synodalny styl Kościoła może stać się impulsem nowego zaangażowania misyjnego, gdyż cały Lud Boży poczuje się współodpowiedzialny za prowadzone misje Kościoła.

Najnowszy dokument Międzynarodowej Komisji Teologicznej stanowi kontynuację poprzedniego dokumentu tejże Komisji poświęconego zmysłowi wiary (*sensus fidei*) w życiu Kościoła, czyli żywej obecności Ducha Świętego i jego działania w Kościele. To dzięki darom Ducha członkowie Kościoła posiadają „duchowy instynkt", który pozwala rozeznawać, co jest zgodne z wiarą apostolską i duchem Ewangelii. Dokument z 2014 r. określa zmysł wiary jako wyczucie autentycznych prawd wiary podobne do „wyczucia melomana, który z łatwością wychwytuje fałszywe dźwięki w wykonaniu utworu muzycznego". „Dlatego też wierni – stwierdza Komisja – w naturalny sposób stawiają wewnętrzny opór wobec fałszywych nauk i praktyk, nie akceptują ich i nie biorą w nich udziału. Ostrzeżeni przez posiadany zmysł wiary świeccy mogą przeciwstawić się poglądom głoszonym przez pasterzy, jeśli nie rozpoznają w tym nauczaniu głosu Chrystusa, Dobrego Pasterza. Natomiast jeśli wierni dostrzegają i »odczuwają« spójność przepowiadanej nauki, to spontanicznie się z nią identyfikują i angażują się w praktyki, bez względu na to, czy są one już prawdami powszechnie przyjętymi, czy też jeszcze nimi nie są".

Zmysł wiary pozwala też wierzącym rozróżnić w przepowiadaniu pomiędzy tym, co fundamentalne dla autentycznej wiary katolickiej, a tym, co jest tylko przypadkowe czy wręcz obojętne w stosunku do istoty wiary. „To dzięki zmysłowi wiary poszczególni wierzący mogą na przykład zdystansować się od kazań, które starają się wprowadzić wiarę chrześcijańską w konkretne wybory polityczne".

Dokumenty Międzynarodowej Komisji Teologicznej chociaż nie mają mocy wiążącej, to jednak są liczącym się głosem, gdyż rezultaty prac Komisji przedstawia się papieżowi i przekazuje do użytku Kongregacji Nauki Wiary.

Teolog i prosty lud

Przyczyn podjęcia przez Komisję Teologiczną tematów synodalności i znaczenia zmysłu wiary należy szukać w otwarciu Kościoła na myśl teologiczną i praktykę duszpasterską Kościołów tzw. Trzeciego Świata, szczególnie Ameryki Łacińskiej. W Kościołach, gdzie rola świeckich jest fundamentalna (świeccy są katechetami, liderami wspólnot i – przy braku duchownych – to oni przewodniczą liturgii), trudno mówić o możliwości nieliczenia się z ich opinią przy opracowywaniu programów duszpasterskich i wyznaczaniu linii działania Kościoła.

Pracując przez kilka lat w duszpasterstwie w jednej z południowoamerykańskich diecezji mogłem doświadczyć, czym jest synodalność, poprzez praktykę tzw. zgromadzeń duszpasterskich (*asemblea pastoral*) zwoływanych przez biskupa na początku i na zakończenie każdego roku duszpasterskiego. W zgromadzeniu tym uczestniczą wszyscy duchowni, siostry zakonne oraz osoby świeckie zaangażowane w misję Kościoła, w tym przedstawiciele młodzieży. Kilkudniowe spotkanie na początku roku ma na celu ustalenie planu duszpasterskiego na dany rok. Rozmawia się w grupach o tym, czym powinien zająć się Caritas, co się dzieje w katechezie, przedstawia się konkretne pomysły

FERNANDO LAVOZ / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Wierni domagają się odejścia z urzędu biskupa Osorno, Chile, wrzesień 2017 r.

i dyskutuje, jak je wdrożyć w życie. Drugie takie spotkanie odbywa się pod koniec roku, aby podsumować, co się udało zrobić, a czego nie – i dlaczego.

Zmysł wiary stanowi natomiast jedno z podstawowych źródeł teologicznej refleksji (*locus theologicus*). Hiszpański teolog Victor Codina, który związał swoje życie z Ameryką Południową, w opublikowanym w 2013 r. dzienniku napisał: „Teolog w Europie posiada jako zaplecze dla swych poszukiwań bibliotekę, teolog w Ameryce Łacińskiej posiada prosty lud". Znaczy to, że wiara ludu – ten rodzaj intuicji lub nadprzyrodzonego instynktu wiary, jaki posiada lud – powinna inspirować i oświecać wiarę Kościoła oraz wzbogacać jego teologię.

Kryzys hierarchii

Doświadczenie synodalności, zawsze obecne w Kościele Ameryki Łacińskiej, zintensyfikowało się w ostatnich tygodniach w Kościele chilijskim, przeżywającym boleśnie dramat skandali pedofilskich. Juan Carlos Claret, rzecznik wiernych świeckich diecezji Osormo, której to biskup znalazł się w ogniu krytyki za próby tuszowania przestępstw seksualnych wpływowego księdza Fernanda Karadimy, opublikował na łamach internetowego portalu Religión Digital apel: „Obecny kryzys Kościoła jest kryzysem hierarchii: kardynałów, biskupów i księży. Czas zatem na świeckich. Dokąd będziemy tylko biernymi obserwatorami podejmowanych decyzji? Musimy w jeszcze większym stopniu poczuć się współodpowiedzialnymi za Kościół. Wiele rzeczy zmieniłoby się w naszym Kościele na lepsze, gdyby szczególnie kobiety w większym stopniu współdecydowały o programach duszpasterskich naszych diecezji i parafii".

Jedna z tych kobiet, Karla Huerta, świecka teolożka z Chile, na łamach tego samego portalu mówi wprost o konieczności większej synodalności, która powinna prowadzić do możliwości wyboru biskupów przez lokalne wspólnoty duchowieństwa i świeckich. Pisze: „Słyszeliśmy już wiele razy, że przyczyn wykorzystywania seksualnego przez osoby duchowne należy szukać w nadużywaniu władzy. Źródła obecnego kryzysu należy zatem szukać – powiedzmy to sobie szczerze – w formach sprawowania władzy istniejących w Kościele. To właśnie kryzys władzy jest tym, co dotyka i rozdziera nasz Kościół, i aby go przezwyciężyć, koniecznie trzeba odinfantylizować wiarę. Dotyczy to w pierwszym rzędzie wiary osób duchownych. Zarzuca się ignorancję w wierze świeckim, ale co można powiedzieć o wierze księży wręcz zakochanych w Fernandzie Karadimie? Czterech wychowanków ks. Karadimy zostało biskupami, wielu z nich to wychowawcy w seminarium lub profesorowie na wyższych uczelniach. Wszyscy oni stanowią elitę intelektualną Kościoła, a jednocześnie nie są osobami dojrzałymi w wierze, która przecież wyzwala. W przeciwnym razie otwarcie wystąpiliby przeciwko nadużyciom Karadimy. Woleli oni jednak siedzieć cicho, aby nie narażać własnej kariery".

Teolożka konkluduje: „Mówi się nam: »Papież od lat był źle informowany«. Jesteśmy małym krajem na końcu (lub na początku) świata. Odległość między Chile a Watykanem jest ogromna. Skąd pewność, że papież właśnie teraz zostanie dobrze poinformowany? Komu będzie mógł w pełni zaufać w sprawie kandydatów na biskupstwo? Oczekiwać wszystkiego od papieża znaczy nie mieć ufności w Kościół, w jego lud, który żyje wiarą. Są to ludzie, którzy nadal chodzą do kościoła pomimo tego wszystkiego, co się wydarzyło. Trwają w wierze pomimo tego, że kościoły pustoszeją, a oni sami wyśmiewani są przez ogół społeczeństwa. Nikt lepiej od tego ludu nie zna swoich pasterzy i nie zna głosu, za którym mogliby pójść. Któż, jak nie oni – ten wierzący Lud Boży, duchowni i świeccy – jest tym, kto najlepiej potrafi wskazać tych najlepszych, którzy mogliby przewodniczyć jako biskupi. To Kościół lokalny, oświecony światłem Ducha Świętego, w łączności z Ojcem Świętym, najlepiej może wybrać spośród siebie pasterzy, których zna i których uważa za swoich. Szukać ich daleko to pozwolić, aby pojawili się kolejni koniunkturaliści, od seminarium wspinający się po szczeblach kariery. Pozwolić wybrać biskupów ludowi to zgodzić się na biskupów, którzy wzrastają wśród ludu, którzy znają lud, cenią jego wartości, szanują lud i wsłuchują się w jego głos. Kryzys zaufania do Kościoła (hierarchii) przezwycięża się zaufaniem do Kościoła (Ludu Bożego)".

Być może są to propozycje zbyt daleko idące, ale mówią one o autentycznym zatroskaniu losem Kościoła, jakie prezentują świeccy katolicy. Nie ulega wątpliwości, że specyfika charyzmatu świeckich powinna znaleźć jeszcze ważniejsze miejsce w prowadzonej przez Kościół misji. Papież wzywa do tego zaangażowania i zachęca do kreatywności, do większej odwagi i samodzielności, aby budować wspólnotę dojrzalszą, bogatszą i bardziej owocną apostolsko. ©

O. KASPER KAPROŃ *jest franciszkaninem i teologiem, byłym misjonarzem wśród boliwijskich Indian. Obecnie wykłada na Uniwersytecie Katolickim w Cochabamba w Boliwii.*

Obrońca Prymasa

TERESA BOGUCKA

Przez lata był dla władzy kłopotem, dla Kościoła – uwierającym wyrzutem. Dziś pamięć o księdzu Wojciechu Zinku powraca.

Tylko pies Baca i Niemiec upomnieli się o swojego prymasa" – mawiał Stefan Wyszyński, wspominając swe aresztowanie w 1953 roku. Pies, owczarek podhalański Baca, ugryzł jednego z ubeków, którzy przyszli po Prymasa. Niemiec to ks. Adalbert Zink, mianowany przez niego wikariuszem generalnym diecezji warmińskiej. Był jedynym hierarchą, który odmówił podpisania deklaracji Episkopatu z 28 września 1953 r. aprobującej aresztowanie Prymasa Polski, potępiającej skazanego bp. Czesława Kaczmarka i dalece wiernopoddańczej: „Episkopat nie będzie tolerował wkraczania przez kogokolwiek z duchowieństwa na drogę szkodzenia ojczyźnie i będzie stosował wobec winnych odpowiednie sankcje zgodne z prawem kanonicznym...".

2 października 1953 r. komunistyczne władze zażądały od ks. Zinka podpisania tej deklaracji i odczytania dokumentu w kościołach. Odmówił. Wezwano go do Wojewódzkiej Rady Narodowej w Olsztynie i połączono telefonicznie z sekretarzem Konferencji Episkopatu bp. Zygmuntem Choromańskim, który tłumaczył mu konieczności. Ks. Zink odparł, że uznaje uwięzienie Prymasa za bezprawne i deklaracji nie podpisze. Wieczorem został aresztowany i przewieziony do więzienia na Rakowieckiej w Warszawie. Oskarżony o „sabotowanie poleceń władz", „wykorzystywanie wszelkiego rodzaju świąt i uroczystości w celu szerzenia antypaństwowych nastrojów wśród księży i społeczeństwa", „szerzenie wśród duchownych nieprawdziwych informacji w sprawie procesu biskupa Czesława Kaczmarka i aresztowania prymasa" – spędził tam 16 trudnych miesięcy, trwając przy swoim *non possumus*.

Jak to się stało, że niemiecki ksiądz z dwudziestoletnim stażem kapłańskim trafił do więzienia Urzędu Bezpieczeństwa broniąc polskiego prymasa?

Internowany przez Sowietów

Adalbert Zink urodził się w 1902 roku w Bydgoszczy. Jego ojciec był Niemcem, garncarzem, potem urzędnikiem, matka, Augusta Tyżak, Warmiaczką z Woryt koło Gietrzwałdu. Maturę zdał w 1919 roku w Gdańsku, studiował w Seminarium Duchownym Hosianum w Braniewie. Pracę duszpasterską prowadził na Warmii, w Grieslienen, Schoenebergu, Gross Leschienen, Willenbergu. To Gryźliny, Wrzesina, Lesiny Wielkie, Wielbark. Ks. Zink douczał się, by doskonalić swą domową polszczyznę i móc również w tym języku służyć parafianom.

Znajomość języka sprawiła, że w 1940 r. został skierowany do diecezji chełmińskiej, gdzie Niemcy aresztowali wielu polskich księży. Biskup gdański Karol Maria Splett (skazany potem w PRL na osiem lat więzienia za prześladowanie polskości) powierzył Zinkowi administrację parafii w Lessen, czyli w Łasinie. Ks. Zink pracował tam parę miesięcy, po czym wrócił na Warmię.

W styczniu 1945 roku Armia Czerwona wkroczyła na tereny Prus Wschodnich. Były to pierwsze zdobyte ziemie niemieckie, wojsko przeprowadzało aresztowania, żołnierzom pozwolono na zemstę, rabunki, gwałty, mordy. Ks. Zink podzielił los wielu mieszkańców Warmii i Mazur – został aresztowany i zesłany do obozu w Iławce Pruskiej (potem Bagrationowsk). W marcu 1946 roku został zwolniony z internowania, ale nie pojechał do Niemiec, wrócił na Warmię i podjął pracę w Gietrzwałdzie, a następnie w kurii biskupiej w Olsztynie, gdzie stał się jednym z najbliższych współpracowników administratora apostolskiego ks. Teodora Benscha i wraz z nim organizował na nowo diecezję. Gdy w 1951 roku władze komunistyczne go usunęły, Zink został wyznaczony przez Wyszyńskiego na rządcę diecezji; by móc objąć tę funkcję, przyjął obywatelstwo polskie.

Misja ponad siły

Podjął się zadania prawie niewykonalnego. Sprawiały to i czas, i miejsce. Władza ludowa umacniała swe panowanie dzieląc ludzi i szczując ich przeciw sobie. W całym kraju podsycano ideologiczne napięcie: chłopi mieli nienawidzić dziedziców, bezrolni kułaków, biedni bogatszych. Na Warmii repatrianci z Wileńszczyzny i z Wołynia, przybysze z centralnej Polski mieli nienawidzić miejscowych. Niby Warmiacy wrócili do macierzy, ale byli obcy, z natury podejrzani – nieustannie sprawdzano ich polskość, traktowano jak obywateli drugiej kategorii, szybko objęto ich zbiorową odpowiedzialnością za niemieckie zbrodnie wojenne, dotknęły ich wywózki, wywłaszczenia, szaber, bezprawie.

Kościół na „ziemiach odzyskanych" też był w gorszej sytuacji niż w reszcie kraju, jako że Watykan nie akceptował nowych granic i do lat 70. uważał te tereny za przynależące do diecezji niemieckich. Polskie duchowieństwo rozdarte między wiernością Watykanowi a nową racją stanu państwa musiało się bronić przed zarzutem nielojalności i zdrady.

Mimo nacisków, gróźb, prześladowań ks. Wojciech Zink nie dopuścił do tego, by w jego diecezji Kościół wprzęgnięto do działań komunistycznego państwa. Nie

ARCHIWUM PRYWATNE

Ks. Wojciech Zink obok prymasa kard. Stefana Wyszyńskiego, lata 60.

podpisywał żadnych oświadczeń, nie dostosowywał rytmu nabożeństw do oficjalnych wytycznych, nie zgadzał się na obsadzanie stanowisk przez księży-patriotów. Nie dopuścił do wykorzystania Kościoła w dzieleniu społeczeństwa, łagodził napięcia między autochtonami a repatriantami ze Wschodu, także wśród duchowieństwa, osłaniał warmińskich księży przed władzami. Był nieustępliwy.

Odmawiając akceptacji dla aresztowania Prymasa, okazał się nieustępliwy do końca.

Niewygodny sprawiedliwy

Był Warmiakiem, człowiekiem pogranicza. Przynależał do ludu, który trwał na tej ziemi od pokoleń, a nad nią przetaczała się historia. Władali nią Krzyżacy, biskupi warmińscy, państwo pruskie, Republika Weimarska i III Rzesza, Armia Czerwona, potem Polska Ludowa. Może w takiej zmienności i niepewności tylko zasady mogły być stałe?

Chociaż więzienie ks. Zink opuścił w lutym 1955 roku, na Warmię pozwolono mu wrócić dopiero po Październiku '56. Pełnił przez parę lat różne kościelne funkcje, chorował, zmarł 8 września 1969 r. w Olsztynie, pochowano go w Gietrzwałdzie. Nie doczekał się uznania. Prymas Wyszyński musiał po 1956 roku zszyć polski Kościół, w którym byli księża ofiarni, ale i liczni księża-patrioci, musiał scalić Episkopat, w którym mógłby się znaleźć i bp Antoni Baraniak, który spędził dwa lata w więzieniu na Rakowieckiej (porozumiewał się tam z Zinkiem śpiewając wiadomości po łacinie), i bp Michał Klepacz, który w tym czasie ślubował wierność Polsce Ludowej.

Ksiądz infułat Wojciech Zink szybko i chętnie został zapomniany. Dla Kościoła „jedyny sprawiedliwy" był uwierającym wyrzutem. Bp Klepacz twierdził, że Zink nie podpisał deklaracji tylko dlatego, że nie znał polskiego i nie rozumiał, czego od niego chcą. Dla PRL ksiądz-więzień stalinowski tym bardziej niewart był pamięci.

A w dodatku – czy on w ogóle był Polakiem? Nawet Prymas Wyszyński, wspominając go z uznaniem, mówił o nim „niemiecki ksiądz".

Bogactwo tradycji i kultury, jakie zwykle rodzi się na pograniczach, zostało po wojnie odrzucone, także przez Kościół. Polska Ludowa szczyciła się tym, że jest państwem jednonarodowym: albo się było Polakiem, albo Niemcem, czyli wrogiem. Dla żadnych Ślązaków, Mazurów i Warmiaków nie było miejsca. Odrębność Warmii nie tylko nie była walorem i bogactwem – była nieakceptowana i potępiana.

Pewnie dlatego inskrypcja na grobie księdza infułata jest po łacinie: *Adalbertus Zink*. Adalbert znaczyłoby, że Niemiec, Wojciech, że Polak, lepiej tego nie rozstrzygać.

Dziedzictwo pogranicza

Zdawać by się mogło, że na Warmii ciągłość została przerwana. Autochtonów nakłoniono do wyjazdu do Niemiec w latach 70., pozostali nieliczni. Ale osiedlali się tu – dobrowolnie i nie – nowi ludzie: repatrianci ze Wschodu, ofiary akcji „Wisła", przybysze z różnych części Polski. Po upadku PRL-u okazało się, że napływowi mieszkańcy, ich dzieci i wnuki nie czują się zdobywcami Ziemi Odzyskanej, którzy powrócili na prastare polskie tereny wypierając z niej żywioł niemiecki. Pojawiła się potrzeba zakorzenienia w prawdziwej historii tych ziem: pruskiej, biskupiej, niemieckiej i polskiej. W historii wspólnoty w różnorodności: żyły tu obok siebie różne narody i wyznania – co wymagało otwartości, zrozumienia, tolerancji. Dla społeczności nowych Warmiaków, którzy przybyli tu z różnych stron, to dziedzictwo okazało się ważne i potrzebne.

I wtedy powróciła pamięć o księdzu infułacie Adalbercie Wojciechu Zinku. Jeszcze w latach 90. trudno było czegokolwiek się o nim dowiedzieć, ale potrzeba jednoczącego znaku sprawiła, że wygrzebano dokumenty, powstały opracowania i artykuły. Na początku XXI wieku jeszcze nie udało się dać mu w Gietrzwałdzie ulicy (bo przecież to Niemiec), ale już w 2012 roku został patronem gimnazjum w tym mieście. Nie jest to postać historyczna i odległa: w gminie mieszkają jego krewni, z Niemiec przyjechali Warmiacy, którzy go jeszcze pamiętali i wspominali jako człowieka ciepłego i dobrego.

Jeden z nich był ministrantem w latach 40. i opowiedział, że zakonnice przybyłe z Polski i pracujące w olsztyńskiej kurii poleciły mu zawiadomić ks. Zinka, że trzeba poświęcić jajka na Wielkanoc. Ksiądz nie wiedział, o co chodzi, bo zwyczaj to na Warmii nieznany. Ale jak siostry uważają, że trzeba... Przeżegnał jajka: „*Im Namen des Vaters und des Sohnes und des Heiligen Geistes. Amen*". I dodał: „Panie Boże, Ty na pewno rozumiesz, co ja robię...".

Ludzie poczuli się dumni ze swego księdza. Gimnazjum, którego został patronem, jest likwidowane, ale trzeba wierzyć, że ks. Wojciech Zink nie będzie zapomniany. ©

Poród z Ducha

PIOTR SIKORA

Boski Wiatr istnieje w nas „od środka", jest tym, co najbardziej nasze.

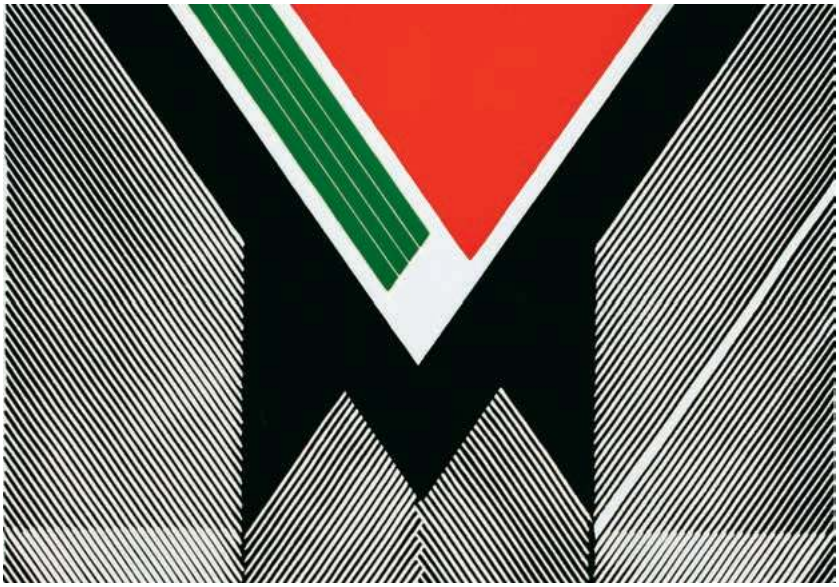

Z ARCHIWUM ARTYSTY

Ryszard Otręba, 143, Pozorna harmonia V, gipsoryt, 1996 (fragment)

Jeśli się nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do Królestwa Niebios" (Mt 18, 3). Dzieci nie żyją jeszcze zbyt długo na świecie. Dzieci niedawno się urodziły. „Jeśli ktoś nie narodzi się powtórnie, nie może zobaczyć Królestwa" (J 3, 3) – mówi Jezus do podeszłego już faryzeusza Nikodema. Członka starszyzny i nauczyciela Izraela. Słowa Jezusa wzbudzają zdumienie. Czy można ponownie wejść do łona matki? A jednak... „Jeśli ktoś nie narodzi się z wody i wiatru – nie wejdzie do Królestwa" (J 3, 5).

Urodzeni z ciała – dziedziczymy cechy rodziców. Ich zdolności, ale i uwarunkowania. Wychowywani w określonej kulturze – taki, a nie inny obraz świata i sposób działania. Określają nas cechy gatunku; genetyczny program, którego podstawa niewiele różni się od tej właściwej kapuście. Ewolucyjne mechanizmy całej przyrody kierują ogromną częścią naszego zachowania: jedz i śpij, tokuj i kopuluj, walcz lub uciekaj. Co wygląda na wyrafinowaną budowlę ducha, może być w istocie prostym narzędziem replikacji genów: bukiet kwiatów, słuchanie opery i kolacja przy świecach – lwia grzywa, czerwony zad pawiana.

Śmierć. Wcześniej osłabienie, choroba, zmarszczki i starość. Nieuchronny jest moment, w którym znajdzie się koło nas ktoś o wyższym ewolucyjnym statusie. Tego wyścigu nie da się nie przegrać. „Kto lgnie do swojej psyche na tym świecie – traci ją" (J 12, 25). A więc geny rządzą światem? Lokalnie i chwilowo – nie przetrwają uderzenia komety, ewolucji Słońca.

Wszystko byłoby bez sensu, gdyby nie te drugie narodziny. Z wysoka, z boskiego Wiatru. Wieje – mówi Jezus – tam, gdzie chce. Słyszysz jego szum, czujesz jego siłę – nie wiesz (i nie dowiesz się nigdy), skąd przychodzi i dokąd zmierza. Ucieczka galaktyk, rozpad atomu; powstawanie białek, starzenie się komórek; aktywność synaps, zachowanie tłumu – to wszystko działa w sposób, który da się opisać i wyjaśnić w postaci praw, statystycznych równań, teorii i modeli. Tamtego Wiatru tak nie złapiesz. On jeden jest wolny. On jeden wolność daje. Bo poczucie, że jesteśmy wolni od pierwszych narodzin, jeśli tylko nikt nie wiąże nam rąk, to chyba najbardziej rozpowszechnione złudzenie. Kulturowy mit z czasów oświecenia.

„Co narodziło się z ciała, jest ciałem, co narodziło się z Ducha, jest Duchem" (J 3, 6). O ile narodziny z ciała to jest coś, co nam się przydarza, gdy jeszcze nie jesteśmy świadomi, co jest poza naszą kontrolą, co od naszej – dziecka – strony jest właściwie automatycznym procesem, o tyle drugie, z wysoka narodziny nie są możliwe bez naszego wolnego udziału. Brzmi to jak paradoks, ale z Ducha każdy rodzi siebie. A życie to poród.

Duch bowiem, boski Wiatr czystej wolności nie działa na nas z zewnątrz, nie jest siłą obok naszej woli wpływającą na nas i determinującą warunki, w których musimy działać. Duch – najbardziej przenikliwy (por. Mdr 7, 22) posłany został do naszych serc (por. np. Ga 4, 6) – a zatem istnieje w nas „od środka", jest tym, co najbardziej nasze.

Jest w nas strona jakby przedmiotowa – to, co podobnie jak każdy inny element świata podlega mniej lub bardziej powszechnym prawom, coś, co można z nas wydobyć, rozpoznać i wykorzystać nawet wbrew naszej woli. Duch nie taką ma naturę. Jest naszą podmiotowością. Na początku może małą jak ziarnko gorczycy odrobiną kwasu w cieście – zmieniającą je całe (Mt 13, 31-33). Jako czysta podmiotowość nie może być przedmiotem poznania. Można „słyszeć jego szum" – doświadczać, że działa – ale nie daje się uprzedmiotowić. Zawsze nieuchwytny. Nie można wyśledzić jego przyczyn – skąd przyszedł. Nie da się przewidzieć, co zrobi – gdzie pójdzie.

Jego nieuchwytność odbija się w strukturze języka i myślenia, w otwartej możliwości dziecięcego pytania: co by było, gdybym urodził się kiedyś tam, gdzie indziej? Innych miał rodziców? Inną żył historię? Inne myśli myślał w głowie? Inne w zmysłach zbierał doświadczenia? Był kimś zupełnie, ale tak zupełnie innym?

Kto pyta?

©℗

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika".

Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl

SZYMON

Hołownia:
Broniąc Rasputina

Zastanawiałem się właśnie, jaki to instynkt każe mi od paru lat nałogowo pochłaniać wszystko, co pisze się o ostatnich latach rosyjskich Romanowów. Podczas wizyt w Rosji skupuję nowoimperialne edycje ich dzienników, wspomnień dworzan, z niektórymi z postaci w jakiś sposób chyba się wręcz zaprzyjaźniłem. Może to podświadome, po omacku, wracanie do własnych korzeni – mój pradziadek z prababcią lata przed rewolucją spędzili wszak właśnie w Petersburgu (mieli pralnię na Newskim Prospekcie, dziadek pracował też jako kierowca taksówki i ambulansu). Próba złapania powietrza, którym oddychali ci, którzy mnie stworzyli, uchwycenia na gorącym uczynku tego, co ten ponad wiek temu wkleiło się w moje DNA.

Kilka miesięcy temu przeszedłem przez 800 stron „Romanowów" Simona Sebaga Montefiorego. Pisanych tak, jak ma w zwyczaju ów autor, mistrz takiego otumaniania odbiorcy, że sam już nie wie, co czyta: „Britannicę" czy historycznego „Pudelka". Ostatnie tygodnie to wydany niedawno w Polsce „Rasputin" Douglasa Smitha, prawie tysiąc stron rzetelnej biografii (wreszcie nie mitów, bajań, projekcji i sensacji) jednej z najsłynniejszych postaci XX wieku, której polityczne i (domniemane) erotyczne dokonania uwieczniono nawet w nieśmiertelnym hicie Boney M., ulubionego zespołu mojej świętej pamięci babci.

Smith wykonał tytaniczną pracę nie kserując jedynie pikantnych rewelacji wypisywanych w memuarach z epoki. Skonfrontował je z wykopywanymi cierpliwie w rosyjskich archiwach notatkami policmajstrów, raportami urzędników, prywatną korespondencją książąt. Wychodzi mu z tego, że Rasputinów było trzech. Pierwszy to wyrosły z ludu samozwańczy prorok, budzący chorą ekscytację odrealnionych petersburskich elit (ze szczególnym uwzględnieniem damskiej ich części, która, umierając z nudy w towarzystwie mężów-sztywniaków, otrzymywała w tym jurnym, bezceremonialnym, mądrym ludową mądrością syberyjskim chłopie dawkę egzystencjalnej, szybko uzależniającej amfetaminy).

Ten drugi to postać stworzona przez jego wrogów: bohater (nieskutecznie blokowanych przez cara Mikołaja II, a zwłaszcza przez jego żonę Aleksandrę, znajdującą się pod totalnym wpływem Rasputina) prasowych pamfletów, rysunków, ulotek, a nade wszystko plotek podawanych początkowo tylko na petersburskich ulicach, ale wkrótce i w Moskwie, i na Syberii, i na Krymie. To Rasputin pijak, hulaka, erotyczny stachanowiec – niestrudzony postrach mężatek i deprawator dziewic. To *de facto* car (i ojciec carewicza Aleksego), zręczny biznesmen i polityk trzymający w ryzach ministerstwa i Cerkiew, przyjmujący wysokopłatne hołdy ówczesnych przedsiębiorców.

Trzeci Rasputin – to ten realny. Prosty chłop zza Uralu, niespokojny duch niemieszczący się w swojej wsi, rodzinie i w ramach swojego klasowego przeznaczenia, który trafiwszy do stolicy imperium, dzięki swej esencjonalnej „ruskości", charyzmie i (autentycznej) pobożności, szybko staje się salonową maskotką w randze ojca duchowego (starca) i proroka. Człowiek o dowiedzionym wpływie na losy państwa: na decyzje personalne i polityczne cesarza, z pewnością niemający jednak złych intencji (a czasem niegłupie pomysły). To nie chichoczący satyr czy złośliwy demiurg, lecz ofiara towarzystwa zdegenerowanego do szpiku swoją ksobnością, anachronizmem i ślepotą na to, co dzieje się w świecie. Towarzystwa, które wyhodowało go jak szczeniaka na własnej piersi, następnie zrobiło z niego wilkołaka, wreszcie – zabiło (rękami księcia Jusupowa oraz jego wspólników).

Rasputin – myślę – może być interesujący nie tylko dla tych, których pradziadkowie (jak moi) z pewnością debatowali o nim, jak my dziś o sensacjach z naszych dworów i wysokich gabinetów. Smith w swojej książce stawia bowiem pytania o historię alternatywną. O to, co by było, gdyby Mikołaj II też nie był tak zawzięcie ślepy na fakt, że żyje w XIX i XX, a nie w XVII wieku. Smith przekonuje, że gdyby Rosja nie zaangażowała się – a nie musiała – w I wojnę światową, być może nie byłoby drugiej. Nade wszystko pokazuje jednak, jak dziki, imperialny (choć wyrosły też z lęku o jedynego, ciężko chorego na hemofilię syna, na którego Rasputin miał podobno mieć uzdrawiający wpływ) upór jednej osoby – Aleksandry, trzymającej rosyjskiego samodzierżcę pod pantoflem (sama pisała w listach do cara, że to ona w tym związku musi nosić spodnie, wydawała mu za sugestiami Rasputina polecenia polityczne, a nawet dotyczące ruchu wojsk; Mikołaj często, choć nie zawsze, im ulegał) – doprowadził do roztrwonienia w ciągu kilkunastu lat pozycji, którą car wciąż miał w społeczeństwie. Jak z najwyższego kapłana rosyjskich świętości zmienił się w zahukanego kosmitę z innej galaktyki, o którym w każdej karczmie pytlowano, że żona doprawia mu rogi z „Griszką" – rozpasanym, rozpitym wieśniakiem o lepkich rękach, który w temacie kobiet był niewybredny niczym śmierć: brał wszystko.

Wierzyć się nie chce, gdy czyta się, jak konsekwentnie Mikołaj bronił Rasputina wbrew wszystkim: swojej dalszej rodzinie, dworzanom, dowódcom, wielu hierarchom, ludowi. Jak pozwalał, by ta sprawa, którą mógł załatwić jedyną decyzją: zamykając drzwi pałacu przed Rasputinem (a nie posyłając po niego samochody), powoli, lecz skutecznie, urosła do rangi gwoździa do trumny cesarstwa i dynastii (jeszcze w 1916 r. Mikołaj, którego pytano, co zamierza zrobić, by odzyskać zaufanie narodu, odbijał piłeczkę: „Co naród ma zrobić, żeby odzyskać moje zaufanie?").

Jak kompletnie nic nie zmienia się w świecie, w którym dziś też przecież – często mimo zachowania pozorów demokracji – w wielu miejscach globu, również tych nam bliskich, życie milionów toczy się w głowie jednego tylko człowieka. A jego stan wiedzy, upór, humory, osobiste fobie i sympatie zamieniają się w obowiązujące wszystkich prawo. W miejscach tych jedno z największych niebezpieczeństw dla wspólnego życia stanowią wyliniałe intelektualnie i oderwane od podłoża elity, podatne na to, by przewodników robić sobie nie z tych, którzy rzeczywiście mają coś do zaproponowania, ale z tych, których jedynym kapitałem jest tupet. Gdzie codziennie weryfikuje się prawdziwość zdania: „Gdy słońce zachodzi, nawet karły rzucają długie cienie". ©

WENEZUELA W OPARACH ABSURDU

Od 1999 r. było tu ponad dwadzieścia różnych wyborów: prezydenckich, parlamentarnych i parę plebiscytów. Wszystko po to, żeby było tak, jak jest. Socjalistyczny reżim trzyma się mocno.

DOMINIKA MATEJKO Z CARACAS I LA GUAIRY

CARLOS GARCIA RAWLINS / REUTERS / FORUM

Prezydent Nicolás Maduro na wiecu w Caracas. Wenezuela, 4 maja 2018 r.

Samolot do stolicy Wenezueli jest pełen ludzi, ale na pokładzie panuje przejmująca cisza. Nikt nie rozmawia. Stewardesy przez cały lot siedzą z tyłu, na ich twarzach nie widać śladu uśmiechu. Wszyscy wiedzą, że wkrótce wylądujemy w najbardziej niebezpiecznym mieście świata, w epicentrum socjalistycznego reżimu.

Lecę do Wenezueli przygotowana na najczarniejsze scenariusze. Może nie być jedzenia, napaści z bronią na ulicach stołecznego Caracas to codzienność, a dziennikarze nie są tu mile widziani. Miesiąc temu porwano i zamordowano trzech, z Ekwadoru.

Na lotnisku kłamię, że przyjechałam na wakacje. Z nadzieją, że nie będę musiała tłumaczyć się z pomysłu na urlop w Wenezueli. Państwo, w którym ponad połowa mieszkańców głoduje, z którego emigrują setki tysięcy ludzi, nie wydaje się najlepszym miejscem do odpoczynku. Dostaję wizę turystyczną – przepustkę do kraju pełnego absurdów.

Oczy Hugo Cháveza

Rzeczywistość za lotniskowymi bramkami jest bardziej przerażająca, niż przypuszczałam. Poboczami, w pełnym słońcu idą wychudzeni ludzie. Inni siedzą na krawężnikach i patrzą na przejeżdżające auta. Nie słychać klaksonów. Nie widać, żeby ktoś się gdzieś śpieszył. Wydaje się, jakby wszystko trwało w próżni – bez dźwięków i w zwolnionym tempie.

Stagnacja: tak jednym słowem można by opisać Wenezuelę na dwa tygodnie przed wyborami prezydenckimi. Choć słowo „wybory" byłoby tu nadużyciem: to będzie kolejne potwierdzenie socjalistycznych rządów prezydenta Nicolása Maduro, który kontynuuje „rewolucję boliwariańską", zainicjowaną przez swego poprzednika Hugo Cháveza.

Mijam budynki, na których namalowano postać byłego prezydenta. Na niektórych widać Cháveza w całej odsłonie: w czerwonym berecie, wojskowej kurtce i w geście uniesionej do góry zaciśniętej pięści. Na innych budynkach są tylko jego oczy. Soraya, która mi towarzyszy, mówi, że zawsze stara się odwracać wzrok. Czuje, jakby Chávez cały czas ją obserwował.

Przy wjeździe do miasta wisi wielki baner: „Gratulujemy ci, Maduro!". Zupełnie tak, jakby wybory były już dawno rozstrzygnięte. Na ulicznych latarniach – plakaty wyborcze.

Na każdym z nich: Maduro – i tylko on. Jest kandydatem na prezydenta z ramienia dziesięciu partii. Większość z nich została stworzona przez samego Maduro. Niektóre powstały na krótko przed ogłoszeniem terminu wyborów. Wenezuelczycy nawet nie znają ich nazw.

Dla zachowania pozorów

To jeden z absurdów kampanii. Dla zachowania pozorów demokracji w wyborach biorą udział przedstawiciele opozycji. Opozycja ta jest jednak opozycją tylko z nazwy.

Henri Falcón, który podaje się za przeciwnika prezydenta, jest jednocześnie finansowany przez rząd. Inny kontrkandydat Maduro, Javier Bertucci – pastor Kościoła ewangelickiego – to jak się zdaje prawdziwy fenomen, ale w żaden sposób nie zagraża wygranej Maduro. Pozostali dwaj kandydaci, Reinaldo Quijada i Luis Alejandro Ratti, pozostają w cieniu tego teatru.

Autentyczni przeciwnicy reżimu Nicolása Maduro, przedstawiciele koalicji partii demokratycznych – La Mesa de la Unidad Democrática (MUD) – nie uczestniczą w wyborach i uważają je za nieważne. Politycy MUD nakłaniają obywateli do bojkotu głosowania.

Wenezuelczycy nie potrzebują jednak opinii opozycjonistów z MUD, aby wiedzieć, że głosowanie jest na nic. Już od czasów Cháveza udział w jakichkolwiek wyborach w Wenezueli stracił sens. Od 1999 r. w kraju było ponad dwadzieścia wyborów: prezydenckich, parlamentarnych, parę plebiscytów – i wszystko po to, żeby było tak, jak jest. Wydaje się, że nic nie jest w stanie odebrać obecnej ekipie władzy.

Przed i po

Brak nadziei na zmianę i niechęć do udziału w wyborach – to także rezultat zeszłorocznych protestów. W kwietniu 2017 r. Wenezuelczycy podjęli próbę obalenia Maduro. Zmęczeni nieustannym kryzysem, inflacją (tylko w pierwszym kwartale tego roku ceny wzrosły o prawie 900 proc.!), niekończącymi się kolejkami w celu zdobycia czegokolwiek do zjedzenia – wyszli na ulice.

Cały kraj został sparaliżowany. Przez kilka tygodni stolica stała się miejscem jednej wielkiej permanentnej manifestacji. Uzbrojeni w butelki z benzyną i tarcze z dykty obywatele stawali naprzeciw wojska. Siły rządowe nie miały litości. Protestujących atakowano gazem łzawiącym i armatkami wodnymi (zwanymi przez protestujących „wielorybami"). Padło ponad stu zabitych i setki rannych. – Jeden z protestujących został przejechany przez czołg. Jak już leżał i nie mógł się ruszyć, czołg przejechał po nim jeszcze raz – twierdzi Johan Mujica, profesor Universidad Central de Venezuela.

Johan Mujica podkreśla, że protesty – choć nie obaliły reżimu – były jednak przełomowym wydarzeniem na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat. Że można mówić o Wenezueli w kategoriach „przed" i „po" tych protestów. Bo w historii Ameryki Łacińskiej rzadko się zdarzało, aby wśród głębokiej recesji i kryzysu obywatele zdecydowali się na tak długą i otwartą walkę przeciwko reżimowi.

To była wojna

W tamtych tygodniach roku 2017 nie działały urzędy, szkoły, uczelnie. Przemieszczanie się po mieście przypominało bieg przez przeszkody. Główne aleje i ulice były zablokowane. Trzeba było wiedzieć, którędy będzie przechodzić manifestacja i gdzie będzie przebiegać front walk z siłami rządowymi. ↦

↦ – To była wojna – mówią mi Wenezuelczycy, którzy wciąż przeżywają tamte wydarzenia. Gdy opowiadają o udziale w walkach, na ich twarzach wciąż widać emocje: strach i zaangażowanie.

Ludzie młodzi tworzyli trzon protestów. Rozmawiam z dwiema dziewczynami, które w kwietniu 2017 r. brały w nich udział.

María José wspomina, że na początku była sceptyczna. Chciała żyć spokojnie, jak wcześniej. Ale przebieg protestów był tak dynamiczny, że wszechogarniająca mobilizacja nie zostawiła przestrzeni na zwykłe funkcjonowanie. – Zrozumiałam, że się już nie da normalnie żyć. Moi rówieśnicy narażali życie za kraj. Wielu zginęło. Nie mogłam po prostu iść na uczelnię i wracać spokojnie do domu, jak gdyby nic się nie działo – wspomina María José.

Angela Luis Florenea, dwudziestoparoletnia studentka, też brała udział w walkach. Gdy o tym opowiada, zaciska nerwowo dłonie. Ma łzy w oczach.

– Nagle wystrzelili w nas pociski gazowe – wspomina Angela. – Zrobiło się totalne zamieszanie. Nie wiedziałam, co robić. Każdy biegł w innym kierunku. Trzymałam koleżankę za rękę. Nagle w tej panice zobaczyłyśmy deputowanego z opozycji z naszego stanu, z Vargas. Wykrzyczałam do niego: co robić? Pokazał, dokąd uciekać. To była, masa emocji i stresu.

– Widziałam, jak idzie na nas wojsko – opowiada dalej Angela. – Dobiegliśmy do Las Mercedes, do placu, gdzie stały namioty Czerwonego Krzyża. Myślałam, że tam jesteśmy bezpieczne. Ale rodzice koleżanki chcieli nas koniecznie stamtąd zabrać. Pojechaliśmy do niej do domu. Tam był już jej brat, który w czasie głównego starcia z wojskiem był na przodzie walk. Powiedział, że parę minut po tym, jak poszłyśmy z Las Mercedes, przyjechał oddział wojska i ostrzelał gazem namioty Czerwonego Krzyża. Zaatakowali nawet takie neutralne miejsce.

Idealiści i zobojętniali

Caracas nie jest już tym samym miastem, jakim było rok temu. Każdy plac, każda ulica naznaczona jest zeszłoroczną walką.

Las Mercedes, o którym mówiła Angela, to jedna z lepszych i bardziej bezpiecznych dzielnic. Gdyby ktoś znalazł się tu przypadkowo, bez wiedzy o protestach, mógłby pomyśleć, że to zwykła dzielnica. Wysokie budynki i domy handlowe sprawiają wrażenie normalności. Tylko na murze naprzeciw galerii handlowej wiszą czarno-białe zdjęcia ofiar starć.

> Nawet jeśli – jak mówią Wenezuelczycy – „jedyną osobą, która autentycznie go dziś popiera, jest jego własna matka”, **w nadchodzących wyborach może wygrać tylko Maduro**.

Mieszkańcy pokazują swoje miasto z perspektywy protestów. Nie trzeba pytać, co i gdzie się stało. Wenezuelscy znajomi sami zaczynają opowiadać. Gdy przejeżdżamy obok jednej z głównych ulic, Soraya wskazuje na wiadukt nad nami i mówi: – W tamtym roku tędy przebiegał główny protest. Tu wszyscy się zbierali i sparaliżowali miasto.

Gdy wsiadamy do metra, wspomina: – Ta stacja była kluczowa. Tu wszyscy się spotykaliśmy w czasie protestów. To było jakby centrum, z którego później rozchodziliśmy się do różnych części miasta.

Ale mimo mobilizacji i trwających parę tygodni protestów, nie udało się obalić rządów Maduro. Doszło co prawda do negocjacji między przedstawicielami rządu a opozycją, na neutralnym gruncie – w Republice Dominikany, jednak żaden z kluczowych postulatów nie został spełniony. Opozycja poszła na ugodę z rządem.

Nie o to chodziło obywatelom. Oni walczyli i umierali za coś innego. Chcieli zmiany rządów. Innej rzeczywistości. Rozczarowanie wynikiem negocjacji przełożyło się na brak zaufania Wenezuelczyków do opozycji. – Tu nie ma żadnej opozycji – mówią dziś.

Wielu z tych rozczarowanych wyjechało z kraju. Pozostali najbardziej wytrwali: idealiści. Oraz ci, którym już wszystko jest obojętne. Dziś Wenezuelczycy nie widzą żadnej szansy na ponowną próbę podjęcia walki.

– Ludzie skupiają się na tym, by znaleźć coś do jedzenia. Jeśli głód nie jest wystarczającym powodem do walki, to walka z pobudek ideologicznych tym bardziej jest niemożliwa – podsumowuje postawy rodaków Johan Mujica.

Angela Florenea dodaje: – Jechałam ostatnio metrem, pierwszy raz od kilku miesięcy. Zmiana, jaka nastąpiła w ludziach, jest ciężka do opowiedzenia. Jadą w metrze tacy chudzi, smutni. Wiszą na tych uchwytach jak trupy. Dokładnie tak wyglądają: jak trupy. Jakby ktoś w metrze krzyknął przez megafon, żeby się rzucili na tory, to jestem pewna, że by się rzucili.

Estetyka rewolucji

W kampanii Maduro przeważają takie hasła jak „Razem wszystko jest możliwe” i slogany przeciw „zachodniej dominacji”. Trudno doszukać się tu jakichś obietnic. Zresztą w tak dramatycznej sytuacji gospodarczej rząd nie ma wiele do zaoferowania. Robi wszystko, by utrzymać pozory normalności.

Gdy pytam byłego wiceministra sportu, jak przebiegł niedawno pochód pierwszomajowy, odpowiada: – Pięknie. Było bardzo wesoło. Ludzie śpiewali i tańczyli.

Pokazuje mi zdjęcia z pochodu. Były wiceminister pozuje na nich ze swoją dziewczyną na tle ubranego na czerwono tłumu. Nie widać, aby ktoś tańczył.

Oficjalne pochody i wiece wyborcze to kwintesencja wenezuelskiego absurdu.

O tym, że prezydent Maduro miał przyjechać do La Guairy w środę 2 maja, dowiadujemy się tego samego dnia rano. Jeszcze poprzedniego dnia nie było komunikatów zapowiadających wiec Maduro w tym portowym mieście. Do końca nie wiadomo, czy informacja jest prawdziwa. Dopiero tłum ubranych na czerwono robotników zmierzających do fabryk potwierdza nam prawdziwość informacji o oczekiwanej wizycie prezydenta.

A skąd ten czerwony ubiór? Pytani, wyjaśniają, że gdy jest oficjalne wystąpienie Maduro, wszyscy rządowi pracownicy i robotnicy są zobowiązani ubrać się na czerwono, pod kolor rewolucji.

Ryż wyborczy

Wizyta prezydenta Maduro wzbudza niepokój w mieszkańcach La Guairy.

Wiadomym jest, że na kilkanaście godzin miasto będzie sparaliżowane. Ci, którzy wyjechali rano do Caracas, nie będą mogli wrócić na noc do domu. Całe miasto jest otoczone przez wojsko. Żołnierze uzbrojeni w karabiny są na każdej ulicy, na każdym moście, na każdej kładce. Wojsko stoi nawet po pas w wodzie, wzdłuż całej linii brzegowej.

Wszystko ze względów bezpieczeństwa. Nie naszego, lecz Maduro. Choć La Guaira jest oddalona tylko 20 minut drogi od Caracas, prezydent dociera tu helikopterem.

Wenezuelscy znajomi radzą, żebym nie szła na wiec. Mówią, że to niebezpieczne, że „nikt normalny nie chodzi na wiece” i że „zaraz się zorientują, że nie jesteś od nich”. Ostrzegają, że mogą zatrzymać i przesłuchać. Jednak decyduję się pójść.

Wiec zaczyna się z kilkugodzinnym opóźnieniem. Zmęczeni upałem ludzie przysypiają. Większość jest odwrócona tyłem do stojącego na trybunie Maduro. Przy wejściu za bramki nikt mnie nie sprawdza. Zaskakująco mało osób zebrało się wokół trybuny. W trzydzieści sekund jestem pod sceną, z której przemawia Maduro. Wygłasza standardowe hasła o zachodnim imperializmie i brutalnej interwencji obcych krajów, która doprowadziła do obecnej sytuacji.

Nagle wokół mnie zaczyna się robić gęsto. Aparat fotograficzny i moja obecność wzbudzają większe zainteresowanie niż przemówienie prezydenta.

Znajomi wyjaśnią potem, że nikt dobrowolnie nie uczestniczy w wiecach Maduro.

Jedna z nich powie: – Mój wujek był dziś na tym wiecu. Musiał iść, bo pracuje w instytucji finansowanej przez rząd. Opowiadał, że gdy rano przyjechał do zakładu, od razu poprosili go o Carnet de la Patria [Karta Ojczyzny: dokument, który uprawnia do odbioru tzn. bonusów przyznawanych przez rząd]. Musiał podpisać listę obecności, potem wsadzili ich do autobusu i zawieźli na wiec. A po wiecu dostał worek ryżu za obecność i mógł wrócić do domu.

I znów Maduro

Dzisiaj w Wenezueli nie ma planu B. Nikt nie jest w stanie zaszkodzić prezydentowi. Nawet jeśli, jak mówią Wenezuelczycy, „jedyną osobą, która autentycznie popiera dziś Maduro, jest jego własna matka”, w nadchodzących wyborach może wygrać tylko on.

A wszystko po to, żeby dalej z uporem wcielać idee „rewolucji boliwariańskiej”. I żeby przy okazji zgarnąć tyle pieniędzy z nielegalnego przemytu ropy i narkotyków, ile się tylko da.

Zmęczeni i zniechęceni, Wenezuelczycy składają broń.

© DOMINIKA MATEJKO

AP PHOTO / MIRAFLORES PRESS / EAST NEWS

Przywódcy Wenezueli i Kuby, Hugo Chávez i Fidel Castro. Kubańska prowincja Sandino, 2005 r.

Policzone dni mesjanistycznej lewicy

MARCIN ŻUREK Z MIASTA MEKSYK

Kryzys wenezuelski to nie tylko zapaść wewnętrzna. To także bankructwo rewolucyjnej lewicy w Ameryce Łacińskiej. Przy czym bankrutowała ona już wielokrotnie, i to przez ostatnich 50 lat.

Gdyby komunistyczny reżim Fidela Castro przewidział, jakie skutki będzie mieć to z pozoru kolejne tylko aresztowanie ludzi oskarżonych o „działalność kontrrewolucyjną”, być może dałby im spokój. Ale nie dał: był rok 1971, gdy Heberto Padilla i jego żona Belkis Cuza Malé – oboje poeci – trafili za kraty. Zmuszeni do złożenia samokrytyki, sami sobie zarzucili, iż są wrogami ustroju. Nieoczekiwanie areszt i pokazowe upokorzenie spotkały się z protestami nie tylko zachodnich rządów (to było przewidywalne), ale też ludzi lewicy, którzy dotąd popierali Castro – jak Susan Sontag i Jeana-Paula Sartre’a, a także pisarzy z Ameryki Łacińskiej. ↦

↦ Wprawdzie małżonkowie szybko wyszli na wolność (przez kolejne lata mieli żyć na Kubie jako pariasi, aż zezwolono im na wyjazd do USA), lecz ich los stał się ostrzeżeniem przed autorytarnymi skłonnościami Castro. Z fascynacji rewolucyjną Kubą wyleczyli się wtedy Mario Vargas Llosa i Carlos Fuentes. Ale nie Gabriel García Márquez – paradoksalnie to autor „Jesieni patriarchy", uznanej za summę latynoskich dyktatur, cierpiał na tę fascynację do końca życia.

Nie tylko Kuba

Podobnych dylematów od dawna nie miał już wtedy pisarz Guillermo Cabrera Infante, wspominający, że Castro miał zwyczaj znacząco wymachiwać pistoletem podczas odwiedzin w redakcji pisma „Lunes de Revolución" – pistolet miał dodawać mocy argumentom. Albo Rafael Díaz Balart: wiceminister spraw wewnętrznych w rządzie dyktatora Fulgencio Batisty, a prywatnie szwagier Fidela Castro. Już w połowie lat 50. ostrzegał: „Jeśli Castro zdobędzie władzę, to ustanowi najgorszą dyktaturę w dziejach Kuby, której nie obalimy przez 20 lat".

Reżim kubański bankrutował później często i widowiskowo. A lata 90. XX stulecia przyniosły, wraz z upadkiem Związku Sowieckiego, kryzys gospodarczy, którego – zdawało się – nie była już w stanie usprawiedliwić najbardziej obłudna demagogia. Argentyńczyk Andrés Oppenheimer – jeden z najbardziej szanowanych komentatorów latynoskich – wydał ćwierć wieku temu książkę o najbardziej może chybionym tytule w historii Ameryki Łacińskiej, a już na pewno w swojej karierze: „Ostatnia godzina Castro".

Jak widać, mimo śmierci Fidela reżim na Kubie trzyma się, a ostatnio dokonał sukcesji: nowym przewodniczącym Rady Państwa (odpowiednik urzędu prezydenta) został sprawdzony aparatczyk, 58-letni Miguel Mario Díaz-Canel Bermúdez, polityczny wychowanek braci Castro.

Niemal od początku policzone miały być także dni Hugo Cháveza, który w 1999 r. został prezydentem Wenezueli. Los jego „rewolucji boliwariańskiej" był rzekomo przesądzony już 16 lat temu, gdy został odsunięty od władzy w zamachu stanu. Ale zaledwie dwa dni później, wśród szczerych lub opłaconych wiwatów tłumu, obejmował ją na nowo, by nie oddać jej aż do śmierci w 2013 r. Także tu doszło do kontrolowanej sukcesji: następca Cháveza, prezydent Nicolás Maduro, kontynuuje kurs poprzednika – mimo kryzysu i nędzy, w jaką „chávizm" wpędził Wenezuelę. Krwawo tłumi protesty, a jego reelekcja w tym miesiącu została już „zabezpieczona" tak skutecznie, że wydaje się formalnością (choć pewnie znów będą protesty i ofiary).

Dziedzictwo „chávizmu"

Socjalistyczna „rewolucja boliwariańska" przyniosła powolną, ale systematyczną erozję instytucji demokratycznych. Nadużycia rządu i wybiegi mające na celu obejście prawa uczyniły z podziału władzy fikcję. Wenezuela przestała być krajem wolnym. Nie ma dowodów, że w ciągu 14 lat rządów Chávez dopuścił się oszustwa wyborczego. Ale nie musiał się do niego uciekać: posłuszna mu Komisja Wyborcza przymykała oko na promowanie ze środków publicznych posłusznych kandydatów. Reżim niszczył wolne media, zmuszając reklamodawców do bojkotowania nieprzychylnej mu prasy i tworząc wokół niej klimat „sługusów imperializmu".

Wenezuela to kolejny przypadek pseudolewicowej mistyfikacji, budzącej na początku entuzjazm mas, wyzwalanych spod „imperialistycznych opresji".

Już po dekadzie bilans gospodarczy był niepokojący, zaczęło brakować żywności. Protesty kryminalizowano, a sądy podporządkowano rządowi (dymisjonującemu sędziów, którzy wydawali niekorzystne dlań wyroki). Wobec kurczącego się mandatu społecznego, Chávez przyznał sobie w 2010 r. specjalne prerogatywy – jego autorytarne ambicje stały się ewidentne.

Nicolás Maduro – obecny prezydent, namaszczony przez umierającego na raka Cháveza – odziedziczył „rewolucję boliwariańską", nie był jednak w stanie jej kontynuować w drodze socjotechnicznej „wioski potiomkinowskiej", w czym Chávez był wirtuozem. Ale kryzys wenezuelski to dziś coś więcej niż spór „rewolucjonistów" z „imperialistami" (jak chce Maduro) czy zwykły impas polityczny, który nie jest obcy większości państw Ameryki Łacińskiej. To sytuacja spełniająca kryteria kryzysu humanitarnego.

Gwiazda Cháveza nie błyszczała (dopóki błyszczała) jedynie dzięki jego charyzmie, klientelistycznym ambicjom socjalnym i eksploatowaniu hasła „walki z imperializmem", lecz dzięki największemu boomowi naftowemu w historii Wenezueli, który niemal zbiegł się z jego rządami. Innymi słowy: dzięki bilionowi dolarów z ropy, które – wraz z zaciąganymi kredytami – finansowały nie tylko napędzające jego popularność programy socjalne, ale skrajną lewicę w USA, Europie i Ameryce Łacińskiej. Chávez szastał cudzymi pieniędzmi, opłacając partie i kampanie, organizacje pozarządowe i przymierza międzynarodowe. I biorąc na siebie ratowanie socjalistycznej Kuby: jednej z większych aberracji w historii kontynentu.

Wielkie oszustwo

Budżet długo zdawało się, że jest niewyczerpany, bo Chávez nie brał pod uwagę załamania cen ropy. Miał trzy priorytety: politykę społeczną (zapewniającą wsparcie klas najuboższych), geopolitykę (czyniącą z niego – głosem lewicowych radykałów – bojownika o suwerenność kontynentu) i dobrobyt elit „rewolucyjnych", zmieniający kraj w kleptokrację. Do tego doszły masowe wywłaszczenia, które dotykały i wielki kapitał, i sklepiki na rogu – bo ruina wielkich spółek oznaczała coraz bardziej katastrofalny kryzys gospodarczy, dosięgający wszystkich.

Wenezuela „boliwariańska" to lewicowa utopia, autorytaryzm wojskowy i niewydolność rządu – recepta na zapaść, którą oddalały przez lata ogromne dochody z ropy, lecz której potem nie dało się już tuszować. Jak powiada Joaquín Villalobos, były *guerrillero* salwadorski, a potem doradca rządu Kolumbii ds. procesu pokojowego: „Wszystko okazało się wielkim oszustwem; skrajna lewica okłamywała chavistów, wojskowi okłamywali skrajną lewicę, Kuba okłamywała Wenezuelę, chaviści okłamywali samych siebie, a wszyscy wspólnie oszukali najbiedniejszych".

Skutek? Poziom ubóstwa przekracza obecnie 80 proc., a trzy czwarte społeczeństwa niedobrowolnie straciło na wadze (średnio po blisko 8 kilogramów). Dochód narodowy jest niższy o 40 proc. niż przed kilkoma laty, co oznacza spadek większy niż w czasie Wielkiego Kryzysu

w USA z początku lat 30. czy w trakcie kubańskiego „okresu specjalnego” z lat 90. XX stulecia. Pensja minimalna zmniejszyła się pod koniec władzy Cháveza i za rządów Maduro o ponad 75 proc., a siła nabywcza zarobków przeliczana na najtańsze kalorie spadła o niemal 90 proc. Wenezuelska katastrofa nie ma analogii w historii Zachodu, a nawet Ameryki Łacińskiej.

Pośmiertna obrona

Przed ponad 10 laty – gdy mówiło się, że Ameryka Łacińska skręca w lewo – „Tygodnik Powszechny” (nr 9/2007) pisał, że „prezydent Wenezueli Hugo Chávez opowiada o budowie »socjalizmu XXI wieku«, posługuje się antyamerykańskim, ropą płynącym populizmem. Szasta naftowymi dolarami na dowód, że na sercu leży mu los biedoty. Rozwodzi się nad geniuszem Fidela Castro w przekonaniu, że na tym właśnie polega lewicowa wrażliwość na niesprawiedliwości kapitalizmu – i mało go obchodzi, że prowadzi kraj ku ruinie”.

Dziś ruina dwóch największych projektów lewicowych w historii Ameryki Łacińskiej jest faktem, ale wciąż nie brakuje tych, co (pośmiertnie) bronią Fidela Castro i Hugo Cháveza albo wręcz wyznają ich kult. To nie ciekawostka z dziedziny hagiografii socjalistycznej. Mamy tu do czynienia z głosami opiniotwórczymi – i ze zgubną tezą, że warunkiem pomyślności wykluczonych i zapomnianych przez Historię jest walka z Imperializmem.

Wenezuela to kolejny przypadek pseudolewicowej mistyfikacji, budzącej początkowy entuzjazm mas, wyzwalanych spod „imperialistycznych opresji”. Wprawdzie wychodzą one ostatecznie na ulice – jak dziś przeciw Maduro – ale zwykle okazuje się, że za późno. Prawie 20 lat „rewolucji boliwariańskiej” to okres, który duża część społeczeństwa uznaje za stracony.

Socjalistyczny Dawid i imperialistyczny Goliat

Gdy w 2016 r. zmarł Fidel Castro – przekonany, że uszczęśliwił Kubańczyków – uderzało, że w Ameryce Łacińskiej odchodził on inaczej niż w świecie nawykłym do demokracji: powtarzano tu, że zmarł „mąż stanu”, „bojownik o niezbywalne prawa człowieka”, „gigant równy Mandeli”. Bo tu, w Ameryce Łacińskiej, „Fidel” (już Cabrera Infante obruszał się na tę poufałość, co brutalnego satrapę czyniło sympatycznym gościem) często jest nadal „dającym światu przykład gigantem, co swym odejściem niejedną wyciska łzę” (z listu wystosowanego do nieżyjącego już adresata przez byłego prezydenta Urugwaju). „Komendant wszech czasów” – wtórował Nicolás Maduro. „Jak moglibyśmy go nie kochać” – dopowiadał *vox populi*. Napomykano wprawdzie nierzadko o dyktatorskich gustach Castro, ale nie widząc w nich dolegliwości dyskwalifikującej.

Zjawisko to wydaje się mieć trzy źródła. Pierwszym jest zwykła ignorancja, odbierająca możność oceny sytuacji na Kubie. Pozostałe dwa zniekształcają tę ocenę od dziesięcioleci i nic w wielu krajach latynoskich nie wskazuje na ich zmierzch.

Z jednej strony refleksja *post mortem* – dotycząca samego Fidela Castro i jego rewolucji w ogóle – skażona jest mitem „mikroskopijnej wyspy opierającej się imperialnym aspiracjom jankeskiego giganta i walczącej o godność narodu kubańskiego”. Suwerenność jest w Ameryce Łacińskiej wartością wagi najwyższej. Doprowadza się ją do skrajności – nieznanych w tradycji innych państw – co z kolei ma źródło w historii kolonialnej opresji i postkolonialnego uzależnienia. Stąd wpisana niejako w narodowy charakter fobia przed rzekomymi zagrożeniami, które po trzeźwych oględzinach okazują się często iluzoryczne. Cena za suwerenną afirmację – fundamentalną dla rewolucji kubańskiej – postrzegana jest jako drugorzędna, choćby miała oznaczać opresję polityczną i społeczną.

I wreszcie: wyrażany nawet przez krytyków podziw dla Fidela Castro wynika z pomylenia etyki środków z etyką celów (problem nie tylko latynoski). Ta pierwsza odrzuca tezę o celach uświęcających środki. Ta druga natomiast zakłada, że „sprawiedliwość dziejowa” pozwala na obojętność wobec losów jednostek – i to w jej kontekście ocenia się często projekty lewicowe czy komunistyczne. Bardziej niż w Europie rozpowszechnione jest w Ameryce Łacińskiej przekonanie, że szlachetne jakoby ideały komunistyczne stanowią uzasadnienie nawet dla zbrodni. Zgodne z krytykowaną już przez rosyjskiego myśliciela Aleksandra Hercena tezą, że „dzisiejsze generacje są tylko kariatydami tarasu, na którym tańczyć będą przyszłe pokolenia”.

Spory o trumnę

Podobne akademie odbywają się dziś nad grobem „rewolucji boliwariańskiej” w Wenezueli, a mowy wygłaszają strażnicy latynoskiej lewicy i denuncjatorzy imperialistycznych spisków. Nie dziwi, że także Maduro oskarża CIA (miałaby konspirować z Kolumbią i Meksykiem, by doprowadzić do jego upadku). Logika rządów mesjanistycznej lewicy zawsze wiedzie do oskarżeń wobec wroga zewnętrznego.

Gorzej, gdy podobnego zdania są intelektualiści, jak Argentyńczyk Atilio Borón. Zapewniał on, że Chávez został przez imperialistów zamordowany za pomocą zdalnie aktywowanych cząsteczek promieniotwórczych, i wzywał Maduro do wzmożenia represji oraz „zgniecenia opozycji”.

Boliwijski socjolog Eduardo Paz Rada konstatuje zaś, że obserwujemy nasilenie „sabotażu wymierzonego w wolnościowy projekt Maduro oraz inne projekty nacjonalistyczne i antyimperialistyczne na kontynencie”. W jego ocenie ambicją Cháveza było skończyć z hegemonią imperializmu USA i wenezuelskiej oligarchii. Dodaje, że wsparcie dla Wenezueli (tj. dla Maduro) to wyraz latynoskiej solidarności.

Po nich przyjdą inni

Ale błędem byłoby ignorować społeczne poparcie dla „rewolucji boliwariańskiej”, popularność mitu suwerenności utraconej z winy spisku USA czy potencjał antyimperialistycznych haseł. Nie jest już możliwe, by Maduro ocalił projekt Cháveza bez coraz brutalniejszych represji. Ale naiwne byłoby mniemanie, że wraz z upadkiem socjalistycznej Wenezueli skończy się mit mesjanistycznej lewicy latynoskiej.

Chávez pozostanie dla wielu męczennikiem. Nie można wykluczyć, że znajdą oni sobie kolejnego mesjasza, który podejmie walkę z imperializmem. Aż do momentu, gdy okaże się – jak zwykle za późno – że nikomu się to nie opłaciło.

© MARCIN ŻUREK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

Chmury nad Bejrutem

AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA Z LIBANU

Wygrana Hezbollahu w Libanie to kolejny sygnał dla USA, Izraela i Arabii Saudyjskiej, że wpływy wrogiego im Iranu – wspierającego Hezbollah i syryjski reżim Baszara al-Asada – są na Bliskim Wschodzie coraz większe.

W niedzielę 6 maja, po raz pierwszy od dziewięciu lat, Libańczycy mogli w końcu wybrać nowy parlament. W końcu, gdyż w ciągu tego czasu parlament kilka razy przedłużał swój mandat (łamiąc konstytucję), rząd upadał dwukrotnie (w 2011 i 2013 r.), a dodatkowo przez dwa i pół roku posłowie nie mogli porozumieć się co do wyboru prezydenta.

Głównym powodem niezwoływania wyborów miały być kwestie bezpieczeństwa, związane z wojną w sąsiedniej Syrii – trwającej od 2011 r.; w jej efekcie do 4,5-milionowego Libanu przybyło ponad milion uchodźców. Później rozpisanie wyborów blokował brak porozumienia w kwestii systemu wyborczego.

Wypracowany wreszcie kompromis – system proporcjonalno-większościowy – miał tchnąć nowego ducha w politykę w Libanie, dać szansę kandydatom niezależnym, rozbić dominację politycznych klanów i zwiększyć frekwencję. Liczono, że impulsem będzie też bezprecedensowa liczba 86 kandydujących kobiet i 700 tys. osób głosujących po raz pierwszy w życiu.

Ale nadzieje pokładane w nowym systemie okazały się płonne. Wybory skonsolidowały stare podziały, potwierdziły pozycję ugruntowanych ugrupowań, a nowy parlament nie zwiastuje zmian. Frekwencja wyniosła tylko 49 proc., o pięć mniej niż w 2009 r. – co pokazuje, że zmęczeni podziałami i skorumpowanym systemem Libańczycy nie widzą szans na zmianę.

Sukces Hezbollahu

Głównymi zwycięzcami okazali się Hezbollah – szyicka Partia Boga – i jej sojusznicy: zdobyli łącznie, według wstępnych kalkulacji, 57 ze 128 miejsc w parlamencie. Jeśli kruchy sojusz Hezbollahu, szyickiego Amalu i chrześcijańskiego Wolnego Ruchu Patriotycznego prezydenta Michela Aouna przetrwa, może poważnie wpłynąć na kształt rządu i sytuację w kraju. Ale sojusze mogą ulec zmianie, a sam Hezbollah wprowadzi do parlamentu tylko 14 posłów, podczas gdy jego główny sojusznik Amal – 13.

Wynik wyborów oznacza za to polityczne zwycięstwo Hasana Nasrallaha, przywódcy Hezbollahu – organizacji wspieranej przez Iran i zaangażowanej militarnie w Syrii po stronie prezydenta Baszara al-Asada. Partia Boga uznawana jest za organizację terrorystyczną m.in. przez USA, a jej pion militarny przez Unię Europejską i Australię. Hezbollah powstał w latach 80. XX w. jako grupa „islamskiego oporu" przeciw izraelskiej okupacji południowego Libanu, która zaczęła się wraz z wojną libańsko-izraelską w 1982 r., a zakończyła wycofaniem Izraela w 2000 r. Od tamtej pory Hezbollah nie złożył broni.

Mimo sprzeciwu znacznej części społeczeństwa Libanu wobec udziału Hezbollahu w wojnie syryjskiej, partia i jej sojusznicy zdołali zdobyć cztery dodatkowe mandaty w Bejrucie, tradycyjnie głosującym na sunnicki Strumień Przyszłości premiera Saada Haririego (ten zdobył w stolicy jedynie pięć miejsc). Hezbollah stracił natomiast w swym tradycyjnym przyczółku na południu kraju, co mogło być spowodowane zmęczeniem tamtejszej społeczności przedłużającymi się napięciami przy granicy z Izraelem.

Nowy układ wzmacnia więc pozycję sojuszników Iranu w Libanie i Syrii kosztem wspieranego przez Zachód i Arabię Saudyjską Strumienia Przyszłości. Iran konsoliduje swój wpływ w regionie, podczas gdy Arabia Saudyjska sukcesywnie traci wpływ na Liban.

W więzach kompromisów

Mimo wyniku Hezbollahu trudno mówić o wielkich wygranych i przegranych. To skutek libańskiego systemu politycznego, który bazuje na proporcjonalnym podziale najwyższych stanowisk w kraju między przedstawicieli głównych religii.

Na mocy porozumienia z Taif z 1989 r., które kończyło 15-letnią wojnę domową, miejsca w parlamencie i rządzie rozdzielane są na bazie kwot dla wszystkich religii, zapewniając równomierny podział miejsc dla chrześcijan i muzułmanów. Dodatkowo – wedle zasady sięgającej 1943 r. i uzyskania przez Liban niepodległości – na prezydenta zawsze wybierany jest chrześcijanin maronita, na premiera – sunnita, a na przewodniczącego parlamentu – szyita.

Tym samym misja sformowania nowego rządu przypadnie zapewne dotychczasowemu premierowi Saadowi Haririemu, którego Strumień Przyszłości tworzy największą sunnicką frakcję w nowym parlamencie (20 posłów). Udział przedstawicieli Hezbollahu i ich aliantów w rządzie będzie większy niż dotąd, ale nie obejdzie się bez kompromisów – nawet jeśli ostra retoryka głównych sił politycznych w trakcie kampanii mogła sugerować coś innego.

Nasrallah kontra Hariri

W ostatnim tygodniu przed głosowaniem Nasrallah oskarżył premiera Haririego o wspieranie tzw. Państwa Islamskiego i innych sunnickich grup terrorystycznych. Zwracając się do swych sympatyków w dolinie Bekaa – mateczniku libańskich szyitów – lider Hezbollahu mówił, że jego konkurenci stoją „po stronie zbrojnych grup terrorystycznych, które chciały najechać Bekaa". Podkreślał, że Hezbollah wywiązał się ze swej roli, jaką miało być zapewnienie bezpieczeństwa Libanowi po wojnie z Izraelem latem 2006 r., podczas gdy Strumień nie spełnił swej obietnicy, że sytuacja gospodarcza się poprawi.

Hariri ripostował, że Hezbollah nie ma prawa oskarżać jego partii o wspieranie ekstremizmu, bo „jeśli ktoś to robi, jest to Hezbollah". Odnosząc się do słów Nasrallaha w dolinie Bekaa dodał, że starcie wyborcze rozgrywa się między dwoma rywalami: obozem „państwa prawa i instytucji, kontroli nad decyzjami i instytucjami państwa, ochrony kraju przed wojnami w regionie" a obozem (w domyśle: Hezbollahu), który angażuje kraj w regionalne wojny.

Gdy w niedzielę wieczorem ogłoszono wyniki, podgrzane emocje nie opadły: krzycząc „Bejrut stał się szyicki", grupa mężczyzn zawiesiła flagę Hezbollahu na

pomniku premiera Rafika Haririego (ojca Saada), który zginął w 2005 roku w zamachu (zabójstwo to przypisuje się Hezbollahowi).

Po tym zaś, jak kolumny motocykli z flagami Hezbollahu i Amalu zjawiły się w dzielnicach chrześcijańskich i sunnickich, rząd wprowadził tymczasowy zakaz jazdy na motocyklach i zarządził mobilizację armii, by zapobiec zamieszkom. We wtorek doszło do starcia między druzami a chrześcijanami w Choueifat na południu (zginęła jedna osoba).

Libańska Realpolitik

Retoryka i emocje nie powinny jednak przysłonić libańskiej *Realpolitik*: jej istotą jest nadal przedłużenie porozumienia między głównymi grupami religijnymi, a tym samym graczami politycznymi. Hariri skomentował swoją porażkę lapidarnie: „To nie koniec świata". Pytany, czy jest gotowy zerwać współpracę z Hezbollahem w rządzie, odparł, że próbowano już tego w przeszłości i skończyło się to paraliżem państwa. „Liban może być rządzony jedynie przez wszystkie grupy. Ci, którzy uważają inaczej, oszukują się. Powinniśmy pracować wspólnie, by zbudować kraj" – mówił Hariri.

Jednak to właśnie problemy, których rząd Haririego nie umiał rozwiązać w ostatnich latach – jak zadłużenie państwa, bezrobocie i korupcja, a także notoryczne przerwy w dostawach prądu czy kryzys z wywozem śmieci – przyczyniły się do porażki Strumienia Przyszłości. Porozumienie Haririego z Hezbollahem, przez wielu Libańczyków postrzegane jako słabość i kompromis z terrorystami, dołożyło swoje i zniechęciło do udziału w wyborach.

Także Nabih Berri – lider partii Amal i obecny przewodniczący parlamentu – wezwał do szybkiego utworzenia rządu w duchu porozumienia. „Jedność narodowa i współistnienie to jedyny prawdziwy wynik tych wyborów" – mówił. Z kolei Nasrallah stwierdził, że retoryka oparta na podziałach nie powinna być kontynuowana: „Jeśli chcemy, by kraj przetrwał, a jego problemy zostały rozwiązane, musimy współpracować i rozwiązywać konflikty".

Następny rząd, podobnie jak obecny, będzie więc rządem jedności, a władza podzielona będzie między różne frakcje, zmuszone do wspólnego rządzenia. Sukces nowego rządu leży także w interesie Hezbollahu, który zapewne będzie chciał wprowadzić do niego jak najwięcej swoich ministrów.

Niełatwym zadaniem dla nowego rządu będzie utrzymanie stałego przypływu pomocy ekonomicznej z Arabii Saudyjskiej (wrogiej Hezbollahowi i Iranowi), a także pozyskanie zagranicznych pożyczek. W zamian za to Hezbollah będzie miał za zadanie nie dopuścić do tego, by wojna w Syrii przeniosła się do Libanu i zamieniła w konfrontację z Izraelem.

Zwłaszcza to ostatnie może być dziś nie lada wyzwaniem.

W cieniu nowej eskalacji

Wygrana Hezbollahu to bowiem kolejny sygnał dla USA, Izraela i sunnickiej Arabii Saudyjskiej, że wpływy wrogiego im Iranu – wspierającego Hezbollah i syryjski reżim Asada – są na Bliskim Wschodzie coraz większe. Po libańskich wyborach minister edukacji Izraela napisał na Twitterze: „Hezbollah = Liban". I dodał, że „Izrael nie będzie rozróżniać między suwerennym Libanem a Hezbollahem i będzie traktować Liban jako stronę odpowiedzialną za wszelkie działania podejmowane z jego terenu".

8 maja wieczorem prezydent Donald Trump ogłosił, że wycofuje się z porozumienia nuklearnego z Iranem, podpisanego w 2015 r. przez stałych członków Rady Bezpieczeństwa ONZ, Unię Europejską i Niemcy. Na jego mocy Iran zobowiązał się zatrzymać swój program nuklearny w zamian za zniesienie sankcji nałożonych przez ONZ, USA i Unię. Europejscy sygnatariusze zapowiadają, że chcą uratować porozumienie.

Wkrótce po ogłoszeniu decyzji przez Trumpa, Izrael zaatakował rakietami irańskie obiekty wojskowe w Syrii (w atakach miało zginąć kilkanaście osób, w tym ośmiu Irańczyków). Miał to być odwet za irański atak na izraelskie pozycje na Wzgórzach Golan, na pograniczu z Syrią; podobno część z irańskich rakiet została przechwycona przez izraelski system antyrakietowy. Byłby to pierwszy bezpośredni ataki Iranu na Izrael.

Rosnące napięcie między Izraelem i Iranem sprawia, że nie można wykluczyć także zaognienia na linii Hezbollah–Izrael. Nowy libański rząd zacznie pracę w momencie wielkiej niepewności dla regionu i świata. W jego interesie jest niedopuszczenie do tego, aby konflikt przeniósł się na teren Libanu – przynajmniej to pozwala wierzyć, że wzmocniona pozycja Hezbollahu nie musi oznaczać konfrontacji z południowym sąsiadem. ©

Tekst ukończono w czwartek 10 maja.
O wyborach w Libanie pisze także Wojciech Jagielski – czytaj na powszech.net/liban

Dzień po wyborach: radość zwolenników Hezbollahu. Marjayoun w Libanie, 7 maja 2018 r.

AZIZ TAHER / REUTERS / FORUM

GLEB GARANICH / REUTERS / FORUM

Nowy premier Armenii Nikol Paszinian, tutaj jeszcze jako lider protestów na wiecu w Erywaniu, 25 kwietnia 2018 r.

Druga ormiańska rewolucja

WOJCIECH JAGIELSKI

Bez jednego strzału, bez jednej wybitej witryny, w Armenii doszło do rewolucji i obalenia „układu zamkniętego", który rządził od ćwierć wieku. Nowym premierem został przywódca buntu.

Gdyby nie barykady przegradzające główne ulice Erywania, gdyby nie liczni dziennikarze z całego świata i kordony policji wokół najważniejszych urzędów – można by pomyśleć, że w armeńskiej stolicy trwa nie rewolucja, lecz zabawa. Taka, na którą ściągnęła młodzież z całego kraju, aby – wymachując flagami i balonikami w narodowych barwach – przemierzać miasto w karnawałowych pochodach.

Za dnia demonstranci paradowali po Erywaniu, unieruchamiając na całe godziny główne ulice i skrzyżowania. I choć miasto dusiło się w korkach, nikt nie zwracał się przeciwko nim. Przeciwnie, z każdym dniem przybywało uczestników pochodów i manifestacji. Z paru tysięcy szybko zrobiło się kilkanaście, potem kilkadziesiąt. Aż ostatniego dnia, 1 maja, gdy młodzi sparaliżowali już nie tylko stolicę, lecz cały kraj, na wieczorny wiec na placu Republiki przyszło ponoć ćwierć miliona ludzi.

Układ zamknięty Sarkisjana

Najpierw, maszerując przez miasto, młodzi dodawali sobie otuchy okrzykami „Zrób ten krok!" i „Odrzuć Serża!". Chodziło o prezydenta: Serż Sarkisjan rządził Armenią przez ostatnie dziesięć lat. Nie mogąc ubiegać się o kolejną prezydencką pięciolatkę, jeszcze w 2015 r. kazał tak zmienić konstytucję, by oddawała całą władzę szefowi rządu, którego panowania żadne przepisy nie ograniczają. 9 kwietnia zakończył kadencję jako głowa państwa i zaraz przesiadł się na fotel premiera (17 kwietnia). Ale zajmował go tylko przez sześć dni.

Kto wie, jak potoczyłyby się sprawy, gdyby zamiast ubiegać się o posadę premiera, Sarkisjan zadowolił się mniej eksponowanym, ale też kluczowym stanowiskiem szefa rządzącej partii. Nie zadowolił się jednak. „Precz z Serżem!" – wystarczyło zawołać teraz, aby na plac zbiegły się tysiące. Wątpliwe, by tak wielki sprzeciw budziły dalsze rządy Karena Karapetiana – był on lubiany i szanowany, mimo że pełnił funkcję premiera pod prezydentem Sarkisjanem i należał do tej samej co on rządzącej Partii Republikańskiej.

Tym samym Sarkisjan – zaprawiony zarówno w politycznych, jak i szachowych rozgrywkach – popełnił najważniejszy błąd swego życia. Zamiast usunąć się

w cień, uparł się, aby dalej rządzić jako premier. Zamknięty od ponad ćwierć wieku w gabinetach (ministerialnych, premierowskich i prezydenckich) nie dostrzegł, jak bardzo Ormianie są zmęczeni, udręczeni i upokorzeni jego rządami.

64-letni dziś Sarkisjan nie pojął także na czas, jak bardzo obywatele pragną odmiany – tego, aby odszedł wraz ze swoimi urzędnikami, dygnitarzami i zaprzyjaźnionymi oligarchami, którzy zawłaszczyli armeńskie państwo i gospodarkę. Pod koniec prezydenckiej dekady Sarkisjana ustrój Armenii nazywano „układem zamkniętym", do którego hasło dostępu znali jedynie rządzący i ich sojusznicy.

Trzeba oddać Sarkisjanowi, że dziś szybko swoją pomyłkę zrozumiał. I że nie bronił władzy za wszelką cenę, jak inni. Kiedy zorientował się, jak wielu ma przeciwników, ustąpił i – jakby przepraszając – powiedział: „Myliłem się. Rację miał Nikol Paszinian".

42-letni Paszinian od pierwszego dnia przewodził ulicznym pochodom. Nikt go nie wybierał do tej roli – za sprawą dynamiki wypadków stał się niekwestionowanym przywódcą ormiańskiej rewolucji. Kiedy więc Sarkisjan złożył stanowisko szefa rządu, młodzież ruszyła ulicami wołając „Nikol na premiera!".

Wojna założycielska

Takich tłumów, jakie wyszły na ulice Erywania w drugiej połowie kwietnia i pierwszego dnia maja 2018 r., nie widziano od końca lat 80. XX w. – czyli od czasu, gdy Ormianie, przeczuwając rychły upadek pogrążonego w kryzysie Związku Sowieckiego, postanowili wykroić z jego gruzów własne niepodległe państwo. Wolności domagano się wtedy na śródmiejskim placu Lenina i placu Teatralnym – to tam schodziły się tysiące upojonych nagłą swobodą ludzi.

Przyjeżdżałem wtedy do Erywania i zwłaszcza w upalne letnie dni myślałem, że tak właśnie mógł wyglądać Bejrut ogarnięty wojenną gorączką. Bo wówczas to Liban uchodził za krainę wojny i chaosu: rozpalone twarze wiecujących, chrapliwe krzyki trybunów ludowych, zagrzewających do walki i jedności, obwieszeni karabinami brodaci bojownicy-fedaini wyruszający na front lub przybywający z niego na krótką przepustkę...

Narodzinom niepodległej Armenii też towarzyszyły wojna i cierpienie. Poszło o Górski Karabach – ormiańskie ziemie, które kilkadziesiąt lat wcześniej rosyjscy bolszewicy, zabiegający wtedy o życzliwość Turcji, oddali jej azerskim krewniakom. W ten sposób Karabach znalazł się w strukturze azerbejdżańskiej republiki sowieckiej.

Tymczasem Ormianie uważali Turków i Azerów za najgorszych wrogów. Sto lat temu, podczas I wojny światowej, w imperium osmańskim doszło do pogromów Ormian, których Turcy uznali za wysługujących się Rosji zdrajców. W mordach i podczas tułaczki przez pustynie zginęło ponad milion ludzi. Jako poddani Związku Sowieckiego karabascy Ormianie mogli tylko cierpliwie znosić swój los i przymusowe sąsiedztwo z Azerami. Ale gdy imperium zaczęło się rozpadać, zażądali prawa do zjednoczenia z Armenią.

Imperium sowieckie jeszcze trwało, gdy w 1988 r. w Górskim Karabachu wybuchła ormiańsko-azerska wojna. Początkowo przewagę mieli w niej Azerowie. Później górę wzięli Ormianie, zasłużenie uważani za najlepsze wojsko na całym Kaukazie. Wspierani przez ochotników z Armenii i rozproszonej po świecie ormiańskiej diaspory, karabascy Ormianie rozgromili w 1993 r. azerskie wojsko. Wyparli je ze swoich wiosek, a dodatkowo zajęli pół tuzina sąsiadujących z Karabachem azerbejdżańskich powiatów, przekształcając je w bezludną strefę buforową.

Długi cień Karabachu

Karabaski konflikt, a także straszliwe trzęsienie ziemi, które 7 grudnia 1988 r. zabiło co najmniej 25 tys. ludzi – niszcząc największe po Erywaniu armeńskie miasta Gjumri (wówczas Leninakan), Wanadzor (Kirowakan) i Spitak – zjednoczyły Ormian zarówno w sprawie wojny, jak niepodległości. Pragnęli jej nawet posłuszni Moskwie komuniści. Nie chcąc jednak zadzierać z Rosją, tą ostatnią deską ratunku przed Turkami i Azerami, chcieli odłączyć się od reszty imperium spokojnie, bez niepotrzebnego rozgłosu i sporów.

Jako jedyni w całym imperium postanowili dochodzić niepodległości zgodnie z prawem. W konstytucji Związku Sowieckiego znaleźli umieszczony ↦

TP

„Tygodnik Powszechny" i Krakowski Festiwal Filmowy zapraszają na

SPOTKANIE WOKÓŁ FILMU „O OJCACH I SYNACH"

58.KRAKOWSKI FESTIWAL FILMOWY 58th KRAKOW FILM FESTIVAL

Tematem filmu są radykalizujące się rodziny syryjskie; relacje, w których wychowanie łączy się z treningiem do poświęcenia życia. Jak czytać wydarzenia ostatnich lat na Bliskim Wschodzie? Czy mamy do czynienia ze zderzeniem cywilizacji, jak chcieliby jedni, czy po prostu z kolejną eskalacją przemocy? Co skłania ludzi do szkolenia własnych dzieci na bojowników, którzy będą zadawać śmierć innym, sami ryzykując życiem? Z reżyserem filmu, Talalem Derkim, autorem nagradzanego „Powrotu do Homs", rozmawiać będzie Marek Rabij.

29 MAJA, KINO ARS, SALA REDUTA, GODZ. 19.00

Bilety do nabycia przez stronę festiwalu **www.krakowfilmfestival.pl** albo przed seansem; będą też do wygrania na fanpejdżu „TP" – aby uzyskać powiadomienie o konkursie, prosimy o ustawienie obserwowania strony „Tygodnika" na FB. Krakowski Festiwal Filmowy potrwa od 27 maja do 3 czerwca.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

nieopatrznie zapis, że tak jak każda republika miała prawo przyłączyć się do Kraju Rad, tak może z niego wystąpić, dopełniając pewnych procedur. Rozwiązanie to, dotąd czysto teoretyczne, Ormianie postanowili zastosować: przeprowadzili secesyjny plebiscyt, biorąc oficjalny rozwód.

Ale wolność miała gorzki posmak i nie osłodziła go nawet wygrana w karabaskiej wojnie. Azerowie zakręcili kurki w zasilających Armenię rurociągach i gazociągach, a Turcja zamknęła granicę z Armenią. Wieczne wojny w Gruzji zamknęły kolejną granicę. W pierwszych latach wolności Armenia pogrążała się więc w izolacji, biedzie i ciemnościach, a w okresie jesienno-zimowym także w przejmującym zimnie. Szacuje się, że do dziś jedna trzecia z trzymilionowej ludności kraju klepie biedę – ludzie za chlebem jadą do Rosji, a przesyłane przez ormiańskich gastarbeiterów ruble oraz inne waluty (słane z kolei przez dziesięciomilionową diasporę) stanowią znaczną część domowych budżetów.

Zwycięska wojna z Azerami miała też inny znaczący skutek: otworzyła jej weteranom drogę do karier, czyniąc poniekąd cały kraj zakładnikiem Karabachu. Lewon Ter-Petrosjan – pierwszy prezydent niepodległej Armenii, kiedyś ulubieniec erywańskiej ulicy, teraz oskarżany o ugodowość wobec Azerów – aby dowieść swego patriotyzmu, ściągnął do stolicy przywódcę karabaskiego powstania Roberta Koczariana i zrobił go swoim premierem. Na ministra obrony, a później policji i służb bezpieczeństwa, został awansowany wojskowy komendant powstania – znany już Serż Sarkisjan. Z kolei charyzmatyczny dowódca ormiańskich ochotników Wazgen Sarkisjan wyrósł na jednego z głównych polityków kraju.

Pod koniec lat 90. dokonali oni pałacowego przewrotu i odsunęli Ter-Petrosjana, który przekonywał do polubownego zamknięcia karabaskiego sporu z Azerami. Przez następnych 20 lat to oni, powstańczy weterani, rządzili Armenią jako jej prezydenci: najpierw Koczarian (1998–2008), a potem Sarkisjan (2008–2018).

Jako lider protestów Paszinian mówił, że Armenia powinna opuścić kontrolowaną przez Rosję Unię Euroazjatycką. **Teraz jako premier chce dalszego sojuszu z Rosją.**

Zawłaszczona demokracja

Karabaska wojna zaraziła też armeńską politykę przemocą. Obalenie Ter-Petrosjana w 1998 r. poprzedziły rozruchy (towarzyszyły one zresztą już jego reelekcji w 1996 r.). Potem, w 1999 r., grupa zamachowców – oskarżających władze kraju o zdradę – wtargnęła do parlamentu i otworzyła ogień. Zginęli premier Wazgen Sarkisjan, przewodniczący parlamentu i jego dwóch zastępców, minister i trzech posłów. Trzydziestu innych zostało rannych.

Do ulicznych starć dochodziło podczas obu wygranych przez Koczariana prezydenckich elekcji w 1998 i 2003 r. Gdy w 2008 r. zwycięzcą wyborów ogłoszono Sarkisjana, w rozruchach w Erywaniu zginęło co najmniej dziesięć osób; żeby przywrócić spokój, trzeba było wprowadzić w kraju stan wyjątkowy.

Ostatnie pięć lat rządów prezydenta Sarkisjana zapisało się w pamięci Ormian jako czas zwątpienia w demokrację, którą rządzący zawłaszczyli i ujeździli tak, by służyła wyłącznie im samym, zapewniała święty spokój i rządy po wsze czasy. Ludzie stracili wiarę w to, że mogą cokolwiek zmienić przestrzegając demokratycznych zwyczajów: kartką do głosowania. Nabrali zaś przekonania, że jedynym sposobem, by upominać się o krzywdy i ukrócić samowolę władz, są demonstracje i rozruchy.

Spodziewano się więc, że gdy po upływie drugiej i ostatniej prezydenckiej pięciolatki Sarkisjan postanowi panować dalej jako premier, w Erywaniu dojdzie do nowych zamieszek. Spodziewano się też, że rządzący, jak zwykle, będą bronić władzy za wszelką cenę, że poślą przeciw demonstrantom policję i wojsko.

Nikt nie sądził, że pójdzie tak łatwo, że Sarkisjan ustąpi szybko i bez oporu. Że reżim, z pozoru niewzruszony, okaże się zużyty, zmęczony sobą i słaby. Tak jak zmurszałe okazały się kiedyś komunistyczne porządki, przeciw którym na erywańskich placach zbierali się młodzi żądający wolności.

Mogłoby się nawet wydawać, że nic się nie zmieniło. Plac Lenina nazywa się dziś co prawda placem Republiki, a Teatralnemu nadano imię Wolności. Ale jak dawniej zbierają się tam młodzi marzący o rewolucji, która raz na zawsze odmieni podłą codzienność. Kiedyś przeciw nieznośnemu życiu buntowali się dzisiejsi 50-latkowie. Teraz na ulice i place wyszli synowie dawnych buntowników, rozczarowani tym, co otrzymali po ojcach w spadku.

Prawie jak partyzant

Nikol Paszinian, rocznik 1975, był za młody, by uczestniczyć w obalaniu ko-

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Tychach, I Wydziałem Cywilnym, toczy się pod sygn. akt I Ns 74/18 sprawa z wniosku Moniki Biały, z udziałem Jarosława Białego i Gminy Miasta Tychy, o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Czechu, s. Jana i Anny, zm. 3 marca 2006 r. w Tychach, którego ostatnim miejscem zwykłego pobytu były Tychy.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w ciągu 3 miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygn. I Ns 19/18 postępowanie z wniosku Asekuracja Sp. z o.o. o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Kaczmarku, zm. 9 sierpnia 2015 r., ostatnio zamieszkałym w Żerkowie. Skład spadku po zmarłym jest nieznany.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie 6 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

munizmu czy walczyć w karabaskiej wojnie. Dziś, z piątym krzyżykiem na karku i czwórką dzieci, w tym z 18-letnim synem, trudno mu uchodzić za młodzieżowca, rówieśnika buntowników.

A jednak młodzi, choć podejrzliwi wobec starszych, to jemu zaufali i bez wahania wybrali na przywódcę rewolucji. Ujął uczciwością, otwartością i odwagą, a zwłaszcza tym, że jak nikt inny potrafił słuchać i rozmawiać. Przemawiając na wiecach mówił nie tylko to, co młodzi chcieli usłyszeć, ale to, co sami, gdyby potrafili, pragnęliby wykrzyczeć. Kiedyś tak przemawiał Lewon Ter-Petrosjan, gdy domagał się dla Ormian wolności.

Paszinian mówił głównie o biedzie, upokorzeniu i beznadziei, na które skazali zwykłych ludzi ich niewdzięczni przywódcy, pyszni, chciwi, nienasyceni i obłudni. „Ale koniec z tym! – wygrażał pięścią. – Przyszedł i na was kres!". Mówił to z takim przekonaniem, że ludzie wierzyli mu, choć jeszcze niedawno mało kto wiedział o jego istnieniu.

15 lat temu był dziennikarzem, wzywanym nieustannie do sądów za artykuły oskarżające rządzących o złodziejstwo. Dziesięć lat temu uczestniczył w krwawych rozruchach, które wybuchły po wygranej Sarkisjana w wyborach prezydenckich. A gdy zostały stłumione, przez ponad rok ukrywał się, ścigany listami gończymi jako wichrzyciel, rzekomo współwinny śmierci demonstrantów.

W końcu sam zgłosił się na policję. Skazany na siedem lat więzienia, dzięki prezydenckiej amnestii wyszedł po roku. Pięć lat temu został posłem niewielkiej partii Umowa Obywatelska, a przed rokiem bez powodzenia ubiegał się o stanowisko burmistrza Erywania.

Na wiec na placu Republiki nie przyszedł jednak w poselskim garniturze, gładko ogolony i pod krawatem, lecz brodaty, w spodniach-bojówkach, w bawełnianej wojskowej koszulce i czarnej baseballowej czapce z napisem „Odwagi!". Wyglądał niemal jak partyzant.

Planował rewolucję już od roku – odkąd rządząca Partia Republikańska wygrała wybory parlamentarne, a jej szef Sarkisjan zaczął szykować się do przeprowadzki z pałacu prezydenckiego do gabinetu premiera. Nikol Paszinian z towarzyszami wymyślili, że jak kiedyś Mahatma Gandhi ruszą pieszo po kraju, aby buntować ludzi przeciw złej władzy, i w końcu zbiorą dość zwolenników, by na ich czele ruszyć na stolicę i przejąć stery państwa.

Buntownik premierem

Choć mało kto wierzył w powodzenie marszu, gdy 1 kwietnia – w *prima aprilis* – Paszinian ruszył z Gjumri w wielką wędrówkę. Gdy 12 dni później dotarł do Erywania, na placu Republiki zbierali się już ludzie, aby sprzeciwić się dalszym rządom Sarkisjana. Paszinian już nigdzie nie szedł, lecz dołączył do wiecujących (stąd jego przyodziewek włóczykija).

Błyskawicznie stał się bożyszczem wiecowych tłumów. Wciąż przemawiał, wszystkim dowodził, wszędzie go było pełno, dla każdego znalazł czas i uwagę. Wystarczyło mu dziesięć dni, by unieruchomić stolicę i zmusić Sarkisjana do ustąpienia. Minął kolejny tydzień, a odsunął od władzy rządzącą partię i zażądał dla siebie stanowiska premiera.

Kiedy Partia Republikańska odmówiła, zwolennicy Pasziniana na jego wezwanie sparaliżowali cały kraj. Postawieni pod ścianą rządzący Republikanie poddali się i pogodzili z faktem, że przez najbliższe miesiące będą pewnie jedyną na świecie opozycyjną partią mającą większość w parlamencie. I przyparci do muru przez rewolucyjne tłumy 8 maja wybrali w końcu Pasziniana na premiera.

Na wynik głosowania na placu Republiki czekał wezwany przez Pasziniana wielotysięczny tłum.

W sojuszu z Rosją

Przeciwnicy Pasziniana uważają go za awanturnika, który może i nadaje się na opozycyjnego posła, ale na premiera już nie. Nikt nie zaprzeczy, że wie, jak rozmawiać z ludźmi. Ale trudno nawet powiedzieć, jakie ma poglądy. Jako poseł opowiadał się np. za tym, żeby Armenia wycofała się z tworzonej przez Rosję Unii Euroazjatyckiej oraz z paktu obronnego, zrzeszającego kraje powstałe na gruzach Związku Sowieckiego.

Tymczasem dziś, będąc jeszcze pretendentem do władzy, przekonywał, że żadnych zmian w polityce zagranicznej nie chce, i że za najważniejszą sojuszniczkę Armenii uważa Rosję. Tę Rosję, która występuje w roli protektora Ormian, która utrzymuje w ich kraju dwie bazy wojskowe, strzeże armeńskich granic i kontroluje niemal całą armeńską gospodarkę.

W ten sposób Paszinian wszedł w buty wszystkich poprzednich prezydentów i premierów w Erywaniu, którzy – nawet jeśli wcześniej sugerowali coś innego – koniec końców potwierdzali sojusz Armenii z Rosją.

Paszinian zapewnia, że rządzić wcale nie chce (a przynajmniej jeszcze nie teraz), władza potrzebna mu jest zaś tylko po to, aby rozpisać nowe wybory i dopilnować ich uczciwości. Mówi, że tylko on może to zapewnić.

On jeden, Nikol Paszinian, jedyny sprawiedliwy.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy na „Lekcje czytania"

Moi ma Joyce'a

O MŁYNARSKIM W TYCHACH

W piątek 18 maja w Miejskim Centrum Kultury w Tychach przy ul. Bohaterów Warszawy 26
MICHAŁ OLSZEWSKI poprowadzi „Lekcję..." wokół „Ballady o kasjerze" i „Ballady o wronach" Wojciecha Młynarskiego.
Spotkanie odbędzie się w ramach IV Tyskiego Festiwalu Słowa LOGOS FEST edycja „Młynarski".

Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania" – napisz: **lekcjeczytania@tygodnik.com.pl**

Projekt powstaje na zlecenie Krakowskiego Biura Festiwalowego w związku z realizacją programu Kraków Miasto Literatury UNESCO

Biuro Trybunału Norymberskiego po zakończeniu procesu przeciwko przywódcom III Rzeszy. Norymberga, październik 1946 r.

WSZYSTKIE DROGI PROWADZĄ DO LWOWA

PHILIPPE SANDS, PRAWNIK:

Lauterpacht i Lemkin dokonali rewolucji. Po raz pierwszy w historii ludzkości pojawiły się zasady, w myśl których suwerenność państwa nie jest absolutna, a państwo nie może bezkarnie zabijać swych obywateli.

PATRYCJA BUKALSKA: W latach 40. XX wieku Hersz Lauterpacht (rocznik 1897) i Rafał Lemkin (rocznik 1900) – polscy Żydzi, studiujący kiedyś prawo we Lwowie – pracują nad nowymi definicjami: „zbrodni przeciwko ludzkości" i „ludobójstwa". Dochodzą do podobnych wniosków, choć się nie znali...

PHILIPPE SANDS: ...i nigdy się nie spotkali. Dla mnie niezwykłe jest, jak istotnym czynnikiem w tej historii jest Polska, jej historia i kultura.

Co spowodowało, że obaj podjęli to samo wyzwanie niezależnie od siebie?

To nie był przypadek. Ma to związek z kulturą Lwowa. Mieliśmy tam trzy społeczności próbujące żyć razem, a także wysoki poziom życia akademickiego. Był tam jeden z najlepszych uniwersytetów w Europie. I w tym otoczeniu mamy dwóch Polaków, którzy zastanawiają się, jak międzynarodowe prawo mogłoby być pomocne w łagodzeniu napięć. Kontekst to rok 1918: koniec wojny światowej i Austro-Węgier oraz powstanie nowych państw mających liczne mniejszości, w tym Polski. Taki zbieg okoliczności mógł zdarzyć się tylko we Lwowie.

W książce „Powrót do Lwowa" pisze Pan, jak mały Lemkin czyta „Quo vadis" i nie rozumie, czemu policja nie reaguje, gdy chrześcijanie są rzucani lwom... Co się dzieje z nimi potem? Bo choć po 1918 r. pojawiły się głosy, by do prawa międzynarodowego wprowadzić kategorie pozwalające osądzić zbrodnie

wojenne, dopiero II wojna światowa sprawiła, że stało się to możliwe.

Obaj nasi prawnicy poszli wtedy różnymi drogami. Lauterpacht jeszcze w latach 20. XX wieku wyjeżdża z Polski do Anglii, zostaje profesorem Cambridge. Lemkin jest prokuratorem w Polsce, potem adwokatem, ma swoje biuro przy Alejach Jerozolimskich w Warszawie. W 1940 r. udaje mu się przedostać do Szwecji, potem wyjeżdża do USA. Wyobrażam sobie, jak w czasie wojny ci dwaj mężczyźni – jeden w Cambridge, drugi w Stanach – zastanawiają się, co dzieje się w ich kraju, z ich rodzinami, przyjaciółmi, nauczycielami...

Nie mieli wieści o bliskich?

Nie, żadnych. A jednak nie schowali się zrozpaczeni w ciemnym kącie, lecz postanowili coś robić: przedstawić swoje pomysły, które mogą być pomocne w przyszłości. Obaj robią to w tym samym momencie: latem 1945 r. Zbrodnie przeciwko ludzkości i ochrona jednostki, ludobójstwo i ochrona grupy. Potem traf chce, że obaj zostają zatrudnieni podczas procesu w Norymberdze w zespołach prokuratorskich. Nie wiedzą, że człowiek, do którego oskarżenia się przyczynią, odpowiada za śmierć ich matek i bliskich. Dowiedzą się o tym dopiero w 1946 r.

W 1948 r., gdy zostaje przyjęta Konwencja ONZ w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa, Lemkin powiedział, że to epitafium dla jego matki zamordowanej przez Niemców. Obaj mieli osobistą motywację?

Tak. Choć Lauterpacht nic takiego nie powiedział, ale myślę, że też tak czuł.

Jednak gdy w 1944 r. Lemkin opublikował książkę, w której wprowadzał termin „ludobójstwo", Lauterpacht był wobec niego krytyczny, jakby to było zagrożenie dla jego projektu.

Hersza Lauterpachta cechowała wielka dyscyplina naukowa. Jego syn powiedział mi, że ojciec nie uważał Lemkina za prawdziwego naukowca, gdyż był on zaangażowany politycznie. Ale dla mnie obaj byli niezwykli, choć w różny sposób. Lauterpacht był prawdopodobnie najwybitniejszym specjalistą prawa międzynarodowego w XX wieku. Tyle że do każdego, kto pracował inaczej niż on, podchodził nieufnie. Z kolei Lemkin uważał, że Lauterpacht nie rozumie, iż ludzie są masowo zabijani nie dlatego, że coś zrobili, ale dlatego, że są częścią grupy skazanej na eksterminację.

ARCHIWUM P. SANDSA

CAMBRIDGE UNIVERSITY

W 1945 ROKU przed Międzynarodowym Trybunałem w Norymberdze zaczął się proces przywódców III Rzeszy, odpowiedzialnych za zbrodnie z lat II wojny światowej. Był to punkt zwrotny w historii prawa: po raz pierwszy uznano, że społeczność międzynarodowa może reagować w przypadku pogwałcenia prawa przez suwerenne państwo. Nie byłoby to możliwe, gdyby dwaj prawnicy polsko-żydowscy nie opracowali wcześniej nowych terminów: „zbrodnie przeciwko ludzkości" (Hersz Lauterpacht, po prawej na zdjęciu) i „ludobójstwo" (Rafał Lemkin, po lewej). Ich historię, splecioną z własną historią rodzinną, opisuje Philippe Sands w książce „Powrót do Lwowa. O genezie »ludobójstwa« i »zbrodni przeciwko ludzkości«".

ARCHIWUM P. SANDSA

PHILIPPE SANDS, rocznik 1960, jest brytyjskim prawnikiem, profesorem na University College w Londynie. Jest też autorem kilkunastu książek, m.in. „Lawless World" (porusza w niej kwestię legalności wojny w Iraku w 2003 r.) i „Torture Team" (zajmuje się w niej rolą administracji Busha w autoryzacji metod przesłuchań w Guantanamo). Jego książka „Powrót do Lwowa" (w oryginale „East West Street"), przetłumaczona na wiele języków, była podstawą filmu dokumentalnego „My Nazi Legacy: What Our Fathers Did" (o relacjach między synami i ojcami, przywódcami III Rzeszy). W Polsce „Powrót do Lwowa" ukazuje się nakładem Instytutu Historii Nauki PAN i Oficyny Wydawniczej Aspra.

Dochodzimy tu do różnicy między pojęciami „zbrodni przeciwko ludzkości" Lauterpachta i „ludobójstwa" Lemkina. O ile rozumiem, pierwsze to mordowanie ludzi na wielką skalę, ale ludzie ci są różnymi jednostkami. Ludobójstwo zaś to mordowanie grupy ludzi – których łączy jakaś cecha: religia, narodowość, przynależność społeczna – z powodu tej właśnie cechy.

Zgadza się. Zasadniczą różnicą jest motyw. Aby udowodnić ludobójstwo, musimy wykazać nie tylko, że zamordowano wielką liczbę ludzi, lecz że zamierzeniem sprawców była likwidacja całej grupy lub jej części. Żydów, Polaków... Ludobójstwo uważa się powszechnie za zbrodnię cięższego kalibru. Ale czy zamordowanie miliona różnych ludzi jest mniej straszne niż zamordowanie miliona z określonej społeczności? To tak samo przerażające.

Czyżby Lauterpacht był sceptycznie nastawiony do pojęcia ludobójstwa Lemkina, bo obawiał się, że będzie je trudniej udowodnić?

Myślę, że przyczyna była inna. W 1945 r. doszło do rewolucji. Po raz pierwszy w historii ludzkości pojawiły się zasady, w myśl których suwerenność państwa nie była już absolutna. Państwo nie mogło bezkarnie zabijać swych obywateli. Ludzie zyskali ochronę jako jednostki i jako grupa. Ale Lauterpacht obawiał się, że coś, co określał jako „tyranię państwa", zostanie zastąpione przez „tyranię grupy". Koncepcja ludobójstwa tworzyłaby warunki, w których jedna grupa mogłaby starać się uzyskać coś kosztem drugiej grupy. Wprowadzenie pojęcia ludobójstwa skłania nas też do określenia naszej tożsamości wobec grupy.

Lektura Pana książki rodzi we mnie pytanie: jaka moja cecha wystawia mnie na potencjalne prześladowania? Czy jest nią np. bycie kobietą? Uderzyło mnie, że w definicji zbrodni przeciwko ludzkości znalazła się przemoc seksualna.

Ona jest także w definicji ludobójstwa. Zajmuję się teraz sprawą kobiet-jazydek w północnym Iraku i kwestią, czy masowy i systematyczny gwałt jest zbrodnią ludobójstwa. Bo w konsekwencji prowadzi to do wstrzymania urodzin w tej grupie, a zatem jej wyniszczenia.

Dlaczego zdefiniowanie tych pojęć trwało tak długo i było tak trudne?

Proszę spojrzeć na dzisiejszą Europę. W wielu krajach narastają nacjonalizm, populizm, ksenofobia. Choćby Wielka Brytania. W brexicie chodzi o nacjonalizm, o to, aby trzymać cudzoziemców z daleka. I jeśli mam być szczery, chodzi o to, by trzymać z daleka Polaków. I Rumunów. ↦

GERMAN FEDERAL ARCHIVES

↦ Jestem zdecydowanym przeciwnikiem brexitu, cieszyłem się z obecności ludzi innych społeczności. Ale dla wielu ważne okazuje się poczucie utrzymania kontroli, czystości. Idźmy dalej: Węgry, Polska... W Stanach Trump mówi: *„America first!"*. Coś się dzieje. Pytanie, czy struktury, które stworzyliśmy w 1945 r., są dość silne na to, co nadchodzi. Bardzo się o to martwię.

Te struktury przeszły wiele prób, choć z różnym efektem. Był Pan zaangażowany w sprawę Pinocheta, gdy w 1998 r. hiszpański sędzia zwrócił się do Londynu o jego ekstradycję.

Dla mnie to dowód, że życie jest pełne niespodzianek. Oto Pinochet przyjeżdża do Londynu na operację, 25 lat po okropnościach, których się dopuścił. I nagle czuje, jak to się mówi u nas w Anglii, rękę sprawiedliwości na swoim ramieniu. Kto by się spodziewał? I choć stało się to w latach 90., łączy się to wprost z pracami Lauterpachta i Lemkina. Jeśli nie opracowaliby swoich pojęć, Pinochet nie zostałby aresztowany.

Jest zbrodnia i jest kara?

Nie tylko. Jest też możliwość kary. To ten moment, gdy jakiś prezydent czy premier zaczyna się denerwować, zastanawiać, czy jeśli wyjedzie za granicę, to nie poczuje owej ręki sprawiedliwości na ramieniu. To wielka zmiana i zawdzięczamy ją tym dwóm prawnikom. Wszystkie drogi prowadzą do Lwowa. Do grupy studentów Juliusza Makarewicza, polskiego profesora prawa karnego i filozofa prawa, nauczyciela Lemkina i Lauterpachta.

Pana rodzinna historia też łączy się ze Lwowem. To chyba przypadek, że właśnie Pan napisał taką książkę?

Zaczęło się od tego, że zostałem zaproszony do Lwowa na wykład. Gdy pierwszy raz tam jechałem, moja mama pokazała mi dokumenty, wśród nich polski dowód osobisty mojego dziadka. Mam go ze sobą, proszę zobaczyć: Leon Buchholz, urodzony we Lwowie w 1904 r. Czyli mogę być Polakiem? Trochę? Jak pani myśli? *(śmiech)*

Trochę na pewno tak.

Jest tyle innych zbiegów okoliczności... Syn Lauterpachta był moim nauczycielem w Cambridge. A angielskie wydanie mojej książki nosi tytuł „East West Street" (Dosłownie: ulica biegnąca ze wschodu na zachód) dlatego, że w miasteczku Żółkiew, gdzie za czasów austriackiego panowania w Galicji urodził się Hersz Lauterpacht, była Lembergerstrasse, ulica Lwowska, biegnąca właśnie ze wschodu na zachód, taka, jaką opisywał pisarz Joseph Roth. Moja prababcia Malke urodziła się na tej ulicy. Lauterpacht też się tam urodził.

Wyobrażam sobie, jak w czasie II wojny światowej

Lauterpacht i Lemkin pracują nad swymi teoriami i zastanawiają się, co dzieje się w kraju z ich rodzinami...

Dziadek mówił Panu o przeszłości?

Nie. Ale myślę, że ten czas we Lwowie był dla niego ogromnie szczęśliwy. Jego dzieciństwo musiało być cudowne. Potem nie mógł o tym mówić, bo ta strata za bardzo go bolała. Mówił jednak po polsku do końca życia. Byliśmy ze sobą związani, bardzo go kochałem i teraz żałuję, że nie zadałem mu pewnych pytań przed śmiercią.

Czemu Pan nie pytał?

Wiedzieliśmy, że przeszłość to dla niego bolesny temat. Moja podróż do Lwowa była próbą zrozumienia, kim był mój dziadek i kim ja jestem. Mój ponad dwudziestoletni syn, gdy przeczytał książkę, powiedział: „Tato, ty i ja jesteśmy teraz różni. Mam 21 lat i znam swoją historię i swoje korzenie. Ty, gdy miałeś 21 lat, nic o tym nie wiedziałeś, i to nas różni". Mój syn czuje się pełniejszy, zna przeszłość rodziny, rzeczy ciemne i jasne, jest dojrzalszy, wie, kim jest.

A Pan dowiedział się, kim jest?

Tak. I sądzę, że uczyniło mnie to bardziej wyrozumiałym. Pisząc tę książkę, zrozumiałem, że nie należy przyklejać ludziom etykietek. Nie należy mówić: to Polak, a to Ukrainiec. To nie takie proste. W książce pojawiają się ludzie niezwykli, jak panna Tilney...

...która w obozie internowanych we Francji przez kilkanaście tygodni ukrywała młodego polskiego Żyda w swojej łazience. Miał on trafić do transportu do Auschwitz. Wcześniej Tilney pomogła też Pana rodzinie.

Niesamowita kobieta, prawda? Ta książka mnie zmieniła. Okazała się też ważna dla mojej matki, która na początku się niepokoiła. Bała się, że w rodzinnej historii znajdę coś strasznego, np. że jej matka miała kochanka i ten kochanek był nazistą.

Bo dziadek wyjechał z Wiednia do Paryża w 1939 r. sam, nieco później przewieziono do niego jego roczną córeczkę, Pana mamę. A Pana babcia została w Wiedniu do 1941 r.

Teraz moja mama jest szczęśliwa, bo okazało się, że ten ciemny dla niej czas – przez kilka lat wojny była ukrywanym dzieckiem – miał też inny aspekt. Jej najlepsza koleżanka jest dzieckiem z warszawskiego getta, więc ta polska strona jest bardzo obecna w naszym życiu. I w książce. A dla mnie jest ważne, że teraz książka została wydana w Polsce.

Napisał Pan książkę o dwóch prawnikach, którzy widzieli Europę w ogniu wojny. Co możemy zrobić, by usprawnić dziś system prawa międzynarodowego?

Międzynarodowy system sprawiedliwości wymaga woli politycznej. Bez niej nic się nie da zrobić. W latach 90. XX w., gdy taka wola była, udało się zająć zbrodniami w Rwandzie czy Jugosławii. Ale teraz ludzie o tym zapomnieli. Staram się na to patrzeć w dalszej perspektywie: nie na to, co stanie się jutro, ale co będzie za 50 lat. Najważniejszą dziś rzeczą jest jednak obrona naszych osiągnięć z roku 1945. Myślę, że tamte ustalenia są zagrożone. Takie tendencje widzimy w USA Trumpa i w Wielkiej Brytanii, gdzie premier Theresa May mówi, że ma nadzieję opuścić Europejską Konwencję Praw Człowieka. Jeśli te dwa kraje, które tak bardzo przyczyniły się do wielostronnego systemu ochrony praw człowieka, mogą zrobić krok w tył, to kto ochroni system z 1945 roku?

Prawnicy? My wszyscy?

Myślę, że Brytyjczycy i Polacy zdają sobie sprawę, jak ważne są niezależne sądy. Jeśli ktoś zapytałby mnie, jaki jest najważniejszy element demokracji, powiedziałbym, że niezależne sądownictwo. Wracam z Turcji, gdzie mój przyjaciel, dziennikarz Ahmet Altan, został skazany na dożywocie za coś, co powiedział w telewizji... Mimo wszystko, staram się być optymistą.

©℗ Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

ANDRZEJ

Stasiuk: *Psia wolność*

Gdy człowiek już trochę żyje, to pamięta wiele psów. Wszystkie zjawiały się przypadkiem, od niechcenia, przynosił je los. Nigdy się nie mówiło: powinniśmy mieć psa. Psy zawsze były. Znajdy, podrzutki, przybłędy. Zjawiały się i zostawały do śmierci. Albo, gdy nie udało się zapanować nad nieposkromionym instynktem przetrwania gatunku, do adopcji. Mój Boże, rozdaliśmy kiedyś dziewięć szczeniaków z jednego miotu... Ogłaszaliśmy się w gazetach, w necie, rozwoziliśmy po kraju psi przychówek, obiecując dopłaty i wyprawki. Sieć grzmiała świętym oburzeniem: A pilnować trzeba było! Oto niefrasobliwość oraz nieodpowiedzialność! Niby kulturalni, a nie wiedzą, że psy się rozmnażają! Święta racja.

Nie mieliśmy pojęcia, że Mufka się rozmnoży. Nie miała jeszcze roku i w ogóle nie było widać, że jest w ciąży. Zniknęła na godzinę, a potem spod szopy z narzędziami rozległ się pisk. Wczołgałem się i w półmroku próbowałem policzyć przychówek, ale wciąż mi się nie zgadzało. Przekładałem ciepłe, mokre jeszcze ciałka i zaczynałem od nowa. Mufka patrzyła uważnie, jakby pilnowała, żebym się w tych rachunkach nie pomylił. Można rzec, że patrzyła również z dumą. No ale się nie zgadzało, bo jak? Dziewięć sztuk? Ryby się tak obficie rozmnażają, płazy, gady, a nie biała niewinna suczka, dziecko niemal jeszcze. No ale rozdaliśmy prawie wszystkie. Niektóre potem odwiedzaliśmy. Wyrosły na wielkie płowe bestie. „Płot musieliśmy wybudować" – mówili beneficjenci. W ich głosach czuć było dumę pomieszaną z pretensją. „Za niski" – mruknąłem w duchu.

Bo Mufka bez rozbiegu pokonywała półtorametrowe ogrodzenie. Podchodziła i hop. Tylko mięśnie jej się napinały tak pięknie, że wyglądała niczym preparat anatomiczny. Potem nauczyła tego swojego męża, Sybira. Był znacznie masywniejszy i podchodził do tego trochę siłowo. Po prostu się wspinał i wyglądał wtedy jak ostatni gamoń. Psy się nie wspinają. Psy biegają i skaczą. Każdy to wie. Sybir był siwy, duży i ruszał się bez szczególnego entuzjazmu. Przyjechał kiedyś weterynarz i mówi: „Ty, to jest kaukaz". „Jaki kaukaz? – powiedziałem. – Kaukaz to jest drogi pies, z tysiąc złotych kosztuje, jego urodziła Grzanka, żółta kundlica z Lubelszczyzny, którą nam koleżanka przywiozła. Za flaszkę ją od chłopa kupiła, bo nie mogła patrzeć, jak półroczne szczenię na łańcuchu stoi. Wspaniały pies zresztą. Oklapłe uszy, krzywe łapy, oczy pełne smutku, a w sercu tylko miłość". „Jesteś pewien?". Przyjrzałem się Sybirowi i rzeczywiście w jego miodowych oczach miłości było stosunkowo niewiele. No w ogóle nic z matki nie było. Leżał i kontrolował otoczenie. Jak ktoś wchodził, to lepiej go było przytrzymać za obrożę. „Ale tu w okolicy nie ma kaukazów – powiedziałem. – Wilki są, jeżeli już". „Wilk ma inny łeb – powiedział doktor. – oMógł przyjść, a potem pójść" – dokończył obojętnie, bo jako weterynarz różne rzeczy w życiu widział. Rzeczywiście. Nie mieliśmy wtedy jeszcze płotu. Mógł przyjść, a potem sobie pójść. Na przykład do parku narodowego, który zaraz się zaczynał. Żeby walczyć z wilkami, bo takie jest przeznaczenie kaukaza.

W każdym razie ruszał się niechętnie, ale Mufka go nauczyła. Przepadały w lesie na całe dnie, ale zawsze wracały. I tak w kółko: przepadały i wracały. Jak wracały, to sobie leżały w słońcu. Żeby miały wygodniej leżeć, zbudowałem im zagrodę, dość sporą. Ludzie na takich działkach budują jednorodzinne domy gdzieś pod miastem. Otoczyłem dwumetrowym płotem, a w środku postawiłem budę wielkości właśnie jednorodzinnego domu i przynajmniej tak samo ciepłą. Zamykałem je w zagrodzie, gdy nie mogłem ich mieć na oku. Chyba im się tam podobało, bo zaczęły wyskakiwać dopiero po jakimś czasie. Dwa metry. Nigdy jednak nie zauważyłem, jak to robią. Ją jeszcze można było sobie wyobrazić, jak po prostu zamiast półtora metra skacze dwa. Ale jego? 50 kg psa idące w górę po siatkowym płocie? W każdym razie wydostawały się, a potem hyc przez ogrodzenie i wolność. Psy jednak mają pewną wadę, bo jak uciekają, to nie potrafią wrócić. Jakich by płotów nie pokonały, to potem i tak stoją pod furtką. Wszystkie psy. Stoją i głupio machają ogonami, żeby je wpuścić. Te też tak robiły. Zagadki ich ucieczek nie rozwikłałem do dziś. Podejrzewam jednak, że z zagrody wypuszczała je moja żona. Zawsze była za wolnością zwierząt. W każdym razie bardziej niż za moją.

Któregoś dnia przyszła sąsiadka i powiedziała, żebym coś z tym zrobił, bo jest akurat sama. Poszliśmy na łąki, w stronę płytkiego parowu. W parowie leżała owca. Była nadjedzona, ale jeszcze trochę żywa. Mufka i Sybir w bezpiecznej odległości przysiadły na ogonach i spokojnie czekały na rozwój wypadków. Poszedłem do domu po nóż i podciąłem owcy gardło. Gdy człowiek trochę żyje na wsi, to to są normalne sprawy. Jak zabija się owce, pokazał mi właśnie mąż sąsiadki z trzydzieści parę lat temu. Teraz, gdy wrócił z miasta, wcale się nie zdenerwował. Tego lata zginęły mu trzy sztuki, znajdował resztki, zgłaszał, że wilki, i dostawał odszkodowania. Za tę jednak, powiedział, wobec siedzących w bezpiecznej odległości Mufki i Sybira, chciałby jednak odszkodowanie ode mnie.

Sybir jakiś czas później umarł na nerki. Mufka któregoś dnie nie wróciła z lasu. Odeszły. Zamieniły się w psią przeszłość. Ale gdy o nich myślę, to właściwie nie potrafię oddzielić ich życia od naszego własnego. ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Woli w Warszawie, w Wydziale I Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 419/17 toczy się postępowanie z wniosku Miasta Stołecznego Warszawy o stwierdzenie nabycia spadku po Robercie Tomaszu Janaszku, s. Zygmunta i Danuty, ostatnio zwykle przebywającym w Warszawie przy ul. Tyszkiewicza 10, m. 16, w Warszawie, ur. 1 marca 1962 r. w Warszawie, zm. 15 października 2012 r. w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili prawa do nabycia spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

NAUKA

KWANTOWY TANCERZ

Trudno wśród fizyków znaleźć barwniejszą postać. Właśnie mija setna rocznica urodzin Richarda P. Feynmana.

MIROSŁAW DWORNICZAK

Inny był w zasadzie od zawsze. Pojedyncze słowa zaczął wypowiadać dopiero w wieku trzech lat. Tu akurat widać podobieństwo do innych wybitnych fizyków: Alberta Einsteina i Edwarda Tellera, a także do naszego wielkiego pianisty Artura Rubinsteina.

Ciekawością świata zaraził Richarda P. Feynmana jego ojciec – pasjonat nauki, choć bez żadnego wykształcenia w tym kierunku. Obaj często spacerowali i toczyli długie rozmowy, w trakcie których młody Richard był zachęcany do stawiania nieortodoksyjnych pytań i poszukiwania nietypowych rozwiązań. Po matce odziedziczył z kolei niesamowite poczucie humoru, które towarzyszyło mu całe życie.

Już jako dziecko eksperymentował – sam nauczył się naprawiać odbiorniki radiowe, co przysporzyło mu lokalnej sławy i niewielkich pieniędzy. Ba, potrafił zaskoczyć młodszą siostrę nadając ze swojego pokoju specjalne życzenia radiowe z okazji jej urodzin.

Matematyka zafascynowała go, gdy był nastolatkiem – spodobał mu się kształt symbolu całki. Samodzielnie przerobił kurs rachunku różniczkowego i całkowego w wieku 15 lat. We wczesnej młodości był jednak przede wszystkim pasjonatem doświadczeń. Obrosły już legendą jego studenckie eksperymenty z łamaniem spaghetti, śledzeniem i modyfikacją tras wędrówki mrówek czy też badaniami czasu, w jakim tężeje galaretka.

Rozmazana piłka

W fizyce miał zasłynąć jednak jako teoretyk. Studiował na Massachusetts Institute of Technology (MIT) – najpierw matematykę, która szybko wydała mu się zbyt oderwana od życia. Przeniósł się więc na kierunek elektrotechniczny. Ale wtedy uznał, że poszedł za daleko w drugą stronę. Trzeci wybór – fizyka – okazał się być tym optymalnym.

Miał szczęście do opiekunów naukowych o otwartych umysłach. Dzięki temu niekonwencjonalne podejście Feynmana mogło zaowocować interesującymi hipotezami. Doktorat, napisany pod kierunkiem starszego zaledwie o kilka lat profesora Johna Wheelera, był punktem wyjścia do tych koncepcji, które do dziś są uznawane za przełomowe.

Jedną z nich są tzw. sumy po historiach (formalnie: całki po trajektoriach). Tu najlepiej widać niekonwencjonalność myślenia Feynmana.

Na czym to polega? Zapomnijmy na chwilę o wszystkim, czego nas uczono na fizyce w szkole, a nawet o tym, co widzimy własnymi oczami. Wyobraźmy sobie piłkarza wykonującego rzut karny. Podbiega do piłki, kopie ją, a ona leci (mniej więcej po prostej) w kierunku bramki. Widzimy wyraźnie jej trajektorię i możemy ją bez problemu śledzić.

Jeśli jednak wszystko zmniejszylibyśmy do wielkości atomowej, cała sytuacja zaczyna robić się zupełnie inna. Piłka na poziomie kwantowym, czyli np. elektron, w momencie strzału „rozmazuje się" i przestaje być konkretnym, namacalnym obiektem. Na tym poziomie musimy zapomnieć o zwykłej mechanice. Elektron na starcie jest w punkcie A, zaś na mecie w punkcie B. I tylko tyle wiemy. O tym, co jest po drodze, nie możemy mówić językiem zaczerpniętym ze skali makro. Elektron może oczywiście lecieć po prostej, ale może także zrobić po drodze kilkaset pętli czy też skręcić w dowolną stronę i dotrzeć jeszcze bardziej skomplikowaną trasą do mety.

I to jeszcze w zasadzie można sobie jakoś wyobrazić, ale zgodnie z interpretacją Feynmana pojedynczy elektron (czy np. foton) jednocześnie wędruje wszystkimi tymi drogami. Każda z tych pojedynczych historii opisywana jest określonym wektorem, który nazywamy amplitudą prawdopodobieństwa. Dalej jest już tylko matematyka – dodaje się te wszystkie wektory (to właśnie jest owo sumowanie po historiach) i uzyskuje wektor wypadkowy. Kwadrat długości tego wektora jest prawdopodobieństwem zdarzenia, że nasza kwantowa piłka przeleci z punktu startu do mety w określonym czasie.

No dobrze, ktoś może spytać, ale w końcu jaką drogą ona biegnie? Odpowiedź jest krótka, choć dziwna: wszystkimi jednocześnie. Na poziomie kwantowym nie jesteśmy w stanie „widzieć" lotu piłki. Znamy punkt A i B, reszta ginie w kwantowej mgle. To prawda, że brzmi to abstrakcyjnie, ale jest zgodne z wszystkimi prawami fizyki. I ma jedną wielką zaletę – pozwala fizykom na wykonanie konkretnych obliczeń, które zgadzają się z wynikami doświadczeń. A to jest tak naprawdę najistotniejsze.

Richard P. Feynman właśnie się dowiaduje, że jest wśród trójki fizyków nagrodzonych Noblem. USA, Pasadena, październik 1965 r.

BETTMANN / GETTY IMAGES

Cząstki na papierze

Od feynmanowskich trajektorii było już blisko do pozornie prostych rysunków, dziś znanych jako diagramy Feynmana. Bez większej przesady można powiedzieć, że uczony zrewolucjonizował sposób uzyskiwania pewnych wyników w fizyce cząstek elementarnych. Często bowiem od samych obliczeń trudniejsze jest znalezienie konkretnych wyrażeń, które trzeba obliczyć. Richard Feynman wymyślił zaś na to sposób, który w pierwszej chwili wydawał się być niepoważną zabawą na kartce papieru. Faktycznie, wyglądało to zbyt prosto jak na coś, co miało znaleźć zastosowanie w fizyce. A jednak okazało się, że to po prostu działa.

W dodatku, z diagramów można wyczytać coś, co już wcześniej postulowali Wheeler i Feynman – że antycząstki można traktować jako zwykłe cząstki poruszające się wstecz w czasie. Dziwne? Tak, fizyka jest bardzo, bardzo dziwna.

W diagramach Feynmana mamy dwa rodzaje linii: zwykłe kreski (najczęściej ze strzałką) oraz linie faliste. Te pierwsze oznaczają cząstki elementarne (elektrony, pozytony, miony itp.), natomiast te drugie to fotony. Istnieje kilka prostych reguł pozwalających na łączenie tych linii i tworzenie złożonych diagramów. Opisując konkretne zdarzenie na poziomie kwantowym możemy wymyślić wiele jego wersji związanych z rozmaitymi oddziaływaniami. I podobnie jak przy sumowaniu po trajektoriach jesteśmy w stanie policzyć konkretne amplitudy prawdopodobieństwa dla każdego diagramu, co w efekcie pozwoli nam na obliczenie prawdopodobieństwa danego zdarzenia – a może nim być np. anihilacja pary elektron-pozyton czy też kreacja takiej pary z fotonu.

Swoimi ścieżkami

Sam Feynman też poruszał się po wielu trajektoriach. Fascynowały go rozmaite nierozwiązane problemy fizyki. Zajął się m.in. fizyką tzw. oddziaływań silnych, co pozwoliło mu sformułować koncepcję partonów (od ang. *part* – część), czyli silnie oddziałujących ze sobą cząstek subelementarnych. Jednym z największych osiągnięć, które przyniosło uczonemu Nagrodę Nobla, była elektrodynamika kwantowa. Przy jej tworzeniu (wspólnie z dwoma innymi naukowcami) wykorzystał swoje słynne diagramy oraz sumy po historiach. Dzięki elektrodynamice kwantowej jesteśmy w stanie obliczyć niektóre istotne ↦

↦ właściwości cząstek elementarnych, np. elektronów.

Biegłość w wykorzystaniu aparatu matematycznego pozwoliła mu także na wkład w teorię nadciekłości. Oryginalnie sformułowana przez Lwa Landaua, właśnie dzięki Feynmanowi zyskała opis kwantowomechaniczny. Znane są też jego prace związane z astrofizyką.

Ale uczony nie ograniczał się do fizyki. Był pasjonatem języków. Nauczył się szybko portugalskiego, aby móc wykładać w tym języku fizykę w Brazylii. Będąc w podróży poślubnej z drugą żoną, Mary Lou, zainteresował się hieroglifami Majów, znanymi ze słynnego kodeksu drezdeńskiego. Podczas gdy Mary Lou wędrowała po piramidach, Richard zajął się dekodowaniem starożytnych symboli.

Gdy coś go zainteresowało, starał się zdobyć nową wiedzę, a czasem też zająć się stroną praktyczną. Tak było w 1961 r., podczas rocznego urlopu naukowego. Wpadł wtedy na pomysł dołączenia do grupy badawczej zajmującej się bakteriofagami. Dość szybko poznał techniki badawcze i udało mu się osiągnąć także w tej dziedzinie pewne sukcesy. Został współautorem publikacji dotyczącej intensywnie wtedy badanego faga T4.

Warto też wspomnieć o jego pracy w ramach projektu Manhattan, choć spora część informacji z tamtych czasów jest nadal objęta tajemnicą. W zespole był ceniony, szczególnie przez wybitnych fizyków, bo zawsze mówił to, co myślał, nie mając szczególnego respektu przed wielkimi nazwiskami. Dyskutował z nimi jak równy z równymi. Opracowanie projektu bomby jądrowej wymagało gigantycznej ilości obliczeń. Wiele z nich było wykonywanych ręcznie, wyłącznie z użyciem mechanicznych arytmometrów. Feynman, nadzorując grupę obliczeniową, opracował prosty system pracy równoległej (tzw. algorytm Feynmana), co w znaczący sposób przyspieszyło uzyskiwanie wyników.

Co ciekawe – idea Feynmana została też zastosowana w latach 80. XX w. do zaprojektowania serii superkomputerów o wspólnej nazwie Connection Machine. Niejako przy okazji jeden z tych superkomputerów został wykorzystany do wykonywania obliczeń związanych ze stworzoną przez uczonego elektrodynamiką kwantową.

Był też wyrazistym, doskonałym wykładowcą. Jego podręcznik – „Feynmana wykłady z fizyki" – do dziś uznawany jest za jeden z najlepszych, jakie kiedykolwiek napisano.

Ostatnim spektakularnym sukcesem Feynmana – osiągniętym na dwa lata przed śmiercią – było wyjaśnienie przyczyn katastrofy promu kosmicznego Challenger w 1986 roku. Do historii przeszło publiczne posiedzenie komisji wyjaśniającej wypadek, na którym Feynman, poprosiwszy o szklankę wody z lodem, zademonstrował, że jedna z kluczowych uszczelek, po schłodzeniu do temperatury zero stopni Celsjusza, nie wracała do pierwotnego kształtu.

Bongosy i szkice

Był niespokojnym duchem. Interesowały go różne dziedziny życia, niektóre bardzo odległe od akademickiego. Kochał tańczyć, odwiedzał rozmaite lokale, w których z wielką swobodą uwodził młode kobiety. Fascynowała go muzyka, rytm. Kupił sobie bongosy, aby nauczyć się na nich grać. Wizyta w Brazylii zaowocowała miłością do samby. Okazał się na tyle biegły w bębnieniu, że zaproszono go do udziału w wielkiej dorocznej paradzie szkół samby.

Znane są też jego spektakularne sukcesy w otwieraniu sejfów kolegów w Los Alamos. Także stamtąd korespondował z żoną Arline leżącą w szpitalu w Albuquerque, stosując specjalne szyfry, które spędzały sen z powiek ludziom z kontrwywiadu wojskowego.

W wieku 44 lat zainteresował się czymś tak odległym od nauk ścisłych jak rysowanie. Uważał je za sposób na oddanie szacunku pięknu świata. Wiele szkiców towarzyszy w jego notatnikach obliczeniom matematycznym. I tak jak w fizyce, również w tej dziedzinie odnosił sukcesy. Po latach jego córka, Michelle, zebrała prace utalentowanego ojca i wydała je w formie albumu. Niektóre ze szkiców i obrazów można zobaczyć też w sieci.

W 1978 r. zdiagnozowano u niego rzadki nowotwór, tłuszczakomięsak. Podczas operacji lekarze uszkodzili trwale nerkę i śledzionę. Kolejne operacje przebył w 1986 i 1987 roku. Do szpitala trafił ponownie w 1988. Okazało się wtedy, że wrzód dwunastnicy spowodował uszkodzenie drugiej nerki.

Uczony nie wyraził zgody na dializy. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Nie chciałbym umierać dwa razy. To takie nudne".

© MIROSŁAW DWORNICZAK

Słynne diagramy Feynmana

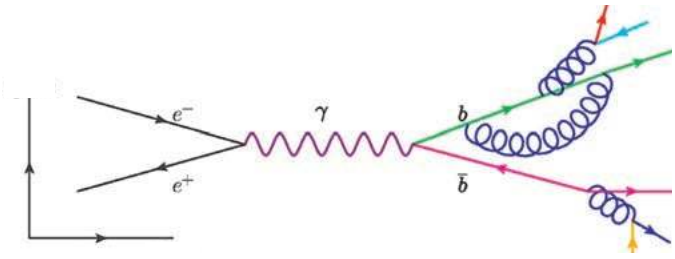

Ułatwiają one przeprowadzanie obliczeń. Ilustrują, co dzieje się z poszczególnymi cząstkami w pewnym zdarzeniu kwantowym. Im bardziej skomplikowany narysujemy diagram (zgodnie z regułami sformułowanymi przez Feynmana), tym bardziej skomplikowane obliczenia musimy przeprowadzić, ale zarazem otrzymamy bardziej precyzyjny przebieg interesującego nas zdarzenia. Oś pionowa oznacza położenie, a pozioma czas (można zresztą diagramy rysować odwrotnie). Na samym diagramie, tak jak w równaniach, możemy poruszać się w obu kierunkach na osi czasu. Na przykład spotkanie pary elektron-pozyton (lewa strona diagramu), w efekcie którego powstaje foton, możemy obserwować „wstecz" jako zjawisko kreacji pary elektron-pozyton. Z diagramów wynika także, że sam pozyton możemy rozpatrywać jako „zwykły" elektron, tyle że poruszający się w czasie wstecz. Mechanika kwantowa dopuszcza takie scenariusze, których nie spodziewalibyśmy się w naszym, makroskopowym świecie.

Każdy z elementów diagramu Feynmana jest graficzną reprezentacją konkretnego wyrażenia matematycznego (są to m.in. tzw. funkcje Greena). Jeśli więc badacz skonstruuje diagram (albo wiele diagramów) opisujący to, co może się wydarzyć pomiędzy dwoma stanami kwantowymi, pozostaje mu tylko wykonać kilka lub kilkanaście obliczeń. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

Nr 21/2018

DODATEK SPECJALNY
redakcja Michał Sowiński

PARTNER WYDANIA MIK

XX MAŁOPOLSKIE DNI DZIEDZICTWA KULTUROWEGO

WOLNOŚĆ KRZEPI

JACEK KRUPA,
MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego to zawsze czas wyjątkowy – celebrujemy wtedy bogactwo kulturowe Małopolski, a lokalna historia splata się ze współczesnością. To także czas fascynujących podróży, opowieści i spotkań.

W tym roku Dni Dziedzictwa odbędą się już po raz dwudziesty. Dla wszystkich Małopolan oraz osób odwiedzających nasz region będzie to również doskonała okazja do świętowania stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Podczas wydarzenia – które w tym roku odbywa się pod hasłem „Wolność krzepi" – opowiemy także o ciężkiej pracy nad zjednoczeniem ziem po I wojnie światowej, ale też o ogromnym entuzjazmie Polaków dla budowania wolnego, nowoczesnego państwa.

W Krakowie, Płazie, Racławicach, Tarnowie-Mościcach, Wierzchosławicach i Zbylitowskiej Górze zaprezentujemy wszystkim uczestnikom jubileuszowych Dni Dziedzictwa aż 11 zabytków związanych z międzywojenną Małopolską i pokrzepimy się wspomnieniami zarówno o tych znanych, jak i nieco zapomnianych postaciach, które na stałe wpisały się w dzieje II Rzeczypospolitej.

Serdecznie zapraszam do wyruszenia w podróż w czasie po międzywojennej Małopolsce! Życzę Państwu wielu wrażeń i mam nadzieję, że jubileuszowe Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego przyczynią się do poznania bogactwa i różnorodności naszego regionu. ▪

XX MAŁOPOLSKIE DNI DZIEDZICTWA KULTUROWEGO
ORGANIZATOR:

małopolski instytut kultury MIK

INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA MOJA WOLNOŚĆ

PATRONAT:

2018 EUROPEJSKI ROK DZIEDZICTWA KULTUROWEGO #EuropeforCulture

Małopolskie opowieści

JOANNA ORLIK, DYREKTORKA MAŁOPOLSKIEGO INSTYTUTU KULTURY:

Nie można skupiać się wyłącznie na przyjemnych fragmentach naszej przeszłości, bo wtedy mamy do czynienia ze skansenem, a nie z autentyczną i wartościową kulturą.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Już niedługo rozpoczną się XX Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego. Jak rozumiecie pojęcie dziedzictwa?

JOANNA ORLIK: To jeden z kluczowych obszarów działalności Małopolskiego Instytutu Kultury w Krakowie.

Długo zastanawialiśmy się, jak chcemy mówić o dziedzictwie. Samo słowo ma trudny do precyzyjnego nazwania ciężar. Może to wielowiekowa tradycja, może skomplikowana tożsamość albo trudne doświadczenia ciągnące się za nami. A praca z dziedzictwem obejmuje wszystkie te obszary.

Często nie jest łatwa ani przyjemna, w sensie promocyjnym nie jest również *sexy*, bo trudno zachęcić nim szerszego odbiorcę. Słowo „dziedzictwo" nie budzi zawsze dobrych skojarzeń.

Faktycznie, przynajmniej w pierwszym odruchu. Może dlatego, że przez lata było wykorzystywane w nieciekawych kontekstach.

Dlatego praca z dziedzictwem jest wymagająca i jednocześnie bardzo ważna. Bo nie da się tej spuścizny po prostu zlekceważyć albo udawać, że jej nie ma. Nie można skupiać się wyłącznie na wybranych fragmentach naszej przeszłości, na tym, co uznamy za jednoznacznie atrakcyjne.

Niektórzy próbują stworzyć coś na kształt sztafażu. Czasem tak promuje się obce, egzotyczne kultury: nauczmy się spektakularnego tańca, ugotujmy pyszne danie z regionalnej kuchni...

...robi się z tego skansen.

Tak – w tym sensie jest to kompletnie nieautentyczne albo, w najlepszym razie, bardzo powierzchowne. Jeszcze gorzej, gdy łudzimy się, że oto otrzymujemy wgląd w głębokie warstwy kultury, podczas gdy w rzeczywistości obcujemy z wyrwanymi z kontekstu i niepołączonymi ze sobą elementami. W efekcie nie otrzymujemy nic poza miłym, ale fałszywym wrażeniem.

Dlatego nie chcemy uciekać od ciężaru, jaki niesie ze sobą dziedzictwo, choć czasem przyciska nas ono do ziemi. Jednocześnie chcemy je uwspółcześnić, gdzie tylko się da. W pierwszej kolejności przyglądamy się obszarom, które można, a nawet trzeba zaktualizować. Mówiąc inaczej, chodzi o te elementy, które czegoś nas uczą, mają realną wartość dla ludzi w 2018 roku.

Na przykład?

Weźmy choćby biografie, które przecież są częścią każdego dziedzictwa. Wiele z nich jest bardzo pouczających – w tak rozumianym dziedzictwie można przeglądać się jak w lustrze.

Dlatego też zawsze, gdy przygotowujemy dla publiczności jakiś obiekt, sta-

J. NOWOSTAWSKA-GYALÓKAY, MIK 2017

Gmach główny Akademii Górniczo-Hutniczej im. Stanisława Staszica w Krakowie

al. Mickiewicza 30, Kraków

GMACH GŁÓWNY Akademii Górniczo-Hutniczej to przede wszystkim zaprojektowany w międzywojniu hol, aula, a także powojenna modernistyczna biblioteka. Trudno uwierzyć, że inicjatywa założenia tej uczelni przypada już na 1913 r. Niestety I wojna światowa uniemożliwiła jej start i dopiero w 1918 r. Komitet Organizacyjny Akademii Górniczej ogłosił nabór na pierwszy rok akademicki. Wkrótce więc ta szacowna instytucja będzie obchodzić swoje stulecie. Podczas Dni Dziedzictwa będzie okazja posłuchać o ciekawej historii budowy gmachu uczelni. Oprócz tego będzie można zejść pod ziemię do kopalni, zobaczyć bogate zbiory geologiczne, techniczne i artystyczne oraz wziąć udział w fascynujących pokazach między innymi z ciekłym azotem w roli głównej.

ramy się obudować go historiami o konkretnych ludziach. Sama perspektywa historyka sztuki, czyli patrzenie wyłącznie na materialny wymiar danego budynku czy miejsca, to zdecydowanie za mało. Chcemy pokazać mozaikę perspektyw, bo to jest nie tylko dużo ciekawsze, ale też przynosi wszystkim więcej pożytku.

Dni Dziedzictwa są raz w roku, ale praca trwa chyba nieprzerwanie od 20 lat.

Z perspektywy publiczności to dwa majowe weekendy, ale dla nas to ponad pół roku przygotowań, a poszukiwania nowych obiektów zaczynamy dzień po zakończeniu bieżącej edycji. Niesamowite, że zawsze udaje się znaleźć subtelne nici łączące ze sobą najrozmaitsze miejsca, bardzo często w nieoczywisty sposób. To praca niemalże detektywistyczna.

Bardzo mi się podoba, że obiekty przyrodnicze także wchodzą w skład Waszego rozumienia dziedzictwa. To dziś mało oczywista perspektywa.

Oczywiście, to przecież jeden z elementów, który kształtuje naszą kulturę. Dlatego na naszej liście pojawiła się choćby Pustynia Błędowska, ale też podkrakowskie kamieniołomy.

Jak wygląda poszukiwanie tych miejsc? Jeździcie w teren i rozglądacie się?

Tak, bardzo dużo podróżujemy po Małopolsce. Gdy już ustalimy temat przewodni danej edycji, szukamy obiektów, które mogą nam posłużyć do zilustrowania danej idei. To nigdy nie są obiekty jednego typu – na przykład kościoły lub dwory. Chcemy maksymalnie poszerzać perspektywę snutej przez nas opowieści.

A kwestie praktyczne?

Tu bywa jeszcze trudniej. Właściciele danego obiektu nie zawsze chcą od razu z nami współpracować, dlatego zawsze musimy wymyślić indywidualny plan działania. Dla nich to przecież jest również olbrzymi wysiłek i poświęcenie. Dla gości zwiedzanie jest zawsze bezpłatne i z przewodnikiem, którym często jest sam gospodarz. Zdarza się, że ktoś opowiada tak naprawdę historię swojej rodziny, co zwiedzający szczególnie sobie cenią. Do tego dochodzą dodatkowe atrakcje – warsztaty, wystawy czy najróżniejsze wydarzenia artystyczne. Zdarzało nam się organizować pokazy mody czy pikniki – wszystko, co może pomóc wprowadzić w klimat epoki. Wchodziliśmy też nieraz w bardziej zażyłą współpracę z udziałem lokalnych władz – w ten sposób stworzyliśmy kilka stałych ekspozycji.

W tym roku hasło brzmi „Wolność krzepi". Dlaczego?

Nawiązujemy w ten sposób do odzyskania przez Polskę niepodległości, ale też do całego dwudziestolecia międzywojennego. 11 listopada 1918 r. widzimy jako rozpoczęcie długiego i skomplikowanego procesu. Wtedy nic nie było oczywiste, do tego pojawiły się setki nowych wyzwań. Radość związana z powrotem Polski na mapę Europy jest ważna, ale to przecież dopiero początek trudnej drogi. Tegoroczna edycja ma pokazać, jak wielki to był wysiłek, dziś wręcz niemożliwy do wyobrażenia.

Szczególnie ważna jest dla nas perspektywa przeciętnego obywatela, który musiał wykazać się niezwykłym hartem ducha, żeby na co dzień tę Niepodległą budować.

Największe zaskoczenia po tych 20 latach?

Czasem uda nam się odkryć przypadkiem bezcenną perłę.

Tak było w Kwiatonowicach, gdzie właściciele pokazali nam niezwykły pamiętnik tamtejszej guwernantki, która objechała cały świat. Udało nam się znaleźć dla niego wydawcę i teraz każdy może go przeczytać.

To tylko jeden z przykładów partnerskich relacji, w które wchodzimy z najróżniejszymi osobami i instytucjami. Mamy duży *know-how* w wykorzystywaniu olbrzymiego potencjału, który tkwi w naszym regionie. Za każdym razem pracujemy z lokalną społecznością i to zawsze przynosi coś zaskakującego. Często ↦

Willa Eugeniusza Kwiatkowskiego w Tarnowie-Mościcach

ul. Jarzębinowa 9, Tarnów

CHEMIKOWI IGNACEMU MOŚCICKIEMU, który w 1926 r. został prezydentem II RP, Tarnów zawdzięcza nie tylko nazwę jednej ze swych dzielnic, ale przede wszystkim imponujący skok gospodarczy. Decyzja o budowie Państwowej Fabryki Związków Azotowych zapadła w 1927 r., a już w styczniu 1930 r. świętowano jej oficjalne otwarcie. Błyskawiczne tempo budowy w „szczerym polu" wymagało bazy noclegowej i zaplecza dla jej budowniczych.

K. SCHUBERT, MIK 2018

Jako jeden z pierwszych budynków na osiedlu, już w 1928 r., powstała willa dla dyrektora i jego rodziny. Służbowy dom otoczony wspaniałym ogrodem to osiem pokoi, dwie łazienki, garderoba, dwa tarasy, kredens i dwie służbówki. Podczas majowego zwiedzania tej najelegantszej willi w Mościcach będzie można zobaczyć również współczesny gabinet dyrektora Grupy Azoty S.A.

spotykamy ludzi deklarujących się jako amatorzy w jakiejś dziedzinie, którzy potem okazują się wybitnymi ekspertami o oszałamiającej erudycji. Wielokrotnie zdarzyło się nawiązać współpracę na lata, kiedy indziej udało się spotkać ze sobą ludzi o podobnych pasjach, którzy wcześniej nie wiedzieli o sobie nic, choć żyli tuż obok.

A czy zmieniło się rozumienie tego, czym może być dziedzictwo?

Gdy kilka lat temu zaproponowaliśmy wpisanie na listę małopolskiego dziedzictwa budynek krakowskiego kina Kijów, pojawiło się dużo zdziwionych głosów.

Jak z hotelem Cracovia.

Tak, ale to było jeszcze przed walką o Cracovię. Wchodziliśmy wtedy na zupełnie nowe terytorium. Dziś są to tematy dużo bardziej oczywiste, bo zwiększyła się powszechna świadomość. Ale akurat w tym przypadku mieliśmy mocne argumenty – kino Kijów ma przecież nieocenione zasługi dla polskiej kultury. W tym roku także pojawi się ciekawy, choć równocześnie nieoczywisty temat urbanistyczny. Wbrew pozorom wiele miejsc w Małopolsce zostało zaprojektowane kompleksowo, jako kolonie mieszkalne i pracownicze. Będziemy prezentować willę Kwiatkowskiego przy zakładach azotowych w Tarnowie oraz całą tę dzielnicę zaprojektowaną jako miasto ogród. Wcześniej pokazywaliśmy kolonię robotniczą w Brzeszczach. Takie działania mają ogromne znaczenie dla lokalnej wspólnoty, bo pozwalają zobaczyć w zupełnie nowym świetle to, co wydawało się oczywiste i znane. To też bardzo podnosi morale i samoocenę, bo w ślad za nami przyjeżdża czasem kilka tysięcy zachwyconych pasjonatów. Wtedy ludzie dostrzegają skarby znajdujące się tuż pod nosem. Cieszy mnie też to, że kolejne rzeczy często dzieją się już bez naszego uczestnictwa. Dni Dziedzictwa to rodzaj eksperymentu – dajemy możliwości i wiedzę, aby inspirować do dalszego działania.

MIK

JOANNA ORLIK – redaktorka, animatorka kultury, dyrektorka Małopolskiego Instytutu Kultury.

Radość związana z powrotem Polski na mapę Europy jest ważna, ale to przecież dopiero początek trudnej drogi. Tegoroczna edycja **Dni Dziedzictwa** ma pokazać, jak wielki to był wysiłek, dziś wręcz niemożliwy do wyobrażenia.

Co roku wydajecie też książkę, w tym roku jej autorem jest Jakub Kornhauser.

Bardzo trudno stworzyć książkę na zamówienie, szczególnie przy naszych wymaganiach! Zależało nam na kimś, kto się Małopolską zachwyca, przy tym ma w sobie wnikliwość badacza, ale i poety – więc nie mógł być to kto inny niż Jakub. Przygotowując się do jej napisania, odwiedził wiele miejsc, spotkał się z mnóstwem osób, wniknął w setki historii, a efekt przerósł nasze oczekiwania, bo powstała nie tylko wspaniała książka o naszym regionie, ale przede wszystkim genialna literatura. Bardzo nam zależy, aby Dni Dziedzictwa nie były jednostkowym wydarzeniem – chcemy pozostawić po sobie jak najwięcej.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

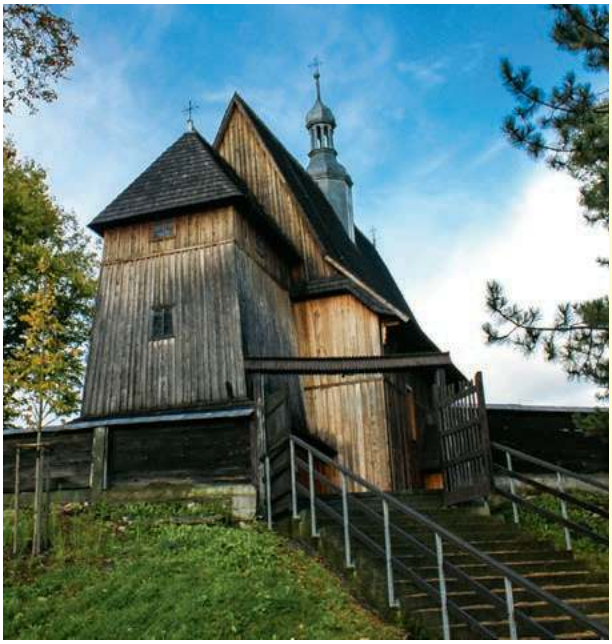

J. NOWOSTAWSKA-GYALÓKAY, MIK 2017

Kościół pw. Narodzenia NMP w Racławicach k. Olkusza

Racławice 54, Przeginia (powiat krakowski)

RACŁAWICE KOŁO OLKUSZA, położone w malowniczej Dolinie Racławki, to wieś interesująca nie tyle z powodów historycznych, co geograficznych. W okresie zaborów terytorialnie wieś należała do Kongresówki, choć graniczyła z Galicją. Życie codzienne na styku zaborów nie należało do najłatwiejszych. Cichym świadkiem tego „zwykłego życia" był zbudowany w początkach XVI wieku drewniany kościół pw. Narodzenia NMP. Dziś jego zgrabna sylwetka, posadowiona na zboczu porośniętym dostojnymi drzewami, wygląda sielsko. Jednak jeśli dobrze poszukać, można znaleźć tu historie o przewróconym słupie granicznym, o przemarszu w sierpniu 1914 r. legionistów czy o ukrywaniu kościelnych dzwonów przed wojskiem austriackim. Historie o trudnym odzyskiwaniu upragnionej wolności we wsi, jakich w Małopolsce wiele.

JAKUB KORNHAUSER

Bakcyle postępu

Historia Odona Bujwida i Kazimiery Bujwidowej z domu Klimontowicz to nietuzinkowa historia miłosna: nowoczesna par excellence, wielkoformatowa i zasługująca na wiele więcej niż skromna, choć wspaniale położona i zabudowana, uliczka na krakowskich Grzegórzkach.

Chcielibyście historii miłosnej, prawdziwego romansu, co pąsem wam rozmasuje policzki, romansu krakowskiego, z wyższych sfer i o nobliwym zapleczu, z mieszczańskim tłem, z polityką u boku, z zazdrością i medycyną podążającymi w ślad za kolejnym sukcesem. Romansu w świetle latarń na Plantach, ale i pełnego niedopowiedzeń ukrywanych w dygestoriach. Romansu, który rozsadza gorsety konserwatywnych gustów i cylindry norm społecznych, choć w konserwatywnej ramie jest zamknięty. Który zamiast szalonych zwrotów akcji i namiętności kipiących z retort, wybiera rodzinne zacisze. A przecież zmienia bezpowrotnie sposoby postrzegania kobiet w życiu publicznym i toruje im drogę w ostępach patriarchatu, mimo że sam prywatnemu szczęściu nie pozwala o patriarchalnych złogach zapomnieć. No i to, co lubicie najbardziej: protagonistami są bowiem nie celebryci z bożej łaski, lecz pełnokrwiści bohaterowie o mocnych charakterach, wyprzedzający swoją epokę tężyzną intelektu i bakcylem postępu.

Historie miłosne to mają do siebie, że streścić w paru zdaniach ich nie streścicie. Nie mówiąc o takich, które owocują tyloma odkryciami, książkami, pracami, zasługami, że nie zmieścilibyście ich nawet w czeluściach dziury budżetowej. Historia Odona Bujwida i Kazimiery Bujwidowej z domu Klimontowicz to właśnie taka historia: nowoczesna *par excellence*, wielkoformatowa i zasługująca na wiele więcej niż skromna, choć wspaniale położona i zabudowana, uliczka na Grzegórzkach, której patronem jest on; ona zaś nie doczekała się choćby zaułka, skweru choćby bądź w parku alejki. Miasto, jeśli myślicie o parytecie w doborze autorytetów dla obywateli, nierychliwe. Wciąż nobliwi panowie w surdutach mają się o niebo lepiej niż rewolucyjnie nastawione panie i panny, nawet jeśli ich wkład w rozwój miasta równie ważki i dyskusjom niepodlegający. A może w tym szkopuł, że podlegający? Może raz na czas warto, wiecie sami dobrze, odsłonić historie obrośnięte kurzem, patyną czasu okryte, przyklepane niby-konsensusem i śpiące w dobrotliwych legendach jak niedźwiedzie w gawrach?

Kiedy przechadzacie się przez włości Wesołej, tej części Krakowa, którą zbyt często omiatacie wzrokiem jako nie dość ciekawą, nie bójmy się słów, po macoszemu traktujecie, ↦

W PŁAZIE POD CHRZANOWEM zapraszamy do obejrzenia wyjątkowego zabytku techniki – pieca kręgowego. Zbudowany pod koniec XIX wieku do wypału wapna, na pierwszy rzut oka przypomina sporych rozmiarów stodołę. By jednak zrozumieć złożony proces wypału kamienia wapiennego, trzeba spenetrować jego ciemne wnętrze. Podczas majowego weekendu za pośrednictwem lokalnych przewodników będzie okazja poznać oryginalną myśl techniczną, dzięki której przez dziesięciolecia powstawał doskonałej jakości produkt – szczególnie pożądany w budownictwie, przemyśle i rolnictwie odradzającego się państwa. Wapiennik, jak nazywają mieszkańcy Płazy swą „przemysłową dzielnicę", to nie tylko kamieniołom i piec, ale także niewielkie osiedle pracownicze, zbudowane w myśl Howardowskiej idei miasta ogrodu.

K. SCHUBERT, MIK 2018

Piec kręgowy w Płazie

ul. Jana III Sobieskiego 43, Płaza (powiat chrzanowski)

↦ bo jest dla was zapowiedzią jedynie, trailerem metropolitalnej wielkości objętej zielono-gawronim uściskiem Plant. Po kiego diabła zwalniać kroku przy ulicy Kopernika, rozglądać się po ululanych kamienicach przy Ariańskiej czy Topolowej, przy Rakowickiej, usianej krostkami sklepików i restauracyjek, przystawać w zadumie? Ech, miłe, ach, mili, srodze grzeszycie. Nie chcecie pograsować sobie z braćmi kurkowymi po Parku Strzeleckim, eks-muzeum Lenina w Pałacu Mańkowskich budzi w was awersję częściej niż słuszne zaciekawienie, baron Götz-Okocimski chlipie w zaświatach, bo twierdzicie, że Browar Kraków z pałacykiem, słodownią i innymi dobrociami sztuki i techniki nie wart waszej uwagi, o licznie gnieżdżących się w okolicy kościołach, Ogrodzie Botanicznym i klinikach Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego nie wspominając, bo tam mór, choć przecież i wiewiórki przynoszące pacjentom orzeszkowe antybiotyki, i dzięcioły zielone, starannie wydłubujące smakołyki z mrowisk, i paru mięsistych biegaczy w obcisłych porciętach, przemierzających zakamarki Wesołej, by dobrze zrobić rzeźbie swych spoconych ciał.

I nawet gdy na szalę rzucić fakt niezbywalny, węgielny kamień waszej stołeczno-królewskiej tożsamości, a mianowicie to, żeście z Wesołej wszak rodem, albowiem matki i ojcowie witali was na świecie w gmachu przy ulicy Kopernika, to jakże chętnie to wypieracie i jadąc tramwajem arterią tutejszą, ulicą Lubicz, odwracacie wzrok od tego, co po lewej, od tego, co po prawej, dążąc w swoich myślach ku wypucowanej płycie Rynku. Lubicz to zresztą odpowiednie miejsce na początek wielu historii, także miłosnych, także tej z małżonkami Bujwidami w rolach głównych. Może i tak, choć zgrzebnie i szaro jakoś, myślicie, przez nieuwagę łypiąc na otoczone wysokim płotem suche połacie krzaczysk i badyli na działce dogorywającej przy Lubicz 36. Nie pamiętacie, a szkoda, że od ostatnich dekad XIX wieku przed waszymi antenatami roztaczały się tutaj, na prośbę hrabiego Piotra Moszyńskiego, zaaranżowane przez mistrza ogrodnictwa z Opolszczyzny, imć Karola Freegego, eleganckie ogrody ze szklarniami, inspektami i wielobarwną roślinnością. Ale to nie ten fakt powinien was zaintrygować najłacniej.

Na zapiecku

Chcielibyście żarliwej utopii, w której wszyscy żyją zgodnie niczym jedna wielka rodzina, razem pracują i odpoczywają, wyjadają pod kocem ciasteczka z blaszanych pudełek, wywijają na parkiecie, dokarmiają sarny i borsuki z lasu, uśmiechnięci machają z okien i „hodują oswojone godziny" (jako rzecze wieszcz Herbert). Cóż. Z tym hodowaniem to jest tak, że niestety „jedna z tych godzin będzie twą ostatnią", o czym przypomina wam jak walnięcie obuchem sentencja umieszczona pod zegarem w centrum Płazy. A w lesie to częściej niż na futrzaki możecie się natknąć na jakąś Czarną Chatę czy Czerwony Pokój. Nie miejcie złudzeń: życie to nie feeria wieczystych przyjemności w tropikalnym raju. Pięćset lat od wydania „Utopii" Thomasa More'a i ćwierć wieku od premiery „Miasteczka Twin Peaks" wiemy o tym aż nadto. Choć, Bogiem a prawdą, kiedy spacerujecie po Wapienniku, oddalonym zaledwie o parę chwil od płaziańskiego chronometru firmy *memento mori*, sama wam

K. SCHUBERT, MIK 2018

Fort 50½ Ost Barycz w Krakowie

ul. J. Hallera 25, Kraków

Jadąc obwodnicą w stronę Wieliczki, natrafimy na dawną WIEŚ KOSOCICE. Tu wojska austriackie jeszcze pod koniec XIX wieku postawiły jeden z licznych fortów Twierdzy Kraków, który wziął udział w obronie miasta przed Rosjanami jesienią 1914 r. W Forcie 50½ O Barycz (inaczej zwanym też Kosocice) będzie można zobaczyć stanowisko wieży obserwacyjnej, wyposażenie wież pancernych, zamaskowane stanowiska strzeleckie oraz labiryntową przestrzeń wystawy specjalnie przygotowanej na Dni Dziedzictwa. Wszystko to w pięknym otoczeniu łagodnych pochyłości Pogórza Wielickiego, z Lasem Kosocickim i wzgórzami Grabówek. Dzieci będą mogły pobuszować po forcie. Czekają na nie także wyjątkowe warsztaty plastyczne.

się zatrzaskuje mapa nostalgii. Wystarczy, że zerkniecie na stary piec wapienniczy, wielgachny i grubaśny jak cielsko płetwala, ukryty pod drewnianą obudową jak pod pękającą w szwach derką, i już wam cieplej na sercu, w duszy goręcej.

Oczywiście, More by się obraził na twórców tej przemysłowo-rustykalnej arkadii. Gdzieżby mu do głowy przyszło stawianie pieca-płetwala w środku jurajskich lasów, ciągnięcie kolejowych torów rozczapierzonych jak linie życia, grzebanie w wapiennych skałach. Wszak męczarnie toto, znoje ponad ludzkie siły. Zachciało wam się pracować? To sobie najwyżej wydziergajcie wełniane pończochy, z kijkiem pogońcie po błotach. A tu, panie, inaczej myśleli: przy drodze z Chrzanowa – wiecie, tam, gdzie Kościelec i szpital – w stronę rozłożonej na pagórach Płazy i dalej, Wygiełzowa ze skansenem i Babic z zamkiem Lipowiec, nakreślono nowe osiedle. Miasto ogród to brzmi dumnie, może to miano nieco na wyrost, mając w pamięci Podkowę Leśną, tarnowskie Mościce czy Giszowiec w Katowicach, ale bez wątpienia coś jest na rzeczy.

Pewne jest jedno: akcja toczy się pośrodku iglastego lasu Dębiechowa, pełnego dzików, grzybów i minerałów, w miejscu określanym jako „bezludne", choć do końca bezludne to ono nie było, bo gdy się przyjrzeć XIX-wiecznym mapom, można wyczytać niemal zatarte kształty młyna wodnego, studni, a także owczarni. Ta ostatnia przetrwała nie tylko na obsypujących się kartach, lecz również w miejscowej legendzie. Mówi ona o wielkiej wodzie, która wcale nie miała zamiaru zapukać, za to raz-dwa zabrała wszystkie owce, wszystkich pasterzy i wszystkie zabudowania (ciekawe, czy zabrałaby i lamy, gdyby lamy stróżowały przy owcach, jak to się dzieje w Australii czy obu Amerykach; a lamy, proszę państwa, pilnują bardzo uważnie i są agresywne wobec kojotów, hien, zatem niewykluczone, że również byłyby i wobec wielkiej wody, czym zmieniłyby losy tych okolic). W każdym razie prehistoria tego miejsca nie obfituje w nadmiar danych; poruszacie się po omacku, odcyfrowując symbole tajemnicze niczym wskazówki, którymi kierował się doppelgänger agenta Coopera. Jasne, że to nie Twin Peaks, Laury Palmer tu chyba nie widziano, ani gadającego imbryka nadnaturalnej wielkości, Pieńkowej Damy raczej też nie. Tylko wilki (mówiło się tu o Wilczym Dole) i kopce graniczne między wsiami, które, z małym wyjątkiem pod Regulicami, do dzisiaj jednak nie przetrwały.

Tyle prehistoria z austriackich map i pism, tyle wspomnienia najstarszych obywateli. Właściwa przygoda zaczyna się, gdy zawieją z lekka zefiry wolności. Zefiry, dobre sobie, uśmiechacie się pod wąsem, wąsacze, tudzież tajemniczo, Giocondy, toż to rewolucja pełną gębą, pełną parą, buch-buch! Oto w latach 90. XIX wieku powstaje pomysł założenia w lesie Dębiechowa kamieniołomu wapienia oraz postawienia pieca, w którym można by go ładnie powypalać. Skąd zainteresowanie akurat tym miejscem? Musicie wiedzieć, że Płaza i okolice Chrzanowa słynęły z odsłonięć kamienia wapiennego. Zachowało się tu sporo reliktowych łomów i lochów, rękodzielniczych wyrobisk surowca, w których koedukacyjnie spędzano upojne popołudnia, a gdzie teraz, niczym w sztucznych grotach, moszczą się salamandry i pohukujące duchy. Zachowały się nawet okoliczne ślady prymitywnych pieców wapiennych, oznaczonych na mapach jako K.O., co się tłumaczy wcale nie jako nokaut, wcale nie jako kaowiec, lecz jako Kalkofen, co akuratną niemczyzną rozwiewa wszelkie wątpliwości. Piec wapienny, proszę czytelników. Wprawdzie pierwsze piece i łomy powstawały parę kilometrów dalej, nie zmienia to jednak decyzji tuzów fin-de-sièclowego krakowskiego kapitalizmu: kamieniołom wapienia i piec kręgowy ma stanąć tu, w akompaniamencie beczących z zaświatów owiec. ©

▪ Fragmenty książki „Wolność krzepi" Jakuba Kornhausera, Małopolski Instytut Kultury w Krakowie, Kraków 2018

Więcej na: **www.dnidziedzictwa.pl**

Dom rodzinny i Muzeum Wincentego Witosa w Wierzchosławicach

Wierzchosławice 698 (powiat tarnowski)

W PRZYSIÓŁKU DWUDNIAKI we wsi Wierzchosławice, w krytym strzechą domu urodził się Wincenty Witos – charyzmatyczny przywódca ruchu ludowego i trzykrotny premier II RP. Dziś jego chałupa przypomina o trudnych początkach i biedzie, z jakiej wyszedł, by zająć jedno z czołowych miejsc w polskiej polityce. Nim jednak Witos pojawił się na salonach, ożenił się, niecały kilometr dalej wybudował własne gospodarstwo i organizował życie społeczno-polityczne w swoim regionie. Obecnie jego zagroda, zwana przez mieszkańców Wierzchosławic „Witosówką", pełni funkcję muzeum biograficznego. Można tu obejrzeć meble, narzędzia rolnicze, przedmioty osobiste – jak choćby jego charakterystyczne oficerki, pamiątki rodzinne, zdjęcia, dokumenty i inne ślady jego życia oraz burzliwych czasów, w których przyszło mu żyć..

K. SCHUBERT, MIK 2018

WYŻSZA SZKOŁA
INFORMATYKI i ZARZĄDZANIA
z siedzibą w Rzeszowie

Rzeszów podróżuje w przestrzeni i czasie

Spotkanie 1: „Od Bacha do gwiazd". Od lewej: dr Wergiliusz Gołąbek – rektor WSIiZ, Wojciech Bonowicz, ks. prof. Michał Heller i prof. Krzysztof Jakowicz

„Wielkie pytania w nauce i kulturze" – taki tytuł nosiła druga edycja spotkań ze znanymi artystami, uczonymi i intelektualistami, które zorganizowane zostały w ostatnich miesiącach przez Wyższą Szkołę Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie. Gośćmi spotkań byli Anna Dymna, prof. Stefan Chwin, ks. prof. Michał Heller i prof. Krzysztof Jakowicz oraz prowadzący wszystkie spotkania Wojciech Bonowicz. W spotkaniach uczestniczyło około 2 tys. słuchaczy.

Cykl spotkań „Wielkie pytania w nauce i kulturze" powstał z inicjatywy prof. Tadeusza Pomianka, prezydenta WSIiZ. W pierwszej edycji cykl zadawał pytania samej nauce. W drugiej edycji organizatorzy zdecydowali się obok nauki postawić kulturę, pamiętając przy tym o zastrzeżeniu ks. prof. Hellera, że nauka jest częścią kultury i nie powinna być jej przeciwstawiana. Niemniej potoczne rozumienie rozdziela te sfery, a twórcy cyklu chcieli właśnie zwrócić uwagę na ich komplementarność.

Widać to było już na pierwszym spotkaniu zatytułowanym „Od Bacha do gwiazd", zorganizowanym 12 grudnia 2017 r. Publiczność zgromadzoną w Filharmonii Podkarpackiej w jedyną w swoim rodzaju podróż intelektualno-muzycznym promem kosmicznym zabrało dwóch znakomitych pilotów: filozof i kosmolog ks. prof. Michał Heller oraz wirtuoz skrzypiec prof. Krzysztof Jakowicz. „Żeby oderwać się od Ziemi w kierunku gwiazd, trzeba przezwyciężyć grawitację. Różne grawitacje nas trzymają przy ziemi – różne nasze obowiązki, problemy, kłopoty. Nauka nie wymyśliła do tej pory sposobu, jak można te różne grawitacje zsynchronizować, i dlatego w dzisiejszym wykładzie zwracam się o pomoc do muzyki. Muzyka nas porwie na skrzydłach, które pozwolą nam polecieć ku gwiazdom", powiedział ks. prof. Heller.

I rzeczywiście, trzem częściom wykładu o muzyce sfer – o panującej we wszechświecie i dającej się opisać matematycznie harmonii – odpowiadały trzy specjalnie wybrane utwory Jana Sebastiana Bacha w wykonaniu prof. Jakowicza. „W muzyce, podobnie jak w geometrii, istnieją symetrie", podkreślił w komentarzu ks. prof. Heller. „Z tym że muzyka nie dokonuje się w przestrzeni, tak jak geometria, tylko w czasie. I te symetrie nie polegają na obrotach w przestrzeni, tylko na przesunięciach w czasie. Widać to doskonale w muzyce Bacha – Bach żyje symetriami, Bach jest najlepszym matematykiem wśród kompozytorów". Dodatkową ilustracją tych słów były dwa przeźrocza pokazane na ekranie: jedno przedstawiało fragment „partytury wszechświata" (wzory opisujące grawitację zaczerpnięte z artykułu Einsteina), a drugie – partyturę jednego z utworów ze zbioru „Sonaty i partity na skrzypce solo" Bacha. Utwory z tego właśnie zbioru można było usłyszeć w trakcie wieczoru.

Kolejna podróż w cyklu miała nieco inny charakter. Tym razem do Rzeszowa przyjechał pisarz, krytyk i historyk literatury prof. Stefan Chwin. 19 lutego w Teatrze im. Wandy Siemaszkowej wygłosił wykład zatytułowany „Terroryzm i piękno – między historią a literaturą". „Terroryzm i piękno – trudno o bardziej odległe pojęcia", powiedział na wstępie. „A jednak ich związki są splątane, trudne i niepokojące, szczególnie, gdy stajemy przed pytaniem podstawowym: jaka była – i jaka jest – postawa polskiej kultury wobec terroryzmu, dawniej i dzisiaj?". To pytanie było punktem startu do podróży w głąb polskiej historii, a w szczególności w głąb dziejów polskiej literatury, której stosunek do terroryzmu w ciągu ostatnich dwóch stuleci ulegał rozmaitym przemianom.

W znakomicie skomponowanym i świetnie odczytanym wykładzie prof. Chwin przypomniał zarówno utwory będące częścią narodowego kanonu, jak i takie, o których dziś mało kto pamięta. „Kordiana" Słowackiego nadal czyta się w szkołach, ale zapewne nie rozmawia się z uczniami o tym, żeautora zafascynował „fenomen polskiego terrorysty, który nie był w stanie dokonać aktu terrorystycznego". „W systemie polskiej kultury, ukształtowanym w pierwszej połowie XIX wieku, znalazło się miejsce na niepokojące piękno indywidualnego terroryzmu, które budziło fascynację, lęk, odrazę i podziw", mówił wybitny pisarz. „Jeśli Mickiewicz opromienił Wallenroda blaskiem piękna

Spotkanie 2: „Terroryzm i piękno – między historią a literaturą". Dr Wergiliusz Gołąbek i prof. Stefan Chwin

Spotkanie 3: „Sztuka życia". Dr Wergiliusz Gołąbek, Anna Dymna i Wojciech Bonowicz

PIOTR KORDYŚ / WSIIZ

biblijnego, porównując swojego bohatera do Samsona, Słowacki już w latach trzydziestych zbudował matrycę pojęciową, która miała określać polskie myślenie o terroryzmie w drugiej połowie XIX wieku, a i w okresie późniejszym. Chodziło o duchowe piękno terrorysty jako samotnego bohatera tragicznego (...). W takim ujęciu patriotyczny terrorysta górował nad resztą Polaków jako jedyny Polak zdolny do czynnego przeciwstawienia się złu, do którego zdążyło się przystosować pogodzone z niewolą polskie społeczeństwo".

Do tej tradycji nawiązywały utwory pokazujące osamotnienie polskich zamachowców, jak choćby „Dzieje jednego pocisku" Andrzeja Struga. Zdumionej publiczności pisarz przypomniał, że w okolicach 1905 r. siatka terrorystyczna w Polsce liczyła ok. 8 tysięcy ludzi, a wielu z nich objęło później ważne funkcje w niepodległym państwie. Równocześnie zwrócił uwagę na inną tradycję, która od terroryzmu się odżegnywała, a członków organizacji bojowych przedstawiała w jak najciemniejszych barwach. Opinie tego typu padały z ust wielkich polskiej literatury, jak choćby Prusa czy Sienkiewicza. „Symboliki chrześcijańskiej używano za i przeciw terroryzmowi, w tym sensie wierność wartościom chrześcijańskim niczego tu nie gwarantowała i nadal niczego nie gwarantuje", podkreślił pisarz.

Trzecia podróż, na którą organizatorzy znów zaprosili publiczność do Filharmonii Podkarpackiej, nosiła tytuł „Sztuka życia" i odbyła się 16 kwietnia. Tym razem role przewodników wzięli na siebie aktorka i działaczka społeczna Anna Dymna oraz poeta i publicysta Wojciech Bonowicz. W rozmowie o życiu, jego jasnych i ciemnych stronach, goście wieczoru wspomagali się wierszami. Ze sceny usłyszeć można było m.in. utwory Wisławy Szymborskiej, Zbigniewa Herberta, Bolesława Leśmiana, Czesława Miłosza, Tadeusza Różewicza, Agnieszki Osieckiej, Marcina Świetlickiego, a także przekłady wierszy Fryderyka Hölderlina, Williama Blake'a czy Tomasa Tranströmera. Publiczność słuchała ich w przejmującej ciszy.

„Co poezja z nami robi? Co robi z tobą?", zapytał Dymną Bonowicz. „Od 15 lat prowadzę w telewizji program »Spotkajmy się«, gadam z ludźmi chorymi, cierpiącymi, umierającymi. Czasem prowadzę osiem takich rozmów w ciągu dnia. Jak wracam do hotelu, to nie umiem opisać stanu, w jakim jestem, bo te wszystkie cierpienia, niepokoje, lęki, one wszystkie gdzieś tam od tych rozmówców do mnie wchodzą. I ja jestem w dziwnym stanie – nie mogę ani spać, ani myśleć. I wiecie, co mi wtedy pomaga? Poezja. Biorę na przykład sonety Szekspira, czytam i po chwileczce już normalnie oddycham, krew mi normalnie płynie. Coś dziwnego jest w poezji. Czegoś się boję, to czytam Homera i okazuje się, że jego bolało to samo, Kochanowskiego to samo, Hölderlina to samo. Poezja oswaja nam różne rzeczy. Całe szczęście, że Bóg stworzył poetów. Poeci potrafią wziąć cztery słowa i tak je złożyć, że nagle coś mi się rozjaśnia".

W swobodnej rozmowie poruszono wiele innych tematów – od miłości i jej roli w życiu, przez stworzenia, które są od nas, ludzi, lepsze (koty i psy), aż po tytułową „sztukę życia" i to, na czym warto się w nim skupić. Z publiczności przyszło pytanie o motta życiowe bohaterów spotkania. „Kochaj i rób, co chcesz", odparła bez wahania Dymna. „Ja swoje motto zapożyczyłem od Wiktora Osiatyńskiego", przyznał Bonowicz. „Brzmi ono: »Stań rano przed lustrem, zrób sobie przedziałek – i odpieprz się od siebie«. To jest to samo, tylko innym językiem powiedziane".

Na wszystkich trzech spotkaniach sale były wypełnione po brzegi. Po każdym długo trwało podpisywanie książek i płyt zaproszonych gości. Relacje ze wszystkich spotkań dostępne są na stronie internetowej wsiz.rzeszow.pl/wielkiepytania.

Wyższa Szkoła Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie zaplanowała już trzecią edycję „Wielkich pytań". W Rzeszowie pojawią się prof. Jerzy Bralczyk i Michał Ogórek (5 grudnia br.), dr Ewa Woydyłło-Osiatyńska i ks. prof. Alfred Wierzbicki (27 lutego 2019 r.), a także ponownie ks. prof. Michał Heller i Krzysztof Jakowicz – tym razem z kwartetem smyczkowym (3 kwietnia 2019 r.). Zapowiadają się więc kolejne fascynujące podróże. © WB

KULTURA

SIEDEM CZARNYCH CZAPLI

JAGODA SZELC, REŻYSERKA:

Chciałabym zostawić po sobie „nic”. I tak już na koniec życia zostać w samych majtkach, położyć się i sobie umrzeć.

BŁAŻEJ STRZELCZYK: Ile mamy czasu?
JAGODA SZELC: O 15.00 chcę wracać do Łodzi, pracuję tam nad nowym filmem.

Mamy tylko dwie godziny na rozmowę?
To mało?

Czego się można dowiedzieć w dwie godziny?
No to niech pan zacznie już pytać.

Gdyby miała Pani wybór, to wolałaby Pani być pochowana w trumnie czy w urnie?
Wolałabym bez trumny i bez urny.

No jak to?
Kremacja jest emisją konkretnej ilości spalin do atmosfery. Produkcja trumien też emituje dużo syfów.

To co mamy zrobić z Pani ciałem?
Podobno Tybetańczycy kroją ciało i dają ptakom.

Myśli Pani, że byłaby smaczna dla ptaków?
Nie wiem, myślę, że bardzo jestem smaczna. Albo nie, może zaproponowałabym się w formie ciała akademii medycznej. Oni podobno mają już bardzo stare ciała i nie mają na czym pracować. Myśli pan, że oni ściągają twarz?

Chce Pani stracić twarz?
Byłoby to dość krępujące, przynajmniej tak o tym teraz myślę, kiedy jeszcze nie umarłam, że musiałabym tam występować ja jako ja.

W „Kabaczku” Jolanta Brach-Czaina pisze, że „zrywana żywcem z rąk skóra – trzeba najpierw nożem naciąć naokoło przegub dłoni – zwisa u palców jak zsunięte rękawiczki”.
Dłońmi to już wcale się nie przejmuję. Twarz bywa sprawą wstydliwą.

Nie ma się czego wstydzić!
Wolałabym nie występować w formie zwłok, taka zupełnie naga, i to jeszcze z twarzą.

Po co Pani ciało?
Jestem Jagoda Szelc.
Duch z przeżyciem cielesnym.

Dostała Pani ciało, tak?
Tak.

Od kogo Pani dostała ciało?
Od Boga oczywiście.

Bóg jest!
Tak, choć nie potrafię stwierdzić, czy on jest związany z jakąkolwiek religią. Podobnie jak Jezus Chrystus nie był chrześcijaninem, ja również nie jestem chrześcijaninem.

Modli się Pani?
Modlenie się to jeden z pięciu warunków pozbycia się strachu przed śmiercią.

Jakie są cztery pozostałe?
Trzeba zobaczyć cud, żałować za grzechy i zadośćuczynić. No i przebaczać.

MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA GAZETA

JAGODA SZELC (ur. 1984) jest reżyserką i scenarzystką filmową. Absolwentka Wydziału Grafiki Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu oraz studentka Wydziału Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej PWSFTviT w Łodzi. Jej debiut filmowy „Wieża. Jasny dzień" został najlepszym filmem 11. edycji festiwalu Off Camera. Był także nagradzany na Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni. Szelc pracuje nad kolejnym filmem pt. „Monument".

Widziała Pani cud?

Na pogrzebie mojego wykładowcy z Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu, Eugeniusza Geta-Stankiewicza.

Myśli Pani, że bierzemy udział w swoim pogrzebie?

Stankiewicz brał w nim udział na pewno. On w swoich grafikach bardzo często umieszczał ptaki. Podczas pogrzebu, gdy odprawiono już wszystkie rytuały z katolickich ksiąg i kiedy wynoszono urnę z jego prochami, nad cmentarzem pojawiło się siedem czarnych czapli. Krążyły chwilę nad nami, a kiedy zabiły dzwony – odfrunęły.

Śnią się Pani zmarli?

Tiziano Terzani, włoski reporter i pisarz, pod koniec życia pojechał w Himalaje, spotkał tam starca, który miał przygotować go na śmierć. Chodził do niego i prosił o interpretację snów. Starzec odpowiedział, że są one kompletnie nieinteresujące. Mózg sra za pomocą snów. Ciekawe jednak – jeśli we śnie śnisz wilka, który cię goni, boisz się i uciekasz, to śnisz siebie. W takim razie kto śni wilka?

A co z modlitwą?

Tu z kolei mam opowieść o moim przyjacielu, Piotrze z Bieszczad. Ma 70 lat, długie siwe włosy i brodę oraz brak uzębienia i piękną modlitwę. Oczy takie ma, że nikt nie ma takich oczu. No, może trochę ma ta afgańska dziewczynka z okładki „National Geographic". Modlitwa kojarzy mi się z Piotrem.

Czyli z czym?

Delikatnością, tajemnicą i subtelnością. Sama modlę się zabierając śmieci z lasu i zakręcając wodę w kranie, gdy myję zęby, bo wtedy ta woda leje się zupełnie bez potrzeby. Każdy sam sobie powinien ↦

↦ zdefiniować słowo „modlitwa". Choć trudno mi sobie wyobrazić modlitwę, która wycieka z gniewu i zaciśniętych zębów.

Dobrze, leży więc Pani jako zwłoki w tej akademii medycznej i co?
Ale bez twarzy!

Niech będzie, że bez twarzy.
No i czekam, co tam się zacznie dziać.

Nie myśli Pani, że może się tam nagle obudzi?
Myślę, że mniej bym się bała tego, że się obudzę, niż tego, że ktoś mnie tam będzie oglądał nago. Ale to jest moja perspektywa człowiecza z teraz.

Ale gdy umieramy, to zasypiamy?
Trzeba sobie wybrać. Na końcu przychodzi Ktoś i pyta: zasypiamy czy się budzimy?

I Pani co sobie wybierze?
Chyba się obudzę.

Do czego?
Jest w nas coś, co nieustannie ciągnie do odsłaniania tej tajemnicy. A ja bym się jednak zgodziła, że w życiu dzieją się sprawy tajemnicze. Równowaga będzie polegała na zaakceptowaniu, że pewnych rzeczy się nie dowiesz. Picasso mówił, że „komputery są beznadziejne, bo dają odpowiedzi".

Co jest po śmierci?
Nie udało mi się jeszcze umrzeć.

Gratuluję.
Ale „tam" nie będą już potrzebne nasze narzędzia tortur.

Skąd ta wiedza?
W mojej rodzinie jest historia Melanii, która nie mogła mieć dzieci. Mula, bo tak ją nazywano, pokłóciła się z mężem, który przy każdej okazji jej to wypominał. Rozstali się. I ona pewnego dnia wróciła do domu, wystawiła wszystkie rośliny doniczkowe na balkon i odkręciła gaz w mieszkaniu. Myślę, że była piękną i dobrą osobą, skoro w ostatecznym akcie rozpaczy oszczędziła kwiaty. Parę dni po pogrzebie przyśniła się kilku osobom z rodziny. Sen u każdego był taki sam. I to jest chyba jedyny sen, który biorę na poważnie. Mula wysyłała wszystkim żyjącym ludziom paczkę z narzędziami tortur i telegramem: „Tu, gdzie jestem, jestem szczęśliwa. Już nie potrzebuję tych narzędzi".

Pani jest gotowa na śmierć?
Napisałam już kilka testamentów.

I co w nich jest?
Najważniejsza jest maszyna do szycia. Bardzo lubię szyć.

Szycie to łączenie materiałów w jedno.
I naprawianie tego, co się zepsuło.

Kto dostanie maszynę, kiedy Pani umrze?
Mila, córka mojej przyjaciółki Kaliny. Kiedy się rodziła, jej mama znalazła trzynaście kobiet, które będą odpowiedzialne za inicjację dziewczynki. Są ciotki od seksu, miłości, przyjaźni, pracy...

Pani jest od czego?
Ja jestem ciotka śmierć.

I czym się Pani zajmuje?
Planuję umrzeć przed Milą.

Przyjść później i powiedzieć jej, jak było?
Kiedyś umierała przy mnie wspaniała kobieta. Pokazała nam wszystkim, jak to trzeba zrobić, i zrobiła to najlepiej.

No jak?
Do końca była dorosła. Była babcią i matką. Na poziomie ciała była oczywiście do zaopiekowania, ale umysł do końca miała jak brzytwa. Trwało to umieranie kilka dni, w domku. No więc kiedy ona umierała na górze, my na dole jedliśmy jej ulubione jedzenie. W ostatnim momencie siedzieliśmy wszyscy wokół jej łóżka, wkładaliśmy jej kostki lodu do ust i opowiadaliśmy, że jest piękna pogoda.

I co ona na to?
Że „chyba już jestem w niebie". Mam więc nadzieję, że dokładnie to pokażę Mili. To, że umierasz, będzie bardzo okej. Ale mam nadzieję, że zanim umrę, Mila będzie już starą kobietą. Ja będę jeszcze starsza, pójdę do niej i przekażę jej tę maszynę.

Czym jest niebo, a czym piekło?
Nie ma ani tego, ani tego. Mamy kontrakt duszy, na który się decydujemy. Jesteśmy z bogiem tą samą energią i decydujemy się na różne fakultety. Uwaga: nie ma lepszych albo gorszych kontraktów. Mnie w życiu spotkały bardzo trudne rzeczy, ale to sprawiło, że dziś jestem tą osobą, którą jestem. Nie zamieniłabym się na życia. I jestem zadowolona. Nie żyję przez porównanie. Ktoś kiedyś powiedział ładną sentencję, a ja lubię sentencje: że „życie jest jak egzamin, odpisywanie z cudzej kartki jest bez sensu, bo każdy dostał inne pytania".

Jezu, to już była grafomania.
Jestem królową...

...kiczu i tandety.
Banału, proszę pana, jestem królową banału. Szanuję siebie za to i trwam.

To mam jeszcze jedną sentencję, katolicką.
Proszę powiedzieć, tylko pod warunkiem, że się z nią razem nie zgodzimy.

Biskup Chrapek mówił, żeby „iść przez życie tak, aby ślady twoich stóp przetrwały cię".
No więc różnica między mną a pana biskupem jest taka, że ja bym chciała po sobie zostawić „nic". I tak już na koniec życia zostać w samych majtkach, położyć się i sobie umrzeć.

Dokąd oni idą? Ci wszyscy ludzie na końcu Pani filmu.
Gdzie chcą.

Ale w jednym kierunku.
A pan myśli, że dokąd idą?

Mogliby iść do nieba.
Dużo w panu nadziei i widzę, że też jest pan królem banału.

Za mną stoją lata tradycji Kościoła, a Pani powiedziała właśnie, że nieba nie ma.
Dla pana to oni mogliby sobie pójść nawet do nieba. Dlaczego ja mam panu mówić, dokąd idą? Niech sam sobie pan wymyśli, dokąd.

Chodzi Pani do kościoła?
Istnieje chyba duże napięcie między potrzebami duchowymi a ofertą przedstawianą przez instytucję. Amputowanie sobie potrzeb duchowych może doprowadzać do bardzo złych zdarzeń – wojen, dyktatur i ogólnej przemocy. Ale kościoły są miłe. Jak są puste. Takie budynki z ciszą.

Kościół w Pani filmie jest jakby w remoncie. Wszystkie święte figury w Pani kościele są zasłonięte!
To jest moje serdeczne życzenie kierowane do Kościoła, żeby się wyremontował.

Kaja ich wszystkich otruła?
Kiedy pan mówi o tym, co zobaczył w filmie, to pan nie mówi jednak o mnie, tylko o sobie. W ogóle mówiąc o kimś, mówi się o sobie. Jeśli robi się film przez trzy lata i po tych trzech latach ktoś non stop pyta mnie, o czym jest film, to byłoby to takie nudne, gdyby była tylko jedna odpowiedź, że kurwa jego mać. Najważniejsze w tym filmie jest to, że on się wymyka, przelewa, robi woltę oraz rozpada się na kawałki i części. W tym sensie moja teza jest nieciekawa. Ciekawe jest natomiast, co zobaczył widz.

Kaja jest chora?
Nie.

A matka?
Zależy, jak definiujemy chorobę.

A Mula?
Jest.

Na co chora jest matka?
Jeśli wielki smutek jest chorobą, a ja nie wiem, czy jest, to matka jest chora na wielki smutek.

Różnica między chorą matką a tajemniczym zachowaniem Kai jest taka, że choroba matki jest zdiagnozowana, w związku z tym jest otoczona opieką. Tajemnicza Kaja budzi niepokój także dlatego, że nie została zdiagnozowana.
No, nie ma diagnozy, dlatego że Kaja nie jest chora. Dlaczego niby Kaja miałaby być chora? Bo jest spokojna? Bo mało mówi?

A Mula, na co jest chora?
Na wszystkie choroby cywilizacyjne. Dała sobie wmówić, że nad wszystkim może mieć kontrolę. Jest więc znerwicowana, bo każdy moment, w którym coś jej się wymyka z rąk, doprowadza ją do frustracji.

Mula reprezentuje miasto.
Dobrze, niech więc będzie tak, że Mula reprezentuje miasto. A Kaja?

Las!

Łatwiej jest się bać.
To prosta koleina, w którą szybko można się schować. Strach jest prosty. Trudniejsza jest ciekawość.

Świetnie. Jest taka teoria, że betonując las, rżnąc drzewa i produkując plastik, tak naprawdę poddajemy się atawizmowi, bo przyroda to śmierć dla takiego kruchego człowieczka. Chcemy ją zabić. Zniszczyć w nas.

Dlaczego zabijamy przyrodę?
Bo się w niej niepewnie czujemy. Pewniej czujemy się wśród betonu niż wśród drzew. W tym sensie Kaja budzi niepokój, bo jest właśnie jak las, jak natura. Kaja przecież nic nie robi. Mówi niewiele. Kaja jest z porządku lasu, a my chcemy postrzegać ją w porządku betonu. No więc za wszelką cenę musimy ją zabetonować. O! Albo właśnie wymyślić jakąś chorobę. Zdiagnozować tę chorobę i okiełznać. Nadać jej jakąś nazwę.

To jak nie betonować?
Cały czas przesuwając swoją granicę od lęku do ciekawości. To jest oczywiście bardzo trudne. Łatwiej jest nam się bać, bo to prosta koleina, w którą szybko można się schować. Strach jest prosty. Ktoś jest muzułmaninem? Łatwiej jest się go przestraszyć, niż się nim zaciekawić. Ktoś jest prawicowcem lub lewakiem? Okej – czyli wszystko już o nim wiem i trzeba iść na wojnę. Wszystkie dramaty dziś biorą się właśnie z tego, że na odcinku między lękiem a ciekawością bliżej nam do tego pierwszego.

A Pani się czegoś boi?
Że się z czymś za silnie utożsamię. Albo że sobie coś o sobie pomyślę i w to uwierzę. Że się zdeprawuję i gdzieś kiedyś wyjdę z pozycji arogancji. Byłoby mi wtedy wstyd.

Zawoalowany jest ten Pani film.
Są tacy, co mówią, że kobiecy. Że to takie kobiece kino.

To grafomani.
Bo przecież kino nie ma genitaliów. Zdaje się, że Kathryn Bigelow i wiele innych reżyserek udowodniło już, że nie ma czegoś takiego jak filmy kobiece albo tematyka kobieca.

Owszem.
Telefonowałam ostatnio do Jerzego Bralczyka celem ustalenia raz na zawsze sprawy „reżyserki", „reżysery" bądź „kobiety reżyser".

I co?
Język determinuje. Bo przecież formę żeńską tworzy się poprzez zmiękczenie od formy męskiej. „Reżyser" – „reżyserka", „aktor" – „aktorka". Wielki reżyser, mała reżyserka. Z kolei trzeba przyznać, że robiąc film muszę udowodnić światu znacznie więcej.

Co na przykład?
Że w ogóle potrafię taki film zrobić. Mężczyzna nie ma takiego kłopotu.

Więc kim Pani jest?
Reżyserzycą.

Od samicy?
Albo raczej od wampirzycy. Reżyserzyca-wampirzyca. Na pewno nie jestem jak Pantokrator, który przybywa na białym koniu i oznajmia objawioną prawdę o świecie. No więc ja chcę powiedzieć, że więcej nie wiem, niż wiem. I okej mi jest z każdą interpretacją tego, co robię. Pod warunkiem, że nikt mi nie zarzuca, że to, co zrobiłam, jest kiepskie warsztatowo. Otóż to, co zrobiłam, jest takie, jakie chciałam, żeby było. Jestem świetnym rzemieślnikiem.

Niektórzy mówią, że jest Pani szamanką, szeptuchą.
Może wiedźmą?

Od czego są wiedźmy?
Od wiedzenia. A także od tego, co streszcza się w tej pięknej sentencji, że „grzeczne dziewczynki idą do nieba, a niegrzeczne idą tam, gdzie chcą".

A w kinie, czuje się Pani w kinie bastardem?
Nie. Środowisko jest w jakimś stopniu złożone z bastardów, więc trudno, żeby kogoś odrzucało albo ustawiało poza nawiasem. Nie jestem też bastardem, bo moim środowiskiem są moi przyjaciele. Chyba nie chcę definiować swojej tożsamości jako filmowca. Raczej wolałabym pozostać sobie taką ot Jagodą Szelc.

©℗ Rozmawiał BŁAŻEJ STRZELCZYK

Kurtyna z żelaza

SEBASTIAN SMOLIŃSKI Z CANNES

71. Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Cannes w odróżnieniu od kilku ostatnich edycji pełen jest polskich wątków. Największe nadzieje rozbudza „Zimna wojna" – nowy film Pawła Pawlikowskiego.

W sekcji Tydzień Krytyki Filmowej premierę ma „Fuga" Agnieszki Smoczyńskiej, w Konkursie Filmów Krótkometrażowych o nagrodę powalczy animacja „III" Marty Panek, a w konkursie Cinéfondation – „Inny" Marty Manguskiej. Na festiwalu można również zobaczyć pełnometrażową animację o Ryszardzie Kapuścińskim „Jeszcze dzień życia" w reżyserii Damiana Nenowa i Raúla de la Fuente, a w sekcji „Un Certain Regard" – debiut „Żniwa" Etienne'a Kallosa ze zdjęciami Michała Englerta wyprodukowany przez Mariusza Włodarskiego.

Najwięcej emocji budzi jednak udział w konkursie głównym dwóch filmów: współprodukowanej przez Polskę „Ayki" Siergieja Dworcewoja (premiera przedostatniego dnia festiwalu) oraz „Zimnej wojny" Pawła Pawlikowskiego. Długo wyczekiwane dzieło reżysera Oscarowej „Idy" – będącej we Francji przebojem kin studyjnych – to poniekąd druga część osadzonego we wczesnym okresie PRL-u czarno-białego dyptyku o zawikłanej polskiej historii. Dziejąca się na przestrzeni piętnastu lat i w kilku krajach podzielonej politycznie Europy „Zimna wojna" to melodramat o migrantach pozbawiony choćby kropli sentymentalizmu; gorzka opowieść o miłości nie tyle beznadziejnej, ile skazanej na wieczną tułaczkę i niespełnienie.

Dramat w muzycznym zwierciadle

W 1949 r. – w przededniu przeforsowania przez władze socrealistycznej doktryny – kompozytor i dyrygent Wiktor (Tomasz Kot) oraz jego koleżanka Irena (Agata Kulesza) jeżdżą po polskich wsiach, by zapisać na taśmach autentyczny ludowy folklor. Jest to pierwszy krok przed stworzeniem zespołu Mazurek, który wkrótce stanie się wizytówką nowej władzy i wystąpi w Berlinie, Moskwie i Jugosławii. Podczas przesłuchania wiejskich śpiewaczek Wiktor poznaje Zulę (Joanna Kulig) – jasnowłosą kobietę, która udaje góralkę i uwodzi go pewnością siebie. Para wkrótce zakochuje się w sobie i kiedy partia ingeruje w charakter Mazurka, wymuszając na Wiktorze, żeby włączył do programu pieśni o komunistycznych reformach i Stalinie, muzyk namawia Zulę do wspólnej ucieczki do Berlina Zachodniego.

Tak jak w przypadku „Idy", w nowym filmie Pawlikowskiego to plastyka obrazu i drobiazgowa stylizacja wysuwają się na plan pierwszy. Ten sam operator, Łukasz Żal, nadał „Zimnej wojnie" kształt zbliżony do „Idy": bliskie kwadratowi proporcje obrazu, głęboki kontrast czerni i bieli, przestrzeń nad głowami i ciałami bohaterów, przygniecionych rzeczywistością, w której przyszło im żyć. W odróżnieniu jednak od chłodnej, mocno wystudiowanej „Idy", „Zimna wojna" oddycha rześkim powietrzem i toczy się w wartkim tempie.

Związane jest to i z kształtem scenariusza – u Pawlikowskiego będącego zawsze raczej szkicowym planem niż zamkniętą całością – i ze środowiskiem, w którym toczy się akcja. Współautorem scenariusza jest zmarły przed rokiem Janusz Głowacki, który znał emigranckie życie od podszewki i opowiadał o nim – choćby w dramacie „Antygona w Nowym Jorku" – z nutą smutnej ironii. Podobne emocje można odnaleźć w „Zimnej wojnie", w której ucieczka na Zachód wiąże się ze skrajnym osamotnieniem i koniecznością wydeptania sobie zawodowej ścieżki w obcym kraju. Głowacki miał też być może wpływ na strukturę całości – szybkie, często bolesne sceny z życia bohaterów na przestrzeni lat, montowane przez Jarosława Kamińskiego z mistrzowskim wyczuciem chwili (film trwa 84 minuty, co na tle większości rozciągniętych do ponad dwóch godzin filmów konkursowych wydaje się posunięciem prawie awangardowym). Zwięzłość i jednoczesna gęstość emocjonalna filmu, w połączeniu z epicką rozpiętością opowieści, tworzą niezwykle poruszający efekt – można poczuć się tak, jakby ktoś inscenizował nam przed oczami listy miłosne dwojga pokiereszowanych przez los kochanków.

MAT. PRASOWE / KINO ŚWIAT

„Zimna wojna" – jakby na przekór beznamiętnemu, militarnemu tytułowi – jest też dziełem niezwykle muzycznym: rozśpiewanym, a nawet roztańczonym. Ludowy zespół pieśni i tańca nie pełni tutaj tylko roli arcypolskiego tła wydarzeń – to w kobiecym śpiewie, rozpisanym na kilka lub kilkanaście krystalicznie brzmiących głosów, zawarł Pawlikowski tę czystość i niewinność, które tworzyły tak niezwykłą aurę wokół filmowej Idy. Muzyka jest też kolejnym, obok wielojęzycznych dialogów, językiem filmu. To właśnie zmiany aranżacji i gatunków, przechodzenie od pieśni *a capella* do jazzowych występów

Tomasz Kot (Wiktor) i Joanna Kulig (Zula) w filmie „Zimna wojna" Pawła Pawlikowskiego

Wiktora w Paryżu i francuskich nagrań Zuli, stanowią zwierciadło, w którym przegląda się kondycja bohaterów – mimo upływu lat pozostających blisko macierzystej kultury.

Bezbłędny duet

Dla Tomasza Kota jest to druga w ostatnim roku rola Polaka żyjącego na obczyźnie w czasach zimnej wojny. Po pastelowym „Bikini Blue" Jarosława Marszewskiego, w którym Kot grał ożenionego z Angielką byłego żołnierza przebywającego w 1953 r. w szpitalu psychiatrycznym pod Manchesterem, aktor wcielił się w filmie Pawlikowskiego w postać podobnie zmiażdżoną przez historyczną zawieruchę i niepotrafiącą poradzić sobie z rozszczepieniem własnej tożsamości. W pierwszej części filmu Wiktor stosuje opisany przez Czesława Miłosza ketman: nie daje po sobie poznać, że sztuka podporządkowana prymitywnym politycznym wykładniom jest dla niego nie do zaakceptowania. Kot buduje swoją postać oszczędnie, grymasem twarzy i tonacją głosu oddając jej wewnętrzny ból i poczucie wykorzenienia.

Relacja z Zulą jest, oczywiście, oparta na różnicy klasowej. Zula dysponuje – jak mówi w jednej z paryskich scen Wiktor – „słowiańskim urokiem", nieposkromionym temperamentem, który tak podoba się zblazowanym Francuzom. Kulig, dysponująca lekko przaśną, zadziorną urodą, jest w roli Zuli zjawiskowa. Seksualną energię łączy z bezczelnością i kapryśnością. Scena, w której Kulig rozmawia z byłą kochanką Wiktora, wyrafinowaną paryską poetką, autentycznie rozbawiła tutejszą widownię: aktorka w jadowity sposób używa języka francuskiego, prychając między innymi na użyte przez Francuzkę słówko *la métaphore*. Między Kotem a Kulig na ekranie wyraźnie iskrzy, dzięki czemu ich powroty i rozstania, chwile czułości i kłótnie nabierają intymności i wiarygodności.

Jedna z kluczowych scen filmu dzieje się w zrujnowanym kościele, w którym odrapane malowidło z twarzą Jezusa przykryte jest grubą warstwą brudu. Czy Pawlikowski tak jak w „Idzie" odnosi się do Polskiej Szkoły Filmowej, przywołując tym razem pamiętną scenę z odwróconym krzyżem z „Popiołu i diamentu"? Równie dobrze trop ten może odsyłać do innego filmu tej epoki, czyli „Przygody" Antonioniego, w której bohaterowie odwiedzają stary klasztor i kościół. Choć „Ida" i „Zimna wojna" dzieją się w świecie duchowo wyjałowionym, zmiażdżonym przez dwa totalitaryzmy, mają niewątpliwy religijny podtekst, który schodzi być może na dalszy plan w zestawieniu z przejmującym pesymizmem obu filmów. To, co robi Pawlikowski, jest jednak wyjątkowym seansem wywoływania duchów: wizualną archeologią polskiej i europejskiej historii, która z krajobrazów i przedmiotów lepi obrazy tak uwodzicielskie pod względem estetycznym, że mogą się one równać tylko z najpiękniejszymi monochromatycznymi fotografiami.

Choć „Zimna wojna" miała premierę na początku festiwalu, od razu została uznana przez część dziennikarzy za jednego z faworytów w wyścigu o Złotą Palmę. Nie bez znaczenia jest też reputacja Pawlikowskiego – kosmopolity, który w 2000 r. nakręcił w Wielkiej Brytanii poświęcone emigrantom „Ostatnie wyjście", a „Zimną wojnę" oparł częściowo na doświadczeniach własnych rodziców. Rozwijany przez reżysera model autorskiej, wysublimowanej formalnie twórczości z pewnością rezonuje i z charakterem canneńskiego festiwalu, i z francuską wizją tego, czym powinno być wybitne europejskie kino. Fakt, że reżyser obficie wplótł w „Zimną wojnę" wątki paryskie, przemawia dodatkowo na korzyść filmu.

Niezależnie jednak od decyzji jury pod przewodnictwem Cate Blanchett, to wielka przyjemność obejrzeć w Palais des Festivals, gdzie odbywają się festiwalowe projekcje, tak wspaniały film, w którym bohaterowie rozmawiają na dodatek po polsku. Pod tym względem „Zimna wojna" rozbudza gorące nadzieje. ©

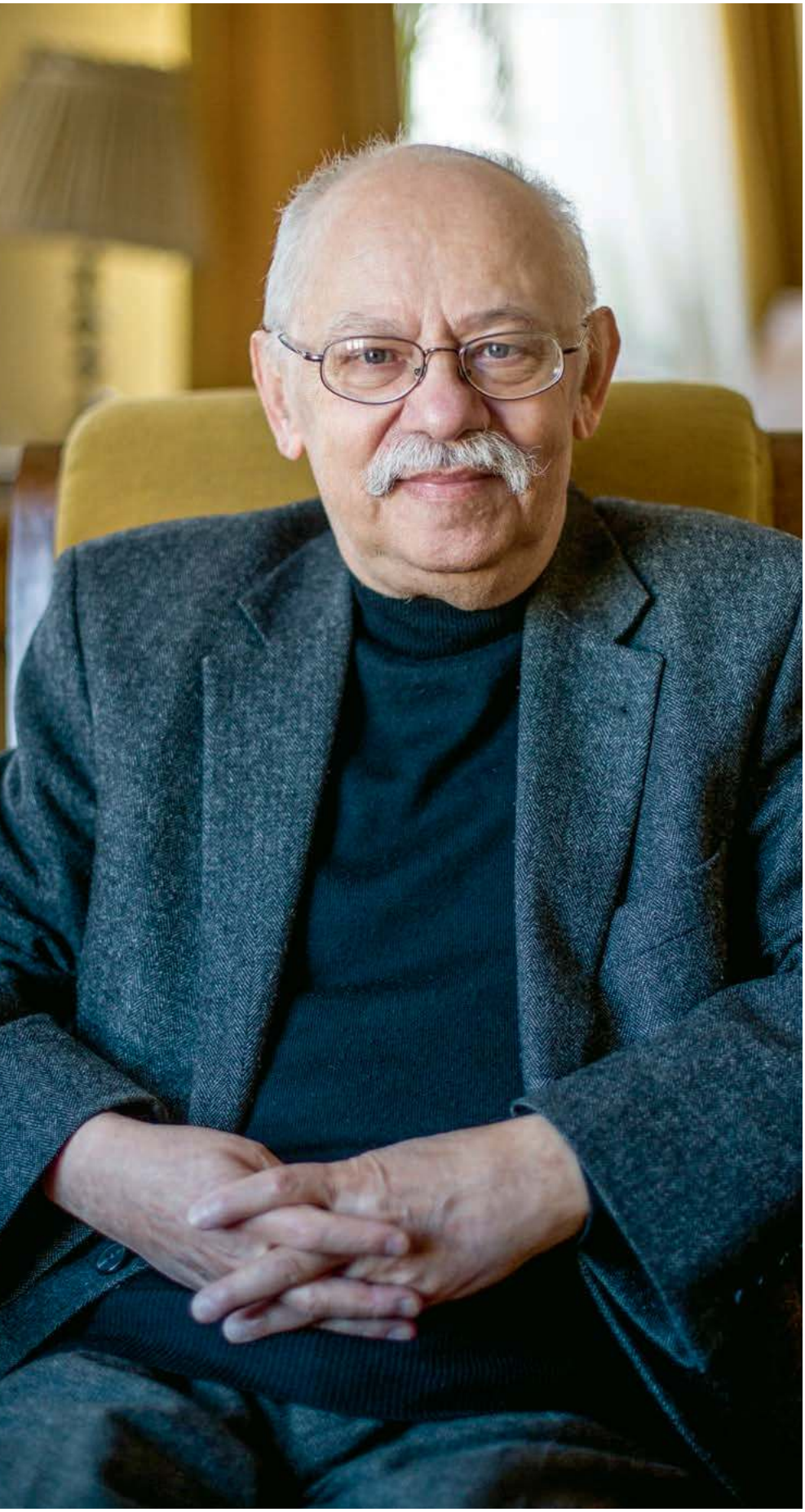

ADAM KOZAK DLA „TP"

Rozpamiętanie

PIOTR MATYWIECKI, POETA:

Człowiek niewrażliwy na swoje wewnętrzne przeżycia jest również niewrażliwy na przeżycia innych. Poezja leczy z tego najlepiej.

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI: Czy nagrody poetyckie przekładają się na popularność poetów, Pańską popularność albo nakłady?

PIOTR MATYWIECKI: Niestety nie. Być może jest tak, że więcej osób zapamiętuje moje nazwisko i będąc w księgarni wie, z kim ma do czynienia. Przyznam się jednak, że dawno temu wyzbyłem się kompleksów dotyczących nakładów. I tak złapałem Pana Boga za nogi: moje tomiki są wydawane, mimo pewnej trudności tworzonej przeze mnie poezji. A to, jak się rozchodzą, jest rzeczą ode mnie niezależną. Właściwie jedyną satysfakcją dla poety, może bardziej nawet niż dla prozaika, jest poczucie, że choć do jednej osoby trafia choćby jeden wiersz w sposób, jeśli wolno tak powiedzieć, intymny.

Co więc ciekawego mają nam do powiedzenia poeci?

Poeci nie mają za wiele do powiedzenia takiemu bytowi jak społeczeństwo. Natomiast mają wiele do powiedzenia każdemu człowiekowi z osobna. Mówi się dzisiaj, że w związku z rozwojem nowych mediów elektronicznych zanikła kultura rozmowy. Z natury rzeczy pisarze, a może przede wszystkim poeci, są ludźmi rozmowy sam na sam, człowieka z człowiekiem. Ale też człowieka z samym sobą.

Dobry wiersz jest zawsze pretekstem do rozpoczęcia wewnętrznego dialogu. To daje spośród całej literatury przede wszystkim poezja i dlatego uważam, że jest niezbędna. Tym samym formuje się coś, co można nazwać wrażliwością społeczną. Człowiek, który jest niewrażliwy na swoje wewnętrzne przeżycia, jest rów-

Piotr Matywiecki, Warszawa, luty 2018 r.

nież niewrażliwy na przeżycia innych. Staje się bytem otorbionym, niekomunikatywnym. A społeczeństwo wymaga jako wspólnota również takiego ugruntowania w elementarnych, duchowych przeżyciach. I to daje poezja.

Czyli Polacy są duchowo ubodzy, skoro nie czytają poezji?

Tego nikt nie wie. Socjologowie, choć dokonują znakomitych badań, mają jednak narzędzia zbyt toporne do badania stanu duchowości społeczeństwa. Na pewno jesteśmy społecznością obarczoną wielką liczbą kompleksów. To i bez badań wszyscy świetnie wiemy. Czy większą liczbą niż inne społeczeństwa? Tego też chyba nikt nie wie.

W nowym tomie umieścił Pan obok siebie dwa wiersze – jeden o sprawiedliwości, drugi o parlamencie. W pierwszym pisze Pan, że „sądy już wszystkich uniewinniły i więzienia są pełne / więzienia już wszystkich skazały i wolność jest pewna".

Uprzedzę pana: nie nawiązuję do kontekstu doraźnego. Chciałem w ten sposób podkreślić odczuwany przez wielu ludzi pewien, aż boję się to powiedzieć, absurd dzisiejszego przeżywania takich pojęć i takich praktyk jak sprawiedliwość, sądy, aparat sprawiedliwości, wina i kara. Wszystkie te pojęcia kiedyś były głęboko ugruntowane w najrozmaitszego rodzaju dekalogach, systemach wartości, ogólnego poczucia sprawiedliwości, które wydawały się wrodzone. Dzisiaj to wszystko uległo jeśli nie destrukcji, to na pewno rozmyciu. Efekt jest taki, że nie wiemy nigdy, czy na pewno ktoś skazany jest winien, czy ktoś niewinny nie powinien być przypadkiem skazany. To są pytania, z którymi nie uporali się najwięksi, tacy jak Fiodor Dostojewski czy Franz Kafka.

Czy to oznacza, że każdy ma sam mierzyć się z tym chaosem?

Należałoby w swoich własnych sumieniach, jeśli pojęcie sumienia wciąż nie zostało podważone, szukać nowych ugruntowań, poczucia sprawiedliwości, w ogóle zrozumienia, czym naprawdę dzisiaj w zaawansowanych społeczeństwach informacyjnych jest coś takiego jak sprawiedliwość. Myślę, że ogólnoludzka dyskusja nad tym pojęciem na pewno nas czeka.

W „Parlamencie" nowy poseł „powinien przedstawić siebie takiego, jakim chciał być wybrany, kiedy jeszcze wiedział, kim jest".

Chodzi o to, żeby ktoś, kto jest naszym parlamentarnym przedstawicielem, najpierw był osobowością. Przedstawicielem takiego człowieczeństwa, które jest jego własną, dojrzałą cechą, a dopiero potem kimś, kto ma pogląd partyjny taki czy inny. Musi być dojrzały.

Nie ma dzisiaj takich polityków?

Nie wiem. Miałem w życiu swój autorytet, który był zarówno autorytetem publicznym, jak i moim autorytetem prywatnym. Był nim Jan Józef Lipski, który zmarł na progu nowej niepodległości. Ale jego postawa obywatelska, jego poczucie odpowiedzialności, przyjęte na siebie zobowiązanie do działalności publicznej w dobrych sprawach, były mi niezwykle drogie. Miał na mnie ogromny wpływ. Innym nauczycielem, mniej znanym, był Maciej Geller, szef najpierw legalnej, a później podziemnej Solidarności Uniwersytetu Warszawskiego. Wiele go duchowo łączyło z Janem Józefem Lipskim.

To dzięki nim zaangażował się Pan w działalność opozycyjną?

Pewnie tak, ale musi pan pamiętać, że byłem typowym działaczem ostatniego naboru. Zawsze sympatyzowałem z KOR-em, podpisywałem listy, płaciłem składki. Natomiast rzeczywiście zaangażowałem się na pełną skalę w 1980 r., za pierwszej Solidarności. Tak jak wielu ludzi wtedy poczułem coś w rodzaju pobudzającego wstydu.

Wstydu?

W momencie, kiedy Solidarność powstawała, było wiadomo, że nieprzyłączenie się masowe do tego ruchu spowoduje jego natychmiastowe zdławienie. Taki grzech zaniechania byłby życiowym wstydem. Nie mógłbym spojrzeć w lustro.

Nie bał się Pan konsekwencji? Zwolnienia?

Nikt wtedy o tym nie myślał, ja też nie, bo byłem zaangażowany. Mało kto dzisiaj pamięta, że podziemna później Solidarność nie była tylko ruchem politycznym. To był również ruch społecznikowski. Na Uniwersytecie Warszawskim organizowaliśmy kolonie dla dzieci, jeździliśmy do małych miast z wykładami popularyzującymi naukę.

W wierszu „Przebyt" pyta Pan: „dlaczego boję się o pamięć". Czy często wraca Pan do przeszłości? Sądząc z naszej rozmowy – często.

Nieustannie. Każdy ma takie miejsca w czasie, do których wraca. Albo dlatego, że wydają się jego prywatną, wspaniałą idyllą i nawet jej wspomnienie daje spokój wtedy, kiedy jest się czymś zgnębionym. Albo też wspomina się neurotycznie coś, co było traumą, raną życiową. Wraca się wtedy do takiego momentu z przykrością i niechętnie. Czasami jednak musi się wrócić po to, żeby powstrzymać zbytni życiowy entuzjazm, ochłonąć, ale przede wszystkim, żeby zrozumieć, kim się jest. Bo te rany uformowały człowieka.

Istnieje też drugi aspekt pamięci – swoiście poetycki. Każdy poeta piszący dość długo ma pamięć własnych wierszy. Ta pamięć robi się podwójna i potrójna. Było jakieś wspomnienie, które kiedyś przywołałem w wierszu. Teraz chcę je przywołać z jakichś względów. I już nie wiem, czy przywołuję bardziej wiersz, który napisałem, i okoliczności, wśród których powstawał, czy to pierwotne wspomnienie. Pamięć wtedy staje się czymś wielowarstwowym. Taka właśnie była poezja dwóch poetów, o których piszę w tym tomiku, Adama Ważyka i Mieczysława Jastruna. To byli poeci pamięci.

Więcej w Pańskim przypadku jest wspominania idylli czy traum?

Chyba jednak trochę więcej traum.

A miłe wspomnienia z czym się przede wszystkim wiążą?

Z Kazimierzem nad Wisłą. To była taka moja młodzieńcza meta z czasów studenckich. I tam napisałem pierwszy prawdziwy wiersz w życiu.

Ile miał Pan lat?

Dwadzieścia jeden. Często w wierszach przywołuję tamtejszy pejzaż, poczucie poetyckiej, młodzieńczej sprawczości.

„Moje życie prosi się o śmierć, tak Franz Kafka mógłby zakończyć swoje życie". Czy o sobie też Pan tak powiedział?

Moje życie jest przesycone poczuciem śmierci związanym biografią, z moim ↦

↦ gettowym rodowodem. Ale o tym nie chciałbym mówić.

„Są tacy, którzy zmartwychwstali za życia nie wiedząc, dlaczego w tej chwili". Kim są ci ludzie?

To ludzie, których chciałoby się znać, bo swoim życiem umacniali nasze.

Co to znaczy „zmartwychwstać za życia"?

W najprostszym rozumieniu wznieść się ponad destrukcyjne wydarzenie. Nie wierzę w to, żeby dzisiejszy człowiek mógł się wyzbyć jakiegoś poczucia nieszczęścia. Każdy ma je ulokowane gdzie indziej, inaczej przeżywa, ale dla każdego ono jest wstrząsające. Niektórzy wobec takiego przeżycia obojętnieją, inni się załamują, a najwspanialsi są ci, którzy z tego nieszczęścia symbolicznie zmartwychwstają. To nie znaczy, że zapominają – pamiętają ciągle o nieszczęściu, ale żyją życiem nowym, odmienionym. Życiem wzmożonej dojrzałości, życiem bez złudzeń. Przykładem najbardziej poruszającym był Marek Edelman, który mówił w wielu wywiadach, że nie ma złudzeń wobec świata i co do natury ludzkiej. Wiedział, na co „stać" człowieczeństwo, jak może być straszliwie upadlające i zabójcze w sposób masowy. A jednocześnie, jak mało kto, był oddany ludziom we wszystkim, co robił. I jako lekarz, i jako społecznik, i jako osoba publiczna. I to jest właśnie takie zmartwychwstanie.

W jednym z wierszy pisze Pan o psie, który nic nie wie o swojej tożsamości, a to jest więcej niż wie Freud. Czym zatem jest tożsamość?

Ten wiersz wynika z podstawowego dla wszystkich poetów pytania: czy nie jest przypadkiem tak, że nadmiar wiedzy o tożsamości tę tożsamość niszczy? Czy człowiek powinien wiedzieć o sobie wszystko? To oczywiście niemożliwe, ale czy człowiek powinien starać się zgłębić wiedzę na swój własny temat? Czy lepiej jest pozostawać w niewiedzy po to, żeby umożliwić pracę podświadomości, czyli tego, co jest najgłębszą tożsamością? No i może ten mędrek Freud wie o swojej tożsamości nieco za dużo. Być może w pysku bezpretensjonalnego psa jest więcej wiedzy o tożsamości niż w całej psychoanalizie.

Debata o tożsamościach dotyka takich jej odmian jak tożsamość narodowa, płciowa czy seksualna. Któraś z nich jest ważniejsza od pozostałych?

Z tych wszystkich rozmaitych odmian tożsamości przejmuje mnie ta związana z narodowością, czyli żydowska i polska. Temu poświęciłem wiele wierszy i esejów, ale staram się tego tematu nie nadużywać. Poruszam go z rzadka, ale dobitnie. Te inne tożsamości, o których pan powiedział, nie interesują mnie jako poetę. Czym jeszcze innym jednak jest tożsamość podstawowa, związana z poczuciem własnego „ja". Czy ono jest moim charakterem, a może sumą wszystkich relacji ze światem, przyrodą i społeczeństwem? A może, jak mawiają chrześcijanie, tożsamość jest związana z duszą? Tego, jak żaden człowiek, nie jestem w stanie rozstrzygnąć, nie jest to też powód mojego poznawczego niepokoju. Niemniej wiele moich wierszy pochodzi z wnętrza tego najprostszego pytania.

A jak Pan postrzega czas? Tytuł Pańskiego nowego tomu to „Do czasu"...

Często zastanawiam się, czym jest czas bez życia człowieka i tego, co go wypełnia. Czy czas istniałby, gdyby na Ziemi nie było znanego nam życia? Tylko przez przypadek czas jest napełniony moim życiem, życiem innych ludzi i życiem społeczeństw. Tajemnica czasu i jego metafizyczna czystość jest dla mnie synonimem Boga. Stąd tytuł mojego nowego tomu poezji. Z jednej strony czas upływa „do" końca, wielkimi krokami zbliża się ten krytyczny, ostatni moment, czasowy kres, z drugiej strony zwracam się do czasu tytułową apostrofą, mówię do niego.

© Rozmawiał ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI

PIOTR MATYWIECKI *(ur. 1943) jest poetą, eseistą, krytykiem literackim. Za tom „Powietrze i czerń" (2009) – oprócz nominacji do Nagród Nike i Gdynia – otrzymał Nagrodę Literacką „Silesius". Za monografię „Twarz Tuwima" (2007) otrzymał Nagrodę Literacką Gdynia 2008. W Wydawnictwie Literackim ukazał się właśnie jego tom „Do czasu".*

REKLAMA

Wielcy nieobecni

PRZECIEŻ ICH NIE ZOSTAWIĘ
O żydowskich opiekunkach w czasie wojny

Pod redakcją **Magdaleny Kicińskiej i Moniki Sznajderman**
Z posłowiem **Hanny Krall**

Aleksander Kaczorowski
OTA PAVEL
Pod powierzchnią

Biografia autora „Śmierci pięknych saren"

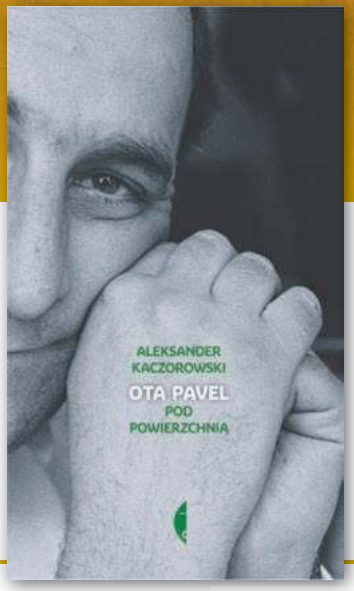

CZARNE.COM.PL

CzasKultury PRZEGLĄD POLITYCZNY TVP KULTURA CZESKIE KLIMATY. Midrasz CHIDUSZ.COM. ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY

Wielki, bo w błazeńskiej szacie

DARIUSZ KOSIŃSKI

Gdyby w Polsce był teatr narodowy o długiej, nieprzerwanej i żywej tradycji, nowe przedstawienie Jana Klaty wywołałoby spore poruszenie i dyskusję. Obawiam się, że bez tego wzbudzi raczej konfuzję.

MICHAŁ SZLAGA / TEATR POLSKI W POZNANIU

„Wielki Fryderyk", próba generalna, 4 maja 2018 r., Teatr Polski w Poznaniu

Kiedy Michał Zadara wystawił w Teatrze Narodowym w Warszawie „Aktora" Norwida, pisano o tym jako o ważnym akcie odzyskania zapomnianego dramatu, nie zawsze zdając sobie sprawę, że wypowiedzenie takiego sądu dowodzi słabości rodzimej sceny. „Wielki Fryderyk" to nie „Aktor", a Adolf Nowaczyński to nie Norwid, ale wieloletnia nieobecność tego dramatu na scenie też nie wystawia polskiemu teatrowi dobrego świadectwa.

Wcześniejsze dzieje sceniczne tego wybitnego tekstu wiązały się przede wszystkim z wielkimi kreacjami aktorskimi: Ludwika Solskiego, który reżyserował prapremierę w Krakowie w 1909 r., a potem przez wiele lat popisywał się w roli Wielkiego Fryca (fragment kreacji został nawet sfilmowany), oraz Jana Świderskiego (Teatr Ateneum, 1977; Teatr TV, 1981). Wielce dwuznaczny dramat nie stał się przedmiotem poważniejszego namysłu. Inscenizacja Klaty może to zmienić. Choć w tytułowej roli także obsadzono wielkiego i słynnego aktora, Jana Peszka, nie sposób powiedzieć, że „Wielki Fryderyk" został wystawiony dla niego. Na pytanie, dlaczego w swoim pierwszym pokrakowskim przedstawieniu zrealizowanym na polskiej scenie Jan Klata sięgnął właśnie po Nowaczyńskiego, odpowiedziałbym – parafrazując Stanisława Wyspiańskiego – bo znalazł w nim to, „co jest dziś w Polsce do myślenia".

Europa i Irokezi

Nowaczyńskiego bez trudu można oskarżyć o tak modny dziś w prawicowej retoryce antypolonizm. Choć w jego dramacie nie ukrywa się bezwzględności pruskiego drylu i opartego na nim państwa, to jednocześnie stojąca za nim polityka jest przekonująca. Fryderyk Wielki to polityk-państwowiec, który na wiele lat przed Carlem Schmittem dowodzi, że tym, co decyduje o sile i znaczeniu podmiotu politycznego, jest możliwość dysponowania życiem poddanych i że znaczenie państwa mierzy się lękiem, jaki ono wzbudza. Dowodem ostatecznym na słuszność tych rozpoznań i szkodliwość wszelkich mrzonek demokratycznych jest Polska – zniszczony przez nadmiar wolności i brak dyscypliny kraj „Irokezów", dzikusów, którzy nie tylko zasłużyli na utratę własnego państwa, ale powinni wręcz być wdzięczni, że ich zacofane społeczeństwo cywilizują teraz Prusacy, którzy „odzyskali" część jego ziem. Co gorsza, główną obok Fryderyka postacią jest biskup Ignacy Krasicki, ukazany jako oportunista, niemal zdrajca, a zarazem łasy na pokusy pisarz-egotyk.

Klata nie złagodził tego obrazu – wprost przeciwnie. W dramacie politycznej logice przeciwstawione są nie argumenty, ale silne afektywne reakcje, jakie wzbudzają losy i gesty jej ofiar, przede wszystkim Tadeusza Krasickiego, który w finale popełnia demonstracyjne samobójstwo. U Klaty jego straceńczy protest traci moc i znaczenie, bo samobójstwo zostaje udaremnione, a cały wątek wymontowano z żelaznej konstrukcji fabularnej oryginału, skrócono i sprowadzono do kilku węzłowych sytuacji.

Na dodatek wykreślone zostały bardzo ważne w dramacie postacie von Zietenów: syna i ojca. Pierwszy wraz ze swoją ukochaną stanowił swoiste wariantywne odbicie losów Tadeusza i Justyny Gockowsky, drugi w wielkiej scenie przeciwstawiał się Fryderykowi, a choć ostatecznie (jak wszyscy) przegrywał, to przynajmniej wypowiadał racje pruskich poddanych. W poznańskiej inscenizacji syn zniknął, a ojciec pojawia się jedynie na chwilę jako zakuty w zbroję krzyżacką, milczący i ośmieszony duch przeszłości. Na dodatek podjęta przez młodego von Zietena ↦

↦ decyzja o wyrzeczeniu się ukochanej dla kariery zostaje przypisana Tadeuszowi, co przemienia jego finałowy gest w jakiś absurdalny akt niekonsekwencji. Główny wątek fabularny traci spójność i schodzi na dalszy plan. Na pierwszy wysunięte zostają dysputy, w których słychać niemal wyłącznie głos tych, którzy piszą historię – twórców imperiów. Taka też rozmowa, Fryderyka i następcy tronu (Jakub Papuga), kończy przedstawienie ostatecznym aktem tryumfu *Realpolitik*.

Rezultat tych zabiegów (których większość widzów zapewne nie zauważy, bo kto czytał Nowaczyńskiego?) jest taki, że ze sceny płynie potok prusackiej i antypolskiej „propagandy", adresowany do publiczności. To my jesteśmy „Irokezami", których trzeba chronić przed nimi samymi. Jawnie kolonizatorski dyskurs jest nam rzucany w twarz jak wyzwanie, ale też jako prowokacja do myślenia o tym, czy i co możemy mu przeciwstawić.

Biskup i martwy pies

Klata przeciwstawia mu dwie zagadkowe sekwencje stanowiące wyłom w językowej logorei rządzącej sceną pruską. Bohaterem obu jest biskup Krasicki (świetny Michał Kaleta). W scenach dworskich rozmów elokwentny, ale służalczy, gotowy przyjąć każde poniżenie, w tych dwóch sekwencjach jawi się nagle jako postać zagadkowa i ciemna.

Pierwsza z dwu scen kończy drugą, długą część przedstawienia. Zaczyna się od wspomnienia biskupa o weteranie, który potrącony przez jego powóz umierał ze słowami o miłości ojczyzny i bliznach. Kaleta bardzo serio wypowiada słynny wiersz „Święta miłości kochanej ojczyzny", po czym rozlega się kilka pierwszych wersów „Chenko" Red Box: „*we stand alone (...), hybrid, devided*". Piosenka urywa się i tylko echo wyizolowanego chórku (kto zna, wie, o czym mówię) przebiega przez salę jak nagły spazm tęsknoty, nieco komedianckiej, ale jakoś bolesnej.

Jeszcze bardziej niepokojąca i ciemna jest długa scena z ostatniej części przedstawienia, rozegrana w oniryczno-rytualnym rytmie narzucanym przez pierwszą część III Symfonii Góreckiego. Lament Matki Boskiej pod krzyżem towarzyszy dziwacznej ceremonii pogrzebu suki Fryderyka Wielkiego. Władca wnosi chude zwłoki martwego psa i kładzie uroczyście na rozłożonej na przodzie sceny poduszce. Wszystkie postacie przedstawienia poza Fryderykiem kiwają się jak w transie, wielokrotnie okrążają scenę. Trwa to długo, staje się męczące. W pewnym momencie wszyscy padają na ziemię w drgawkach i po chwili zastygają w bezruchu. Wszyscy poza biskupem.

Ten podchodzi do poduszki i walcząc z gniotącymi wszystko akordami Góreckiego recytuje nad zwłokami psa kolejne swoje bajki, poczynając od „Ptaszków w klatce". Mówi i mówi, a każda z bajek opowiada o tym samym: o złu rządzącym światem, o ukaranej pysze, o pochwale ostrożności, którą wielu nazwałoby tchórzostwem. Krasicki o coś walczy, coś próbuje zbudować, ale niemal nie sposób powiedzieć – co. W końcu bierze poduszkę z psem i usiłuje wynieść go uroczyście. Potyka się jednak. Zwłoki suki i biskupia tiara spadają na ziemię.

Te dwie sceny unieważniają erudycyjną gadaninę wypełniającą większość przedstawienia i wzbudzającą nie bardzo zrozumiałą wesołość części publiczności (Horodniczy wygląda zza kulis i pyta o to samo, co zawsze). Są jego ciemnym, ściśle teatralnym jądrem, wyładowanym energią całkowicie odmienną od oświeceniowo-racjonalnego zamordyzmu Prus. Jest w nich ból i smutek pomieszany z wściekłością i wstydem. Jakby nagle do Sanssouci zawitał nocą Chochoł.

Klata nie daje w swoim „Wielkim Fryderyku" odpowiedzi na pytanie o polskość, ale rozgrywa „co jest w Polsce do myślenia" w taki sposób, by przez zakłócenia, pęknięcia, przesunięcia wywołać zaniepokojenie, podważyć zbyt ustabilizowane poglądy i skostniałe wyobrażenia. To teatr wymagający, o lata świetlne odległy od publicystyki czy politycznej aktualizacji, o których wciąż bredzą przeciwnicy reżysera. Teatr o tym narodzie, w imię którego, owszem, krzyczy się i chce zabijać, ale o którym nie ma się odwagi myśleć serio.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

ADOLF NOWACZYŃSKI, WIELKI FRYDERYK – *reżyseria, adaptacja tekstu, oprawa muzyczna Jan Klata, scenografia, światła i kostiumy Justyna Łagowska, ruch sceniczny Maćko Prusak. Teatr Polski w Poznaniu, premiera 5 maja.*

Sfinks bez tajemnic

ANITA PIOTROWSKA

Nowy film Polańskiego sugeruje opowieść o daimonionie – owym wewnętrznym głosie, który wedle niektórych wierzeń mieszka w głowie pisarza i pisze niejako „nim" czy za niego.

Trupio biała kartka, pusty ekran w programie Word – któż z piszących nie przeżył choć raz w życiu tych przedłużających się w nieskończoność chwil grozy, kiedy słowo uporczywie nie chce spłynąć na papier czy ekran, nie chce skleić się z innymi słowami i wartko popłynąć w nieznane. Roman Polański, jako reżyser, ale i scenarzysta, musi dobrze znać ten koszmar, nawet jeśli często posiłkuje się gotową literaturą, od Szekspira przez Topora po Péreza-Reverte'a. W swoim najnowszym filmie sięgnął po wydaną również w Polsce powieść Delphine de Vigan „Prawdziwa historia", czerpiąc z niej wiele intrygujących spostrzeżeń na temat pisarstwa czy twórczości w ogóle. Jednakże przepisując je z pomocą Oliviera Assayasa na język filmowego thrillera, podjął z nim grę, która nie prowadzi do niczego odkrywczego – ani we wspomnianym gatunku, ani w eksploracji tematu. Cała niepokojąca dwuznaczność, od początku do końca wpisana w ten film, ostatecznie sama się wyzerowuje.

Tytuł jest oczywiście ironiczny. Czy psychofanka, która osacza poczytną pisarkę, istnieje naprawdę, czy też zrodziła się w wyobraźni cierpiącej na blokadę twórczą? Kiedy Elle, czyli Ona (Eva Green) wprowadza się do mieszkania Delphine (w tej roli żona reżysera Emmanuelle Seigner), Polański zręcznie uruchamia wszelkie możliwe scenariusze: o aspirującej powieściopisarce, która próbuje wyssać potencjał, a nawet przejąć tożsamość tej, która już odniosła sukces; o literackiej gwieździe, która potrafi funkcjonować wyłącznie w wampirycznej relacji z otoczeniem; o zakładniczce popularności, która

CAROLE BETHUEL / MONOLITH FILMS

Eva Green w filmie „Prawdziwa historia”

marzy, by ktoś uwolnił ją od uciążliwej publicznej roli... Wreszcie: „Prawdziwa historia” sugeruje opowieść o daimonionie – owym wewnętrznym głosie, który wedle niektórych wierzeń mieszka w głowie pisarza i pisze niejako „nim” czy za niego.

Gdzieś pomiędzy swoim „Lokatorem” a amerykańską „Sublokatorką”, między Hitchcockiem a „Misery”, pośród przebieranek, wzajemnych przyciągań, również tych erotycznych, jak i morderczych walk o dominację (a listę świadomych i nieświadomych odniesień do twórczości własnej i cudzej można by rozwijać długo), Polański konstruuje film zdumiewająco poprawny i stateczny. Napięcie, które potrafi zbudować w poszczególnych scenach, również za pomocą świetnych, umiarkowanie „podglądackich” zdjęć Pawła Edelmana, nie przekłada się na całość. Scenariusz nieustannie zagęszcza nasze podejrzenia, mnoży wątpliwości i pytania, by pozostawić nas w finale niczym ten Sfinks bez tajemnic – jedynie ze swoim porozumiewawczym mrugnięciem.

Filmowe opowieści o autorze i jego zmorach łatwo wpisują się w dyskurs pozaekranowy. Tak jak książka de Vigan prowokacyjnie zahaczała o jej własną biografię (główna bohaterka nosi to samo imię i jest na początku w podobnej co autorka sytuacji życiowej), tak i film Polańskiego chciałoby się czytać niczym jego osobiste wyznanie – artysty zmęczonego tabloidową sławą i niesławą, znajdującego ucieczkę we własnej twórczości. A ta, jak żadna inna, filtrowana była nagminnie przez „prawdziwe historie” z życia Polańskiego: dzieciństwo w cieniu Zagłady, makabryczne zabójstwo ciężarnej żony przez sektę Mansona, sprawę Samanthy Geimer i trwającą do dziś medialną nagonkę. Jak na ironię, „Prawdziwa historia” miała swoją polską premierę na festiwalu Netia Off Camera z osobistym udziałem reżysera, który dzień później pod wpływem akcji #MeToo został usunięty z Amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej – choć jej członkowie 15 lat wcześniej nie mieli żadnego problemu, by uhonorować jego „Pianistę” trzema Oscarami. Aż chciałoby się, by Quentin Tarantino, który przymierza się do filmu fabularnego o Polańskim, a dokładnie o tragicznym epizodzie z 1969 r., kiedy zamordowano Sharon Tate, pociągnął temat.

Albowiem sam Polański po raz kolejny wytrąca nam z rąk biograficzny wytrych. Jako twórca filmu naładowanego tyloma autotematycznymi znaczeniami pozostaje zaskakująco wycofany. Jakby stał przed nami nie tyle autor, co raczej doświadczony *ghostwriter*, by przywołać tytuł jego filmu, znany w Polsce jako „Autor widmo”. Czyli ktoś, kto do perfekcji opanował rzemiosło, potrafi podrobić każdy styl, lecz woli trzymać się bezpiecznych i przede wszystkim nie swoich historii. W wieku 85 lat oczywiście ma do tego pełne prawo. Jakkolwiek wielbiciele jego kina też mają swoje prawa – by oczekiwać od mistrza czegoś ponad stylistyczne ćwiczenie z udziałem charyzmatycznych aktorek. ©

PRAWDZIWA HISTORIA *(D'après une histoire vraie) – reż. Roman Polański. Prod. Francja/Polska/Belgia 2017. Dystryb. Monolith Films.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [17 – 25 V]

1. Normalny autystyczny film

Dokumentalny, reż. Miroslav Janek, Czechy 2016, Canal+ Discovery, 17 V, 19.00

Ten film powstał z fascynacji autyzmem. Czeski reżyser widzi w nim nie ułomność, ale niezwykle oryginalny sposób postrzegania świata i swoisty dar. Używając niekonwencjonalnego języka filmowego, przygląda się dzieciom, których talenty i pasje zmuszają do zakwestionowania obowiązującego pojęcia normalności.

2. Niemiłość

Dramat, reż. Andriej Zwiagincew, Rosja/ /Francja/Niemcy/Belgia 2017, Canal+ Film, 17 V, 20.00, Canal+, 22 V, 23.00, Canal+ 1, 23 V, 00.00

Twórca „Powrotu” i „Lewiatana” stworzył bezlitosny portret rosyjskiej klasy średniej. Zaczyna jak w kryminale – zniknięciem dwunastoletniego chłopca, którego rodzice są w przededniu rozwodu. Kończy metaforą stosunków międzyludzkich panujących w putinowskiej Rosji i tajemnicą godną największych mistrzów kina.

3. 451° Fahrenheita

Dramat/s-f, reż. Ramin Bahrani, USA 2018, HBO, 20 V, 20.10, 21 V, 15.35, 23 V, 20.10, 24 V, 12.55

To kolejna, po filmie François Truffauta, słuchowisku BBC czy grze komputerowej, adaptacja powieści Raya Bradbury'ego, tym razem telewizyjna. Raz jeszcze odtwarza świat dystopii, w której literatura jest zakazana i tylko nieliczni buntują się przeciwko panującemu terrorowi. Występują m.in. Michael B. Jordan i Michael Shannon.

4. I tak cię kocham

Komedia, reż. Michael Showalter, USA 2017, Cineman VOD

Kumail Nanjiani, znany amerykański komik o pakistańskich korzeniach, wraz z żoną Emily V. Gordon opisali w scenariuszu własną historię – o tym, jak różnice kulturowe i wzajemne uprzedzenia mogą skomplikować intymne relacje. Obok Nanjianiego w filmie gra także Zoe Kazan i Holly Hunter.

JAN

Klata:
Oprawa musi być

Dobitnie naukowo udowodniono, że bycie kibicem jest boleśnie niezdrowe. Pamięta się raczej te chwile, kiedy naszym nie wyszło, kiedy piłka akurat przypadkowo nie wpadła do bramki przeciwnika, za to z kontry wpadła do naszej, kiedy sędzia bezczelnie drukował akurat na naszą niekorzyść zamiast pójść po rozum do głowy i uznać nam gola ręką ze spalonego. Nasi, naszą, nam. Kibicowanie rodzi frustrację, strukturalną, kaskadową frustrację, no i zajmuje ogromnie dużo czasu, który moglibyśmy przeznaczyć na sport. A że kibicowanie jest czynnością immanentnie dożywotnią, nie można wysiąść z tego tramwaju nawet na przystanku „zdrowie psychiczne".

Fizycznie dewastujące skutki kibicowania są równie dojmujące jak destrukcja *psyche*, ale tutaj akurat szerokie rzesze kibicowskiej braci wzięły się na sposób, i aktywnie uwalniają się od negatywnych emocji – często w symbiozie z kibicami rywala, w myśl hasła: „ty mnie podrapiesz po plecach, to ja podrapię ciebie po plecach i nie tylko". Symbiotyczne grupy umawiają się więc, żeby sobie pomóc, ulżyć trudom kibicowania, synchronicznie wyrzucić z siebie frustrację z małą pomocą przyjaciół z maczetami. Chcącemu nie dzieje się krzywda, płomień się tli, tradycja nie gaśnie.

Niestety, są jeszcze mecze. Im mniej się dzieje na boisku, tym więcej musi się dziać na trybunach. Oczywiście, kibic może po prostu heroicznie zacisnąć zęby i przez minimum 90 żenująco pustych minut patrzeć na wyczyny swej drużyny... ale trzeba być kompletnym sadystą, żeby nie zrozumieć, że kibice tak nie wytrzymają, że nie idzie tego zdzierżyć, że elementarne poczucie godności ludzkiej sprawi, iż kibice będą rozpaczliwie chcieli nadać sens temu misiu, temu utraconemu czasu – a przecież nie napiszą o tym książki! (Wiem, wiem, niektórzy gorączkowo próbowali, ale to mi psuje pointę, więc ja tych książek nie uznaję, jako pisanych ze spalonego). Więc nie napiszą o tym książki, ale zrobią coś innego, np. gigantyczną, pokrywającą szerokie połacie stadionowych trybun flagę. Wielki spłachetek autentycznej kolektywnej dumy, wykonany hobbystycznie, amatorsko (*amo, amare*) w pocie czoła po robocie, imponującą całemu światu relikwię wiary w fanatyczną wspólnotę, nośnik wspólnych wartości, które trzeba czcić, z których nikomu nie wolno się śmiać, pod żadnym pozorem...

Nie dalej jak wczoraj, podczas meczu z Lechem Gdańsk – przepraszam, Lechem Poznań – kibice Wisły Warszawa – przepraszam, Wisły Kraków – rozwinęli ogromną flagę oznajmiającą: „NIGDY SIĘ NIE WYPALIMY". Następnie flaga zajęła się od kibicowskich rac i spłonęła. Mecz przerwano, ale tylko na kwadrans. ©

Lektor:
Młody jubilat

▪ *Jerzy Jarniewicz,*
SANKCJE. WYBÓR WIERSZY I WYPOWIEDZI
Opracowanie i posłowie Marta Koronkiewicz, Paweł Kaczmarski. Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2018, ss. 106.

Silesius? Nareszcie! Tyle bym powiedział o decyzji jury wrocławskiej nagrody, które uznało „Puste noce" Jerzego Jarniewicza za najlepszą książkę poetycką ubiegłego roku. O nagrodzonym tomie pisałem tutaj w grudniu, jest jednak znowu okazja, by wrócić do wierszy świetnego poety, tłumacza i krytyka anglojęzycznej poezji i prozy, autora książek o Philipie Larkinie i o epoce kontrkultury, profesora Uniwersytetu Łódzkiego i redaktora „Literatury na Świecie"... ufff. Na jego niedawne 60-lecie dwoje młodszych o trzy dekady krytyków przygotowało bowiem wybór wierszy i autokomentarzy jubilata, opatrując całość komentarzem własnym.
Słowa „jubilat" używam z premedytacją – każdemu czytelnikowi Jarniewicza będzie ono zgrzytać, kojarzy się bowiem z zastygnięciem w sztywnej formie, dojrzałością zamkniętą, czasem wręcz skostnieniem. Tymczasem, jak zauważa Paweł Kaczmarski, „Jarniewicz drugiej dekady XXI wieku to poeta świeży, prowokatorski, wywrotowy wręcz w swojej (zawsze świadomej, zawsze celowej) brawurze. To poeta, u którego ciągłe poszukiwanie językowych zaskoczeń, ciągłe drążenie trudnych i niewygodnych tematów łączy się z językową wrażliwością, płynącą z literackich, translatorskich i krytycznych przedsięwzięć zdolnością jednoczesnego uszanowania tego, co potoczne, i tego, co wysokie".
A Marta Koronkiewicz dodaje, że Jarniewicz „im starszy, tym poetycko młodszy: odważniejszy, bardziej brawurowy, mniej klasyczny, sięgający dalej wyobraźnią". Ujęte w formę rozmowy obojga krytyków posłowie jest świadectwem dialogu (i fascynacji) ponad czasem. Świadectwem tym ciekawszym, że choć Jarniewicz z jednej strony niesłychanie uważnie wsłuchuje się w rozmaite rejestry głosów współczesności, z drugiej jednak należy do pokolenia ukształtowanego jeszcze przez pamięć wojny, czego ślady np. w „Pustych nocach" są wyraźne. Tyle że nigdy nie uderza w ton nostalgiczno-elegijny; autobiograficzne motywy ważne są jako element tożsamości autora i budulec wyrafinowanych konstrukcji poetyckich. Wiersze Jarniewicza – to znów posłowie – „nie stają się hermetyczne w swojej prywatności, przeciwnie, dość perwersyjnie otwierają się na wzrok innego, dają mu odczuć, że jest pożądany". Dodałbym: kuszą i bezpowrotnie wciągają w swoją orbitę. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Na bzy by

Ostrzeżenie dla Polski południowej! Krzewy czarnego bzu weszły w tę fazę kwitnienia, która już powinna postawić ludność na nogi. Dopiszmy do piosenki Starszych Panów nową zwrotkę „Na bzy by" i w każdziusieńki wolny dzień ruszajmy z ekspedycją, wziąwszy torbę i nożyczki, żeby w gęstwinie nieużytku i zapuszczonych chaszczy na skwerku wyszukać białe baldachy w pełni swego rozwoju. Najłatwiej poznać ich gotowość po tym, że gdy się wetknie nos w taki kwiat, zostaje nam żółty pyłek. Wyglądamy wtedy jak klauni w trakcie charakteryzacji – a śmiech się nam może przydać na pobudzenie, wszak kwiatowe żniwa należy czynić wczesnym rankiem. Nie jestem pewien, dlaczego akurat rankiem, ale nie ma co polemizować z mądrością zielarską, która jest dla mnie jedną z najbardziej niepodważalnych tradycji.

Urzędnicy medyczni nakazujący na ziołowych preparatach drukować ostrzeżenie, że skuteczność produktu wynika „tylko" z tradycyjnych zastosowań, próbują zanegować wiarę w przekaz o dobroczynnym działaniu roślin – jak rozumiem po to, by skłonić chorego, by sięgnął po środki bardziej „nowoczesne". Co prawda trudno mi sobie wyobrazić kogoś tak nierozsądnego, iżby nie wiedział, że na prostą, niewynikającą z poważniejszych zaburzeń niestrawność lub wzdęcie żadna pigułka nie pomoże mu tak dobrze jak mięta albo melisa. Ale moja naiwna wiara w rozsądek jest równie wielka, jak naiwność bliźnich, łatwo dających się omamić urokami chemii i biotechnologii.

Która to biotechnologia poczyniła istotnie ważne kroki, żeby pokonać ostatnią barierę oddzielającą nas od jedzenia bezmięsnego mięsa, które jednak smakuje jak mięso. Nieraz referowałem z przekąsem pocieszne paradoksy, w jakie wpadają te projekty. Do niedawna wydawały mi się równie nieszkodliwą utopią, jak debaty zatroskanych populizmem ekspertów bliskich wynalezienia formuły demokracji przedstawicielskiej, w której lud ma głos, ale tym głosem nie wypowiada głupot. Tym razem Amerykanie pod wodzą Patricka Browna, eksprofesora Uniwersytetu Stanforda, a od paru lat szefa projektu biznesowego Impossible Foods („niemożliwe jedzenie"), naprawdę mi zaimponowali.

W ten jeden z najgorętszych start-upów Doliny Krzemowej wpompowano do tej pory setki milionów dolarów, firmę nazywa się „Teslą branży spożywczej". Za pomysłem Impossible Foods stoi proste pytanie: co takiego sprawia, że jedząc mięso czujemy to specyficzne coś, istotę mięsności, sedno sprawy? Krew. Smak krwi jest niezbędny, by najlepszy choćby zbitek białek roślinnych i błonnika uczynić wiarygodnym zamiennikiem. W całej swojej gamie od całkiem surowej aż po mocno spaloną. To coś, co skwierczy i pachnie, kiedy dociśniemy lekko widelcem antrykot na patelni... Zamykam oczy, drżą mi nozdrza i nawet bez tych milionów i Stanfordów wiem, że oni mają rację.

A z krwi konkretnie to, przez co jest czerwona – czyli hem, grupa enzymów występująca w hemoglobinie, odpowiedzialna za wiązanie i transport tlenu. Zamiast więc skupiać się na doskonaleniu cząstek udających mięśniowe włókna, starczy przygotować znośny substytut roślinny i nasączyć go sztuczną krwią. Tylko skąd ją wziąć, nie zabijając przy tym żadnego zwierzęcia? Otóż pewnego typu hemoglobinę tworzą też rośliny, np. soja. Tyle że jej uprawa na wielką skalę, żeby wydłubywać z niej tylko jedną cząsteczkę, byłaby tyleż nieopłacalna, co nieekologiczna. Panowie z Impossible Foods wyjęli więc fragment DNA kodujący hem i „sprezentowali" go pewnemu typowi drożdży, które mnożą się wesoło w laboratorium – i krwawią.

W tym roku firma dostarczy ponad tysiąc ton surowca na hamburgery. To już całkiem sporo, w interes wchodzą niewielkie, ale jednak liczące się na rynku sieci fast foodów, a nie tylko pojedyncze knajpki innowacyjnych szefów. Na razie najłatwiej jest operować na substancjach, które mają przypominać mielone mięso – wygenerowanie sztucznego steka t-bone ze stosownym gnatem zajmie na pewno więcej czasu, ale esencja życia, owoc krwawego trudu zmutowanych drożdży, już tu z nami jest i zostanie.

Czego o czarnym bzie powiedzieć z pewnością nie mogę, bo to roślina już dawno niepopularna, traktowana jak chwast i bezlitośnie tępiona, istnieje jeszcze tylko dzięki temu, że wydziały miejskiej zieleni nie są w stanie ogarnąć każdego rowu i zbocza. Zbierajmy więc i pijmy bzowy syrop. Zawiera sambunigrynę, związek wedle podręczników trujący w dużych ilościach. Czy truje, tego nie wiem – jak widzicie, żyję – ale na pewno mnie uzależnił. ©℗

Syrop z kwiatów czarnego bzu: rzadko kiedy można uzyskać coś równie smakowitego i osobliwego tak niskim nakładem pracy. Wszystko – oprócz porannego spaceru w chaszcze – zrobi nam się samo. Kładziemy do dużego garnka ok. 30 baldachów (sprawdziwszy, czy nie mają mszyc). Na to w plasterkach 1 cytrynę, dwie pomarańcze, kilo cukru i łyżeczkę kwasku cytrynowego (żeby nie było za mdłe). Zalewamy litrem ciepłej wody. Przykrywamy, odstawiamy na ok. 3 dni, aż się cukier rozpuści. Starajmy się uważać, żeby nad powierzchnię cieczy nie wystawały kwiaty. Wyjmujemy kwiaty i plastry cytrusów, syrop przefiltrowujemy przez cienką gazę. Pijemy z wodą gazowaną i ewentualnie odrobiną białego wina (ale raczej nie z sauvignon blanc, którego trawiastość mogłaby tworzyć smakową konkurencję). Daje się pasteryzować i przechowywać parę miesięcy.

PIXABAY.COM

KOMUNIKACJA MIEJSKA

Pierwszy raz zobaczyłam ją w ostatniej godzinie wrześniowej nocy. Złoty pas na skraju czarnej toni. Najjaśniej świeciła aleja Diagonal, przecinająca w poprzek błyszczącą siatkę miasta. Pomyślałam wtedy, że ten widok wszystko wynagradza.

KALINA BŁAŻEJOWSKA

BEW

Barcelona, Plaza de Santa Maria in Ribera

Minęły trzy miesiące, odkąd wyjechałam. Zamiast zapomnieć, zmieniłam się w stalkera: śledzę jej profile w mediach społecznościowych, sprawdzam dla niej pogodę, czytam o niej na lokalnych portalach. Wstyd się przynawać, ale zaczęły mnie wzruszać reklamy samochodów: okazuje się, że wystąpiła w wielu.

Nie wiedziałam, że za miastem można tak tęsknić. A już na pewno nie spodziewałam się, że można tak tęsknić za Barceloną. Przecież jest tyle ciekawszych i mniej zadeptanych punktów na mapie, tyle miast, które nie zamieniły się w parki rozrywki dla fanów Messiego i Gaudiego. Więc czego właściwie mi brak?

Mogłabym wspominać bajeczny Park de la Ciutadella, surowe piękno kościoła Santa Maria del Mar, modernistyczny przepych i porządek dzielnicy Eixample, mroczny labirynt starego miasta, kojącą ciszę na placu Neri, widoki z ogrodów na Montjuïc, bizantyjską bryłę targu Sant Antoni i cztery rzymskie kolumny świątyni Augusta, ukryte w gotyckim podwórku. Mogłabym pisać o świętach i zwyczajach: zapachu prochu i na diabelskich przemarszach *correfocs*, szalonym tańcu drewnianego orła przed ołtarzem del Mar, wielkopostnym pogrzebie sardynki i rozedrganych, jaskrawych wieżach *castellers*.

Ale to wszystko tylko zabytki i folklor, od tego są przewodniki. A ja tęsknię za czymś więcej.

BRAKUJE MI BARCELOŃCZYKÓW. Zanim tam zamieszkałam, wydawało mi się, że cierpię na rodzaj społecznej niepełnosprawności i nigdy nie będę umiała swobodnie rozmawiać z nieznajomymi. W Barcelonie okazało się, że bardzo szybko się uczę. Najważniejsza lekcja dotyczyła uśmiechu. Odkryłam, że jest jak ziewanie – zaraźliwy.

Parę tygodni wystarczyło, żebym przestała się dziwić, gdy nieznajomi nazywali mnie *reina*, *cariño*, *guapa* – królewno, kochanie, śliczna. Zrozumiałam, że nie ma w tym nic z nachalności, że to żaden seksizm czy protekcjonalność. Tak samo czule mówi się do starszych mężczyzn: przystojniaku, zwierzaku, mój drogi. Zwykła grzeczność i humor.

Po kilku miesiącach nabrałam przekonania, że w tym mieście ludzie z zasady lubią siebie i innych. I że świat oparty na takiej zasadzie jest przyjemniejszy. Opanowałam prosty barceloński rachunek prawdopodobieństwa: o wiele prędzej spotka cię coś miłego niż niemiłego.

Weźmy ten ciepły marcowy wieczór, gdy po 20 latach przerwy założyłam rolki. Jechałam po ścieżce rowerowej wzdłuż morza, przed sobą miałam szklany żagiel hotelu W, za sobą coś, co rzucało ostry snop światła. Długo czekałam, aż mnie wyminie. Gdy zobaczyłam, że to radiowóz Guardia Urbana, odbiłam na chodnik. Oni też. Zwolniłam, oni to samo. Zatrzymałam się, oni również. Myślałam spanikowana: „Czyli to o mnie chodzi? Jednak nie wolno jeździć po ścieżce rowerowej? Co za idiotyczna sytuacja, raz w życiu poruszam się inaczej niż pieszo i już mandat".

– *Señorita*! – z auta wysiadł młody brunet z brodą, bo w Barcelonie wszyscy policjanci są młodymi brunetami z brodą. – Robi pani błąd. – I pokazał dłońmi: – Pani ma stopy tak, a powinna mieć tak. Kąt jest bardzo ważny! Dobrze pani jeździ, pewnie, z uśmiechem, tylko te kostki. Na zewnątrz, nie do wewnątrz, bo można sobie zrobić krzywdę, proszę pamiętać.

Zapamiętałam. Tak samo jak chłopaka, który stał za mną w kolejce do kasy, gdy okazało się, że wyszłam na zakupy bez portfela, i bez pytania zapłacił za moje bakłażany. Albo fryzjerkę, która po pół roku od pierwszego strzyżenia wciąż pamiętała, skąd jestem.

BRAKUJE MI STYLU ŻYCIA. Milczącego założenia, że miasto jest ważniejsze niż mieszkanie, a czas najlepiej spędza się poza domem. Połączonego z przekonaniem, że czasu jest mnóstwo i starczy dla wszystkich. A w ogóle nie ma się co przejmować, skoro można się bawić.

Człowiek wychowany na wyższych równoleżnikach musi się do tego południowego luzu przyzwyczaić, zanim zacznie go doceniać. Z początku może być zirytowany: że wszyscy chodzą na czerwonym, że biblioteki i przychodnie mają sjestę, że do instalacji internetu potrzeba dwóch ekip i trzech miesięcy, że wszystko będzie *mañana*. I że *mañana* wcale nie znaczy tego, co w słowniku: nie chodzi o rano, nie chodzi o jutro, chodzi o nieokreśloną przyszłość.

Opanowanie tego trzeciego sensu jest tak samo ważne jak przestawienie rytmu dnia. Miasto wstaje późno: sklepy i biura nie otwierają się przed 9. Już o 14 zaczyna się przerwa. Niektórzy ↦

biorą dwie albo trzy godziny na domowy obiad i drzemkę, inni – godzinę lub dwie na lunch. Przy czym lunch nie oznacza kanapki jedzonej w samotności, tylko ucztę z połową biura. Restauracyjne menu dnia zazwyczaj składa się z przystawki, dania głównego, deseru i napoju. Sjesta wydłuża godziny pracy, więc czas dla siebie i bliskich jest dopiero późnym wieczorem. O 23 ulice wciąż są pełne: dzieci skaczą na placach zabaw, dorośli siedzą w ogródkach. Pilnowanie potomstwa i picie wina można połączyć, bo piaskownice sąsiadują z barami.

Tylu barów na mieszkańca nie ma podobno nigdzie na świecie. Musi być bar, żeby było życie w okolicy, nie musi być życia w okolicy, żeby był bar. Całkiem dosłownie: bary działają nawet na cmentarzach.

Zostawia się w nich sporą część pensji i serca, stanowią więc lepszy wyznacznik zadomowienia niż numer ewidencji podatkowej albo adres stałego zameldowania. „Macie swój bar? To dobrze, znaczy że udało wam się już zintegrować" – ocenił znajomy barcelończyk, gdy opowiedzieliśmy mu o knajpie-galerii, której właściciele od progu witali nas okrzykiem „*Familia!*". Nazywała się La Moodstore i splajtowała, zanim wyjechaliśmy. To tam widziałam jeden z najpiękniejszych barcelońskich obrazków: zgiętą wpół staruszkę o zastygłej po wylewie twarzy, która usiadła przy stoliku, odłożyła laskę i krzyknęła: „Kieliszeczek czerwonego wina, chłopcy!". Wypiła je duszkiem, zostawiła napiwek i wyszła.

Do Moodstore mieliśmy całe osiem minut, czyli bardzo daleko. Trochę jakbyśmy chodzili na mszę do innej parafii, a naszą parafią była piwiarnia Judasz, dokładnie 54 metry od domu. Otwarta prawie zawsze i prawie zawsze pusta. W środku półmrok, automaty do gier, telewizor nastawiony na hiszpański kanał. Przed drzwiami dwa krzesła, na jednym siedzi szef, na drugim sąsiadka, palą i dyskutują.

Odważyliśmy się tam zajrzeć dopiero po roku. Właściciel – w tureckim swetrze, z siwą czupryną zaczesaną na brylantynie – był lekko nawalony i bardzo serdeczny. Na głupie pytanie, czy można płacić kartą, wywrócił tylko oczami. Nie pytając, na co mamy ochotę, nalał nam belgijskiego piwa Judas – „najlepszego na świecie" – i potrząsnął szklankami, żeby pokazać, jak pięknie wzbiera piana. Zanurzył bujnie owłosioną rękę w słoju ze zwietrzałymi orzechami nerkowca, nasypał na talerzyk dwie pełne garści, podsunął nam pod nos. A potem opowiedział o sobie.

Nazywał się Paco, pochodził z Malagi. Ach, słodka Andaluzja – wzdychał – tam wszystko jest inne, wszystko wspaniałe. Po prostu lepsze. To zawsze będzie jego ziemia, tęskni za nią straszne, ale już nie wróci. Trudno, ma bar w Barcelonie, nie da rady zaczynać od nowa.

Zapytałam, kiedy się przeniósł. Bez liczenia odpowiedział, że 58 lat temu.

BRAKUJE MI KOMUNIKACJI. Nie komunikacji miejskiej, ale komunikacji z miastem. Barcelona sprawia wrażenie, że jej zależy. Że chce dbać o mieszkańców, a nie tylko nimi zarządzać. Ciągle ma im coś do powiedzenia. Najwięcej mówi przez plakaty: świetnie zaprojektowane i zilustrowane, małe, kolorowe, przyjemne. Co kilka tygodni pojawiają się w prawie każdej bramie, przyklejone dwustronną taśmą pod domofonami. Zapraszają, zachęcają, przypominają, ostrzegają. Najczęściej po katalońsku, ale też kastylijsku, angielsku, arabsku i w urdu. Ciemnoróżowy z rzędem zgłaszających się rąk: „Konsultacje dzielnicowe. Przyjdź i proponuj!", biały z kolorowymi skarpetkami: „Plan A: w niedzielne popołudnie sparować skarpetki. Plan B: w niedzielne popołudnie odwiedzić muzea. Wstęp wolny od 15". Pomarańczowy z blokami: „Barcelona opłaca aż do 75 proc. czynszu osobom z niewielkimi zasobami ekonomicznymi", zielony z różowym łóżkiem: „To, że ma 2519 pozytywnych recenzji, nie znaczy, że jest legalne. Sprawdź, czy mieszkanie, które wynajmujesz, jest zarejestrowane".

Cytuję dokładnie, bo mam je wszystkie. Wszystkie, które pojawiły się w Barri Gòtic od września 2016 do stycznia 2018 r. Plus parę okazów z innych dzielnic, w sumie – 31. Kierowana kolekcjonersko-złodziejskim instynktem, wypatrywałam ich na spacerach i chowałam do torebki, żeby potem przykleić nad łóżkiem.

Było też mnóstwo komunikatów niezrywalnych. Wbita w piasek plastikowa chmurka przypominała: „Jestem plażą, nie popielniczką". Płachty przy latarniach powtarzały: „Twoje wakacje, moja codzienność". Fasada ratusza mówiła bez przerwy, światłem i kolorem: o rocznicy frankistowskiego bombardowania, walce z przemocą wobec kobiet albo dniach kultury romskiej. Podprogowy komunikat brzmiał: jesteśmy najbardziej lewicowym urzędem miasta w Europie i jesteśmy z tego dumni.

BRAKUJE MI ZAANGAŻOWANIA. Chyba tylko w Barcelonie sprzątaczki mogły założyć związek zawodowy, a skłoterka zostać burmistrzynią. I chyba tylko tam ludzie mają taką namiętność do manifestacji. W marszach przeciw niepodległości, za niepodległością, w obronie uwięzionych polityków, za przyjmowaniem uchodźców i przeciwko terroryzmowi szło od kilkudziesięciu do kilkuset tysięcy osób. Byłam w tych tłumach, zapamiętywałam hasła i twarze, żeby móc je opisać w „Tygodniku" (czytaj na powszech.net/katalonia). Ale bardziej wzruszały mnie protesty, które nie miały szans zostać tematem dnia.

Czyli to wszystko, co działo się na niedużej przestrzeni między renesansowymi fasadami siedziby rządu i ratusza. Na placu Jaume, kiedyś forum rzymskiego miasta Barcino, zawsze ktoś się czegoś domagał. Tłum pod sceną, miasteczko namiotowe, korowód z bębnami. Ale najczęściej – jedna osoba. Jak ten emeryt, który opracował metodę protestu bez nadwerężania kończyn: siedział z założonymi rękami na krześle pośrodku placu, na głowie miał kapelusz z doczepionym kartonem, a na kartonie hasło o ochronie praw artystów. Albo mężczyzna w śpiworze, palący papierosa za papierosem pod ogłoszeniem o strajku głodowym w obronie ludzkiej godności. I wreszcie – najczęstszy bywalec, uśmiechnięty wąsacz ubrany na biało i oblany czerwoną farbą. Stał wśród powiększonych zdjęć z rzeźni, prezentując zawieszony na szyi karton z napisem: „Jestem zwierzęciem". Po stłumionym referendum niepodległościowym zmienił wersję na „Jestem Katalończykiem".

To na Jaume oglądałam pikietę setki osób w obronie jednej krowy. Gwizdały i skandowały pod oknem premiera, domagając się cofnięcia urzędowej decyzji o uboju Margarity, nieprzewidzianej prawem krowy domowej. Sprawa wydawała się beznadziejna, ale parę tygodni później premier Katalonii ogłosił, że specjalnie dla Margarity znowelizowano regionalne wytyczne weterynaryjne.

Znaki sprzeciwu widać też w innych częściach miasta. Na zamożnych osiedlach najwięcej jest flag niepodległościowych,

na punkowej Gracii – sierpów i młotów, na Ciutat Vella i Barcelonecie – haseł przeciwko turystom. Którzy dają pracę, ale też hałasują, śmiecą, brudzą i psują rynek mieszkaniowy.

Pod hasłem „problem z turystami" mam w pamięci Escudellers, szeroką na trzy metry ulicę łączącą plac Orwella z Ramblą. Pełną klubów, fast-foodów, sklepów z pamiątkami i monopolowych. Wieczorem śmierdzi śmieciami piętrzącymi się na poboczach i kurczakami pieczonymi w witrynie restauracji Los Caracoles, czasem pachnie haszyszem albo owocowym tytoniem. Tłoczą się na niej turyści i mieszkańcy, kręcą dilerzy i uliczni sprzedawcy, wyczekują żebracy i prostytutki. A między nimi suną taksówki i śmieciarki, ścigają się rowerzyści i deskorolkarze, przemykają zmutowane karaluchy.

Był wczesny wieczór, gdy w tym przedsionku piekła zobaczyłam staruszka, który wykuśtykał z XIX-wiecznej bramy. W jasnym lnianym garniturze i kapeluszu panama, stał bez ruchu oparty na lasce i przyglądał się temu, co też się stało z jego ulicą. Patrzył bezradnie i w oszołomieniu, jakby wyszedł z domu po raz pierwszy od pół wieku. A ja patrzyłam na niego i żałowałam, że nie wzięłam aparatu.

KALINA BAŁAŻEJOWSKA

Gęsi w barcelońskiej katedrze św. Eulalii

Lubiłam, gdy nocą w środku tygodnia było tak cicho, że mogłam usłyszeć pomruk syreny wycieczkowca odpływającego z Port Vell. Albo dzwony z barokowej bazyliki La Mercè, delikatne jak uderzenia łyżeczką o filiżankę.

BRAKUJE MI DŹWIĘKÓW. Najbardziej tego śniadaniowego zestawu słyszanego z balkonu. Czysty i mocny głos kulawej śpiewaczki z placu Orwella, próby skrzypcowe z otwartego okna po drugiej stronie ulicy, skwierczenie oleju z lokalu o finezyjnej nazwie Jedzenie Na Wynos, szczekanie Blanco, białego psa bezdomnych mieszkających na naszym podwórku. Ale przede wszystkim: raz cichsze, raz głośniejsze wołanie: *„Allejo-o-p!"*. Gardłowy śpiewokrzyk z niepodrabialnym wzniesieniem w ostatniej samogłosce, czasem poprzedzony głuchym bębnieniem.

Z początku myślałam, że to jakiś dzielnicowy wariat. Zobaczyłam go dopiero po paru dniach. Niski, łysy mężczyzna w kombinezonie z czerwonymi odblaskami szedł środkiem ulicy, zdzierając gardło i zadzierając głowę. Pomachał do kogoś, kto wychylił się z okna, przyciągnął zza rogu wózek z pomarańczowymi butlami z gazem, wziął jedną na ramię i wniósł do środka. Później dowiedziałam się, że ten szlachetny zawód, wymagający sportowej krzepy i operowego głosu, sięga czasów Franco i nazywa się *butanero*. I że każdy z *butaneros* ma własny rewir i własne zawołanie - większość używa autorsko akcentowanego słowa *butano*, niektórzy samych onomatopei. Nasz, z tym francuskim *„Allez-hop!"*, był po prostu wyjątkowy.

Lubiłam też, gdy nocą w środku tygodnia było tak cicho, że mogłam usłyszeć pomruk syreny wycieczkowca odpływającego z Port Vell. Albo dzwony z barokowej bazyliki La Mercè, delikatne jak uderzenia łyżeczką o filiżankę.

Ale najbardziej chyba cieszyły mnie ptaki. Płaczliwe nawoływania wielkich mew, wykarmionych na śródziemnomorskich rybach i resztkach paelli, potrafiących porwać paczkę czipsów z plażowego ręcznika. Dzikie krzyki zielonych papug, krążących między platanami, wijących gniazda w palmach i walczących z gołębiami o okruchy croissantów. Smutne piosenki kanarków, trzymanych w klatkach na balkonach Barcelonety – rybackiej dzielnicy, której każda ulica wpada do morza. I jeszcze gęganie 13 gęsi w katedrze, spacerujących po wirydarzu na pamiątkę Eulalii – 13-letniej gęsiarki i męczennicy.

Za katalońskim też trochę tęsknię. Dziwny język – w słownictwie podobny do kastylijskiego, w brzmieniu zupełnie inny. Miękki, okrągły, przerysowany. Z polskimi *ż*, *ź*, *dź*, *ś*, ze śmiesznym *u* w miejscu *o*, dziwnym *a* zamiast *e*. Nie nauczyłam się nim mówić, ale uwielbiałam go słuchać. Jeszcze do niego wrócę.

BRAKUJE MI KLIMATU. Który może jest ze wszystkiego najważniejszy i wszystko tłumaczy. Pogoda dla Barcelony jest łaskawsza niż dla innych miast półwyspu iberyjskiego. Wieje rzadko, pada jeszcze rzadziej, śnieg pojawia się raz na kilka lat i od razu topnieje. Nie ma gwałtownych zmian temperatury, nie ma czterdziestostopniowych upałów, nie ma mrozów ani mgieł. Jest pół roku wiosny i pół roku lata.

I nawet gdy zrobi się zimno, czyli temperatura spadnie poniżej 15 stopni, wciąż można się opalić. Niebo nad Barceloną jest prawie zawsze błękitne, dając 2,5 tysiąca godzin pełnego słońca rocznie.

Pod takim niebem wszystko rośnie: mandarynki i pomarańcze, cyprysy, palmy, agawy i akacje. Najbardziej lubiłam zieleń upchaną na ciemnych balkonach w wąskich uliczkach La Ribery, kaktusowy ogród ukryty na zboczu Montjuïc i skwery z puchowcami, najdziwniejszymi z dziwnych drzew. Na pękatym pniu mają gęste, bardzo twarde i ostre kolce, na gałęziach żółte kwiaty i podłużne zielone owoce, które zamieniają się w kule kapoku: nieprzemakalnego białego włókna, przypominającego watę cukrową.

Przy takim klimacie można się kąpać w morzu od końca maja do początku listopada. Woda jest lazurowa i niezbyt słona, strzeżone plaże ciągną się 4,5 kilometra. Najbliżej mieliśmy do Platja de Sant Sebastià, szczególnie popularnej wśród wiekowych nudystów. Leżąc na grubym białym piasku często myślałam o tym, jak zbawienny wpływ na społeczeństwa miałoby odrodzenie naturyzmu. Ilu cierpień i kompleksów można by było uniknąć, gdyby ludzie częściej oglądali się nago.

OSTATNI RAZ PATRZYŁAM NA NIĄ w szaroniebieski noworoczny poranek. Samolot wypełniała kwaśna woń przetrawionego alkoholu, ktoś chrapał ciężko, ktoś śmiał się głośno, a ja byłam zupełnie trzeźwa i bardzo smutna. A przecież jeszcze nie wiedziałam, jak można tęsknić za miastem.

©℗ KALINA BŁAŻEJOWSKA

Helsinki, kwiecień 2018 r.

STANISŁAW

Mancewicz: *Sadomaso*

Odkąd Gospodarz nie ma głowy do polityki, zauważamy wśród jego ludzi osobliwy objaw. Co rusz któryś po wygłoszeniu jednego dnia jakiejś – pardon – opinii dzień później oświadcza, że został źle zrozumiany. Ponieważ nauczyliśmy się, że opinie tych ludzi należy zawsze traktować skrajnie dosłownie, że w tym towarzystwie nie ma milimetra miejsca na komunikaty nieplanowane, na domysły czy interpretacje, zaczęliśmy popadać w pożałowania godną kołowaciznę. Co pokiwamy głową ze zrozumieniem, zaraz dowiadujemy się, że kiwaliśmy niesłusznie i bez zrozumienia. Co ktoś nam nawrzuca furmańskim żargonem, zagrozi pierdlem, obozem, celą albo pałowaniem, to przychodzi za chwilkę z bukietami kwiecia i bombonierkami, jakby nie przymierzając przybył z propozycją małżeństwa bądź odbycia stosunku płciowego. Co ktoś wykaże się empatią pumy, na drugi dzień świadczy ze łzami w oczach, całym swym jestestwem, o swej sarniej delikatności i czułości. Z jednej strony to się nam – rzec trzeba – nie podoba, bo nie tak miało być, miarą teraźniejszości miała być przecież konsekwencja, wedle której wypadałoby przecież rodziny osób niepełnosprawnych osadzić w aresztach. Z drugiej zaś władza daje nam wreszcie jakby wybór pomiędzy dwiema przygodami. Jednego dnia dostajemy kopa, a drugiego czekoladki, powinniśmy być więc zadowoleni, że nie jest na odwrót.

Nie ulega kwestii, że odkąd Gospodarza boli kolano (znamy ten ból), na którym pisze ustawy, buduje ustrój, politykę międzynarodową, i którym próbuje dopchnąć spójność swego obozu, mamy do czynienia z rdzewieniem tych wszystkich zamierzeń. Widać to gołym okiem, że to jest koniec PiS-u, do jakiego przywykliśmy, zaraz będzie to PiS inny i raczej prawdziwszy. Nie będzie to już – tak mniemamy – partia udająca formację polityczną, ale klub zrzeszający masochistów kreujących się na sadystów. Nawiasem, dziękujemy dziś Opatrzności za własne nieuctwo, że oto nie przyszło nam na myśl, by wrodzoną miłość do ludzi przekuć w misję przynoszenia im ulgi w cierpieniu. Już niebawem lasy będą pełne ukrywających się ortopedów, nie ma bowiem żadnych wątpliwości, że ortopedzi pójdą siedzieć, część zaś zostanie profilaktycznie okulawiona. Na sto procent takie pomysły się pojawią.

Wracając do sedna. Oto od dawna uważamy, że kraj nasz jest największym w galaktyce laboratorium zaburzeń emocjonalnych, że wszystkie tutejsze problemy nie wiążą się w najmniejszym stopniu z modelem ustrojowym czy gospodarczym, tylko z zaniedbaniami w przytulaniu. Jest to kraj ludzi niedopieszczonych i niedogłaskanych, pozbawionych tym samym zdolności życia w błogości i mruczeniu. Sprawianie komuś przykrości – tak z żalem mniemamy – nie wynika tu z cynicznej i brutalnej natury, lecz z odwetu za własne niedocackanie. We wszystkich zwierzeniach ludzi obecnej władzy życiowe niedocackanie, cierpienie związane z wykazanym im nieudacznictwem, jest motywem elementarnym, to grunt, z którego wyrasta wszystko. Brak betonowej wylewki pod własnymi mniemaniami wywołuje kiwanie, od wulgarnego szpanu gitludzi po rozpaczliwe i nieudolne próby okazania wrażliwości. Doprawdy wystarczy wymienić dowolne nazwisko, by uznać, że opinia ta jest słuszna. Stąd też uważamy, że niesłychana w kraju oferta fryzjerni, salonów masażu, gabinetów piękna, galerii obcinania paznokci wynika z tego właśnie, że są to jedyne miejsca, gdzie ludzie nie są turbowani, gdzie jest miło, bezpiecznie i gdzie nikt nie oczekuje, że będziemy nadzwyczajni. Gdzie także nikt nas nie zdradza, jak nie przymierzając ostatnio przedstawicieli przemysłu futrzarskiego, pierwszy raz na taką skalę, odkąd ludzie przestali masowo używać skórzanej bielizny zastępując ją bawełnianą. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYLKO 300 ZŁOTYCH NA CAŁY ROK!

Jeśli masz poniżej 25 albo powyżej 65 lat – możesz kupić krajową, ekonomiczną prenumeratę wydania papierowego „TP" w ofercie POKOLENIA za 300 zł rocznie.▪

Aby z niej skorzystać, wystarczy opłacić ją zgodnie z ogólnymi zasadami zakupu opisanymi poniżej.

▪ Zastrzegamy sobie jednak prawo skontaktowania się z wybranymi osobami w celu weryfikacji prawa do ulgi.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:
Prenumeratę krajową można zamówić przez:
- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
  Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
  Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP", ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł

Oferta POKOLENIA – 300 zł na rok
▪ Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

PARTNER MARKETINGOWY SALES MANAGO marketing automation

REKLAMA

Kraków

Jacek Majchrowski
Prezydent Miasta Krakowa
zaprasza

kbf

15 RMF Classic

fmf

FMF

FESTIWAL MUZYKI FILMOWEJ W KRAKOWIE

29.05–5.06.2018

WWW.FMF.FM

Sponsor Główny

TAURON

Partner dla Krakowa

BUKOVINA RESORT

COPERNICUS

COPERNICUS FESTIVAL

TYGODNIK POWSZECHNY

Nr 21/2018

KATALOG FESTIWALOWY

Copernicus Center

FESTIVAL '18

przypadek

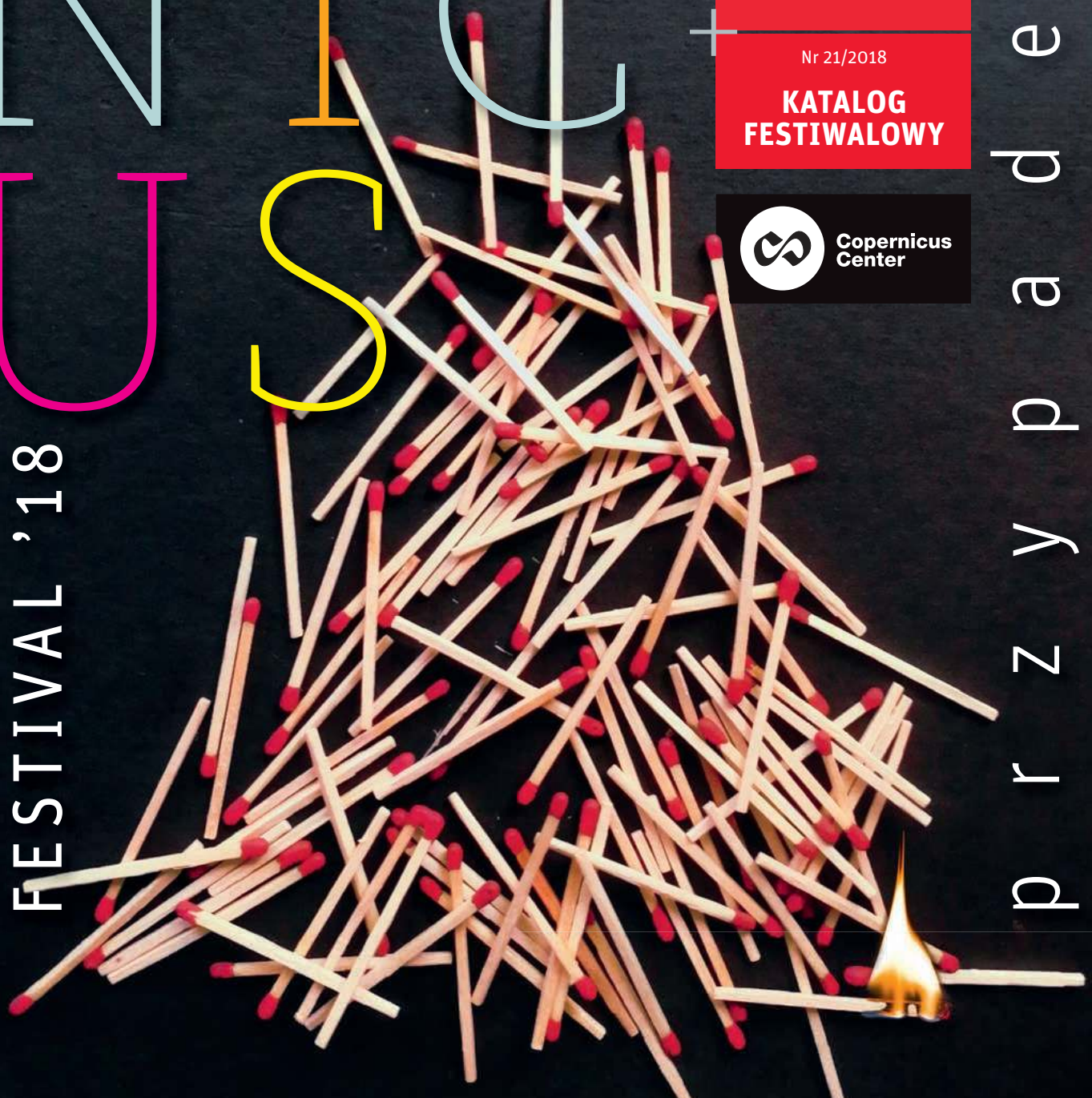

MANTA
Polska firma rodzinna

REKLAMA

Telewizory z fabryki w Polsce
w specjalnych cenach na 20-lecie Manty

20 lat
Manta 1998–2018

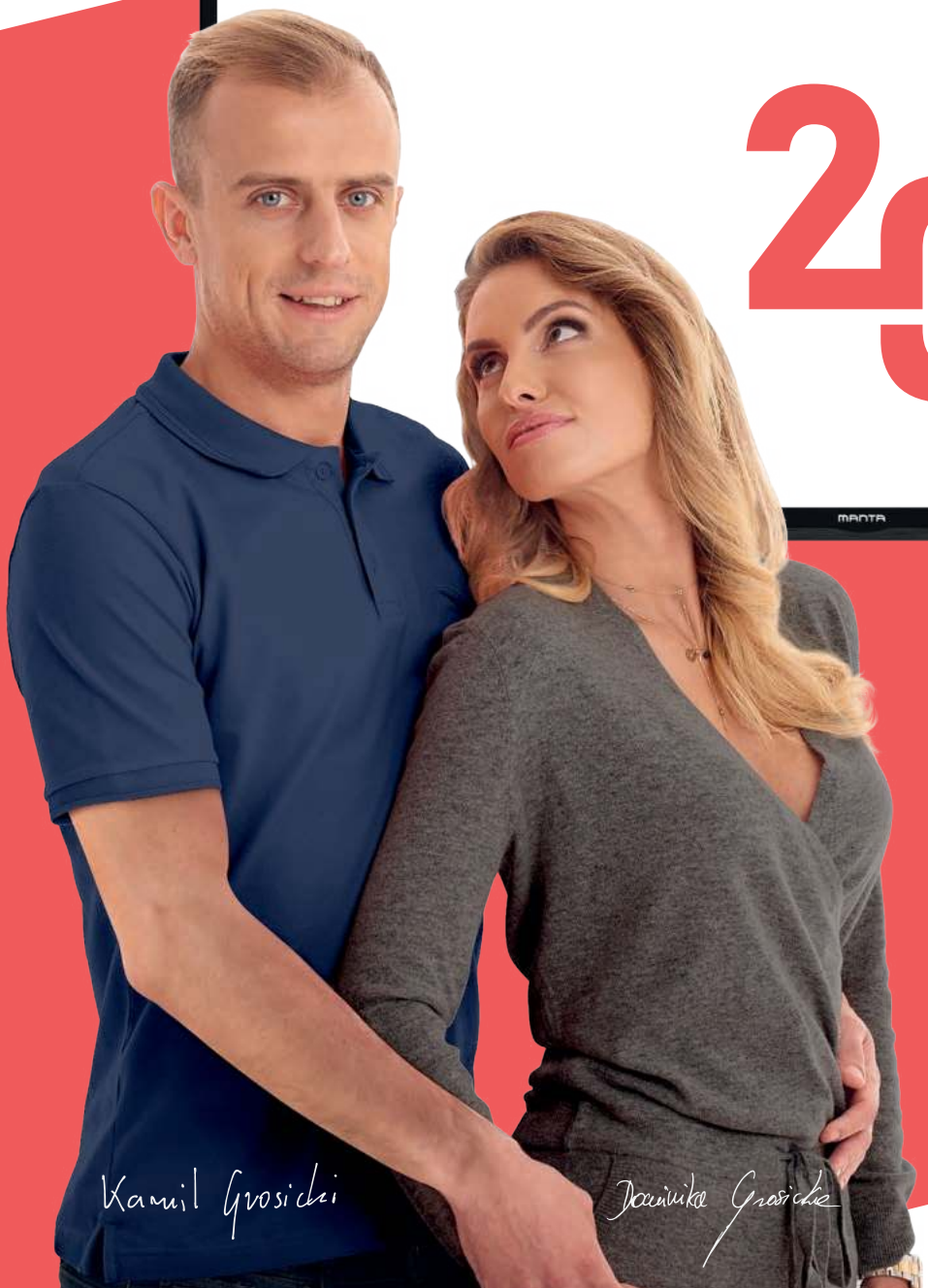

Szukajcie Państwo
w najlepszych sklepach

COPERNICUS FESTIVAL 2018 / PRZYPADEK

„Tylko przypadek może wyglądać jak wysłannik losu. To, co jest nieuchronne, czego się spodziewamy, co powtarza się codziennie, jest nieme. Tylko przypadek do nas przemawia" – pisał Milan Kundera w „Nieznośnej lekkości bytu". To prawda – jedynie to, co zaskakujące, umożliwia nam wyjście poza utrwalone schematy myślenia i zbudzenie się z „dogmatycznej drzemki". Ale ma to swoją drugą, negatywną stronę. Przypadki są burzycielami porządku, wzbudzają poznawczy, a czasem egzystencjalny niepokój. Dla niektórych są wręcz wyłomem w racjonalności, anomalią, na którą nie ma miejsca w spójnym obrazie świata. Stanowią zaprzeczenie tego, ku czemu intuicyjnie dążymy: pragniemy wszak oswajać rzeczywistość, a nie dawać się jej zaskakiwać.

Na przypadek można jednak spojrzeć inaczej: jak na strategię, którą wszechświat – niezależnie, czy pisany dużą czy małą literą – przyjął jako narzędzie rozwoju. Wszystko wskazuje bowiem na to, że poszukiwana przez fizyków ostateczna teoria rzeczywistości będzie miała charakter probabilistyczny. Michał Heller pisze w tym kontekście, że „przypadki nie są »obcym ciałem« w strukturze praw przyrody, lecz jej istotnym elementem". To one są paliwem napędowym ewolucji kosmicznej i biologicznej. W tym sensie i my – ludzie – jesteśmy tu tylko przypadkiem. Oswoić się z tą myślą nie jest łatwo, ale trzeba pamiętać, że nie zmusza ona do popadnięcia w nihilizm – jest raczej wypełniona głębokimi treściami filozoficznymi i teologicznymi.

Oswajanie przypadku jest trudne, ale może stać się nieco łatwiejsze dzięki gwiazdom tegorocznej edycji Copernicus Festival. Spotkamy się z ekonomistą Robertem H. Frankiem, fizykiem i astronomem Jeanem-Pierre'em Lasotą, psychologiem Danielem Gilbertem, a także z Adamem Zagajewskim i ks. Michałem Hellerem. W dyskusjach wokół szczęścia, przypadkowości w fizyce, przestrzeni wolności i fatum towarzyszyć im będą wybitni naukowcy i intelektualiści.

W ramach pasma „Perceptio" zastanowimy się nad przypadkiem w poezji, muzyce, fotografii i malarstwie, a także zapytamy, jak poczucie humoru ma się do ślepego trafu. Na „Śniadaniach Mistrzów" spotkamy znanych uczonych i artystów. Wysłuchamy także wyjątkowych koncertów, a w paśmie „Inventio" pokażemy, że sztuka potrafi stawiać czoło nowoczesnym technologiom. To jeszcze nie wszystko – szczegółowy program festiwalu znajdą Państwo w środku tego katalogu.

Zapraszamy!
ZESPÓŁ FESTIWALOWY

COPERNICUS FESTIVAL

4. Nieprzypadkowy przypadek
Bartosz Brożek

7. Zwycięzcy mają farta
Marcin Gorazda

10. 363 dni bez Nobla
Rozmowa z Adamem Zagajewskim

14. Dlaczego istnieje wodospad w Moskog?
Michał Heller

17. Hazardziści
Krystyna Czerni

21. Program Festiwalu

25. Sztuka maszyn
Jan K. Argasiński

26. Sztuka dotyku
John Tilbury

28. Wszystkie dźwięki dozwolone
Anna Prokop

30. Cuda raz na miesiąc
Rozmowa z Jeanem-Pierre'em Lasotą

32. Gra losu
Tomasz Fiałkowski

34. Pan od szczęścia
Bartłomiej Kucharzyk

37. Reżyserowanie przypadku
Anita Piotrowska

39. Fatum
Łukasz Lamża

Okładka: Marek Zalejski

REDAKCJA: ŁUKASZ KWIATEK, BARTŁOMIEJ KUCHARZYK | PROJEKT GRAF. MAREK ZALEJSKI | FOTOEDYCJA: GRAŻYNA MAKARA, EDWARD AUGUSTYN | WYDAWCY: FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO, FUNDACJA CENTRUM KOPERNIKA, KRAKÓW 2018
ISBN 978-83-65811-03-5

Nieprzypadkowy przypadek

BARTOSZ BROŻEK

Odgrywa kluczową rolę w najważniejszych koncepcjach naukowych, od kosmologii, przez teorię ewolucji, neurobiologię i kognitywistykę, aż po filozofię. Jego wszechobecność nie może być przypadkowa.

Katar" Stanisława Lema to piękna, głęboka medytacja nad rolą i miejscem przypadku w świecie zamieszkiwanym przez *Homo sapiens*. Dzieło to, choć określić by je można mianem kryminału, jest w istocie rozprawą filozoficzną. Fabuła jest tu drugorzędna: główny bohater, były amerykański astronauta, prowadzi śledztwo dotyczące serii tajemniczych zgonów. Podobieństwa między tymi zdarzeniami każą przypuszczać, że na południu Włoch działa niebezpieczny morderca. Z czasem jednak coraz więcej wskazuje na to, że „mordercą" tym jest zwykły zbieg okoliczności: przypadek.

Niejedno ma imię

Jedna z najbardziej pamiętnych scen „Kataru" to rozmowa, w której Saussure każe nam zastanowić się nad następującą kwestią: w ogrodzie stoi drewniany stół nabijany na obwodzie miedzianymi ćwiekami. „Czy uważa pan za możliwe – pyta swego rozmówcę Saussure – puścić na ten stół pipetką z wysoka tyle kropel wody, ile jest gwoździ, tak żeby każda kropla trafiła łepek?". Musimy oczywiście przyznać, że to mało prawdopodobne, jeśli w ogóle możliwe. „Ale przecież wystarczy – ciągnie Saussure – żeby przez pięć minut padał deszcz, a każdy gwóźdź na pewno dostanie swoją kroplę wody...".

W tym krótkim dialogu Lem w mistrzowski sposób pokazuje ważny aspekt zjawisk przypadkowych: to, czy uznamy jakieś zdarzenie za – mniej lub bardziej prawdopodobny – zbieg okoliczności, zależy od „układu odniesienia", w którym się znajdujemy, czyli od posiadanej wiedzy i formułowanych na jej gruncie oczekiwań.

Ludzki umysł jest nie tylko narzędziem gromadzenia i katalogowania informacji. Rejestrowane dane służą regulacji zachowań organizmu. Uczymy się nie po to, żeby wiedzieć, ale by wiedzę tę, często nieświadomie, wykorzystać do skutecznego działania. Umysł to zatem wyrafinowana maszyna projektowa, która nieustannie zbiera i filtruje informacje, by tworzyć i odpowiednio modyfikować „plan", wedle którego działa organizm. Plan ten z konieczności musi zawierać przewidywania zdarzeń w środowisku. Gdy napotykane okoliczności wpisują się w te przewidywania, organizm może działać w miarę skutecznie (w zależności od jakości „planu"). Zdarza się jednak, że dzieje się coś sprzecznego z oczekiwaniami. Czujemy się wtedy zaskoczeni i mówimy o przypadku lub zbiegu okoliczności, a nasze umysły podejmują wysiłek szybkiej adaptacji „planu" do niespodziewanych warunków. Jest to subiektywne rozumienie przypadku, zależne od tego, czy pewne zdarzenie „wpisuje się" w nasze przewidywania, w „plan" działania naszego organizmu.

O przypadkach można mówić jednak także w sposób obiektywny. Gdy dysponujemy dobrą probabilistyczną teorią opisującą pewien wycinek rzeczywistości, np. termodynamiką, mechaniką kwantową albo teorią zachowań konsumentów na rynku żywności, za przypadkowe uważać będziemy każde zdarzenie, którego prawdopodobieństwo jest mniejsze niż jeden, czyli takie, które – zgodnie z naszą teorią – nie jest w pełni zdeterminowane. Taki obiektywny przypadek nie musi być uznany za przypadek w sensie subiektywnym (i odwrotnie). Można nawet postawić tezę, że wiele dyskusji na temat przypadkowości i konieczności wikła się w rozmaite nieporozumienia i pseudoproblemy ze względu na napięcie pomiędzy obiektywną i subiektywną wizją przypadku. Gdy pojedyncza kropla trafia w gwóźdź, mówimy o niezwykłym zbiegu okoliczności, odbierając to zdarzenie jako (subiektywnie) bardzo przypadkowe; gdy gwóźdź zostaje trafiony kroplą w trakcie ulewy, poczucie przypadkowości znika, choć z matematycznego punktu widzenia jest to ciągle przypadkowe (istnieje pewne bardzo małe prawdopodobieństwo, że żadna kropla ulewnego deszczu nie uderzy w główkę gwoździa).

Nasze umysły nie są naturalnie przystosowane do myślenia w kategoriach rachunku prawdopodobieństwa. Eksperymenty psychologiczne, m.in. te przeprowadzone przez Daniela Kahnemana i Amosa

Tversky'ego, wykazały to ponad wszelką wątpliwość: gdy natrafiamy na problem, który łatwo uległby analizie statystycznej, najpewniej popełnimy błąd. Umysł jest niezmordowany w upraszczaniu świata: ujmujemy rzeczywistość w proste, prototypowe kategorie, a napotykając niezgodność między oczekiwaniami a tym, czego faktycznie doświadczamy, uciekamy się (znów: zwykle nieświadomie) do rozmaitych sztuczek, które przywrócą spójność naszej wizji świata. Gdy okazuje się to niemożliwe, popadamy w dezorientację. Im bardziej przypadkowe (mało oczekiwane) zdarzenie, tym dezorientacja większa. Jak to pięknie ujęła Wisława Szymborska w wierszu „Wszelki wypadek": „Ocalałeś, bo byłeś pierwszy. / Ocalałeś, bo byłeś ostatni. / Bo sam. Bo ludzie. Bo w lewo. Bo w prawo. / Bo padał deszcz. Bo padał cień. / Bo panowała słoneczna pogoda".

Marzenie Laplace'a

W wydanym w 1814 r. dziele „Essai philosophique sur les probabilités" Pierre Simon de Laplace pisze: „Powinniśmy uznawać aktualny stan wszechświata jako efekt jego poprzedniego stanu i jako przyczynę stanu kolejnego. Jeśli zatem założy się istnienie inteligencji, która potrafiłaby zrozumieć wszystkie siły poruszające naturą i położenie, w którym znajdują się wszystkie byty składające się na naturę – inteligencję wystarczająco potężną, by poddać te dane analizie – zawarłaby ona w jednej formule ruchy najcięższych ciał niebieskich i najlżejszych atomów. [Inteligencja ta] nie odczuwałaby żadnej niepewności, gdyż przyszłość, jak i przeszłość byłyby dla niej jak teraźniejszość".

Laplaceański demon – inteligencja przewyższająca wielokrotnie nasze niedoskonałe umysły – to piękny eksperyment myślowy, który wyraża dwie tezy: ontologiczną i epistemologiczną. Laplace zakłada, że rzeczywistość fizyczna rządzona jest przez ściśle deterministyczne prawa przyrody; równocześnie zauważa, że poziom złożoności zdarzeń rozgrywających się na arenie wszechświata jest zbyt duży, by mogły go w pełni pojąć ograniczone ludzkie umysły. Tezy te pełnią też swoistą funkcję terapeutyczną: łagodzą nasz niepokój i karmią potrzebę porządku i pewności. W świecie zjawisk fizycznych nie ma przypadków, są one wyłącznie produktem naszej niewydolności poznawczej.

Sprawy skomplikowały się na początku XX w. wraz z powstaniem mechaniki kwantowej. Wbrew marzeniom Laplace'a okazało się, że ruchów „najcięższych ciał niebieskich i najlżejszych atomów" nie da się zamknąć w jednej formule. Podczas gdy te pierwsze zdają się podlegać w pełni deterministycznym prawom ogólnej teorii względności, te drugie opisać można jedynie wykorzystując rachunek prawdopodobieństwa.

Choć niezwykłe sukcesy mechaniki kwantowej wywołały zrozumiały zachwyt fizyków, wielu z nich, na czele z Albertem Einsteinem, nie chciało się zgodzić, że teoria ta stanowi ostateczny opis rzeczywistości. Einstein w liście do Maxa Borna pisał: „Mechanika kwantowa jest niewątpliwie imponująca. Ale wewnętrzny głos mówi mi, że to jeszcze nie to. Teoria wyjaśnia wiele, ale nie prowadzi nas bliżej do zrozumienia tajemnic Staruszka. Ja w każdym razie jestem przekonany, że On nie gra w kości". A w innym liście do tego samego adresata dodaje: „Ty wierzysz w Boga, który gra w kości, a ja w zupełne prawo i porządek w świecie, który, na swój opętańczy sposób, próbuję zrozumieć".

ULLSTEIN BILD / GETTY IMAGES

Pisklę kukułki zwyczajnej (*Cuculus canorus*) karmione przez trzcinniczka zwyczajnego (*Acrocephalus scirpaceus*)

Skąd wzięło się tak uporczywie powtarzane przez Einsteina przekonanie, że mechanika kwantowa jest, w pewnym sensie, ślepą uliczką, która nie jest w stanie doprowadzić nas do pełnego zrozumienia rzeczywistości? Historycy i filozofowie nauki mówią w tym kontekście o silnych założeniach metafizycznych przyjmowanych przez genialnego fizyka: Einstein zgadzał się najwyraźniej z Laplace'em, że świat fizyczny jest w pełni deterministyczny. Przekonania metafizyczne nie biorą się jednak znikąd – są raczej efektem naszych indywidualnych doświadczeń i przemyśleń. Można zatem spekulować, że Einsteinowski protest wobec „przypadkowej" natury mechaniki kwantowej był głęboko zakorzeniony w mechanizmach psychicznych, które nakazują nam poszukiwać spójności i porządku w otaczającym nas świecie.

Mówiąc inaczej: Einstein z radością podejmował zmagania z przypadkami „subiektywnymi", starając się „odcyfrować zamysł Boga", ale nie mógł znieść myśli o tym, iż fundamenty rzeczywistości zawierają przypadki rozumiane obiektywnie. Te pierwsze stanowią wyzwanie dla ludzkiej wyobraźni, te drugie – rodzaj porażki. Wszystko wskazuje jednak na to, że z porażką tą musimy się pogodzić i przyznać, że fundamentalne prawa fizyki, nawet w wyśnionej teorii ostatecznej, muszą mieć charakter probabilistyczny. Pogodzenie się z porażką nie oznacza jednak pełnej akceptacji: bezwładność naszych aparatów poznawczych sprawia bowiem, że niezwykle trudno jest nam spojrzeć na świat jako wynik procesów losowych.

Odwrócenie rozumowania

Jeden z XIX-wiecznych krytyków Darwina, Robert Mackenzie Beverley, pisał: „W teorii, z którą mamy do czynienia, absolutna ignorancja jest wynalazcą; moglibyśmy więc sformułować podstawową zasadę całego systemu: aby zbudować doskonałą i piękną maszynę, nie trzeba wiedzieć, jak ją zbudować. Po starannej analizie okaże się, że teza ta w postaci skróconej wyraża zasadniczy cel teorii, ↦

↦ a także w kilku słowach wszystko, co pan Darwin miał na myśli; ów, osobliwie odwracając rozumowanie, zdaje się uważać, iż absolutna ignorancja mogłaby zastąpić absolutną mądrość we wszystkich twórczych osiągnięciach".

Beverley, być może nawet wbrew swym intencjom, dokonał ważnej obserwacji. Teoria ewolucji w istocie stanowi zaskakujące „odwrócenie rozumowania", co może tłumaczyć trudności, jakie mamy z pełnym jej zrozumieniem. Trudności te przejawiają się nawet na poziomie opisu językowego. Tylko ci nieliczni biologowie, którzy są purystami metodologicznymi, potrafią (pewnie nie zawsze) powstrzymać się od antropomorfizowania procesów ewolucyjnych. Przyjrzyjmy się zachowaniu kukułki. Samica tego gatunku składa jajo w gniazdach innych gatunków, często przy tym wytaczając z niego jedno z jaj pary gospodarzy. Gdy niczego niepodejrzewający przybrani rodzice doczekają się potomstwa, pisklę kukułki potrafi wyrzucić pozostałe jaja z gniazda, by zmaksymalizować opiekę rodzicielską. Bardzo trudno mówić o takich zjawiskach nie posiłkując się pojęciami, których używamy w kontaktach międzyludzkich. Czyż plan kukułczej mamy nie był przebiegły? Czy nie wyrzuciła jednego z jaj, by „adopcyjni rodzice" nie zorientowali się, że coś jest nie tak? Czy pisklę nie postąpiło dalekowzrocznie (choć okrutnie i egoistycznie)?

Tymczasem zachowanie kukułki nie jest efektem realizacji przemyślanego przez nią planu; jest to „automatyczny" sposób działania, zakodowany w jej genomie. To efekt przypadkowych mutacji genetycznych, które doprowadziły do ewolucyjnych adaptacji. Trudno jest nam jednak zaakceptować istnienie takich obiektywnych przypadków, dobrze opisywanych w probabilistycznych teoriach genetyki i biologii ewolucyjnej; trudno pójść za radą Darwina i „odwrócić rozumowanie", bo jest ono tak odległe od naszych codziennych doświadczeń i wykształconych przez nie kategorii pojęciowych. Być może dlatego tak wiele osób za ślepymi i przypadkowymi mechanizmami ewolucji stara się za wszelką cenę dostrzec działanie intencjonalnie działającej inteligencji, która przypomina Laplaceańskiego demona wyposażonego nie tylko w moce poznawcze, ale i sprawcze.

Czyż plan kukułczej mamy nie był przebiegły? Czy nie wyrzuciła jednego z jaj, by „adopcyjni rodzice" nie zorientowali się, że coś jest nie tak?

O pomieszaniu języków

Być może najbardziej interesującym, a niewątpliwie najbardziej doniosłym z egzystencjalnego punktu widzenia problemem, w którym ujawnia się napięcie pomiędzy obiektywnie i subiektywnie rozumianym przypadkiem, jest spór o istnienie wolnej woli. Debata ta toczy się od wielu wieków, a w ostatnich dziesięcioleciach nabrała dodatkowych odcieni w związku z pracami psychologów i neurobiologów.

Mówiąc w uproszczeniu, w interesującej nas kwestii spotykają się dwa konkurencyjne stanowiska: kompatybilizm i inkompatybilizm. Zwolennicy pierwszego z nich twierdzą, że teza o istnieniu wolnej woli jest w pełni zgodna z determinizmem. Ich argumentacja przebiega z grubsza następująco: jeśli przyjęlibyśmy, że nasze wolne decyzje nie są zdeterminowane, musielibyśmy uznać, iż stanowią zdarzenia całkowicie przypadkowe. To kłóci się jednak z głęboko zakorzenionym w nas poczuciem, że podejmujemy decyzje na podstawie swych przekonań i pragnień. Pozostaje zatem uznać, iż wolna wola może operować jedynie w świecie deterministycznym.

Z konstatacją tą nie zgadzają się inkompatybiliści, zauważając, że jeśli nasze decyzje są w pełni zdeterminowane, trudno zrozumieć, w jaki sposób moglibyśmy być za nie odpowiedzialni. Odpowiedzialność moralna zdaje się sprzeczna z ideą determinizmu, a przekonany determinista musiałby uznać, że wolna wola jest jedynie złudzeniem.

Przeprowadźmy eksperyment myślowy. Wyobraźmy sobie, że skonstruowano poprawną teorię działania ludzkiego mózgu i że ma ona charakter probabilistyczny (co jest, *nomen omen*, prawdopodobne, zważywszy na probabilistyczną naturę fundamentalnych praw fizyki). Wiemy zatem, że podejmowane przez nas decyzje są przypadkowe (w obiektywnym sensie), tzn. że prawdopodobieństwo ich wystąpienia jest mniejsze od jeden. Czy istnienie takiej teorii wpłynęłoby na debatę między kompatybilistami i inkompatybilistami? Jeśli tak, to w niewielkim zakresie. Inkompatybiliści ucieszyliby się z przestrzeni, którą nowa teoria stwarza dla działania wolnej woli; kompatybiliści mogliby z kolei zauważyć, że – zgodnie z tą teorią – prawdopodobieństwo podjęcia pewnej decyzji może być bardzo bliskie jeden, a zatem decyzję taką trudno uznać za przypadkową (w subiektywnym sensie). Mówiąc inaczej, spór między kompatybilizmem a inkompatybilizmem (przynajmniej w uproszczonej wersji przedstawionej powyżej) jest sporem pozornym, gdyż mówiąc o determinizmie obie strony mają na myśli przypadkowość rozumianą obiektywnie, zastanawiając się zaś nad działaniem wolnej woli odwołują się do niematematyzowalnych, „subiektywnych" kategorii pojęciowych. Nie oznacza to oczywiście, że pytanie o istnienie i naturę wolnej woli jest pseudoproblemem, ale musimy być ostrożni, by rozważając tę kwestię nie mieszać języków, myląc chociażby subiektywne i obiektywne rozumienie przypadku.

Przypadek to fascynujące pojęcie. Nie dość, że jest powiązane z innymi ważnymi pojęciami – koniecznością, determinizmem, wolną wolą – to jeszcze odgrywa kluczową rolę w najważniejszych koncepcjach naukowych, od kosmologii, przez teorię ewolucji, neurobiologię i kognitywistykę, aż po filozofię. Taka wszechobecność „przypadku" nie może być przypadkowa. Wydaje się, że jest to jedno z tych niewielu pojęć, które organizują ogromne obszary naszej wizji świata. Warto w związku z tym poświęcić mu trochę nieprzypadkowego namysłu.

© BARTOSZ BROŻEK

Autor jest profesorem nauk prawnych, filozofem i kognitywistą, prodziekanem Wydziału Prawa i Administracji UJ oraz członkiem Centrum Kopernika. Autor wielu książek, m.in. „Myślenie. Podręcznik użytkownika" (CCPress 2016).

ANDER GILLENEA / GETTY IMAGES

Zwycięzcy mają farta

MARCIN GORAZDA

Według Roberta Franka o sukcesie ekonomicznym decyduje przypadek. Trudno jednak nam w to uwierzyć, co prowadzi do szkodliwych konsekwencji społecznych.

W 1993 r. Robert H. Frank, aktualnie profesor ekonomii na Uniwersytecie Cornell w Stanach Zjednoczonych, razem z dwoma innymi badaczami opublikował artykuł, w którym postawił zaskakującą tezę, iż studiowanie ekonomii prowadzi do kształtowania postaw racjonalnych w wąskim rozumieniu.

Aby nie brzmiało to tak zagadkowo, odwołajmy się do eksperymentu znanego w teorii gier jako „dylemat więźnia". To szczególny przypadek gry, w której współpraca między dwoma graczami prowadzi do wyniku zdecydowanie lepszego dla nich obu niż działanie podporządkowane wyłącznie własnemu interesowi – czyli racjonalne w wąskim rozumieniu.

Dwóch ujętych przez policję przestępców, każdy z nich z osobna, bez możliwości komunikowania się, zostało postawionych przez prokuratura przed następującym dylematem: albo sprawca będzie współpracował z organami ścigania, złoży zeznania obciążające wspólnika i dostanie łagodniejszą karę, albo ryzykuje tym, że jeśli ten drugi pójdzie na taką współpracę, to wymiar kary będzie zdecydowanie surowszy. Możemy posłużyć się konkretnymi wartościami: jeśli sprawca A będzie zeznawał, podczas gdy B będzie milczał, to A dostanie rok więzienia, a B pięć lat. Jeśli obaj będą zeznawać, to każdy dostanie po trzy lata. Jeśli jednak obaj będą milczeć, to sąd z braku dowodów będzie musiał ich uniewinnić.

Ponieważ nie wiemy, jak zachowa się wspólnik, optymalnym rozwiązaniem tej gry jest zawsze współpraca z prokuratorem. W klasycznym rozumieniu jest to tym samym najbardziej racjonalne zachowanie. Reguły życia społecznego ↦

Tradycyjna gonitwa byków podczas uroczystości ku czci św. Firmina, Pampeluna, 14 czerwca 2005 r.

UNIVERSITY PHOTOGRAPHY

ROBERT HARRIS FRANK (ur. 1945) jest matematykiem, statystykiem i profesorem ekonomii w Samuel Curtis Johnson Graduate School of Management. Stały autor esejów ekonomicznych w „New York Timesie". Ma za sobą szereg publikacji w uznanych czasopismach ekonomicznych („American Economic Review", „Econometrica", „Journal of Political Economy"), jest też autorem lub współautorem ponad 10 książek (w tym „Principles of Economics", napisanej wspólnie z Benem Bernanke'em, szefem Rezerwy Federalnej w kryzysowych latach 2006-14). W Polsce ukazały się jego książki: „Mikroekonomia, jakiej jeszcze nie było" (2007), „Dlaczego piloci kamikadze zakładali hełmy? Czyli ekonomia bez tajemnic" (2009) oraz „Społeczeństwo, w którym zwycięzca bierze wszystko. Dlaczego garstka najbogatszych posiada o wiele więcej niż reszta z nas" (2017). Wkrótce nakładem PWN ukaże się kolejna książka Franka: „Sukces i szczęście". Podczas festiwalu prof. Frank wygłosi wykład o takim samym tytule.

↦ sprawiają jednak, że w wielu przypadkach, do których zastosowanie miałaby podobna matryca gry (niekoniecznie przestępczych), zachowujemy się „nieracjonalnie", antycypując podobnie „nieracjonalne" zachowanie drugiego „gracza" – ufamy w jego skłonność do kooperacji. W efekcie, jeśli nasze zaufanie nie zawiedzie, możemy osiągnąć dużo lepszy rezultat. Co jednak determinuje nasze zaufanie?

Klasyczne modele ekonomiczne zakładają, że gracze na rynku są doskonale racjonalni (to właśnie oznacza osławiony *Homo oeconomicus*). Eksperyment przeprowadzony przez Franka i współpracowników polegał na przedstawieniu decyzyjnego dylematu więźnia studentom pierwszego oraz ostatniego roku ekonomii. Ci drudzy okazali się zdecydowanie bardziej racjonalni. A zatem wieloletnia ekspozycja na modele ekonomiczne – gwarantowana podczas wielu lat studiów tej dziedziny – sprawia, że jesteśmy w mniejszym stopniu skłonni do kooperowania.

Sęk w tym, że w ten sposób owe modele zamiast opisywać rzeczywistość gospodarczą, stają się samosprawdzającą się przepowiednią, a o naszym poziomie instrumentalnej racjonalności lub skłonności do zachowań kooperacyjnych decydują uwarunkowania kulturowe. Co więcej, istotna część tych uwarunkowań jest związana z naszym ewolucyjnym dziedzictwem, w którym bardziej chodzi o sukces prokreacyjny niż o maksymalizację użyteczności rozumianą w kategoriach materialnych.

Wyścig zbrojeń

Dlatego w jednym ze swoich esejów pisanych do „New York Timesa" Robert Frank stwierdził, że być może w przyszłości za ważniejszego ekonomistę od Adama Smitha uważany będzie Karol Darwin. Darwin zauważył bowiem intrygujący paradoks ewolucji, która prowadzi do wykształcenia się cech gatunkowych, które nie tylko nie sprzyjają przetrwaniu, ale wręcz mu przeszkadzają. Do takich cech należy pawi ogon lub też ogromne poroże łosia. W obu przypadkach cechy te narażają osobnika na atak drapieżników i utrudniają ucieczkę. Są one jednak przy tym oznaką siły i zdrowia, co pozytywnie rokuje co do jakości genotypu ich posiadacza. Dlatego pawie z większym pióropuszem i łosie z większym porożem są chętniej wybierane przez samice na partnerów seksualnych i w efekcie statystycznie mają więcej potomstwa. Tym samym pozornie nieadaptacyjna cecha (wyselekcjonowana przez dobór płciowy) zaczyna się rozprzestrzeniać.

Na to, że podobne efekty funkcjonują na rynku, zwrócili uwagę prekursorzy ekonomii instytucjonalnej pod koniec XIX wieku. Thorstein Veblen ukuł określenie „ostentacyjna konsumpcja" – służy ona przede wszystkim manifestacji pozycji społecznej w celu zwiększenia zainteresowania płci przeciwnej. Frank poszedł jednak dalej. Jeśli w istocie w społeczeństwie trwa konkurencja o pozycję społeczną, to ów niekończący się wyścig zbrojeń prowadzi do ogromnego marnotrawstwa ograniczonych zasobów ekonomicznych i w efekcie wszyscy znajdują się w sytuacji gorszej niż wyjściowa. Jako jeden z takich przykładów podaje drastyczny wzrost kosztów organizacji przyjęć weselnych w Stanach Zjednoczonych, który aktualnie wynosi przeciętnie ok. 30 tys. dolarów – to trzy razy więcej niż w roku 1980.

Ten wzrost nie przekłada się na to, że małżonkowie są szczęśliwsi (niektóre badania wskazują nawet na odwrotną zależność), powoduje natomiast zwiększone obciążenie osób mniej zamożnych (czyli tych, którzy procentowo większą część swoich zasobów muszą przeznaczać na udział w wyścigu zbrojeń) i niechęć do danin publicznych, z których finansowane są inwestycje służące całemu społeczeństwu. Aby zobrazować to zjawisko, Frank proponuje następujący eksperyment myślowy: czy wolelibyśmy posiadać porsche 911 turbo (w USA kosztuje ok. 150 tys. dolarów) i poruszać się nim po dobrze utrzymanych autostradach, czy też ferrari F12 berlinetta (333 tys. dolarów), ale z perspektywą jazdy po dziurawych drogach? Ów pozycjonujący wyścig zbrojeń prowadzi właśnie do wyborów drugiego typu.

Zwycięzca bierze wszystko

Czy jednak podobne mechanizmy nie działały także przez kilkaset tysięcy lat rozwoju gatunku *Homo sapiens*, prowadząc w rezultacie (przy wszystkich zastrzeżeniach) do

całkiem komfortowego, cywilizowanego społeczeństwa? Jeśli tak, to czemu mielibyśmy założyć, że właśnie teraz szczególnie pożądane jest powszechne „rozbrojenie"? Robert Frank i na to pytanie proponuje odpowiedź. Przemiany gospodarczo-technologiczne, które dokonały się w ostatnich dekadach XX wieku, ukształtowały, jego zdaniem, szczególny, jak dotąd nieobserwowany w historii ludzkości fenomen, jakim jest społeczeństwo *winner-take-all* (zwycięzca bierze wszystko).

Gospodarkę takiego społeczeństwa wyróżniają dwie cechy. Po pierwsze, finansowy sukces dowolnego przedsięwzięcia lub produktu zależy znacznie słabiej od jego bezwzględnej jakości, a znacznie silniej od jakości względnej, ustalonej w porównaniu z innymi, konkurującymi produktami. Pojęcie „produktu" jest tu jednak bardzo szerokie. Nawet wybitna tenisistka nie osiągnie oszałamiającego sukcesu tak długo, jak w grze będzie jej nieco lepsza rywalka. Jeśli jednak rywalka (choćby na krótko) zniknie ze sportowego „rynku", dochody tej pierwszej radykalnie wzrosną. Po drugie (co poniekąd jest następstwem pierwszej cechy), owoce owego finansowego sukcesu będą miały tendencję do koncentrowania się w rękach kilku najlepszych (a może nawet niekoniecznie najlepszych) wykonawców. Cała reszta, choćby jakość ich produktu różniła się bardzo nieznacznie, pozostanie daleko w tyle.

Jest wiele powodów ukształtowania się takiego rynku, ale dominującym są zmiany technologiczne, które radykalnie zwiększyły zasięg takich produktów (łatwość wymiany informacji niezależnie od odległości, redukcja kosztów logistyki itp.). Rynek „zwycięzców" prowadzi jednak do pogłębiającego się rozwarstwienia społecznego, nierówności dochodowych i majątkowych, a to z kolei powoduje, że koszty „wyścigu zbrojeń" w nieproporcjonalny sposób obciążają tych, którzy do grupy zwycięzców się nie zakwalifikowali. W tym miejscu nasuwa się kolejne istotne pytanie.

Dlaczego zwycięzcy zwyciężają?

Można odpowiedzieć krótko: zwyciężają, bo mają szczęście, czyli przypadkowo. Przypadek, a więc szczególny zbieg okoliczności zewnętrznych, niezależnych od talentu, predyspozycji i ciężkiej pracy poświęconej na „samorozwój", decyduje o sukcesie w znacznie większym stopniu, niż sami zwycięzcy ekonomicznego wyścigu lub też społeczeństwo są skłonni przypuszczać. To najnowsza i chyba najbardziej obrazoburcza teza Roberta Franka. Na jej poparcie przytacza szereg matematycznych eksperymentów związanych z działaniem przypadku i rachunku prawdopodobieństwa oraz naszego sposobu postrzegania tzw. nieprawdopodobnych zdarzeń, zestawiając je np. z rzeczywistymi wynikami zawodów sportowych, gdzie rozstrzygający może okazać się niewielki podmuch wiatru.

Wyobraźmy sobie, że mamy do czynienia z konkurencją, w której uczestniczy 100 tys. zawodników. Wynik każdego może zależeć od poziomu jego talentu i włożonej w jego rozwój pracy (w równych częściach), czyli od jego predyspozycji, ale także od przypadkowych okoliczności zewnętrznych (szczęście). Jakość owych predyspozycji mierzona jest w skali od 1 do 100 i ich rozkład pomiędzy uczestnikami jest losowy. Przy dużej liczbie uczestników, i przy pominięciu elementu szczęścia, przeciętny poziom predyspozycji zwycięzcy będzie bardzo wysoki (99,9) i będzie różnił się o ułamek punktu od tych, którzy zajmą drugie lub trzecie miejsce. Jeśli jednak wynik końcowy będzie tylko w dwóch procentach zależał od szczęścia, które również określimy w skali od 1 do 100, i rozłożymy przypadkowo pomiędzy uczestnikami, to okaże się, że 78,1 proc. zwycięzców nie będzie posiadało najwyższego poziomu predyspozycji (wielu było lepszych od nich, a mimo to nie wygrali) i przeciętny poziom szczęścia u zwycięzców wyniesie 90,23 – zwycięzcy mają farta!

Rzecz nie w tym, że owe predyspozycje nie mają znaczenia, ale w tym, że nawet znikomy czynnik przypadkowy oddziałuje na wynik końcowy znacznie silniej, niż nasza intuicja nam podpowiada. Zawody, które wyłaniają największych, ekonomicznych zwycięzców na rynku, przyciągają miliony uczestników, wśród których jest wielu niezwykle utalentowanych i zmotywowanych do sukcesu. W większości przypadków jednak ci, którzy ów sukces osiągają, mają też nieprawdopodobne szczęście.

Nasze fałszywe przeświadczenia o roli szczęścia i talentu w osiąganiu ekonomicznego sukcesu mają się jednak dobrze głównie z tego powodu, że są ewolucyjnie użyteczne. Silne przekonanie, że „cierpliwością i pracą ludzie się bogacą", dodaje motywacji do owej pracy, podczas gdy bardziej realistyczne podejście nieco podcina skrzydła.

Złudzenie omnipotencji

Przypisywanie talentowi i pracy wyłącznej roli w osiąganiu ekonomicznego sukcesu ma negatywne konsekwencje społeczne. Ludzie przekonani o tym, że swój sukces zawdzięczają wyłącznie sobie, są zdecydowanie mniej skłonni dzielić się nim z innymi i postrzegają daniny publiczne jako formę przymusowego wywłaszczenia lub wręcz pasożytowania na nich przez nieudaczników. Frank przytacza szereg eksperymentów psychologicznych, z których wynika, że poczucie wdzięczności, przekonanie, że mój aktualny dobrostan jest nie tylko moją zasługą, sprawia, iż stajemy się bardziej skłonni do dzielenia się nim z innymi. W społeczeństwie potrzebującym powszechnego „rozbrojenia", zatrzymania pozycjonującego wyścigu marnotrawiącego zasoby społeczne, w społeczeństwie, w którym „zwycięzcy biorą wszystko" przyczyniając się do narastających nierówności, taka hojność byłaby bardzo pożądana. Możemy zaś ją sprowokować zarówno przymusowym podatkiem konsumpcyjnym, który proponuje Robert Frank, jak edukacją nakierowaną na odwrotny efekt niż wykazany w przywołanym na wstępie eksperymencie ze studentami ekonomii.

Liberalnych ekonomistów nadal niepokoić będzie jednak wątpliwość, czy każdy rząd może efektywnie zagospodarować owe zaoszczędzone dzięki powszechnemu rozbrojeniu zasoby i czy przypadkiem ich „ewolucyjna" alokacja, pomimo niewątpliwego marnotrawstwa, nie będzie *per saldo* lepsza.

© MARCIN GORAZDA

Autor jest doktorem filozofii i adwokatem. Opublikował m.in. „Filozofię ekonomii" (CCPress 2013).

363 dni bez Nobla

ADAM ZAGAJEWSKI, POETA:

Nikt jeszcze nie potrafił dowieść, że szczęście może być stanem permanentnym, wiecznym. Nawet wieczne pióra się psują. A radość przychodzi i odchodzi. Jest jakby szczęściem homeopatycznym.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Do czego poecie potrzebne są nagrody?

ADAM ZAGAJEWSKI: Mówiąc na pół żartobliwie: do przeżycia. Poeci są jedynymi na świecie pracownikami, którzy nie są opłacani; jeśli nie brać pod uwagę niewolników. Jest coraz mniej, a właściwie prawie już nie ma, czasopism płacących honoraria za publikację wiersza. Uważa się, że już sama publikacja jest dla poety aktem łaski.

Pod każdą szerokością geograficzną tak się dzieje?

Nie wiem, jak jest w Australii. W Stanach płacą – ale to nadal śmieszne sumy, niewspółmierne do czasu włożonego w pisanie i znaczenia, jakie wiersze mają w życiu autora. A tomiki rozchodzą się w minimalnych nakładach. Poeci są wyłączeni z globalizacji – nikt ich nie znajdzie w rewelacjach „Panama Papers" czy „Paradise Papers". Poeci śpią spokojnie.

Nagrody to rodzaj kompensacji; świat w ten sposób poetów postanowił uratować. Tylko że nie wszyscy dostają nagrody, więc nie wszyscy są uratowani. I jednocześnie siłą poezji jest to, że nie ulega naciskom komercji.

Należysz do tego grona poetów, którzy zgarniają nagrodę za nagrodą. Dwie ostatnie, obie pieniężne, to Nagroda Księżniczki Asturii – której jesteś pierwszym polskim laureatem, i ubiegłoroczna Griffin Poetry Prize, najhojniejsza poetycka nagroda Kanady.

Może tak nie mów, bo czuję się czasami jak postać z komedii – wszyscy się na mnie uwzięli (*śmiech*). *Notabene* czasownik „zgarniają" nie jest adekwatny, zakłada akcję ze strony nagrodzonego – tymczasem nagród się nie „zgarnia", nagrody przychodzą niespodziewanie. Nawiasem mówiąc, chociaż nie wypada tego mówić, Griffin Prize, nagroda czcigodna, nie jest wcale bardzo hojna, jeśli idzie o kategorię *life achievement*.

Po drugie, w Polsce istnieje wiele nagród – ale niektóre, by użyć języka naszego rządu, kolesie przyznają kolesiom. Ja zresztą nagród w Polsce nie dostaję. W świecie są jednak nagrody, które przyznają ludzie obiektywni, w ich decyzjach nie ma wielkiej

polityki – coś im się podoba i to przesądza. Chyba że chodzi o najwyższe nagrody, na których się nie znam.

Mówisz o Noblu? Od lat jesteś wymieniany jako główny kandydat. Co czujesz, gdy zbliża się ten dzień października, kiedy punkt trzynasta ogłaszany jest werdykt sztokholmskiej akademii?

Przez dwa dni jestem sparaliżowany. Wiem, że w codzienność tego, kto Nobla dostaje, wkrada się element koszmaru – zabrany jest mu rok z życia. Doris Lessing powiedziała, że był on najgorszy w jej życiu. To nie żarty, przed tym nie da się schować. I jednocześnie przychodzi gigantyczny zaszczyt. W każdym razie ja przez rok o Noblu nie myślę w ogóle – tylko te dwa dni są wyjątkiem, potem znowu przychodzi zapomnienie. 363 dni spokoju.

Wisława Szymborska pierwsze wiersze po Noblu napisała po czterech latach. Jej przyjaciele ukuli wręcz termin „tragedia sztokholmska". Ciekawi mnie, jak Brodski zniósł rok ponoblowski?

Świetnie sobie z tym poradził. Pamiętam, był w Londynie, kiedy Nobel został ogłoszony. Wszyscy mu mówili, że dostanie, więc nie był nieprzygotowany. Parę miesięcy później przyjechał do Houston na wieczór autorski, zaczynałem wówczas na tamtejszym uniwersytecie pierwszy semestr zajęć z *creative writing*. Brodski nosił wtedy krawat z dziurą wygryzioną przez mole – bardzo mi się spodobało, że nic po Noblu się nie zmieniło. Podobnie było z jego arogancją – przed i po Noblu była taka sama. Dla przyjaciół był absolutnie uroczym człowiekiem, z innymi ludźmi różnie to bywało. Potrafił pokazywać swoją siłę. Raz byłem świadkiem, jak poprawiał język angielski native speakerów, a oni zamilkli porażeni jego autorytetem.

Brodski uważał, że poezja jest w życiu człowieka sprawą najważniejszą, a kierowcy zatrzymują się na czerwonym świetle wyłącznie dlatego, że czytali wiersze. Udało mu się nawet doprowadzić do tego, by w jednej z amerykańskich sieci hotelowych w szufladach stolika nocnego obok Biblii leżała antologia poezji.

Podoba mi się ten pomysł, choć nie szaleńczo. Wielu ludzi inteligentnych i wrażliwych, ale niemających treningu w wysokiej kulturze, odczuwa nieśmiałość wobec poezji. I mogą nawet nie wziąć do ręki takiej książki, a udanie się na wieczór autorski jest dla nich niewyobrażalne – są przekonani, że przychodzą tam wyłącznie wybrańcy bogów.

Do Twojego najnowszego zbioru esejów „Poezja dla początkujących" wydawca dołączył na oddzielnej kartce Twój wiersz sprzed wielu lat, „Spróbuj opiewać okaleczony świat". W Stanach zrobił zawrotną karierę: został wydrukowany w specjalnym wydaniu „New Yorkera" po zamachach terrorystycznych 11 września 2001 r.

ADAM ZAGAJEWSKI (ur. 1945) jest poetą, eseistą i prozaikiem. Jeden z najbardziej znanych polskich pisarzy. Otrzymał wiele nagród, m.in. Międzynarodową Nagrodę Neustadt w dziedzinie literatury, zwaną „małym Noblem" (2004); w październiku 2017 r. odebrał Nagrodę Literacką Księżniczki Asturii. W 2018 r. ukazał się zbiór jego esejów „Poezja dla początkujących". Podczas festiwalu wygłosi wykład „O życiu w wolności".

Słyszałem ostatnio, że kiedy Trump doszedł do władzy, wielu ludzi sięgnęło po ten wiersz, bo uznało to za katastrofę. W Polsce ten wiersz jest przypominany w dzisiejszych czasach chyba też nie przez przypadek. Natomiast właściwie przez przypadek został wydrukowany w „New Yorkerze". Alice Quinn, która wtedy była redaktorką działu poezji, z samego rana, w dzień zamachów, czytała właśnie szczotki mojego wyboru wierszy, który miał się ukazać w Stanach. Potem świat się zakołysał, Quinn natychmiast musiała dojechać do redakcji na nadzwyczajne zebranie, na którym szef gazety, David Remnick, poprosił ją o wiersz jakoś odnoszący się do tej tragedii. Alice powiedziała, że nie ma takiego wiersza. Ale gdy wróciła do domu, sięgnęła raz jeszcze po szczotki i odkryła „Spróbuj opiewać okaleczony świat".

A z tych pierwszych nagród zdobywanych w młodości, które były dla Ciebie ważne?

Sam druk pierwszego wiersza był nagrodą. Nosił tytuł „Muzyka" i ukazał się w 1967 r. w „Życiu Literackim" – wybrany przez Wisławę Szymborską. Pamiętam nieśmiałość młodego poety, który marzy o tym, by coś opublikować, i na początku wydaje mu się to niemożliwe, bo wszyscy koledzy, którzy wysyłają wiersze do czasopism, dostają listy z odmową.

Ale moja pierwsza nagroda była niezwykła: Edward Stachura przyznał mi prywatne wyróżnienie w postaci Butelki Wody Mineralnej – za mój debiut, „Komunikat". Ogłosił to bodajże w „Miesięczniku Literackim". Spotkaliśmy się w kawiarence na Krakowskim Przedmieściu i tam wypiłem nagrodę. Do tej pory wspominam to z wielkim wzruszeniem.

Odbyłeś jakąś istotną rozmowę ze starszym poetą, którą można by potraktować jako nagrodę od losu?

To była rozmowa niesymetryczna, właściwie monolog. Mówię o spotkaniu ze Zbigniewem Herbertem w moim liceum w Gliwicach. Przyjechał na poranek autorski. Jestem przekonany, że tego dnia był już w Bytomiu i może miał jechać do Sosnowca – w ten sposób członkowie Związku Literatów Polskich dorabiali sobie w latach 60. Pretekstem do spotkania był „Barbarzyńca w ogrodzie" – to było zaraz po tym, jak książka się ukazała. Herbert czytał fragment. Nie pamiętam, o co go pytałem, ale pamiętam, w jaki sposób odpowiadał, i byłem chyba jedynym, który miał odwagę zabrać głos. Był uważny niczym idealny nauczyciel, którego w mojej szkole nie spotkałem, żaden mi się nie podobał. Na pewien sposób był też dydaktyczny, ale nie tak, by słuchaczy poniżyć. I unikał żargonu historyka sztuki.

W 1974 r. napisałeś wespół z Julianem Kornhauserem „Świat nie przedstawiony" – artystyczny manifest pokolenia '68, w którym poezja Herberta została skrytykowana za ucieczkę od opisu peerelowskich realiów.

↦

TOMASZ WIECH

↦ To Julian o Herbercie powiedział, że jest niewspółczesny. A ja napisałem polemikę do tego tekstu – czułem, że to dla Herberta krzywdzące. Tylko sam Herbert, moim zdaniem, nie był pewien, który z nas był autorem tekstu krytycznego. Potem, jak się po latach spotkaliśmy w Berlinie, okazał mi niechęć w czasie wspólnej kolacji, nie zamieniając ze mną słowa. Przypuszczam, że Herbert nie czytał „Świata nie przedstawionego" – miał ważniejsze lektury.

A w latach 80. krytykował Twoją poezję właśnie Julian Kornhauser. Zarzucał Ci, że odwracasz się od postulatów „Świata nie przedstawionego" tomem „Jechać do Lwowa", w którym widział wyłącznie pięknoduchostwo.

Bolała mnie ta krytyka, odebrałem ją jako zimny prysznic dla naszej przyjaźni. Po latach udało nam się to wyprostować w długiej rozmowie przeprowadzonej, jeśli dobrze pamiętam, na marginesie targów książki w Niemczech. Istotne jest to, że nam, poetom Nowej Fali – Staszkowi Barańczakowi, Ryszardowi Krynickiemu, Julianowi Kornhauserowi, Jerzemu Kronholdowi – udało się utrzymać przyjaźnie. Zdarzały się kryzysy – gdzie ich nie ma – ale nie zabijające przyjaźni.

Prawdziwa przyjaźń między pisarzami jest możliwa? Zastanawiałam się nad tym, czytając „Braci", jeden z esejów z „Poezji dla początkujących", traktujący o rywalizacji między Henrykiem a Tomaszem Mannami, wyrastającej na gruncie pisarskich ambicji.

Mannowie są szczególnym przypadkiem. Wyobraziłem sobie, jak oni cierpieli – z przyjacielem można się rozstać, a z bratem trudniej, on jest na całe życie; dla obu to musiało być dojmujące. Tym bardziej że młodszy Tomasz pisarsko prześcignął starszego Henryka, który szybko stracił pierworództwo.

A w Polsce jest dużo kłótliwości międzypokoleniowej. Poeci młodsi bezinteresownie nienawidzą starszych, starsi zaś nie mają w sobie na tyle chrześcijaństwa, by wyjść naprzeciw młodszym i utulić tych, którzy ich odrzucają. Nawiasem mówiąc, jesteśmy teraz dość nieszczęśliwym, podzielonym krajem i to objawia się w każdej dziedzinie życia. W sumie jednak widzę, że – w skali międzynarodowej – wśród poetów jest sporo solidarności. Istnieje poczucie wspólnoty i świadomość, że jesteśmy dysydentami nowoczesnego społeczeństwa – nie bierzemy udziału w festiwalu konsumpcji. Choć w Ameryce można uznać, że poeci biorą w nim udział – są nieźle opłacani jako nauczyciele akademiccy. Lecz z punktu widzenia ludzi naprawdę zamożnych są biedakami. Tę wspólnotowość poetów wzmacnia nieustanne marginalizowanie poezji. We Francji na przykład poważne dzienniki nie publikują recenzji tomów poezji – wiersz uchodzi za margines, za coś dla oryginałów, wariatów, hrabiów, nie dla zwykłych śmiertelników.

Ale to wszystko nie wyklucza elementu rywalizacji między poetami. Rywalizacja – którą dawni Grecy cenili i nazywali *agon* – jest potrzebna, byle nie przerodziła się w nienawiść.

W jednym z esejów w „Dwóch miastach" zaprosiłeś czytelnika do wędrówki po stołówce literatów. Ile w tych ciemnych salach stołówek literackich w czasach PRL-u było rywalizacji, frustracji oraz wzajemnej niechęci!

Ale istniało środowisko, które można było zobaczyć właśnie w stołówkach znajdujących się w domach pracy twórczej – stołówki były najważniejsze – lub na zebraniach Związku Literatów Polskich, który był fenomenem, bo jednak bronił pisarzy. PRL wśród demoludów miał swoje przywileje. Pamiętam pierwsze wizyty w stołówkach. Ta krakowska, przy Krupniczej, należała do małych i skromnych – filet z dorsza, surówka z kiszonej kapusty, niewiele osób. Ale warszawska w Domu Literatury przy Krakowskim Przedmieściu 87/89 była od niej pięć razy większa. Wspaniała, chociaż też dorsz i surówka z kiszonej kapusty. Bywali tam wszyscy – pisarze, dziennikarze, reżyserzy, aktorzy. Zapamiętałem Bohdana Tomaszewskiego, sprawozdawcę sportowego, w latach 70. gwiazdę – sympatycznego peerelowskiego celebrytę. Oprócz niego szara masa oswojonych twórców, którzy się znali, trzymali razem, nie tylko dzięki obiadom w stołówkach i pobytom w domach pracy twórczej, ale także przez wyjazdy na wczasy i niezliczone zagraniczne delegacje. Autorzy zwiedzali cały świat, nie płacąc ani grosza – a to pojechali do Brazylii, a to do Paryża, i za karę do Moskwy.

Początkowo trochę było mi żal, że nie wszedłem w świat ZLP, który ułatwiał życie. Ale szybko zrozumiałem, że w gruncie rzeczy miałem szczęście – nie wszedłem głęboko do tego raju konformizmu, za szybko stałem się „dysydentem". Dzisiaj nie ma środowiska, są biedne, rozbite związki twórcze, które nie ofiarowują nic poza wątpliwym zaszczytem przynależności... Za komuny ZLP łudził stypendiami, emeryturami. Byli ludzie, którzy nie pisząc książek, żyli właśnie ze stypendiów. Dla literatów to była kraina pieczonych gołąbków.

W Stanach Zjednoczonych stołówki dla literatów nie istnieją?

Nie, ci biedni amerykańscy pisarze nie mają stołówek. W Stanach istnieje PEN Club, w Polsce oczywiście również. Ma on zupełnie inną funkcję niż Związek Literatów i na pewno stołówek nie potrzebuje. Natomiast wykonuje ważną robotę: broni pisarzy represjonowanych. Delegacje PEN Clubu jeżdżą z interwencją do Turcji, piszą petycje w sprawie uwolnienia z więzień skazanych autorów. We wrześniu byłem we Lwowie na konferencji PEN Clubu, podziwiałem rzeczowe podejście delegatów do trudnych spraw.

To jak jeszcze konsoliduje się środowisko amerykańskich pisarzy?

Tkanką, która łączy poetów, są niezliczone programy *creative writing*. Wystarczy wydać jeden czy dwa tomy poetyckie, które dostaną dobre recenzje, i już jest się zaproszonym na drugi koniec Stanów na wieczór autorski. Po każdym takim spotkaniu odbywa się kolacja, rozmowa, i w ten sposób nawiązują się znajomości, przyjaźnie. W Stanach niemal rytuałem jest to, że gdy poeta napisze wiersz, wysyła go do paru kolegów po fachu z prośbą o opinię. Ja sam tak nie robię, ale doceniam znaczenie tego gestu. Nieżyjący C.K. Williams z Robertem Pinskym regularnie wymieniali się nowymi wierszami. Jest w tym do-

bra karma, przeważa tu duch życzliwości. A międzypokoleniowe tarcia w Stanach Zjednoczonych prawie nie istnieją, bo poeci starsi przyznają nagrody tym młodszym, są ich nauczycielami, przyjaciółmi, niekiedy opiekunami.

Z kim zaprzyjaźniłeś się w Stanach?

Z kilkoma poetami – naprzód z C.K. Williamsem, od trzech lat nieżyjącym. Dzięki niemu zrozumiałem, że Amerykanie mają lepsze niż Polacy pojęcie o przyjaźni, wbrew przekonaniu, że są w tym powierzchowni – najpierw są mili, a potem szybko zapominają. To nieprawda – o przyjaźni Amerykanie nie mówią dużo, ale są jej wierni. Jak się z kimś naprawdę zaprzyjaźnisz, to dla przyjaciela robi się wszystko. Potem poznałem Edwarda Hirscha, Roberta Hassa i innych. Także poetki, na przykład Jorie Graham, Jane Hirshfield czy Rosannę Warren. Ale przyjaźniłem się też z Susan Sontag, która nie była poetką.

Z C.K. Williamsem poznaliśmy się w styczniu 1986 r. w Nowym Jorku na konferencji PEN Clubu. Kilka miesięcy wcześniej ukazała się w Stanach moja pierwsza książka, spodobała się Charlesowi. Poszedł do mnie, przedstawił się i powiedział: „Będziemy przyjaciółmi. Wiem, że mieszkasz w Paryżu, ja też tam pomieszkuję”.

SPRÓBUJ OPIEWAĆ OKALECZONY ŚWIAT

Spróbuj opiewać okaleczony świat.
Pamiętaj o długich dniach czerwca
i o poziomkach, kroplach wina rosé.
O pokrzywach, które metodycznie zarastały
opuszczone domostwa wygnanych.
Musisz opiewać okaleczony świat.
Patrzyłeś na eleganckie jachty i okręty;
jeden z nich miał przed sobą długą podróż,
na inny czekała tylko słona nicość.
Widziałeś uchodźców, którzy szli donikąd,
słyszałeś oprawców, którzy radośnie śpiewali.
Powinieneś opiewać okaleczony świat.
Pamiętaj o chwilach, kiedy byliście razem
w białym pokoju i firanka poruszyła się.
Wróć myślą do koncertu, kiedy wybuchła
muzyka.

Jesienią zbierałeś żołędzie w parku
a liście wirowały nad bliznami ziemi.
Opiewaj okaleczony świat
i szare piórko, zgubione przez drozda,
i delikatne światło, które błądzi i znika
i powraca.

Wiersz z tomu „Anteny”
cyt. za: Adam Zagajewski, „Wiersze wybrane”,
Wydawnictwo a5, Kraków 2010

jest dla nich symbolem jedności kraju. Biel ma w sobie ogromną żywotność i doskonałe poczucie humoru. Lubię go bardzo, chociaż Katalonię chciałbym zatrzymać w Hiszpanii.

Odbierając Nagrodę Księżniczki Asturii powiedziałeś: „nie wolno zapomnieć o złu, o niesprawiedliwości, która wciąż zmienia kształt, o przemijaniu, ale także i o radości, o przeżyciach ekstatycznych”.

Słyszy się nieraz pochwałę szczęścia. Ale nikt jeszcze nie potrafił dowieść, że szczęście może być stanem permanentnym, wiecznym. Wiemy, że nawet wieczne pióra się psują. A radość przychodzi i odchodzi. Jest jakby szczęściem homeopatycznym. Może się zdarzyć, że przypadkiem usłyszymy nokturn Chopina, z definicji melancholijny, ale ta melancholia dla nas stanie się źródłem radości. Radość jest irracjonalna. Może wywołać ją piękny poranek, ale przecież nie każdy pogodny poranek wywołuje radość. Tu nie ma żadnych prawidłowości, z wyjątkiem może tego, że w człowieku musi być gotowość na nią.

Co było potem?

Uwielbialiśmy wspólne spacery po Paryżu. Charles odkrył przede mną Palais-Royal, idylliczną przestrzeń wewnątrz miasta – idylliczną dzisiaj, ale kiedyś tu rodziła się rewolucja francuska. Jadaliśmy kolacje z żonami i przyjaciółmi. Charles gotował, natychmiast wypróbowywał przepisy publikowane w „New York Timesie” – co bywało ryzykowne.

Bardzo mi go brakuje. Odwiedziłem go cztery dni przed jego śmiercią. Był w pełni świadomy i dobrze wiedział, że umiera.

Z wiekiem trudniej zawiera się przyjaźnie?

Może łatwiej się wtedy zaprzyjaźnić z cudzoziemcami – pojawia się atrakcja nowości spotkania między językami i tradycjami. I odpada problem polityczny – na szczęście za granicą nie ma tego rozdarcia, które niszczy nasz kraj. Ale mają inne rozdarcia. Od kilku lat mam na przykład grono hiszpańskich przyjaciół. Jest to Xavier Farré, poeta i tłumacz mieszkający w Krakowie, czy poeta i prozaik z Majorki, Biel Mesquida, który był na ceremonii w Asturii i nie wstał, kiedy król wszedł do teatru, gdyż jest zwolennikiem niepodległości Katalonii. Podobno ludzie sykali wtedy na niego gniewnie. Asturia kocha króla,

Co z tą radością, kiedy świat wokół jest tak intensywnie „okaleczony”?

W zeszłym tygodniu nasza kotka zabiła sikorkę i przyniosła ją do domu. Miałem wtedy moment przerażenia – sikorka jest tak ślicznym ptakiem. Ścisnęło mi się serce, choć wiem, że nic w tym nienaturalnego, tak musi być. To miniaturowy przykład. Są inne, dużo, dużo większe – wszyscy przecież śledzimy wiadomości ze świata. Wiemy, że w Jemenie giną dzieci... Somalia głoduje. W Korei Północnej kilkaset tysięcy ludzi przebywa w obozach koncentracyjnych. Raymond Aron opowiadał, że w Ogrodzie Luksemburskim – jeszcze w latach 30. – spotkał zapłakaną Simone Weil. Na jego pytanie, co się stało, odpowiedziała: „Jak to, nie wiesz?! W Szanghaju policja otworzyła ogień do robotników!”.

Nie namawiam, by płakać jak Simone Weil – musielibyśmy chyba płakać non stop. Ale niedobrze się dzieje, jeśli zapomni się o tym, że w świecie jest zarówno zło, jak i piękno. Jeśli wyłącznie będziemy skupiać się na złu, to pozbawimy się czegoś bardzo cennego. Nie można też odwrócić się od zła i przyglądać się wyłącznie pięknu. Musimy żyć w obliczu tych dwóch rzeczy. Czy to możliwe? Jak mówiła Simone Weil – życie ludzkie jest niemożliwe.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Dlaczego istnieje wodospad w Moskog?

MICHAŁ HELLER

Dziś znamy potężniejsze zjawiska niż cząsteczki wody spadające pod wpływem grawitacji. Ale i tak ogarnia nas tu poczucie własnej małości i jakiejś naturalnej transcendencji.

Norwegia przywitała mnie obrazami. Pierwszy był niebieski. Gdy otworzyły się białe, kłębiaste chmury, wszystko stało się błękitne, z domieszką na wpół przezroczystej mgły. To dominował kolor morza, które wprawdzie widoczne tylko na brzegu horyzontu, wrzynając się w ląd setkami zatok i fiordów, narzucało całej reszcie swój stalowoniebieski odcień. Dopiero gdy samolot zniżył się nad Oslo, morze znikło i szarość mgły wygrała pojedynek z błękitem.

Drugi obraz, oglądany już z perspektywy samochodu pokonującego kolejne zakręty drogi nad fiordem, był brudnozielony. Zielony, bo tło obrazu stanowiły strome zbocza gór, pokryte lasem. Ale zieleń, widziana przez kłęby ciemnych chmur i siąpiący deszcz, wydawała się brudna – nie odrażającym brudem śmietnika, lecz rodzajem brudu, o jaki walczy artysta, z trudem dobierając farby.

Wszechświat i wodospady

Najpierw słychać szum. Coraz silniejszy. Potem huk. Jak startującego odrzutowca. Nie tak wybuchowy i ogłuszający, ale jednak potężny i groźny. Gdy nagle zza drzew wyłania się on sam, stajemy porażeni jego majestatem. Potężny władca z dziecinnych bajek. Jeszcze nie wiadomo, czy dobry, czy zły. Jego biała, splątana broda przykrywa go całego przed naszym niegodnym wzrokiem. Bajka nieoczekiwanie stała się rzeczywistością, przybrała postać wodospadu w Moskog.

Podobnych są tu setki. W przewodnikach piszą o „krainie wodospadów". Sam wczoraj widziałem z dziesięć: wielkie i mniejsze, potężne, gdy się je ogląda z bliska, i cienkie wstążeczki przyczepione do pionowych zboczy, jeżeli się je widzi z daleka. Symbioza wody i gór. Dwa pierwotne żywioły zmuszone prawami przyrody do utrzymywania względnej równowagi.

Gdy stoi się przed takim olbrzymem (wodospad w Moskog ma 87 m wysokości, ale np. wodospad Feigumfossen w Luster – 218 m), zrozumiałym się staje, dlaczego nasi przodkowie oddawali cześć siłom natury. Nas też ogarnia poczucie własnej małości i jakiejś naturalnej transcendencji. Dziś wiemy, że to tylko cząsteczki wody spadające pod wpływem grawitacji. Oczywiście, grzechem byłoby tego nie wykorzystać: ponad 98 proc. energii elektrycznej produkowanej w Norwegii dostarcza spadająca woda. Transcendencja na usługach człowieka.

Obecnie znamy znacznie potężniejsze zjawiska: byle gwiazda z jej nuklearnymi reakcjami, które są w stanie żywić układy planetarne i całą resztę wypromieniowywać w przestrzeń kosmiczną; czarne dziury w centrach galaktyk, połykające wszystko, co dostanie się w obręb ich nieodwracalnego oddziaływania; Wielki Wybuch, który wypluł z siebie czas, przestrzeń i cały nasz Wszechświat.

Dziś dla nas transcendencja to coś znacznie więcej niż emocje wyzwolone widokiem wodospadu. Ale problem transcendencji nie jest tylko kwestią skali wielkości: czy to będzie Niagara, czarna dziura, Wielki Wybuch, czy może nieskończenie wiele wszechświatów. Transcendencja ma postać pytania: dlaczego to wszystko istnieje raczej niż nic? Wodospad w Moskog, po swojemu, na swój trochę naiwny sposób, pytanie to formułuje i rozbłyskami piany, w których nieśmiało prześwituje tęcza, przekonuje, że to coś, co „istnieje raczej niż nic", jest bardzo subtelną strukturą.

Kto podtrzymuje Atlasa?

Tym razem wybrałem się w podróż z książką „The Mystery of Existence. Why Is There Anything At All?" (Willey–Blackwell, 2013), zredagowaną przez dwóch fascynatów. Jeden z nich, John Leslie, jest autorem innej znanej książki „Universes" (Routledge, 1989), w której przekonywał, że myślowo oszczędniej jest przyjąć jednego wszechmocnego Boga niż zakładać, że istnieje nieskończenie wiele wszechświatów. Natomiast drugi z redaktorów, Robert Kuhn, w obszernym artykule zatytułowanym „Dlaczego ten wszechświat?" („Skeptic" 2007, nr 13), sporządził taksonomię możliwych odpowiedzi na tytułowe pytanie. Niewykluczone, że właśnie ten artykuł podsunął obu autorom myśl, aby podjęte w nim pytanie rozdąć do rozmiarów książki. Jest ona zredagowana, a nie po prostu napisana, bo oprócz własnych tekstów Lesliego i Kuhna zawiera obszerną antologię (z komentarzami) z dzieł różnych autorów, dotyczącą tego problemu.

A więc tytułowe pytanie: „dlaczego w ogóle coś istnieje?" (nieco inaczej sformułowane pytanie Leibniza: „dlaczego istnieje raczej coś niż nic?"). „Jest przypuszczalnie mała szansa, że znajdziemy odpowiedź na to pytanie, ale już samo dociekanie odpowiedzi może okazać się czymś wartościowym" – piszą. W jakim sensie? Bo „mogłoby się ujawnić coś bardzo smutnego o ludzkim rodzaju, gdyby pytanie to nie obchodziło żadnego z jego członków". Na szczęście tak nie jest. Od Platona począwszy, wielu filozofom i uczonym nie dawało ono spokoju.

A jeżeli istnieje tylko jeden, logicznie możliwy zestaw praw fizyki? Czy to nie wyjaśnia, że istnieje Wszechświat, i to taki, jaki właśnie istnieje? Już Platon przewidział ten zarzut, gdy pisząc w „Fedonie" o poszukiwaczach przyrodniczych wyjaśnień, jakby mimochodem rzucił uwagę, że chociażby odnaleźli Atlasa, który na swych barkach podtrzymuje porządek świata, nie dotkną nawet pytania, co podtrzymuje Atlasa. ↦

185053 / PIXABAY

Wodospad Geirangerfjord, Norwegia

Coś, co istnieje

↦ Dlaczego istnieje raczej coś...? „Coś" to bardzo szerokie, choć nieokreślone pojęcie. COŚ jest przeciwieństwem NIC. Pomiędzy nimi istnieje nieskończona (?) przepaść. Choćby COŚ było ulotnym cieniem bytu, jest czymś nieskończenie (?) więcej niż NIC. Ale COŚ, co istnieje, nie jest ulotnym cieniem bytu, lecz Wszechświatem. Dlaczego więc istnieje wszechświat raczej niż NIC? To pytanie przyprawia o metafizyczny dreszcz. Ale COŚ może mieć jeszcze inny wymiar. Na przykład, czy 2+2=4 jest CZYMŚ? Czy mogłoby być tak, żeby nie było nawet tego, że „dwa plus dwa jest cztery"? Ale przecież 2+2=4 istnieje raczej, niż nie istnieje. „Podobnie jak nieskończenie wiele innych matematycznych prawidłowości, fakt, że dwa plus dwa jest cztery, z pewnością można nazwać czymś realnym, ale czy przez to samo musi on istnieć?". Czy gdyby nie istniały żadne rzeczy, 2+2=4 byłoby czymś nierzeczywistym, dopóki nie zaistniałyby dwie rzeczy, a potem inne dwie, by dodane do siebie mogły dać cztery rzeczy? „Przypuszczalnie odpowiedzią musi być »nie«".

Pójdźmy jeszcze dalej – co z podstawowymi zasadami logiki? Wyobraźmy sobie, że nie istnieje nic, nawet zasada niesprzeczności. Więc mogłoby coś równocześnie być i nie być. Ale czy to nie jest absurd? Zatem, jeżeli nie istniałoby nic – naprawdę nic, nawet zasady logiki – byłoby to absurdem. „Wydaje się wystarczająco jasnym, że nasz kosmos nie mógłby istnieć, jeżeli uprzednio nie byłoby czymś realnym, że absurd jest wykluczony". Oczywiście „uprzednio" nie w sensie czasowym, lecz w sensie logicznym, jako swego rodzaju przed-założenie.

Etyka i ontologia

Co zatem zrobić z pytaniem: „dlaczego istnieje raczej coś niż nic"? Można starać się je unieszkodliwić: przekonywać, że istnienie świata jest „brutalnym faktem", z którym trzeba się po prostu zgodzić, albo twierdzić, że jest to pytanie bez sensu. Są to jednak bardziej psychologiczne działania uspokajające niż próby zmierzenia się z dojmującym zagadnieniem metafizycznym. Wśród, nielicznych zresztą, prób udzielenia na nie odpowiedzi jedna jest zaskakująca swoją wagą, ale i – po chwili refleksji – głębią mistycznego wglądu. To odpowiedź, jakiej udzielił Platon: przyczyną istnienia świata jest DOBRO. Redaktorzy książki nazywają to wyjaśnienie etycznym: „Wartość jest ostateczną racją istnienia wszystkiego". Jeden z redaktorów (John Leslie) okazuje się gorliwym rzecznikiem tej odpowiedzi.

Jeżeli jednak spojrzymy na zagadnienie z nieco innej strony, zaskoczenie trochę się łagodzi. Bo to może nie etyka pociąga za sobą ontologię (istnienie), lecz raczej Dobro jest czymś ontologicznym. To znaczy: Dobro ani nie zależy od czyjejś intencji, ani od tego, czy ktoś je czyni lub nie, ale jest czymś rzeczywistym i obiektywnym. Takie stanowisko ma długą tradycję w historii filozofii. Czy to jednak nie są tylko dwa różne spojrzenia na to samo? Już Tomasz z Akwinu mówił, że „dobro i byt są zamienne" (*convertuntur*). Jeżeli tak, to odpowiedź na pytanie Leibniza przez odwołanie się do Dobra należy rozumieć w sensie sprzężenia: Dobro jest źródłem Istnienia, a Istnienie sprawia, że Dobro jest. W nowoczesnej logice nazywałoby się to być może samoodniesieniem.

A zatem nie jest tak, że istnieje jakiś Bóg czy Demiurg, Wielki Gracz, który układa przed sobą wszystkie możliwości, klasyfikuje je i wybiera do realizacji najlepszą. Samo Dobro jest – jeżeli można tak powiedzieć – najlepszą z możliwości i dlatego istnieje i jest źródłem wszystkiego, co jest.

GRAŻYNA MAKARA

KS. MICHAŁ HELLER jest kosmologiem i filozofem oraz popularyzatorem nauki, autorem około tysiąca publikacji, w tym kilkudziesięciu książek. Uhonorowany wieloma nagrodami i wyróżnieniami, m.in. Orderem Orła Białego (2014) i Nagrodą Templetona (2008). Założyciel i dyrektor Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych, dyrektor Copernicus Festival.
Podczas festiwalu wygłosi wykład „Ewolucja i przypadek".

Mała cząstka wieczności

Gdzie szukać obszaru rzeczywistości, w której wolność współżyje z koniecznością, a który byłby nieco bardziej przejrzysty dla naszego umysłu? Myślę, że takim obszarem jest sztuka. W dziele sztuki – w prawdziwym arcydziele – zarówno cały zamysł, jak i każde pociągnięcie ręki mistrza jest wyrazem jego wolności. Bez jego wolnej decyzji, wyrażającej się w każdym szczególe, mogłaby powstać tylko reprodukcja, ale nigdy dzieło sztuki. Równocześnie jednak ręka mistrza jest powodowana subtelną koniecznością. Pietà Michała Anioła była już zawarta w marmurze, on musiał tylko odrzucić zewnętrzne warstwy, które ją zakrywały.

Piękno fiordu jest urzekające. Nie ogląda się go jak obrazu van Gogha, kontemplując z zewnątrz – jest się weń wkomponowanym. Zbliżające się lub oddalające od siebie, w miarę ruchu statku, pionowe ściany wyrastają wprost z pielęgnowanych od dawna wyobrażeń. Mimo że teraz się zmaterializowały, są równie nierealne jak wyobrażenia. W miejscach, w których realizm zwycięża i gęsta roślinność, która nie powinna tu rosnąć, a jednak rośnie, przerzedza się, ściany ukazują swoją geologiczną tkankę – miliony lat zastygłe w minionym czasie. Skały i woda zwierają się ze sobą w miłosnym uścisku. Skały mocno obejmują wodę; woda ulega, odbijając skały w falującej tafli. Nie ma w tym jednak taniego erotyzmu, lecz artyzm najwyższego gatunku: symfonia barw i kształtów, harmonijna

całość przy całkowitym braku symetrii. W tym dziele sztuki jest surowa konieczność, gdyż jest on tworem praw przyrody, ale każdy jego konkretny szczegół mógłby być inny (także zupełnie zgodnie z prawami przyrody), gdyby tworzył się w innych warunkach. Wybór najlepszej możliwości może się łączyć z wolnością, jeżeli stosuje strategię piękna, jeżeli jest dziełem sztuki. Czy i tym razem miał rację Platon, autor „Uczty", dialogu o miłości, gdy twierdził, że Dobro i Piękno to dwa oblicza Jednego?

Jeżeli Wszechświat jest dziełem dynamicznej natury Dobra, to skąd zło? John Leslie odwołuje się do znanego argumentu Leibniza: możliwe dobra nie mogą urzeczywistniać się wszystkie równocześnie, gdyż bywa tak, że jedno wyklucza drugie. Konkurują ze sobą nie poszczególne dobra, wzięte każde indywidualnie, lecz wszystkie ich możliwe do urzeczywistnienia kombinacje.

Jeżeli etyka i ontologia to to samo, a bez wolności – jak wiemy z własnego doświadczenia – nie ma etyki, to wolność musi być jakoś wkomponowana w ontologię rzeczywistości. Jeżeli Dobro i Istnienie są ontologicznie sprzężone, to w tym sprzężeniu musi być miejsce na wolność. Najlepsza spośród wszystkich możliwości – z wolnością wpisaną przynajmniej w niektóre z nich – nie jest rozwiązaniem zadania z kombinatoryki; jest strategią Nieskończoności. A w konfrontacji z nieskończonością zawodzą nasze ludzkie kalkulacje.

To jest perspektywa filozoficzna. Jeżeli poszerzyć ją o perspektywę teologiczną, to dziedzina możliwości, z których musi urzeczywistnić się najlepsza, urasta do niewyobrażalnych rozmiarów. Bo przecież trzeba uwzględnić także i te możliwości, które mogą się zrealizować po tamtej stronie naszego życia. Jak trafnie zauważył Leibniz – „znamy tylko małą cząstkę wieczności".

■■■

Silniki statku zmniejszają obroty. Oglądam się za siebie. Ściany fiordu się oddalają. Słychać pokrzykiwanie mew. Statek przybija do molo. Wypluwa ze swego wnętrza ludzi i samochody. Znajdujemy się na drugim brzegu.

© MICHAŁ HELLER

Hazardziści

KRYSTYNA CZERNI

Nie da się stłumić wyobraźni i wrażliwości, zapomnieć tradycji i reguł. To artysta, nie ślepy los, podejmuje konkretne decyzje. Jeśli zaprasza przypadek do współpracy – to tylko na ustalonych przez siebie warunkach.

Przypadek to pseudonim Boga, gdy nie chce się On podpisać
ANATOL FRANCE

W filmie „Big Lebowski" braci Coen (1998) ekscentryczna malarka-feministka demonstruje „sztukę waginalną": naga, zawieszona pod sufitem w uprzęży, zjeżdża z impetem na ogromne płótno, chlapiąc zamaszyście farbą. To jedna z zabawniejszych scen filmowych recenzujących paradoksy sztuki współczesnej – w tym rolę, jaką chce w niej odgrywać przypadek.

Dyskusja wokół przypadku, którą od wieków wiodą artyści i uczeni, stała się *cause célèbre* – przykładem nierozstrzygalnego sporu. Co rządzi światem – ślepy traf czy zamysł Boga? Przypadek czy konieczność? Wolna wola czy fatum? Ewolucja kosmosu jest przewidywalna czy jesteśmy ofiarami astronomicznej ruletki? Naturalną potrzebą człowieka jest szukanie sensu i ładu. Przypadek kojarzy się z nieporządkiem, chaosem i dysharmonią. Nawet słowo „przypadkowy" ma odcień pejoratywny, znaczy tyle co: niezamierzony, omyłkowy.

Także w sztuce szukano piękna w harmonii i systemie reguł, nie w elementach przypadkowych. Od starożytnej Grecji kanon dawał poczucie bezpieczeństwa, wiedza i dyscyplina stwarzały szansę na powstanie arcydzieła. A jednak to, co wymyka się kontroli, wciąż stanowiło pokusę. Już Leonardo da Vinci zachęcał, by obserwować plamy na murach, chmury i błoto – „albowiem rzeczy pogmatwane pobudzają umysł do nowych inwencji". Współczesność przyniosła zwątpienie w racjonalność świata – surrealiści odkryli potencjał twórczy tkwiący w zdarzeniach losowych, zbiegach okoliczności. Nowe techniki: kolażu, frotażu i dekalkomanii miały – jak kleksy testu Rorschacha – odsłonić ukryte traumy i tęsknoty. Jackson Pollock też wierzył, że „źródłem sztuki jest podświadomość". Jego rewolucyjna technika drippingu: swobodnego kapania i rozlewania farby, tworzyła nie tyle dzieło, ile pole działania – *action painting*.

RAMAMAGANGA We Francji odpowiednikiem *action painting* stał się *informel* – bezformie, inaczej: taszyzm, co w Polsce tłumaczono złośliwie jako „plamizm". Ambasadorem nowego prądu został Tadeusz Kantor, jego artykuł pod buńczucznym tytułem „Abstrakcja umarła – niech żyje abstrakcja" był gloryfikacją przypadku, nazwanego prowokacyjnie „bękartem rzeczywistości". „U progu tego świata kapitulował intelekt i doraźne doświadczenie – pisał Kantor – sztuka zmierzyła się tym razem z podświadomością, instynktem, absurdem i nonsensem, pokazywała ich naturę i mechanizm. (...) Dopiero interwencja przypadku stała się decydująca (...) Wprowadzenie tego elementu do sztuki musiało się stać ciężkim kamieniem obrazy dla wszystkich rygorów i kanonów".

W nowych obrazach Kantor z zapałem wykorzystywał nieobliczalne techniki: rozlewanie farb na płótnie, uderzanie sznurkiem lub batem, wyciskanie pigmentu z tuby. Malowanie zmieniało się w żywiołowy spektakl, gdzie od efektu ważniejszy był proces twórczy, zapis gestu. Niektóre z płócien „rozwiewanych gwałtownym wiatrem Przypadku" ↦

↦ pokazał na wystawie w sieni Krzysztoforów, będącej szokiem dla mieszczańskiej publiczności. „Po wypiciu pół litra widzę to samo" – dziennikarz zanotował opinię widza. Ale Kantor nie tracił pewności siebie. „Co to jest?" – spytał go jakiś dżentelmen. „Ramamaganga, proszę pana" – odpowiedział niewzruszony.

Próbowano rozmaicie tłumaczyć „informelowe" obrazy Kantora. Także ich absurdalne, dźwiękonaśladowcze tytuły, brzmiące jak wersy dadaistycznego poematu: „Tadana", „Ramamaganga", „Hopai-siupai", „D'osyta-d'osyta". Krytyka widziała w tych płótnach zawiązek teatralnej akcji: jakieś kulisy, scenę; metaforę wolności, a nawet „zrywanie totalitarnych więzów". Inni zwracali uwagę na pejzażowość: zaszyfrowane w sieci plam i linii malarskie półwyspy, wąwozy, zatoki. Tytuły „Pacyfik", „Akonkagua", „Amarapura" – odsyłały do „bliżej nieokreślonej egzotyki, mistycznych Indii czy szczęśliwych wysp Oceanii". Sam Kantor pokpiwał, że Polak jest skłonny w obrazach abstrakcyjnych dostrzec „jeśli nie katastrofę astronomiczną, to przynajmniej eksplozję w taksówce", co nie przeszkadzało mu mówić o tych obrazach z nieukrywanym patosem: „To było moje »WNĘTRZE«, gdzie kłębią się namiętności, żądze, wszystkie pasje, rozpacz i rozkosz, żale przeszłości i jej tęsknoty, i pamięć wszystkiego, i myśl trzepocząca się jak ptak w czasie burzy. To miejsce było równocześnie: wulkanem, polem walki i celą żarliwych rozmyślań".

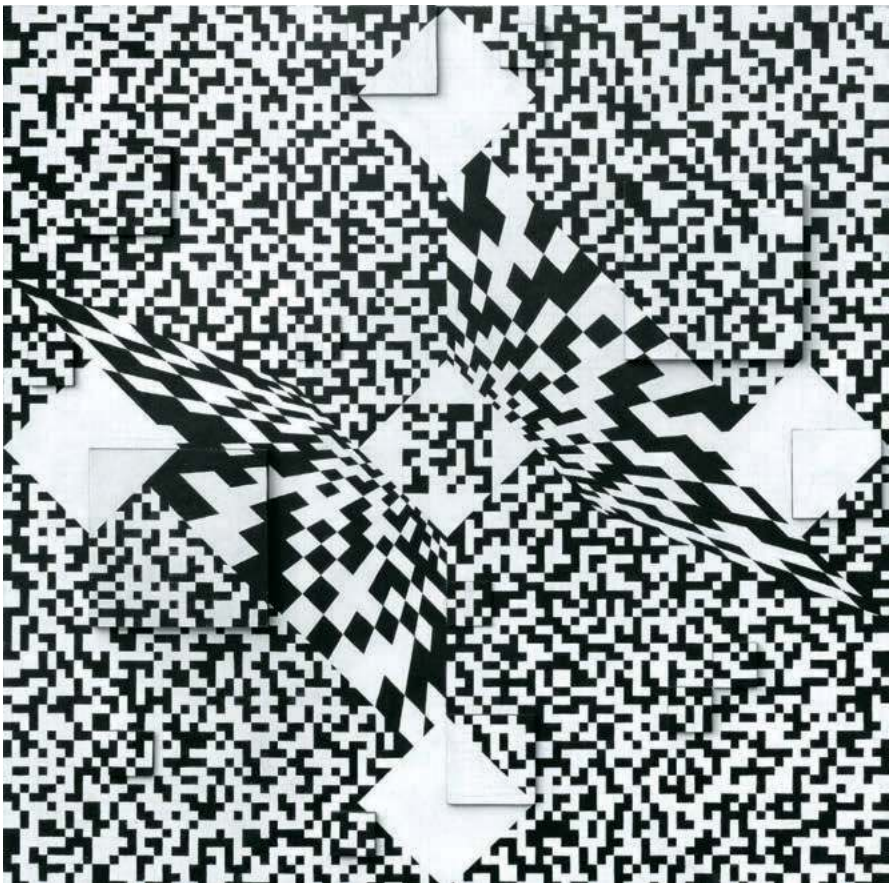

SPECTRA

Ryszard Winiarski, Penetracja przestrzeni industrialnej z prawdopodobieństwem wystąpienia chaosu zależnego od ruchu widza, 1970 r. Kolekcja Anny i Jerzego Staraków, starakfoundation.org

REWOLUCJA INFORMELU Przykład Kantora podziałał zaraźliwie – II Wystawa Sztuki Nowoczesnej w Zachęcie (1957) została zdominowana przez *informel* i malarstwo gestu. Nowy styl, stawiający na spontaniczność i ingerencję przypadku, budził opór zwolenników bardziej zdyscyplinowanej formy. Julian Przyboś zarzucił taszyzmowi „naturalistyczną bezforemność, filisterskie pretensje, niechlujstwo i bylejakość". „Secesja i ekspresjonizm wyziera z wielu tych abstrakcji – podrwiwał w artykule „Sztuka abstrakcyjna – jak z niej wyjść?". – Pewne erupcje plamiarskie pokazane na Wystawie kojarzą mi się natrętnie z »Szałem« Podkowińskiego".

Popularność taszyzmu w PRL-u czasu odwilży miała wyraźny kontekst polityczny. Wybór strategii przypadku jawił się jako gest anarchii, lecz także wybór moralny. Doświadczeniom polskich malarzy z informelem towarzyszyła nowa mitologia artysty buntownika: skonfliktowanego ze światem, płacącego za nadwrażliwość kosmiczną samotnością. W drugiej połowie lat 50. abstrakcję przeżywano jako potwierdzenie suwerenności twórcy, czas absolutnej, nieskrępowanej żadnym kanonem wolności. Po latach socrealizmu silny akcent autonomii obrazu był reakcją samoobronną sztuki, już samo uprawianie abstrakcji stawało się synonimem oporu wobec władzy. Manifestacyjnie apolityczna sztuka przez sam fakt zaistnienia stawała się „polityczna". W katalogu wystawy polskich abstrakcjonistów w prestiżowym MOMA (1961) Daniel Bell stwierdzał bez ogródek: „Dla mas zaporą przed reżimem był katolicyzm, dla intelektualisty sztuka abstrakcyjna". Peerelowskie władze nie były skłonne długo tolerować zjawiska tak bardzo wymykającego się kontroli, deklarowana hucznie „wolność twórcza" rychło okazała się reglamentowana. Kolejną, III Wystawę Sztuki Nowoczesnej (1959) zamknięto po trzech dniach, argumentując decyzję „zużyciem się twórczości abstrakcyjnej". Podsumowaniem odwrotu władz stały się słynne wytyczne KC PZPR dopuszczające 15 proc. abstrakcji na wystawach sztuki współczesnej.

Rewolucja informelu polegała na odrzuceniu w malarstwie kontroli i wyrachowania na rzecz spontanicznej ekspresji. Jednak sztywny podział na sztukę ściśle rozumową i czysto emocjonalną był sztuczny, skazywał dzieła na porażkę. Wiedział to już Wassily Kandinsky, pi-

SUSAN WOOD / GETTY IMAGES

Podłoga – niczym jego obrazy – w studio malarskim Jacksona Pollocka, East Hampton, kwiecień 1991 r.

sząc w 1926 roku: „Harmonijne połączenie intuicji i kalkulacji to oddzielny problem – ani rozum, ani intuicja same nie sprostają przyszłości. W ogóle równowaga między głową (moment świadomości) i sercem (moment podświadomości, intuicja) jest prawem wszelkiej twórczości, prawie tak starym jak ludzkość".

Samego Kantora szybko znużyła konwencja informelu, nadal jednak piętnował dyscyplinę geometrii jako „sztukę scholastyczną, zamkniętą w rygorach konstrukcji, obliczoną i usztywnioną". A jednak przypadek okazał się silniejszy – znalazł dla siebie miejsce nawet w pozornie oschłym, bezosobowym języku geometrii.

Twórczość Ryszarda Winiarskiego wyrosła w klimacie „mitu cywilizacyjnego" lat 60.: zbliżenia między techniką i sztuką. Chcąc przenieść na teren malarstwa zagadnienia statystyki i teorii gier, artysta zapełniał płótna w ustalonym przez siebie porządku czarnymi i białymi kwadratami o boku 1 cm. O ich rozkładzie decydowała „zmienna losowa": rzut monetą lub kostką do gry, tablice liczb przypadkowych, reguła matematyczna lub ciągi tekstowe. Dzieła, które malarz nazwał „Próbą wizualnej prezentacji rozkładów statystycznych", wyglądały jak gigantyczne szachownice, diagramy z podręcznika kombinatoryki czy ilustracja Hellerowskiej „Wielkiej Matrycy" – matematycznej struktury świata.

Krytyka nazwała sztukę Winiarskiego „malowanym dyskursem filozoficznym", „rozprawą o metodzie", obrazem „mechaniki losu". Próbowano ją opisać przy pomocy „kodów", „ikonemów" – jednak to malarstwo wciąż wymykało się sztywnej matematyzacji. Kompozycje Winiarskiego można uznać za „produkt uboczny", komentarz do rozważań o prawach logiki liczbowej. Można – gdyby nie ich nieodparta uroda, hipnotyczna moc przyciągania wzroku. Ta zdyscyplinowana, pozornie wyzbyta emocji sztuka nie zrezygnowała z estetyki. Pedantycznie wykreślona mozaika czarno-białych elementów; mgławica kwadratowych drobin, z której wyłania się nieoczekiwany, fantomowy kształt... Obrazy Winiarskiego poddane są zaskakującej modulacji, rządzą się własnym rytmem; ich ornamentalna struktura narasta krystalicznie, próbując uporządkować wizualny chaos świata. Unikalny, realizowany z konsekwencją program, przenosił matematyczne mechanizmy na grunt sztuki, pokazując, że przypadek – poddany kontroli i określonym rygorom – potrafi być fotogeniczny, zachowuje wymiar indywidualnej ekspresji. Precyzyjną siatkę modułów wykreśla nie maszyna, lecz żywy człowiek – stąd ślad ukrytych emocji, osobisty charakter pisma, niepowtarzalna, ludzka niedoskonałość.

Z czasem Winiarski wzbogacił środki artystyczne. Zwiększył stopień komplikacji, sięgnął po nowe metody kodowania – np. wprowadzając w roli zmiennej losowej tekst „Pana Tadeusza". Zaczął stosować krzywizny, strukturę reliefu, nawet kolor. W przestrzennych aranżacjach dopuścił udział widzów według ustalonych reguł gry. Zastępując białe kwadraty kawałkami luster, wprowadził w obręb dzieła nowe oblicze przypadku: przelotny, fragmentaryczny portret widzów. „Przypadek stwarza nieograniczone możliwości – zapewniał artysta. – Jak się człowiek zda na to, co mu przynosi seria przypadków (...) otrzymuje mechanizm, który mu daje szansę nieskończonej ilości doświadczeń. Nawet przy małej ilości elementów użytych poddanych przypadkowi można uzyskać wielką ilość różnorodnych zdarzeń".

W „grę z przypadkiem" próbowali grać także artyści konceptualni. Jarosław Kozłowski komponował „książki artystyczne" ze słów powstałych w wyniku rzutów kości, tworząc nowy, nieskodyfikowany język. Wojciech Brudzewski układał sonety z sylab wybieranych losowo przy wsparciu komputera. Strategię przypadku wykorzystują nowe media – „instalacje generatywne" reagują na niezależne czynniki: ruch widzów, zmianę ↦

GALERIA STARMACH

Tadeusz Kantor, Informel, 1961. Kolekcja Galerii Starmach w Krakowie

↦ temperatury czy natężenia dźwięku. Bodźców nie sposób przewidzieć – stąd różnorodność wizualnych efektów.

SPACER PIJAKA Wpływ kategorii przypadku na sztuki piękne wciąż czeka na opracowanie. Istnieją analizy dotyczące literatury i filmu (Stanisław Lem „Filozofia przypadku", 1968; Rafał Koschany „Przypadek. Kategoria egzystencjalna w literaturze i filmie", 2006), o roli przypadku w muzyce przekonywająco pisał Witold Lutosławski, zwolennik „aleatoryzmu kontrolowanego". Polemizując z postawą ikony aleatoryzmu Johna Cage'a, Lutosławski odrzucał terror przypadku, nie godził się na pełne oddanie mu władzy. W jego utworach przypadek dotyczy tylko struktury rytmicznej i pewnej swobody interpretacyjnej, możliwości naturalnej gry wykonawców, tak by ich „nie pozbawiać wszelkiej przyjemności związanej zwykle z wykonywaniem muzyki zespołowej". Główną zdobyczą aleatoryzmu okazuje się przywrócenie radości grania. Pisząc „O roli przypadku w technice komponowania" (1967) muzyk cytuje esej Luigiego Nono: „Traktowanie przypadku jako źródła poznania może być metodą tylko dla tych, którzy boją się podejmowania własnych decyzji i związanej z tym wolności. (...) Zastępowanie artystycznego determinizmu przez przypadek (...) jest formą odurzenia niepozwalającą tym, którzy w nią wierzą, dostrzegać taktów, które przesłaniają im widok nieba".

Pełna abdykacja artysty na rzecz przypadku grozi powstaniem dzieła bez wartości. Nie bez powodu matematycy określają błądzenie losowe cząsteczek w przestrzeni „spacerem pijaka" (*The Drunkard's Walk*). Stanisław Lem, doceniając rolę przypadku w świecie, w sferze kultury dostrzegł w nim jednak zagrożenie, powód dezorientacji. „Dynamika kultury – pisał w „Filozofii przypadku" – to tyle, co wybiórcze realizowanie wartości. Rzecz w tym, jak dochodzi do owego wybierania. Ten dobór nie może być losowy. Jeśli losowe są wzrosty, jeśli losowość zawiaduje wschodzeniem i zmierzchem chwilowo tylko wyznawanych wartości, kultura obraca się w drgającą miazgę, wyzbytą zdolności kształtowania i scalania ludzkich postaw".

Nie istnieje algorytm na stworzenie arcydzieła, ale strategia bezwzględnego przypadku też jest mitem. Mitem obiecującym: przypadek wyzwala energię, bywa motorem zmian, wytycza nowe obszary wyobraźni. Otwarcie na eksperyment, nieprzewidywalność jest solą sztuki i – właściwie – każdego ludzkiego działania. „Przypadek – pisał Mieczysław Porębski o malarstwie *informel* Kantora – jest interwencją r e a l n e g o w świecie fikcji. Ostrym ziarnkiem piasku w muszli perłopława. Przypadek wytrąca wyobraźnię ze stanu inercji i samozadowolenia, porusza zastałe jej złoża, zmusza ją do działania".

FAŁSZYWA ALTERNATYWA Właśnie *casus* Kantora pokazuje wyraźnie, że wybitny artysta nie jest w stanie – i nie powinien – wyrzec się kontroli nad swoim dziełem. Wystarczy spojrzeć, jak w głośnym filmie „Uwaga malarstwo" (1957) malarz zerka czujnym okiem na płótno, jak z napięciem śledzi ruch rozlewanej „spontanicznie" farby, zdecydowanym gestem nanosi niezbędne korekty. Nie da się stłumić wyobraźni i wrażliwości, zapomnieć tradycji i reguł. To artysta, nie ślepy los, podejmuje konkretne decyzje. Jeśli zaprasza przypadek do współpracy – to tylko na ustalonych przez siebie warunkach. Na szczęście pomiędzy rygorem porządku a swawolą improwizacji otwiera się przestrzeń przygody i ryzyka. Sprawczość pozostaje w rękach (i głowie) artysty, to on mówi ostatnie słowo.

Dramatyczna alternatywa: losowość czy predestynacja – okazuje się fałszywa nie tylko na terenie sztuki. Naukowcy nie ustają w zgłębianiu reguł rządzących zdarzeniami losowymi. Współczesnej fizyce – z jej teorią chaosu, metodą nieoznaczoności, koncepcją fraktali – udaje się poskromić przypadek, uznać go za „subtelną strategię" losu. Dziś nauka dowodzi, że chaos to w istocie porządek udający bałagan, zaś ingerencja przypadku to niezbędny mechanizm – umożliwia ewolucję, rozwój, w ogóle istnienie.

Zgoda na przypadek wiąże się z ryzykiem. Nie bez powodu w języku francuskim słowo to brzmi *hasard*; chęć zysku w grze była zresztą istotnym impulsem do badań nad przypadkiem. Nie ma prawdziwej sztuki bez ryzyka, twórczy gest zawsze będzie podróżą w nieznane. Maria Jaremianka – będąca autorytetem nawet dla Kantora – lubiła technikę monotypii, gdzie rysuje się po przeciwnej stronie arkusza, a efekt do końca jest niepewny, nieoczekiwany. „No tak – tłumaczyła – nie wiem, co z tego wyniknie: niespodzianka. To przecież jedyne, co cieszy człowieka w sztuce. Nie wiem, co wyjdzie, nie widzę, co się dzieje wtedy z obrazem. Nie malowałoby się, gdyby się widziało gotowy obraz". © KRYSTYNA CZERNI

Autorka jest krytykiem i historykiem sztuki. Opublikowała książki poświęcone m.in. twórczości Jerzego Nowosielskiego i Tadeusza Kantora.

COPERNICUS FESTIVAL 2018 / PRZYPADEK

Wydarzenia festiwalowe są darmowe i (oprócz zaznaczonych wyjątków) otwarte.

22 maja, wtorek

18.00–19.00
Cricoteka (Nadwiślańska 2-4)
Wernisaż: „Interwencja »informel«"
Natalia Zarzecka, Jacek Ślusarczyk

19.00–20.30
Cricoteka (Nadwiślańska 2-4)
Koncert: „The Art of Touch and a Celebration of Contingency" („Sztuka dotyku i świętowanie przygodności") John Tilbury
Wstęp z zaproszeniem lub wejściówką
[szczegóły w ramce]

22.00
Kino Mikro (Lea 5)
Film: „Przypadek" (reż. K. Kieślowski)
Z wprowadzeniem Anity Piotrowskiej

23 maja, środa

10.00–11.30
De Revolutionibus (Bracka 14)
Śniadanie Mistrzów:
Czesław Porębski
Prowadzenie: Michał Zabdyr-Jamróz

11.00–12.00
(dla zgłoszonych szkół podstawowych)
Nauka Czytania: Juliusz Verne
„W osiemdziesiąt dni dookoła świata"
Prowadzenie: Marek Jakubiec

11.00–12.30
(dla zgłoszonych liceów)
Lekcja Czytania: Claus Kiefer
„Kwantowy kosmos. Od wczesnego świata do rozszerzającego się uniwersum"
Prowadzenie: Łukasz Lamża

13.00–14.30
(dla zgłoszonych liceów)
Lekcja Czytania: Daniel Dennett
„Od bakterii do Bacha"
Prowadzenie: Łukasz Kwiatek

14.00–15.30
Fundacja Centrum Kopernika (Szczepańska 1/5)
Warsztaty psychologiczne: „Związki. Przypadek czy przeznaczenie?"
Prowadzenie: Magdalena Śmieja
Liczba miejsc ograniczona. Zapisy: warsztaty@copernicusfestival.com

17.00–18.30
De Revolutionibus (Bracka 14)
Perceptio: „Nic dwa razy się nie zdarza. Poezja a przypadek"
Jerzy Jarniewicz, Jakub Kornhauser, Małgorzata Lebda
Prowadzenie: Wojciech Bonowicz

19.00–20.15
Muzeum Narodowe (3 Maja 1)
Wykład: Robert H. Frank
„Success and Luck"
(„Sukces i szczęście")
[tłumaczenie symultaniczne]

20.30–21.30
Muzeum Narodowe (3 Maja 1)
Debata: „Luck/Happiness"
(„Szczęście/Szczęście")
Robert H. Frank, Daniel Gilbert
Prowadzenie: Marcin Gorazda
[tłumaczenie symultaniczne]

22.00
Kino Mikro (Lea 5)
Film: „Efekt motyla"
(reż. J. Gruber, E. Bress)

24 maja, czwartek

10.00–11.30
De Revolutionibus (Bracka 14)
Śniadanie Mistrzów: Dorota Segda
Prowadzenie: Paulina Puślednik

11.00–12.00
(dla zgłoszonych szkół podstawowych)
Nauka Czytania: Jan Brzechwa
„Akademia Pana Kleksa"
Prowadzenie: Łukasz Kwiatek

Koncert „Sztuka dotyku i świętowanie przygodności"

22 maja (wtorek) o 19.00
w Cricotece (Nadwiślańska 2-4)
John Tilbury zagra utwory Mortona Feldmana:

Vertical Thoughts 4 (1963)
Two Intermissions (1950)
Piano Piece 1955
Piano Piece 1964
Three Pieces for Piano (1954)
Extensions 3 (1952)
Piano Pieces 1956A and 1956B
Intermission 5 (1952)
Madame Press Died Last Week at Ninety (1971)
Intermission 6 (1953)
Piano Piece 1952
Palais de Mari (1986)

ANDY SHEPPARD / GETTY IMAGES

Bezpłatne wejściówki dostępne od czwartku 17 maja w De Revolutionibus Books&Café (Bracka 14), redakcji „Tygodnika Powszechnego" (Wiślna 12) i Cricotece.

JOHN TILBURY jest wybitnym pianistą pochodzącym z Wielkiej Brytanii. Jego artystyczną drogę znaczą nazwiska szeregu awangardowych kompozytorów II połowy XX wieku, m.in. Mortona Feldmana, a także koncerty improwizacji. Zwycięzca holenderskiego konkursu Gaudeamus w 1968 r.

Koncerty

24 maja (czwartek) o 22.00
w kinie Mikro (Lea 5)
wystąpi duet Artura Majewskiego i Rafała Mazura.
Przed koncertem rozmowę z artystami na temat roli przypadku w muzyce poprowadzi Rafał Zbrzeski.

MATERIAŁY PRASOWE

Bezpłatne wejściówki dostępne od czwartku 17 maja w De Revolutionibus Books&Café (Bracka 14) i kinie Mikro (Lea 5).

25 maja (piątek) o 22.00
w Forum Przestrzenie
(Konopnickiej 28)
zagrają Pablopavo i Ludziki.

ŁUKASZ GIZA / AGENCJA GAZETA

PABLOPAVO (właśc. Paweł Sołtys) jest wokalistą i pisarzem. Tłem większości jego utworów jest Warszawa. Koncertuje z zespołami Vavamuffin i Ludziki. Autor zbioru opowiadań „Mikrotyki" (Czarne 2017).

11.00–12.30
(dla zgłoszonych liceów)
Lekcja Czytania: Daniel Kahneman „Pułapki myślenia. O myśleniu szybkim i wolnym"
Prowadzenie: Łukasz Kurek

12.00–13.30
De Revolutionibus (Bracka 14)
Warsztaty literackie: „Zdaj się na przypadek"
Prowadzenie: Wojciech Bonowicz
Liczba miejsc ograniczona.
Zapisy: warsztaty@copernicusfestival.com

13.00–14.30
(dla zgłoszonych liceów)
Lekcja Czytania: David Sumpter „Piłkomatyka. Matematyczne piękno futbolu"
Prowadzenie: Bartłomiej Kucharzyk

17.00–18.30
Cricoteka (Nadwiślańska 2-4)
Perceptio: „Każdy ma taki przypadek, na jaki zasługuje. Przypadek, losowość i konieczność w sztuce współczesnej"
Jarosław Suchan, Konrad Wojnowski, Krystyna Czerni
Prowadzenie: Natalia Zarzecka

19.00–20.15
Muzeum Narodowe (3 Maja 1)
Wykład: Jean-Pierre Lasota „Przypadki chodzą po fizykach"

20.30–21.30
Muzeum Narodowe (3 Maja 1)
Debata: „Kto się boi demona Laplace'a?"
Jean-Pierre Lasota, Leszek Sokołowski
Prowadzenie: Sebastian Szybka

22.00
Kino Mikro (Lea 5)
Koncert: Majewski/Mazur Duo
Obowiązują bezpłatne wejściówki
[szczegóły w ramce]

25 maja, piątek

10.00–11.30
De Revolutionibus (Bracka 14)
Śniadanie Mistrzów:
Szczepan Zapotoczny
Prowadzenie: Katarzyna Gaca

11.00–12.00
(dla zgłoszonych szkół podstawowych)
Nauka Czytania: C.S. Lewis „Lew, Czarownica i stara szafa"
Prowadzenie: Bartłomiej Kucharzyk

11.00–12.30
(dla zgłoszonych liceów)
Lekcja Czytania: Michał Heller „Filozofia przypadku. Kosmiczna fuga z preludium i codą"
Prowadzenie: Marek Jakubiec

12.00–14.00
Pauza (Stolarska 5/3)
„Pejzaż miasta" warsztaty fotograficzne z wykorzystaniem telefonu komórkowego
Prowadzenie: Andrzej Pilichowski-Ragno
Liczba miejsc ograniczona.
Zapisy: warsztaty@copernicusfestival.com

17.00–18.30
Pauza (Stolarska 5/3)
Perceptio: „Muzyka #404"
Marcin Barski, Antoni Michnik, Justyna Stasiowska
Prowadzenie: Anna Prokop

19.00–20.15
Muzeum Narodowe (3 Maja 1)
Wykład: Daniel Gilbert „Happiness: What Your Mother Didn't Tell You" („Szczęście – czego nie powiedziała ci matka")
[tłumaczenie symultaniczne]

20.30–21.30
Muzeum Narodowe (3 Maja 1)
Debata: „Odmiana przez przypadki. O ewolucjach i rewolucjach w języku"

Michał Rusinek, Elżbieta Tabakowska, Sławomir Wacewicz
Prowadzenie: Bartłomiej Kucharzyk, Łukasz Kwiatek

22.00
Kino Mikro (Lea 5)
Film: „Mulholland Drive" (reż. D. Lynch)

22.00
Forum Przestrzenie (Konopnickiej 28)
Koncert: Pablopavo i Ludziki
[szczegóły w ramce]

26 maja, sobota

10.00–11.30
De Revolutionibus (Bracka 14)
Śniadanie Mistrzów: Władysław Stróżewski
Prowadzenie: Paweł Rojek

11.00–12.00
(plac św. Marii Magdaleny – Krakowski Kiermasz Książki)
Nauka Czytania: Lewis Carroll „Alicja w Krainie Czarów"
Prowadzenie: Bartosz Janik
Dla dzieci w wieku 8–11 lat
Liczba miejsc ograniczona.
Zapisy: naukaczytania@copernicusfestival.com

11.00–15.00
Cricoteka (Nadwiślańska 2-4)
Warsztaty plastyczne: „Uwaga, farba!"
Prowadzenie: Marcin Miętus
Dla osób w każdym wieku
Liczba miejsc ograniczona. Zapisy: warsztaty@copernicusfestival.com

11.00–16.00
Cricoteka (Nadwiślańska 2-4)
Inventio: „Sztuka maszyn"
Wystawa interaktywna i miniwykłady
[szczegóły w ramce]

17.00–18.30
Pod Jaszczurami (Rynek Główny 8)
Perceptio: „Śmieszne przypadki"
Bartosz Brożek, Jacek Fedorowicz, Joanna Kołaczkowska, Henryk Sawka
Prowadzenie: Krzysztof Kasparek

19.00–20.15
Muzeum Narodowe (3 Maja 1)
Wykład: Adam Zagajewski „O życiu w wolności"

20.30–21.30
Muzeum Narodowe (3 Maja 1)
Debata: „Niekoniecznie. O przestrzeniach wolności"
Karol Tarnowski, Adam Zagajewski
Prowadzenie: Łukasz Tischner

22.00
Kino Mikro (Lea 5)
Film: „Samotność liczb pierwszych" (reż. S. Costanzo)

27 maja, niedziela

10.00–11.30
De Revolutionibus (Bracka 14)
Śniadanie Mistrzów: Andrzej Jajszczyk
Prowadzenie: Dawid Juszka

14.00–15.00
(plac św. Marii Magdaleny – Krakowski Kiermasz Książki)
Stanisław Lem „Bajki robotów"
Prowadzenie: Łukasz Lamża
Dla dzieci w wieku 9–14 lat
Liczba miejsc ograniczona.
Zapisy: naukaczytania@copernicusfestival.com

15.00–17.00
Cricoteka (Nadwiślańska 2-4)
Warsztaty teatralne: „Gry losowe"
Prowadzenie: Paulina Puślednik
Liczba miejsc ograniczona. Zapisy: warsztaty@copernicusfestival.com

„9 bram, z powrotem ani jednej" – wystawa fotografii Agaty Grzybowskiej

AGATA GRZYBOWSKA

Bohaterami zdjęć są ludzie, którzy osiedlili się w Bieszczadach w latach 50. i 80. Każda z tych osób przyjechała z innego powodu i żadna już nie wyjechała. Łączy je motyw porzucenia, zrezygnowania „z czegoś", „z kogoś".

„Są ociosani naturą, mają twarde i zmęczone ręce od fizycznej pracy. Ich rytm dnia biegnie zupełnie inaczej od rytmu miasta, które stało się synonimem łatwości i nudy. Te góry wymagają bardzo dużo siły i determinacji – nie ma w nich miejsca dla słabych czy zdegenerowanych cywilizacją ludzi" – pisze autorka.

Wystawa zorganizowana jest w ramach Miesiąca Fotografii w Krakowie.

AGATA GRZYBOWSKA jest fotoreporterką „Gazety Wyborczej". Zwyciężczyni nagrody Zdjęcie Roku w konkursie BZ WBK Press Foto 2015.

↦

COPERNICUS FESTIVAL 2018 / PRZYPADEK

Inventio: sztuka maszyn

26 maja (sobota), 11.00–16.00
(Cricoteka, Nadwiślańska 2-4)

W paśmie zaprezentowane zostaną przykłady sztuki generowanej przez maszyny – i odwrotnie, sztuki oraz literatury inspirowanej przez współczesny wiek cyfrowy. Naszym gościem będzie także Albert Barqué-Duran, twórca projektu „My Artificial Muse", a serii miniwykładów poświęconych sztuce elektronicznej towarzyszyć będzie interaktywna wystawa o nurcie glitch art.

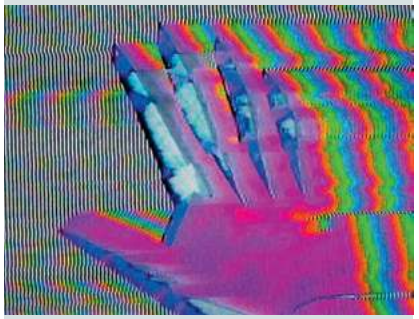

BIG PAUPER MODIFIED CIRCUITRY

Przykład glitch art

12.00–12.30
Zoe Stawska „Glitch art – sztuka zakłóceń"

12.30–13.00
Monika Górska-Olesińska „Literatura ex machina"

13.00–13.30
Piotr Warchoł „Sztuczne sieci neuronowe i sztuka, czyli co komputery wiedzą o malarstwie"

13.00–14.00
Marcin Miłkowski „Czy roboty mogą mieć wolną wolę?"

15.00–16.00
Albert Barqué-Duran „My Artificial Muse" (performance)

17.00–18.30
Pauza (Stolarska 5/3)
Perceptio: „Przypadek przyłapany"
Agata Grzybowska, Marianna Michałowska, Paweł Smoleński
Prowadzenie: Martyna Nowicka

19.00–20.15
Muzeum Narodowe (3 Maja 1)
Wykład: Michał Heller
„Ewolucja i przypadek"

20.30–21.30
Muzeum Narodowe (3 Maja 1)
Debata: „Fatum"
Wojciech Bonowicz, Bartosz Brożek, Michał Heller, Krzysztof Zamorski
Prowadzenie: Łukasz Kwiatek, Łukasz Lamża

Powyższy program może ulec modyfikacjom.
Aktualna wersja programu na **www.copernicusfestival.com**

FESTIWALOWI TOWARZYSZĄ:

22 maja – 25 czerwca
Wystawa: „Interwencja »informel«"
Cricoteka (Nadwiślańska 2-4)

25 maja – 24 czerwca
Wystawa: Agata Grzybowska
„9 bram, z powrotem ani jednej"
Galeria Pauza (Stolarska 5/3)
[szczegóły w ramce]

22–27 maja
Wystawa MICET
(Muzeum Interaktywne Centrum Edukacji Teatralnej, Jagiellońska 1)
– na hasło „Copernicus" bilet za 8 zł

23 maja o 18.00
Wykład: Mario Eduardo Cohen
„Majmonides. Myśli na XXI wiek"
Instytut Cervantesa
(Kanonicza 12)

Zapraszamy również na:

www.copernicuscollege.pl
www.wielkiepytania.pl
www.tygodnikpowszechny.pl

DYREKTOR:
Michał Heller

RADA PROGRAMOWA:
Wojciech Bonowicz
Bartosz Brożek
Grzegorz Jankowicz
Jerzy Stelmach
Jacek Ślusarczyk
(dyrektor artystyczny)

ZESPÓŁ FESTIWALU:
Bartłomiej Kucharzyk (dyrektor wykonawczy), Diana Sałacka (rzecznik prasowy), Michał Furman (kontakt z otoczeniem instytucjonalnym), Paweł Adamiec, Anna Dziurdzikowska, Marek Jakubiec, Sabina Janeczko, Przemysław Kopeć, Łukasz Kwiatek, Łukasz Lamża, Anna Rozkuszka, Anna Skoczeń, Wojciech Wyżykowski, Aleksandra Urbańczyk, Piotr Urbańczyk, Piotr Zięba

DEEPART.IO

Komputerowy van Gogh: obraz po prawej został wygenerowany przez Sztuczną Inteligencję na podstawie fotografii z lewej oraz słynnego dzieła „Gwiaździsta noc" holenderskiego postimpresjonisty.

Sztuka maszyn

JAN K. ARGASIŃSKI

Skoro zgadzamy się nazywać pewne urządzenia inteligentnymi, to dlaczego nie mielibyśmy pozwolić im być twórczymi?

Maszyna to najogólniej rodzaj układu, którego funkcją może być zarówno przetwarzanie zasilania – np. prądu lub paliwa na siłę napędową – jak i informacji. Odpowiednio zaprojektowane maszyny mogą wytwarzać najróżniejsze obiekty – fizyczne artefakty i twory będące wynikiem pracy na danych. Niektóre rezultaty pracy maszyn mogą okazać się nośnikami wartości estetycznych. Do najprostszych przypadków należałyby np. urządzenia rysujące, które wprawione w ruch generują geometryczne wzory za pomocą narzędzi kreślarskich na powierzchni papieru. Rezultaty bywają czasem bardzo wyrafinowane. Może się tu też pojawić element losowy, konstrukcyjnie zaplanowany margines nieprzewidywalności wyniku. W zależności od zastanych warunków maszyna stworzy inny obraz, dźwięk czy figurę – choć o pewnej stałej charakterystyce.

Trudniej zdefiniować sztukę. Jeżeli będziemy przez nią rozumieć po prostu wytwory, którym odbiorcy przypisują wartości estetyczne, i które powstały z artystyczną intencją, to w tak ujętych ramach możemy zawrzeć przy odrobinie dobrej woli nie tylko obraz autorstwa barokowego klasyka, lecz również wynik pracy mechanicznego spirografu o nietypowym kształcie.

Algoryści

Jedną z najważniejszych idei XX wieku jest koncepcja maszyny Turinga. Ten logiczny model abstrakcyjnego urządzenia pozwala na precyzyjne ujęcie problemu obliczalności (*computation*). W uproszczeniu: zadanie nazwiemy obliczalnym wtedy, gdy da się sformułować sekwencję instrukcji – algorytm, który poskutkuje wykonaniem tego zadania przez specjalną maszynę. Model Alana Turinga nie jest jedynym możliwym opisem zjawiska komputacji, lecz najbardziej popularnym. Z naszej perspektywy najważniejsze jest to, że próba rozwiązania pewnego ściśle matematycznego problemu odbyła się z pomocą procesu, który można opisać jako „mechaniczny", zaś długofalowym jej rezultatem było m.in powstanie komputerów w dzisiejszym sensie.

Współczesne komputery są maszynami do przetwarzania informacji. Charakteryzują się w tym zakresie dużą elastycznością. Dziś, aby rozwiązać jakiś problem obliczeniowy, nie musimy budować specjalnego urządzenia, ani nawet dokładnie rozumieć, jak jest ono zbudowane. Jeśli potrafimy sformułować rozwiązanie interesującego nas problemu w postaci algorytmu, możemy zaimplementować go w jednym z dostępnych języków programowania. Te „wyższego poziomu" bardziej przypominają język naturalny. Są projektowane tak, aby ułatwić nam zmierzenie się z nawet bardzo złożonymi problemami. Ograniczają nas wtedy jedynie zasoby sprzętowe – ilość dostępnej pamięci, szybkość procesora. Algorytmy najczęściej buduje się z myślą o optymalnym rozwiązywaniu pragmatycznych zadań obliczeniowych. Mogą one jednak zostać użyte również do tworzenia programów, których rezultaty stanowią przejaw twórczej ekspresji autorów.

Jedną z wczesnych, nieformalnych grup artystycznych, która powiązała ściśle swoją działalność z medium algorytmicznym, byli Algoryści (*The Algorists*), czyli między innymi: Jean-Pierre Hébert, Manfred Mohr, Roman Verostko, Mark Wilson. Początki ich działalności sięgają lat 60. XX w, choć nazwę przyjęli retrospektywnie w latach 90. Algoryści nie tylko sięgnęli po medium obliczeniowe jako swój własny środek wyrazu, ale traktowali kod jako coś bardzo ważnego dla ich tożsamości twórczej. ↦

↦ Interesującym zjawiskiem związanym z posługiwaniem się algorytmami w celach artystycznych jest sztuka proceduralna. Mamy z nią do czynienia, gdy narzędzie jest przez artystę programowane do realizacji dzieła. Nie musi tu jednak wcale chodzić o kodowanie w sensie informatycznym. Autor formułuje warunki wyjściowe systemu, który następnie autonomicznie realizuje resztę dzieła. Sztuka proceduralna przyjmuje więc pewną niedookreśloność w zakresie rezultatów działania maszyny, która pozostaje poza bezpośrednią kontrolą twórcy. Powstające struktury są przewidywalne często tylko w ogólnym zarysie. Istotnym elementem staje się losowość, swobodne, organiczne powstawanie różnorodnych wytworów. Sztuka generatywna ma długą i bogatą historię sięgającą czasów daleko przed wynalezieniem komputera. Dopiero jednak ta maszyna pozwoliła na głęboką eksplorację problematyki generatywności w sztuce. Za cezurę, wejście sztuki algorytmicznej i generatywnej na salony można uznać wystawę „Cybernetic Serendipity", otwartą w londyńskim Institute of Contemporary Arts w 1968 roku.

Dolina niesamowitości

Mało jest tematów budzących aktualnie takie emocje jak Sztuczna Inteligencja (AI). Dzieje się tak za sprawą ostatnich efektownych sukcesów tej dziedziny wiedzy. Najnowsze, inteligentne oprogramowanie wygrywa z arcymistrzami w go i szachy. Potrafi sterować samochodem w ruchu ulicznym. Rozpoznaje twarze i obiekty. Uczy się również naśladować style muzyczne, graficzne i literackie, generując własne wersje utworów o zadanej estetyce. To ostatnie zjawisko budzi szczególnego rodzaju emocje. Być może dlatego, że wygrywanie w gry logiczne albo towarzyskie czy przejawianie zaawansowanych zdolności percepcyjnych mieści się w horyzoncie naszych aktualnych oczekiwań wobec technologii. Jednakże posiadanie przymiotów, które intuicyjnie rozpoznajemy jako bardzo ludzkie – a do takich należy estetyczna wrażliwość – budzi w nas mimowolny niepokój, ale i fascynację.

Technicznie transfer stylu artystycznego nie różni się istotnie od innych operacji w zasięgu działania sztucznych sieci neuronowych, lecz AI w mniejszym stopniu posiada dla nas aurę „zmyślnego urządzenia", właściwą dla różnego rodzaju algorytmicznych i mechanicznych generatorów. Przez wykonywanie operacji przypominających faktyczne rozumienie wywołuje efekt podobny słynnej „dolinie niesamowitości" (*uncanny valley*). To psychologiczne zjawisko, zgodnie z którym rzecz przypominająca człowieka w dużym stopniu (ale nie doskonale) oceniana jest jako dziwna i niepokojąca. W przeciwieństwie do takiej, która posiada tylko bardzo schematyczne cechy ludzkiego wyglądu.

Sztuka maszyn w najnowszym wydaniu powoduje, że czujemy się nieswojo. Niezależnie jednak od naszych emocji z tym związanych w najbliższym czasie będziemy ją spotykać coraz częściej. ©

JAN K. ARGASIŃSKI

Autor jest adiunktem w Zakładzie Technologii Gier na Wydziale Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej UJ. Członek Laboratorium Twórczego Programowania UBU LAB.

Twarze wykorzystane w badaniu zjawiska „doliny niesamowitości", uszeregowane od najmniej do najbardziej „ludzkiej". Dwie środkowe wzbudzały większą niechęć i niepokój niż skrajne.

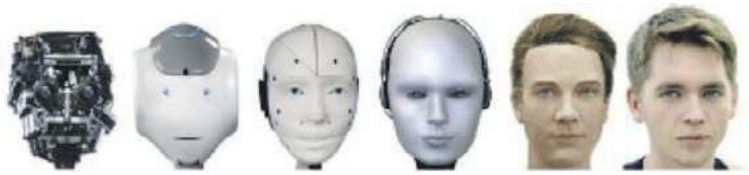

M. MATHUR, D. REICHLING

Sztuka dotyku

JOHN TILBURY

Zniewalające jest to, co dzieje się po cichu. Nasze uszy muszą się wysilić, aby schwytać świat dźwięków, w których rozgrywa się muzyka Feldmana.

Z czasów starożytnych Chin pochodzi następujący opis *vibrato*: „Niezwykły stan słuchania pojawia się, gdy zawahanie palca muzyka jest tak subtelne, że niemal niedostrzegalne. Zgodnie z niektórymi podręcznikami nie należy nawet poruszać palcami, a tylko pozwolić, aby pulsowanie krwi w ich koniuszkach wzmogło się na tyle, aby pobudzić struny, na których spoczywają". Tak skrajnie wyostrzona wrażliwość na dotyk jest podstawą wykonywania muzyki Mortona Feldmana – w jego utworach fortepianowych przyciśnięty klawisz należy zwolnić jak najdelikatniej, tak by wracając do swej pozycji wyjściowej nie dał dojść do głosu mechanizmowi fortepianu, by wybrzmiewały tylko najdrobniejsze składowe harmoniczne, a wraz ze skończeniem frazy palce mogły zniknąć z klawiatury niczym tancerze opuszczający scenę.

Jak zauważył Cornelius Cardew: „niemal cała muzyka Feldmana jest powolna i cicha. Jednak tylko na pierwszy rzut oka można w tym dostrzegać ograniczenie; ja widzę w tym raczej wąskie drzwi o rozmiarach, do których trzeba się dostosować (jak w »Alicji w Krainie Czarów«), przedostając się przez nie wprost do szczególnego stanu bycia, który wyrażony jest w muzyce Feldmana. Tylko jeśli przyzwyczaimy się do półmroku, możemy spostrzec bogactwo i zróżnicowanie barw, które są materiałem muzyki. Jeśli się przejdzie przez te wąskie drzwi i przywyknie do przyćmionego światła, można zdać sobie sprawę ze skali wyobraźni i znamiennych różnic, które decydują o odrębności każdej z jego kompozycji".

ROB BOGAERTS / ANEFO / CC 3.0

Morton Feldman, Holland Festival, 1976 r.

Szacunek dla przygodności

Dla Feldmana dźwięki wybrzmiewają nieustannie, nigdy się jednak nie gubią. Ginąc zmieniają tylko rezonanse. Choć właściwie nie ginąc – raczej oddalając się od naszych uszu, po cichu. Prawdziwie zniewalające jest bowiem to, co dzieje się po cichu. Podstępne wtargnięcie w obszar naszych zmysłów jest skuteczniejsze niż frontalny atak. Nasze uszy muszą się wysilić, aby schwytać świat dźwięków, w których rozgrywa się muzyka Feldmana. Na próbach zwracał on uwagę wykonawcom, iż jego dźwięki nie mają źródła. Chciał, aby przyjęli ich drogocenną ulotność, nieuchwytność, nieskrępowanie, choć nie arbitralność, by były zwodnicze, ale i dojmujące. Przypomina się taoistyczne *dictum*: „na największą muzykę składają się najbardziej wątłe dźwięki".

Szacunek dla tego, co niezamierzone („przygodne"), wciela się w życie wykonawcy jako teraźniejszość, unikalność. Co więcej, przygodność jest następstwem krańcowej delikatności, która – zwłaszcza we wczesnych utworach Feldmana – domaga się i zakłada ryzyko. Wykonawca znajduje się na granicy oddzielającej dźwięk od braku dźwięku. Przygodność jest aktywnym czynnikiem, któremu należy nadać kontekst, najlepiej z pewnością siebie. Muzyka odpowiada na nieprzewidywalne okoliczności związane z pomieszczeniem, jego rozmiarami i akustyką, temperaturą, idiosynkrazjami instrumentu itd. – utrzymując uszy w stanie „doskonałego dryfowania" i równocześnie uważności w stosunku do otoczenia, otwartości na to, co możliwe, na to, co konieczne, na zmianę. Nie ma tutaj mowy o żadnym z góry założonym planie kontroli.

We wczesnych kompozycjach Feldmana, z lat 50. i 60., wiele jest przykładów pojedynczych nut, akordów i fraz, które powtarzane są bez jakichkolwiek zmian. To po to, aby zamrozić muzykę i nadać im przez to odpowiednią wagę. Wykonując je w tych właśnie czasach, moim celem było zagranie tych powtórzeń z nieludzką wręcz precyzją. W swej późniejszej muzyce, w tym w „Palais de Mari" – utworze, o którym Feldman mówi, iż jest destylatem całej muzyki fortepianowej, jaką kiedykolwiek napisał – zwykle określał on raczej puls. A puls pomaga w orientacji rytmicznej, zwłaszcza w przypadku grania zespołowego. Lecz jest również i tym, co znajduje się tuż przed lub tuż poza granicą zasięgu muzyki, która rozgrywać się może tylko wokół pulsu, a co ignorujemy na własne ryzyko.

Inne światy

Istnieją także względy natury estetycznej – wykonawca powinien powstrzymać się od nakładania na muzykę Feldmana odziedziczonych z innych wykonań konwencji ekspresyjnych. Rzekomo gustowne *crescendo* i *diminuendo* w serii następujących po sobie fis w „Extensions 3", dla przykładu, byłoby wysoce nieodpowiednie – te dźwięki mają śpiewać o innych światach i nie powinniśmy ich przymuszać do pozostania w tych, które znamy. W wielu wczesnych utworach Feldmana dźwięki i rejestry łączą się ze sobą i na siebie nachodzą, „wybrzmiewając nieustannie". Z kolei zarówno w „Extensions 3", jak i „Vertical Thoughts" presja metrum wprowadza zgoła odmienną ostrość. W „Vertical Thoughts" w szczególności – jeden rejestr wypiera inny z wyrazistością wprawiającą w zakłopotanie. Na samym początku, po pierwszym akordzie, następuje agresywna cisza. Czy oznacza to, że dźwięk ma się skończyć w sposób zdecydowany, czy raczej palce i pedał mają współdziałać na rzecz bardziej impresjonistycznego rozwiązania? Forma podobnie – ma klarowność, która nie pozostawia wątpliwości: jedno- i pięciozdarzeniowe frazy, które następują po sobie nieregularnie i oddzielone są od siebie pauzami o nieokreślonych długościach aż do przedostatniej frazy, na którą składa się dziewięć zdarzeń. Po niej następuje fraza zawierająca pięć zdarzeń dźwiękowych.

W najlepszych wydaniach muzyka Feldmana potrafi zaprzeć dech w piersi, odkryć przed nami nowe terytoria i dokonać tego z przejrzystością, która nie domaga się jakichkolwiek wyjaśnień. Zdaje się zajmować przestrzeń metafizyczną, wkraczając w sfery zarezerwowane zwyczajowo dla religii. Ale w ten sposób sztuka wyrywa duchowość religii i dowodzi tym samym, że nie jest ona własnością tej ostatniej. Być może twórczość Feldmana jest przyczynkiem do muzycznego utopizmu. Nie da się wykonywać tej muzyki z nastawieniem wyłącznie profesjonalnym. W tym kontekście często bywa przywoływana kwestia doświadczenia sztuki w stosunku do doświadczenia natury. Może jednak to właśnie pokrewieństwo muzyki Feldmana z naturą raczej niż ze sztuką, jej aspirowanie do statusu natury – jak w przypadku wielkich czarnych płócien Marka Rothko, przed którymi gromadzą się płaczący ludzie – wywołuje u ludzi taki odzew. Symptomatyczne, że Feldman nigdy nie mówił o rzeczywistości kompozycji, twierdził wręcz, że coś takiego nie istnieje. Wolał mówić o rzeczywistości akustycznej. ©

Przełożył MICHAŁ LIBERA

JOHN TILBURY podczas festiwalu wykona koncert utworów Mortona Feldmana.

Wszystkie dźwięki dozwolone

ANNA PROKOP

Co się dzieje, gdy umyślnie pozostawimy fragment naszego dźwiękowego działania przypadkowi?

MELINDA JOHNSON / GETTY IMAGES

Tym, co głównie interesuje nas w muzyce, jest błąd – małe odstępstwo od struktury bądź czysty przypadek. Nawet gdy jesteśmy w operze czy filharmonii, czekamy na te momenty, kiedy coś pójdzie nie tak" – stwierdził podczas rozmowy ze mną przy okazji festiwalu Unsound 2017 James Hoff – nowojorski artysta, wykorzystujący w swoich audiowizualnych projektach m.in. wirusy komputerowe.

Dlaczego czekamy na błędy? Przecież błąd z definicji nie jest czymś pożądanym, a zwłaszcza w muzyce, która przez wieki zdawała się dążyć do perfekcji i opierać się na strukturach. Błąd, przy takim założeniu, musiałby być czymś przypadkowym, bo kto chciałby, aby w jego kompozycjach pojawiały się niezaplanowane dźwięki? Otóż są tacy, i wcale nie jest ich tak mało (ale o tym później).

Sprawa jest bardziej skomplikowana. Wypowiedź Hoffa przywołuje na myśl kilka zasadniczych pytań. Czy coś takiego jak błąd w muzyce faktycznie istnieje? Jeśli tak, to czym miałby być? Tutaj nie ma łatwych i jednoznacznych odpowiedzi. Jeśli jednak potraktujemy błąd jako „niewłaściwe posunięcie" bądź „niezgodność z obowiązującymi regułami", można powiedzieć, że błąd w muzyce to zamach na strukturę (partyturę, koncept, plan). Czy umyślny? Gdyby wpisać antysystemowe działanie w kompozycję, trudno byłoby mówić o „błędzie", byłoby to raczej świadomie zaplanowane, rebelianckie działanie. Lecz co dzieje się, gdy umyślnie pozostawimy fragment naszego dźwiękowego działania przypadkowi? Wtedy przecież nie mamy systemu, względem którego możemy określić powstające dźwięki jako prawidłowe bądź błędne. Wszystkie dźwięki są dozwolone.

Oswajanie hałasu i ciszy

Zapewne pierwszymi skojarzeniami, gdy myślimy o przypadku w muzyce, są eksperyment i improwizacja. Improwizacja, zwłaszcza wśród muzyków z wieloletnim doświadczeniem, często opiera się raczej na dowolności korzystania ze znanych skal czy kombinacji niż na przypadku. Kiedyś usłyszałam, że „prawdziwa improwizacja zaczyna się wtedy, gdy muzyk wykorzysta już wszystkie znane sobie kombinacje i żywcem nie ma pojęcia, co zagrać dalej". Improwizacja ma więc dwa odcienie – czasem muzyk działa na zbiorze znanych schematów, z których mniej lub bardziej losowo wybiera elementy, a innym razem ten zbiór rozszerza się do wszystkich możliwych dźwięków instrumentu i pomysłowości jego właściciela/operatora. Z eksperymentem nie będzie tak prosto, ale możemy spróbować przejść przez to za pomocą historycznego skrótu.

John Cage często odwoływał się do filozofii „I Ching", czyli „Księgi Przemian", starożytnej chińskiej księgi wróżb. Zdawał się na specyficzne układy rozrzucanych patyków, które interpretował według 64 heksagramów zawartych w „Księdze" – i przekładał to na muzykę. To forma działania, w której rezultat jest początkowo nieznany. Znany jest jedynie punkt wyjścia w postaci pytania, więc w tym przypadku eksperyment rozumiany jest jako rodzaj kwestionowania, podawania w wątpliwość. Ale czy te pytania zadawane są po to, by utrzymać konkretną odpowiedź? Czy praktyka eksperymentalna ma określony cel? Zapytany o tę kwestię Cage powiedział: „Żadnych celów. Dźwięki". Zresztą jego utwór „4'33" (skomponowany z... ciszy) jest zwróceniem uwagi na czysty przypadek – odgłosy sali i widowni (pejzaż dźwiękowy sali koncertowej).

Analizując historię muzyki, trafiamy na masę intrygujących działań dźwiękowych, wykorzystujących losowe odgłosy. Już na przełomie XIX i XX wieku rewolucja przemysłowa spowodowała pojawienie się nowych, industrialnych dźwięków, które zaczęły się mieszać z pejzażem dźwiękowym miast i wsi. Bacznie nasłuchujący otoczenia Luigi Russolo, włoski kompozytor i ojciec „muzyki hałasów", w 1913 roku napisał manifest zatytułowany „Sztuka hałasów", prezentujący potencjał nowej palety dźwiękowej i technologii, która obiecuje pewnego dnia dać możliwość zagrania bądź wygenerowania wszelkich dźwięków, jakie możemy sobie wyobrazić. W tamtym czasie dostęp do wszelkich dźwięków środowiska był już możliwy dzięki fonografowi. Zaczęliśmy łapać realne, często przypadkowe dźwięki, z których korzystaliśmy powoli również w zakresie muzyki. Zmiany technologiczne i zmiany dźwiękowe w naszym otoczeniu

zainspirowały Pierre'a Schaeffera do „wynalezienia" w 1948 roku *musique concrète* – sytuacji percepcyjnej, w której słyszymy dźwięki, ale nie widzimy ich źródła (jak w przypadku fonografu). Muzyka konkretna, w przeciwieństwie do abstrakcyjnej, akceptuje realne dźwięki (natury, industrialne, uliczne), które nie wymagają notacji, interpretacji i wykonania (wydarzenia te zwiastowały nadejście kultury didżejskiej, remiksu i technik takich jak sampling). Później, w latach 60., wraz z ruchem Fluxus rozpoczęła się kolejna fala eksperymentalnych działań dźwiękowych. Poza Cage'em jednym z najważniejszych członków tego ruchu był Yasunao Tone. W 1997 roku stworzył album „Solo for Wounded CD", gdzie umyślnie uszkodził płytę CD tak, aby podczas odtwarzania słyszalne były jedynie przypadkowe fragmenty muzycznego materiału.

Dzięki temu, że Russolo pozwolił nam oswoić hałasy, Cage ciszę, a Schaeffer realne dźwięki, nasze podejście, a wręcz sposób rozumienia muzyki uległy zasadniczej zmianie. Szkoła matematycznej perfekcji i przemyślanej kompozycji zdaje się tracić na sile nie tylko wraz ze wspomnianymi dźwiękowymi zwrotami paradygmatów, lecz również ze względu na wszechobecną aktualnie kulturę amatorów, odbiorców-twórców, poszukiwaczy nowych instrumentów-interfejsów czy też kolekcjonerów przypadkowych nagrań. Wbrew lękom związanym z nadejściem ery muzyki komputerowej, maszyn i automatów dźwiękowych – okazuje się, że odpowiedź na pytanie zadane w tym kontekście przez Davida Toopa: „Ludzie, czy naprawdę są potrzebni?", brzmiałaby aktualnie: „Raczej tak" – bo przecież maszyna z założenia się nie myli.

Z Ziemi i z kosmosu

Jak dalece jednak posunęliśmy się do tej pory, jeśli chodzi o korzystanie z niezdeterminowanych dźwięków w ramach muzyki, i to nie tylko muzyki eksperymentalnej, lecz również popularnej? Chyba najlepiej na wyobraźnię zadziałają nam projekty dźwiękowe NASA, która udostępniła kilka lat temu gigantyczny katalog „kosmicznych nagrań", zarejestrowanych podczas ich misji naukowych.

Choć w kosmosie występuje próżnia (zatem nie może rozchodzić się tam dźwięk), to jednak można w nim zebrać różne dane – np. dotyczące wiatru słonecznego czy rozmaitego promieniowania – i przełożyć następnie za pomocą algorytmu na dźwięk. Praktyka taka nazywana jest sonifikacją danych. Podobnie udźwiękowić można fale mózgowe, jak uczynił to już w 1965 roku Alvin Lucier w projekcie „Music for a Solo Performer". Obecnie coraz częściej korzysta się ze sprzętu EEG (elektroencefalografu), nawet podczas koncertów na żywo, i chyba nie ulega wątpliwości fakt, że jest to raczej nieprzewidywalny instrument muzyczny, pozwalający panować głównie nad doborem dźwięków, które będą reprezentowały konkretne dane.

Współcześni artyści w poszukiwaniu oryginalnych dźwięków często posuwają się jeszcze dalej. Islandzka wokalistka Björk stworzyła na potrzeby swojej aplikacji-płyty „Biophilia" (2011) zupełnie nowe instrumentarium. W utworze „Thunderbot" Björk „zagrała" na cewce Tesli. W „Solstice" wykorzystała tzw. „grawitacyjne harfy" – ogromny zestaw wahadeł wprawiających w ruch struny. W dodatku cały album stanowił rozbudowany projekt multimedialny, którego centrum był album wydany w formie aplikacji mobilnej, pozwalającej odbiorcom-współtwórcom na własne manipulacje jej materiałem. „Biophilia" stanowiła esencję innowacyjnego, przekraczającego schematy podejścia do sztuki, które do tej pory narastało głównie w awangardzie czy undergroundzie. Björk wyeksponowała płynność stereotypowych podziałów na odbiorcę i twórcę, czy na przypadek i zamysł. Wykorzystała jako instrumenty przedmioty z niemuzycznego uniwersum, inspirowała się przypadkowymi dźwiękami i ich kombinacjami spoza akceptowanych czy preferowanych przez akademię zakresów.

Zresztą na dźwięki odkurzaczy, szczekających psów, kłótni, tłuczonego szkła, ulicy, monet, automatów do gier czy skrzypiącego materaca, pojawiające się w muzyce pop, powoli przestajemy zwracać uwagę. Nie traktujemy już tych przypadkowych elementów naszego realnego otoczenia dźwiękowego jako obcych czy intruzów w muzyce, jak było to ponad wiek temu, gdy Edison wynalazł fonograf. A może przypadek przemycany jest do muzyki coraz subtelniej? Nawet jeżeli nie zdajemy sobie sprawy, słuchamy przypadku w muzyce częściej, niż nam się wydaje. Wygląda nawet na to, że chyba nam się podoba. ©

Autorka jest dziennikarką OFF Radia Kraków.

Cuda raz na miesiąc

JEAN-PIERRE LASOTA, FIZYK:

Bałagan w kuchni sam nie zniknie, takie rzeczy nie dzieją się przypadkowo. Ten smutny fakt pozwala nam zrozumieć kierunek czasu.

KAROLINA GŁOWACKA: Jeśli czasoprzestrzeń się zakrzywia, to... czy może się zakrzywić o 180 stopni? I na przykład czas zacząłby biec w drugą stronę?

JEAN-PIERRE LASOTA: To ciekawe pytanie. Wielki logik i matematyk Kurt Gödel zrobił w 1949 roku swojemu starszemu przyjacielowi Albertowi Einsteinowi niezwykły prezent urodzinowy: znalazł rozwiązanie jego równań ogólnej teorii względności opisujące obracający się wszechświat. Otóż w tym wszechświecie Gödla czas może zacząć biec w drugą stronę – inaczej mówiąc, można zawrócić w przeszłość. Przy czym nie miało to nic wspólnego z zakrzywieniem czasoprzestrzeni.

To nie był chyba zbyt fortunny prezent urodzinowy dla Einsteina.

Istotnie, napisał, że jest tym rozwiązaniem „zaniepokojony". Zabawne, że chyba mu Gödel nic o swoim rozwiązaniu uprzednio nie opowiadał – była to prawdziwa niespodzianka urodzinowa. A przecież często razem spacerowali. Einstein mawiał nawet, że chodzi w Princeton do Instytutu Badań Zaawansowanych wyłącznie po to, by mieć przywilej powrotu do domu z Gödlem. Jest kilka zdjęć pokazujących tych dwóch – tak różnych – geniuszy idących ścieżką w Princeton.

Skoro jest takie rozwiązanie, to dlaczego tak się nie dzieje? Dlaczego czas nie zawraca, nie zbliżamy się znów do Wielkiego Wybuchu ani nikt nie młodnieje, a ja nigdy nie poznam Einsteina?

No właśnie. Einstein był wprawdzie zaniepokojony, że jego równania dopuszczają takie rozwiązania, ale uważał, że są one niefizyczne – nie przedstawiają rzeczywistego wszechświata. To jest dosyć trudna sprawa. We wszechświecie Gödla nie ma przyczynowości. Wspomniałaś o młodnieniu, ale to pół biedy. Dramat polega na tym, że można by udać się w przeszłość po to, by zmienić przyszłość, a to nie ma sensu. Ktoś mógłby na przykład udać się w przeszłość i zabić swojego dziadka, ale wtedy uniemożliwiłby swoje narodziny, a co za tym idzie: swoją podróż z przyszłości w przeszłość.

Istotnie, kłopotliwe.

Co może być niepokojące, to fakt, że równania dopuszczają takie bezsensowne rozwiązania; że nie ma w teorii czegoś, co by je z góry wykluczało. Z drugiej strony trzeba pamiętać, że same rozwiązania nie dają pełnego opisu, muszą być uzupełnione na przykład warunkami początkowymi, to znaczy konkretnymi wartościami. A problem warunków początkowych wszechświata jest jeszcze nierozstrzygnięty.

Czyli czas biegnie w jedną stronę i tak musi być?

To jest pytanie o tak zwaną strzałkę czasu. Problem polega na tym, że czas ma kierunek, ale prawa fizyki są symetryczne w czasie. Równania dynamiki, czy to newtonowskiej, czy to einsteinowskiej, nie wyróżniają kierunku czasu. To samo dotyczy równań Maxwella. Zgodnie z tymi równaniami można czas „zawrócić", tak jakby puścić film od tyłu, bo nic tego nie zabrania. Zresztą łatwo otrzymać rozwiązania równań, które rozchodzą się w przeszłość, do tyłu w czasie. Wyobraź sobie, że przyleciałaś na jakąś planetę i spotykasz na niej bardzo inteligentne stwory, ale zupełnie do nas niepodobne. Chcesz im pokazać życie na Ziemi, na przykład wielkie miasto, na przykład Warszawę, i przez pomyłkę puszczasz film od tyłu. Czy ci twoi kosmici spostrzegliby twoją pomyłkę?

Kurt Gödel i Albert Einstein, Princeton, 1954 r.

ALAMY STOCK PHOTO / BEW

No nie wiem, ludzie chodziliby do tyłu...

A skąd kosmici wiedzieliby, że ludzie powinni chodzić do przodu? Jedyna rzecz, która mogłaby zwrócić uwagę i wzbudzić podejrzenia, to jakiś wypadek. Powiedzmy, że na filmie widać byłoby wybicie szyby. W filmie puszczonym wstecz odłamki szkła układałyby się z powrotem w szybę. Nie jest to niezgodne z prawami fizyki, ale prawdopodobieństwo takiego zdarzenia jest bardzo małe. Weźmy klasyczny przykład. Masz zbiornik z przegrodą, która oddziela część zbiornika wypełnioną gazem od części pustej. Otwierasz przegrodę i gaz po pewnym czasie wypełnia całe naczynie.

To jasne.

Tak, to jest jasne i oczywiste. Ale równania opisujące ruch pojedynczych cząsteczek gazu nie zabraniają im zgromadzenia się znowu tylko w połowie naczynia. A tego nigdy nie obserwujemy. Dlaczego?

No bo trudno sobie wyobrazić, żeby tyle cząsteczek nagle zaczęło się poruszać bez powodu w tym samym kierunku.

Tak, chcesz pewnie powiedzieć, że to bardzo mało prawdopodobne. I masz rację. Jeśli masz do czynienia z układem zupełnie nieuporządkowanym, jest bardzo mało prawdopodobne, że się sam uporządkuje. Zajrzyj do swojej torebki. Istnieje ekstremalnie mała szansa, że porządek zrobi się sam, ale nie liczyłbym na to.

Czy to znaczy, że kierunek strzałki czasu jest związany z prawdopodobieństwem?

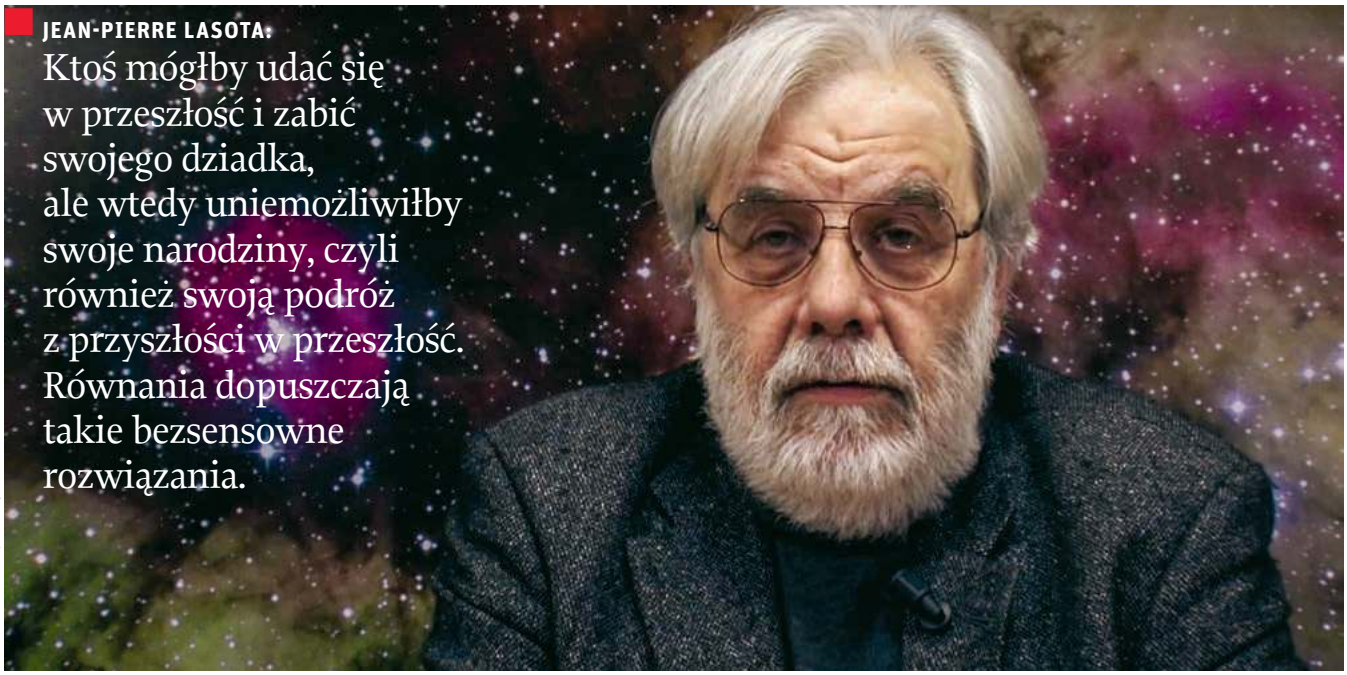

JEAN-PIERRE LASOTA:
Ktoś mógłby udać się w przeszłość i zabić swojego dziadka, ale wtedy uniemożliwiłby swoje narodziny, czyli również swoją podróż z przyszłości w przeszłość. Równania dopuszczają takie bezsensowne rozwiązania.

EDITIONS ODILE JACOB / YOUTUBE

Chodzi tu o właściwości statystyczne i głównym pojęciem jest tu statystyczna wielkość zwana entropią, która jest miarą nieuporządkowania elementów jakiegoś układu. Miara ta jest związana z prawdopodobieństwem. Im większy porządek, tym mniejsza entropia. Druga zasada termodynamiki głosi, że entropia nigdy nie maleje. Statystycznie szklanki się raczej tłuką, niż sklejają samorzutnie z rozbitych kawałków. To wyznacza kierunek czasu.

To znaczy, że entropia zawsze rośnie? Że bałagan może być tylko większy?

Entropia nigdy nie maleje. Są więc układy fizyczne, w których kierunek czasu jest wyróżniony przez zmiany entropii. To znaczy, że jest wyznaczony statystycznie. Żyjemy w świecie, w którym entropia wzrasta.

Czyli porządek naszego wszechświata maleje?

Jak już wspominałem, z narodzinami wszechświata mamy kłopoty, ale hipoteza początkowego wszechświata z niską entropią wydaje się rozsądna.

Nie jest to związane z tym, że wszechświat się rozszerza?

A wiesz, że nie wiem... Nie bardzo widzę, jak ekspansja w skali wszechświata może wpływać na zachowanie gazu w naczyniu, ale to nie znaczy, że to niemożliwe.

Mało prawdopodobne to nie znaczy niemożliwe?

Nie. Jest nawet tak zwane prawo o cudach angielskiego matematyka Johna Littlewooda. Zdefiniował on cud jako zdarzenie, którego prawdopodobieństwo zajścia równe jest jeden na milion.

Chyba można się z taką definicją zgodzić, choć to trochę ogranicza pojęcie cudu.

Pewnie tak, ale tu chodzi o matematykę, definicja musi więc być ścisła. Twierdzenie Littlewooda mówi, że w ciągu życia przeciętnej osoby cud zdarza się mniej więcej raz na miesiąc.

Niemożliwe!

No to posłuchaj dowodu, który jest bardzo prosty. W czasie gdy jesteśmy aktywni, to znaczy obudzeni i wykonujemy jakieś czynności, powiedzmy dziesięć godzin dziennie, mniej więcej co sekundę widzimy i słyszymy jakieś zdarzenie. Czyli całkowita liczba zdarzeń, które rejestrujemy dziennie, wynosi ok. 36 tysięcy, a więc milion miesięcznie. Olbrzymia większość tych zdarzeń jest bez znaczenia, ale ponieważ prawdopodobieństwo cudu wynosi jeden na milion, możemy się go spodziewać średnio raz na miesiąc.

© Rozmawiała KAROLINA GŁOWACKA

PROF. JEAN-PIERRE LASOTA jest fizykiem teoretykiem i astrofizykiem, autorem ponad 250 prac naukowych i kilku książek. Profesor honorowy w Instytucie Astrofizyki w Paryżu i profesor zwyczajny w Centrum Astronomicznym im. Mikołaja Kopernika PAN w Warszawie. Przez wiele lat kierował Wydziałem Astrofizyki Relatywistycznej i Kosmologii Obserwatorium Paryskiego i był doradcą naukowym prezesa francuskiego Narodowego Centrum Badań Naukowych. Pracował w komitetach nadzorujących budowę i działanie detektora fal grawitacyjnych Virgo. Mieszka z żoną w Paryżu i Warszawie. Podczas festiwalu wygłosi wykład „Przypadki chodzą po fizykach".

▪ Fragment wywiadu Karoliny Głowackiej z profesorem Jeanem-Pierre'em Lasotą pochodzi z ich wspólnej książki „Czy Wielki Wybuch był głośny?" (Warszawa 2017). Dziękujemy wydawnictwu Prószyński i S-ka za udostępnienie tekstu.

Gra losu

TOMASZ FIAŁKOWSKI

„Zawsze miałem maniakalny stosunek do tego, co potrafi zdziałać przypadek, koincydencja, ślepy traf czy Los" – tak komentował Stanisław Lem swoją powieść „Katar".

W wydanym w 1976 r. „Katarze" Lem sięgnął – jak kilkanaście lat wcześniej w „Śledztwie" – po konwencję powieści kryminalnej, by swoim zwyczajem wywrócić ją na nice. Rzecz dzieje się w nieodległej przyszłości, amerykański astronauta próbuje odnaleźć sprawcę serii tajemniczych zgonów, które dotknęły zamożnych turystów odwiedzających Neapol i korzystających tam z kąpieli siarkowych. Mamy tu niesamowity klimat – zwłaszcza że bohater po powrocie z orbity czuje się w zmienionym świecie samotny i wyobcowany – mamy intrygującą zagadkę, okazuje się jednak, że nie mamy... mordercy. Czy raczej mamy, ale okazuje się on nieosobowy, jest nim bowiem przypadek.

Jak podsumowuje badacz Lemowego dzieła Maciej Płaza: „Za śmierć łysiejących amerykańskich turystów, leczących się w Neapolu w zakładzie balneologicznym i zajadających się prażonymi migdałami, odpowiadała substancja chemiczna, wytwarzająca się w ich organizmach pod wpływem wielu czynników, których działaniu umyślnie lub przypadkowo się poddawali: leków, słońca, siarki z kąpieli leczniczych, owych migdałów itp. Odpowiednia konfiguracja związków tworzyła depresor, który wywoływał u nich atak gwałtownej paranoi i samobójstwo".

„Katar" jest więc kryminałem, w którym podważona została podstawowa zasada tego gatunku. Nie ma tu zbrodni, więc i nie ma motywów, które pozwoliłyby odkryć jej sprawcę. Co więcej – nie ma finalnego przywrócenia porządku, które prostemu czytelnikowi takich powieści daje poczucie, że światem rządzą jednak pewne reguły i że po wstrząsie, którym jest ich naruszenie, odtwarza się pierwotny ład. W tej powieści ładu nie ma, zastąpił go narastający chaos i natłok przypadkowych zdarzeń – bo jest to także dosyć katastroficzna wizja przyszłości.

Nie miejsce tu, by szerzej rozwijać wątek roli, jaką kategoria przypadku odgrywa w dziele i myśli Lema, w jego widzeniu dziejów cywilizacji i w ogóle życia na Ziemi – a jest to miejsce poczesne (przypomnijmy tytuł jego traktatu teoretycznoliterackiego: „Filozofia przypadku"). Poczucie przygodności istnienia i losowości, która w znacznej mierze decyduje o naszej życiowej drodze, zakorzenione jest przy tym głęboko w jego doświadczeniu. W szkicu autobiograficznym, napisanym przezeń w 1983 r. dla „New Yorkera", czytamy: „Przekonałem się, że różnica między życiem a śmiercią może zależeć od drobiazgów – od wyboru ulicy, którą pójdzie się do pracy, od decyzji, czy przyjaciela odwiedzi się o pierwszej, czy dwadzieścia minut później, od tego, czy drzwi zastanie się otwarte, czy zamknięte".

Ocalenie profesora Rappaporta

Dzisiaj wiemy więcej o tym przeraźliwym wojennym epizodzie. Rządy niemieckie we Lwowie zaczęły się 1 lipca 1941 r. pogromem. W ostatnich dniach sowieckiego panowania NKWD wymordowało więźniów Brygidek – rozkładające się ciała zalegały w piwnicach gmachu, który potem ktoś podpalił. Niemcy oskarżyli o zbrodnię Żydów, ukraińskie bojówki zgarniały z ulic ludzi o semickich rysach, zmuszając ich do wynoszenia trupów. Niespełna 20-letni Lem znalazł się wśród zatrzymanych, potem czekał na egzekucję. Ocalał przez przypadek, po prostu w pewnej chwili Niemcy wstrzymali zabijanie i puścili wolno tych, którzy jeszcze żyli.

Agnieszka Gajewska, autorka książki „Zagłada i gwiazdy", pokazała, że Lem zapisał tę traumę w zupełnie nieoczekiwanym miejscu – w „Głosie Pana", traktacie o badaniach nad tajemniczym sygnałem z Kosmosu. Jego narrator, profesor Hogarth, relacjonuje nam opowieść innej postaci, profesora Rappaporta (charakterystyczne jest to przeniesienie!), o pewnej egzekucji, której „w rodzinnym jego mieście" był on świadkiem i niedoszłą ofiarą. „Samej egzekucji stłoczeni pod murem, który grzał ich plecy jak olbrzymi piec, nie widzieli, ponieważ strzelano za ułomkiem ściany... Zapamiętał młodego człowieka, który przyskoczywszy do niemieckiego żandarma, wołał, że nie jest Żydem – lecz wołał po żydowsku (w żargonie), ponieważ niemieckiego zapewne nie znał. Rappaport poczuł obłąkańczy komizm tej sytuacji i naraz najdroższą rzeczą stało się dlań zachować do końca sprawność umysłu, tę właśnie, która umożliwiła mu zachowanie intelektualnego dystansu do owej sceny". Gdy Wojciech Orliński, biograf Lema, zapytał panią Barbarę Lem, ile z doświadczeń Rappaporta było doświadczeniem jej męża, odpowiedziała lakonicznie: „Wszystko".

O tamtym wydarzeniu pisarz nie mówił, podobnie jak spora część jego przeżyć wojennych stanowiło ono tabu. Chętnie za to przypominał, że przypadek umożliwił w ogóle jego pojawienie się na świecie. Doktor Samuel Lem, wracając pod koniec I wojny światowej z rosyjskiej niewoli, zginąłby niechybnie z rąk bolszewików, a tym samym nie mógłby począć syna, gdyby los nie postawił na jego drodze pewnego fryzjera, który znał dok-

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z serialu telewizji niemieckiej „Ijon Tichy: Raumpilot”

tora ze Lwowa, a teraz w ukraińskim miasteczku był golibrodą bolszewickiego komendanta... Wariacją na wspomniany temat jest jedna z recenzji nieistniejących książek, które składają się na tom „Doskonała próżnia” (1971). Autor recenzowanego dzieła, czeski uczony profesor Kouska, w jego pierwszym tomie, zatytułowanym „De impossibilitate vitae”, dowodzi, że albo z gruntu fałszywa jest teoria prawdopodobieństwa, albo nie istnieje świat ożywiony z człowiekiem na czele.

Teraz starczyłoby przez następne strony cytować tę znakomitą groteskę, zwłaszcza zaś – błyskotliwą analizę ciągu zdarzeń, koincydencji, przypadków i łańcuchów kauzalnych, które doprowadziły do zawarcia związku pomiędzy pewnym lekarzem wojskowym i pewną pielęgniarką, a w konsekwencji – pojawienia się na świecie profesora Kouski. Rozrzut czynników, które wpłynęły na „być albo nie być” profesora, jest niebywale rozległy, obejmuje nie tylko losy wszystkich konkurentów jego ojca do ręki jego matki, ale i wydarzenia polityczne epoki na czele z zamachem w Sarajewie i sięga ostatecznie aż po młodszy eolit. Wtedy to pierwszy paleopitek dopadł czwororęką jeszcze praczłowiekinię i posiadł ją pod drzewem eukaliptusowym rosnącym tam, gdzie dzisiaj w Pradze jest Malá Strana, a wskutek zmieszania się ich chromosomów „powstał ten typ mejozy i to sprzężenie genowych lokusów, które przenosząc się przez następne 30 000 generacji wytworzyło na twarzy panny pielęgniarki ów uśmiech, podobny trochę do uśmiechu Mony Lizy, który oczarował młodego chirurga Kouskę”.

Pomyje z rakietowego wiadra

Szczerze polecam tę lekturę, jak wszystkie groteski Lema niebywale zabawną i odznaczającą się niesłychaną inwencją językową. Radzę przy tym pamiętać, że u Lema tonacja buffo nie oznacza koniecznie, iż sprawy, które przy jej pomocy zostały opowiedziane, są lekkie, łatwe i przyjemne. W „Podróży ósmej” z „Dzienników gwiazdowych” Ijon Tichy uczestniczy – na swoje szczęście tylko w sennej wizji – w sesji Organizacji Planet Zjednoczonych jako delegat Ziemi. A właściwie kandydat na delegata, bo ewentualne członkostwo Ziemi w tej organizacji ma być dopiero rozpatrywane. „Należało oczekiwać przemówień, a ja słowa nie wykrztusiłbym przez spieczone emocją gardło, ujrzawszy więc dużą, lśniącą maszynę z chromowanym szynkwasem oraz małymi szparkami na monety, czym prędzej wrzuciłem jedną, podstawiając zapobiegliwie przygotowany kubek termosu pod kran”. Rzekomy automat z wodą sodową okazał się wprawdzie zastępcą przewodniczącego delegacji tarrakańskiej w pełnej gali, jednak do skandalu nie doszło, bo to właśnie Tarrakanie podjęli się zarekomendowania kandydatury Ziemian...

Rekomendacja okazuje się niezbyt precyzyjna, potem wybucha dyskusja, coraz bardziej burzliwa, a cywilizacja nasza poddana zostaje miażdżącej krytyce. Nie tylko zresztą ona – okazujemy się bowiem produktem czyjegoś niechlujstwa i niefrasobliwości. „Oto przychodzą do nas istoty – grzmi przedstawiciel Erydanu – które nie znają ani ohydy własnej egzystencji, ani też jej przyczyn!... Cóż my możemy im odpowiedzieć wtedy, wszystkim owym wszetekom, potworniaczkom, ohydkom, matkojadom, trupolubom, tępalom, załamującym swoje niby-ręce i padającym z niby-nóg, kiedy się dowiadują, że należą do pseudotypu Artefacta, że doskonałym ich stwórcą był jakiś majtek, który wylał na skały planety martwej – sfermentowane pomyje z rakietowego wiadra, dla uciechy przydając owym żałosnym pierwocinom życia własności, które uczynią je potem urągowiskiem całej Galaktyki! Jakże potem obronią się nieszczęśni, kiedy jakiś Katon wytknie im ich haniebną lewoskrętność białeczną!!”. Jeśli tak miałoby wyglądać celowe działanie u naszych prapoczątków – czyż nie lepszy jednak byłby przypadek? ©℗

Daniel Gilbert na tarasie swojego biura w William James Hall na Uniwersytecie Harvarda. Cambridge, Massachusetts, 2004 r.

Pan od szczęścia

BARTŁOMIEJ KUCHARZYK

Przeceniamy własną wiedzę, a nie doceniamy wpływu przypadku na nasze życie. Może to mieć fatalne konsekwencje.

Dziewiętnastoletni Dan Gilbert mieszka w Denver, Kolorado, właśnie porzucił szkołę średnią, jest żonaty, ma dziecko, pracuje i postanawia zostać pisarzem *science fiction*. Nie radzi sobie jednak z ortografią. Wsiada zatem w autobus i jedzie się zapisać na kurs pisania w *community college*. Okazuje się, że miejsca się skończyły. Podróż była dość długa, pyta więc, jakie kursy są jeszcze otwarte. „Psychologia" – słyszy w odpowiedzi. Słowo to kojarzy mu się z wariatami, a ci mogliby pojawić się w którymś z jego przyszłych opowiadań.

Dzisiaj profesor Daniel Gilbert jest jednym z najbardziej znanych, a jednocześnie najbardziej cenionych psychologów-naukowców na świecie. Pracuje na Uniwersytecie Harvarda, publikuje m.in. w „The New York Times", „The Los Angeles Times" i „Forbesie", jest gwiazdą konferencji TED. Jego książka „Na tropie szczęścia" została przetłumaczona na ponad 30 języków. Prowadził nawet program popularnonaukowy w telewizji PBS. A co najważniejsze – jego opowiadania pojawiły się w magazynach takich jak „Asimov's Science Fiction" czy „Amazing Stories". Wygląda na to, że autobus dojechał w odpowiednie miejsce.

Mentalny system odpornościowy

Nastoletniemu Danowi prawdopodobnie trudno było to sobie wyobrazić. Jak udowadnia prof. Gilbert w swoim bestsellerze, błędy i tendencje percepcyjne oraz poznawcze sprawiają, że ludzie kiepsko przewidują przyszłość – nie wiedzą zwłaszcza, co ich uszczęśliwi lub unieszczęśliwi. Wyobraźnia zawodzi nas na kilka sposobów. Po pierwsze, nasze scenariusze przyszłości mogą nie zawierać kluczowych szczegółów, albo przeciwnie – zawierać szczegóły fałszywe. Po drugie, w naszym umyśle zarówno przyszłość, jak i przeszłość są bardziej niż w rzeczywistości podobne do teraźniejszości. Po trzecie, trudno nam sobie wyobrazić, że gdy coś faktycznie się zdarzy, możemy to odczuć inaczej, niż nam się wydaje. Dotyczy to również, a może przede wszystkim, zdarzeń niekorzystnych. Mentalny system odpornościowy („złudzenia, które pozwalają żyć") redukuje ból psychiczny. Psychologia okazała się być nauką nie o „wariatach", tylko o nas wszystkich.

Jednym z najsilniejszych złudzeń ludzkiego umysłu jest tzw. efekt pewności wstecznej (wiedzy po fakcie), nazywany też złudzeniem „wiedziałem, że to się zdarzy", który u nas doczekał się nawet własnego powiedzenia („mądry Polak po szkodzie"). Wiedząc co się stało, sprawnie tworzymy narracje mówiące, jak do tego doszło. Pobrzmiewa w nich nieuniknioność. Nie doceniamy ignorancji naszych dawniejszych „ja". Psychologowie nie są tu wyjątkiem.

Baruch Fischhoff przedstawił grupie psychologów historię choroby pewnego pacjenta, którego poddano określonej psychoterapii. Mieli oni ocenić prawdopodobieństwo czterech rodzajów skutków leczenia. Cztery inne grupy psychologów słyszały tę samą historię, ale uzupełnioną o zakończenie. Grupie pierwszej mówiono, że wystąpił skutek nr 1, grupie drugiej – skutek nr 2 itd. Psychologów z tych czterech grup pytano, za jak prawdopodobny uznaliby wcześniej skutek, który ostatecznie wystąpił. Podawali oni wartości znacznie wyższe niż ich koledzy, którym skutku nie zdradzono. Dla każdej grupy przewidywanie okazało się bardzo łatwe. Problem w tym, że każda „przewidziała" co innego. Identyczne wyniki przyniósł eksperyment z udziałem lekarzy.

Przeceniamy własną wiedzę, a nie doceniamy wpływu przypadku i trafu (nazywanego też, *nomen omen*, szczęściem) na wydarzenia, a zwłaszcza na nasze życie. Może to być fatalne w skutkach. Złudzenie pewności wstecznej wyjaśnia na przykład, dlaczego zdarza się nam obwiniać ofiary przestępstw.

Przewidywanie własnych emocji może być jeszcze trudniejsze niż przewidywanie zdarzeń. Nie pomaga fakt, że o ile zdarza nam się przyznać, iż nie wiemy, co się stanie, o tyle jesteśmy mocno przekonani, że wiemy, czego chcemy, a czego nie będziemy w stanie znieść.

Przełom w pracy badawczej Gilberta nastąpił we wczesnych latach 90. W życiu prywatnym nie miał wtedy najlepszej passy. Rozwiódł się, zmarło jedno z jego rodziców, zmarł jego mentor, pokłócił się z najlepszym przyjacielem, a jego syn miał poważne kłopoty. I ze zdziwieniem zauważył, że czuje się całkiem dobrze. Niemal każdego dnia zdarzały się miłe chwile.

Do głowy przyszły mu dwie hipotezy. Zgodnie z pierwszą byłby człowiekiem bez serca. Według drugiej nie był może szczęśliwy, ale czuł się znacznie lepiej, niż sądziłby myśląc o takim losie w przeszłości. Jako naukowiec postanowił sprawdzić te hipotezy eksperymentalnie.

Wspólnie z Timem Wilsonem przeprowadzili serię badań nad dwiema ściśle związanymi kwestiami: jak dobrze przewidujemy własne przyszłe reakcje emocjonalne i, jeśli nie najlepiej, czy przeszacowujemy ich siłę, czy raczej jej nie doceniamy. Na gubernatora Teksasu kandydował akurat niejaki George W. Bush. Osoby na niego głosujące stanowczo twierdziły, że będą znacznie szczęśliwsze, jeśli wygra. Miesiąc po wyborach Demokraci i Republikanie byli jednak równie zadowoleni.

Na błędach w przewidywaniu emocji trudno się przy tym uczyć. Trzeba by pamiętać swoje prognozy, obserwować swoje doznania i porównywać jedne z drugimi. Ludzki umysł rzadko ma na to wolne zasoby poznawcze. Prognoz afektywnych często nie pamiętamy, a raczej „pamiętamy" je błędnie. To kolejny przykład złudzenia „wiedziałem, że to się zdarzy". Błędy wymazujemy, niekoniecznie świadomie. ↦

DANIEL GILBERT jest profesorem psychologii na Uniwersytecie Harvarda, popularyzatorem nauki i publicystą m.in. „New York Times" i „Time". Jeden z najbardziej znanych badaczy zjawiska prognozowania afektywnego (tego, w jaki sposób przewidujemy emocjonalne konsekwencje przyszłych wydarzeń), wnioskowania społecznego (jak postrzegamy i rozumiemy działania innych osób) i podejmowania decyzji (m.in. biorąc pod uwagę prawdopodobieństwo zajścia pewnych zdarzeń w przyszłości). W 2014 roku magazyn „Science" zaliczył go do grona 50 najbardziej wpływowych naukowców w mediach społecznościowych. Podczas festiwalu wygłosi wykład „Szczęście/Szczęście".

RICK FRIEDMAN / GETTY IMAGES

Nie bez znaczenia jest też to, jak pamiętamy swoje odczucia. Zdarza się, że „pamiętamy” stan, który wcześniej przewidywaliśmy. Ludzie wracający z wakacji są często bardziej zadowoleni niż w ich trakcie. Myśleniem retrospektywnym i prospektywnym rządzą podobne mechanizmy.

Modele naszej przyszłości

Gilbert promuje w związku z powyższym oryginalną ideę. Jego zdaniem, zamiast zapamiętywać, wyobrażać i przypominać sobie (a więc stosować symulacje mentalne i monitorować własne doświadczenia), warto potraktować innych ludzi jako modele naszej przyszłości. Wbrew zaletom uczenia się na cudzych błędach i sukcesach robimy to jednak rzadko. Niechętnie myślimy o losie ludzi, którzy są lub byli w podobnej do naszej sytuacji. Być może czujemy się na to zbyt wyjątkowi.

A jednak to właśnie wzorce w ludzkim myśleniu, odczuwaniu i zachowaniu sprawiają, że psychologia naukowa może mieć sens. Różnimy się poglądami, zdolnościami czy osobowością, ale mechanizmy percepcji, uwagi czy pamięci mamy podobne; może tylko u niektórych bywają nieco sprawniejsze. Zbliżone doświadczenia sprawiają nam przyjemność, a określone bodźce niemal zawsze wywołują cierpienie. Mózgowy system odczuwania zadowolenia (tzw. układ nagrody) łączy nas nie tylko jako ludzi, ale też z wieloma innymi gatunkami zwierząt.

> Na szczęście przeważnie się natykamy. Przychodzi w postaci namiastki. W naszych narracjach wydaje się ono jednak wynikać niemal logicznie z naszych działań.

Zachodnia kultura promuje ambicję, stawianie celów i indywidualizm. Tymczasem być może moglibyśmy być szczęśliwsi, twierdzi prof. Gilbert, ucząc się szczęścia od siebie nawzajem.

Nie robiąc tego i nie będąc mistrzami prognoz afektywnych, na szczęście się przeważnie natykamy. Przychodzi ono w postaci namiastki. Kolejne ludzkie zwyczaje poznawcze (tendencja konfirmacyjna, heurystyka dostępności, potrzeba kauzalności itp.) powodują jednak, że w naszych narracjach wydaje się ono wynikać niemal logicznie z naszych działań.

Niechętnie zostawiamy w tych historiach miejsce na przypadek. Owszem, niezależnym od nas (a w każdym razie od naszych zdolności) i przemijającym przyczynom przypisujemy nasze porażki. Domniemanymi rodzicami sukcesu są natomiast inteligencja oraz inne cechy stabilne i wewnętrzne. Przejście od „mieć szczęście” do „być szczęśliwym” jest banalne, ale tylko na poziomie językowym, nie psychologicznym.

© BARTŁOMIEJ KUCHARZYK

Autor jest psychologiem i prawnikiem, członkiem Centrum Kopernika i dyrektorem wykonawczym Copernicus Festival.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Poprzednie edycje Copernicus Festival

Dziesiątki filmów z nagraniami wydarzeń poprzednich edycji Copernicus Festival znaleźć można na kanale youtube.com/copernicuscenter. Wśród nich wykłady gwiazd festiwalu:

The Origins of Moral (and Immoral) Sentiments
Karen Wynn
copernicusfestival.com/wynn

Przeciw empatii
Paul Bloom
copernicusfestival.com/bloom

Dziwny porządek rzeczy
Antonio Damasio
copernicusfestival.com/damasio

Znaczenie interpretacji w fizyce
Krzysztof Meissner
copernicusfestival.com/meissner

The Origin of Structure and Beauty in the Universe
Julian Barbour
copernicusfestival.com/barbour

Czy piękno jest po stronie dobra i wolności?
Stefan Chwin
copernicusfestival.com/chwin

Wszechświat przemyśliwany na nowo
Anna Wierzbicka
copernicusfestival.com/wierzbicka

Geniusze Wszechświata
Michał Heller
copernicusfestival.com/heller

/CopernicusCenter

MATERIAŁY PRASOWE

Bogusław Linda w „Przypadku" Krzysztofa Kieślowskiego, 1987 r.

Reżyserowanie przypadku

ANITA PIOTROWSKA

Już od czasów „Poetyki" Arystotelesa wiadomo, że w historii opartej na fikcji przypadek to jeden z bardziej nośnych wehikułów narracyjnych.

Kino jest nieślubnym dzieckiem przypadku – choć niejeden twórca czy osoba ciężko pracująca przy realizacji filmu obruszyliby się na to stwierdzenie. Cała wszak machina produkcyjna musi być doskonale naoliwiona i działać zgodnie z żelaznym harmonogramem. Jedynie twórcy kina dokumentalnego, a zwłaszcza tej jego odmiany, która oparta jest na obserwacji realnego bohatera czy zdarzenia, zakładają szeroki margines dla sytuacji nieprzewidywalnych. Przy filmie fabularnym jest on już znacznie mniejszy i dopuszcza przede wszystkim twórczą improwizację. Za to w anegdotach z planów filmowych aż roi się od niespodziewanych zdarzeń, które nagle zmieniały bieg rzeczy, wpływając na ostateczny kształt danej sceny czy całego filmu, nie zawsze pozytywnie. Jedną z takich czarnych legend utrwalił głośny dokument „Zagubiony w La Manchy" – fascynujące studium przypadku na różne sposoby sabotującego powstanie filmu Terry'ego Gilliama „Człowiek, który zabił Don Kichota".

Jednakże związki przypadku i filmu fabularnego są znacznie głębsze, bardziej organiczne, zanurzone w samych początkach procesu kreacji. Już od czasów „Poetyki" Arystotelesa wiadomo, że w historii opartej na fikcji przypadek to jeden z bardziej nośnych wehikułów narracyjnych. Jeśli historia jest opowiedziana przekonująco, potrafi uwiarygodnić każdy, nawet najmniej prawdopodobny zbieg okoliczności. Uruchamiająca ciąg zdarzeń koincydencja jest tak naprawdę jedną z konwencji, które akceptujemy (lub nie) zgodnie z regułami filmowego gatunku czy określonym światopoglądem. Inaczej pracuje przypadek w kreskówce dla dzieci, inaczej w komedii, a jeszcze inaczej w melodramacie czy w kryminale *noir*. Irracjonalny potencjał przypadku w inny sposób będzie interpretował sceptyk, a inaczej człowiek religijny. Tam, gdzie pierwszy zobaczy ślepy traf, drugi dostrzeże działanie opatrzności. W takich filmach, jak „Samotność liczb pierwszych" (2010) Saverio Costanza splatanie się losów głównych bohaterów można odczytywać zarówno wedle praw fizyki, jak i metafizyki.

Automatyczne zamykanie drzwi

Dla scenarzysty filmowego operowanie przypadkiem jest miarą narracyjnych umiejętności. Jak trafnie zauważa amerykański filmoznawca David Bordwell, całkowite oddanie historii we władanie przypadkowych zwrotów akcji mogłoby sprawić, że nie bylibyśmy w stanie ↦

↦ zbudować jakichkolwiek oczekiwań wobec tego, co się wydarzy na ekranie. A bez nich nasze kognitywne i emocjonalne zaangażowanie byłoby minimalne. W dobrze skonstruowanym opowiadaniu filmowym to, co przypadkowe i niespodziewane, powinno bowiem rozbudzać ciekawość, budować napięcie i nadawać historii dynamikę. Od zarania kina twórcy filmowi wykorzystywali więc przypadek jako narracyjny punkt zapalny, by wymienić klasycznych „Złodziei rowerów" (1948) Vittoria de Siki. Inni, jak choćby Michelangelo Antonioni w „Powiększeniu" (1966), budowali wokół przypadku intelektualne konstrukcje, a jeszcze inni, jak David Lynch w „Mulholland Drive" (2001), zapraszali do wejścia w inne wymiary rzeczywistości.

Schemat jest zwykle podobny: kamyczek, który pociąga za sobą lawinę, nieoczekiwane spotkanie dwojga ludzi, które odmienia ich życie, niechcący podsłuchana rozmowa, która okazuje się brzemienna w skutkach – kino uwielbia takie „cudowne" zrządzenia losu, będące synchronizacją w czasie i przestrzeni reżyserowaną przez tajemniczą rękę. „Efekt motyla" jako metafora teorii chaosu okazał się niezwykle atrakcyjną formułą wyrażającą na ekranie wątpliwości i lęki człowieka ponowoczesnego, coraz bardziej zanurzonego w wirtualności i nastawionego na komunikację interaktywną (patrz: „Donnie Darko" (2001) Richarda Kelly'ego, „Babel" (2006) Alejandra Gonzáleza Iñárritu czy „Mr. Nobody" (2009) Jaco van Dormaela). Filmy pokazujące, w jaki sposób drobny przypadek może generować różne warianty ludzkiego losu, stały się w nowym milenium osobnym podgatunkiem. Zawarta w wielu z nich koncepcja „co by było, gdyby" podsuwała bohaterom wymienne scenariusze, tworząc świat przedstawiony na podobieństwo ogrodu o rozwidlających się ścieżkach.

Ciężar gatunkowy tych „gdybań" bywa różny. Na przykład Peter Howitt w „Przypadkowej dziewczynie" (1998) sięgnął do komedii romantycznej, Tom Tykwer w „Biegnij, Lola, biegnij" (1998) po dynamiczne kino akcji, a Woody Allen w „Melindzie i Melindzie" (2004) po filozofujący komediodramat. Oryginalny tytuł pierwszego z wymienionych filmów brzmi „Sliding Doors", czyli „automatycznie zamykane drzwi", bo to właśnie od nich (od tego, czy bohaterka zdąży wskoczyć do metra, zanim drzwi się zasuną) zależy, w którą stronę skręci jej dalsze życie. W filmie Tykwera historia Loli, która w ciągu dwudziestu minut musi dostarczyć ukochanemu pieniądze, bo tylko w ten sposób może uratować go od śmierci z rąk gangsterów, rozwidla się na trzy możliwości. Albo na „trzy życia" – jak pisał Slavoj Žižek, porównując film do gry komputerowej, w której przebieg każdego z tych „żyć" uzależniony jest od przypadkowych interakcji bohaterki z mijanymi ludźmi. Przygodny charakter naszej egzystencji wyłania się także z filmu Allena, w którym czwórka pisarzy bawi się losami tytułowej Melindy, by wykazać, jak niewiele czasem trzeba, by trajektoria ludzkiego żywota zmieniła swój kierunek. By tragedia zamieniła się w komedię lub *vice versa*.

> To jedyna realna wersja losu Witka – pozostałe dwie były jedynie historiami hipotetycznymi, opowiedzianymi w trybie warunkowym.

Dziedzictwo Kieślowskiego

Oczywiście, większość spośród wspomnianych wyżej twórców to dłużnicy Krzysztofa Kieślowskiego. Powstały w 1981 roku film „Przypadek" dostarczył bowiem nie tylko sugestywnego fabularnego schematu, ale przede wszystkim interpretacyjnej wieloznaczności, zmuszając do zastanowienia się nad rolą przypadku, przeznaczenia i moralnych wyborów w kształtowaniu indywidualnej ludzkiej historii. Przedstawiając trzy wersje życia studenta medycyny w komunistycznej Polsce, Kieślowski dotykał czegoś więcej niż moralnych dylematów. Film, kręcony pod koniec lat siedemdziesiątych, w przekorny sposób kwestionował pełną suwerenność ówczesnych wyborów politycznych i sztywność politycznych podziałów. Wskazywał na to, co wymyka się jakiejkolwiek kontroli, co od początku do końca pozostaje nieprzewidywalne i niepewne.

Witek, bohater filmu grany przez Bogusława Lindę, staje się kolejno partyjnym aparatczykiem, zaangażowanym opozycjonistą i człowiekiem apolitycznym, a przy okazji ateistą, nawróconym chrześcijaninem bądź człowiekiem religijnie indyferentnym. Na każdą z tych dróg wkracza nie tyle z własnej woli, co pod wpływem splotu przypadkowych zdarzeń. W zależności od tego, czy zdąży na pociąg z Łodzi Fabrycznej do Warszawy, jego życiorys zrealizuje się wedle innego wzoru, a napotkani ludzie staną się albo ważnymi bohaterami jego życia, albo tylko jego przelotnymi statystami. Kieślowski konstruuje postać Witka tak zmyślnie, że w każdym z tych wcieleń pozostaje on właściwie taki sam: wchodząc w dorosłość stara się być porządnym człowiekiem i wypełnić przedśmiertne przesłanie swego ojca: „nic nie musisz". Ale w filmie pojawia się

Franka Potente jako Lola w „Biegnij, Lola, biegnij" Toma Tykwera, 1998 r.

MATERIAŁY PRASOWE

także zupełnie inny przekaz, który najlepiej streszcza porzekadło: „co ma być, to będzie". Finał, w którym bohater „Przypadku" ginie w katastrofie lotniczej, ma w sobie coś z ironii losu. Bo gdy życie Witka wskoczyło wreszcie na właściwy tor, zostaje przerwane przypadkową śmiercią. Okazuje się też, że jest to jedyna realna wersja losu Witka – pozostałe dwie, niezakończone przedwczesną śmiercią, były jedynie historiami hipotetycznymi, opowiedzianymi w trybie warunkowym i zwizualizowanymi w przedśmiertnym rozbłysku jaźni.

„Ja mam życie w prezencie" – mówi jedna z bohaterek „Przypadku". Starsza pani, której lekarze dawali trzy lata życia, a z nieznanych powodów udało jej się przeżyć już dwanaście, wierzy bowiem w czuwającą nad nią boską łaskę. Film Kieślowskiego nie podziela tej wiary. Jest raczej tragiczny w swej wymowie, bo sugeruje, iż wszystkim rządzi ślepy determinizm (jakkolwiek to, kim jesteśmy jako ludzie, w wymiarze moralnym zależy w dużym stopniu od nas samych). „Czy ktoś pisze scenariusz naszego życia?" – zastanawiała się po latach Annette Insdorf w książce o kinie polskiego reżysera zatytułowanej „Podwójne życie, powtórne szanse". Ale dopiero w swoim kolejnym filmie fabularnym, „Bez końca" (1984), którego scenariusz napisał wraz z Krzysztofem Piesiewiczem, Kieślowski wszedł na dobre w rejony metafizyki. W „Podwójnym życiu Weroniki" (1991) czy w „Trzech kolorach" (1993-94) przypadek nie był już bezsensowną siłą, lecz częścią pomyślanego „gdzieś wyżej" planu.

Co ciekawe, sam Kieślowski nie był do końca zadowolony z „Przypadku". Uważał, że zastosowany w nim fabularny koncept jest zbyt mechaniczny, a kiedy film był niemal gotowy, przerwał pracę na kilka miesięcy, by potem radykalnie poprzestawiać narracyjne klocki. Wspomniany już Žižek zarzucał reżyserowi, że gra on przypadkiem w sposób sztuczny i niezdarny. Znacznie wyżej oceniał pod tym względem film „Biegnij, Lola, biegnij", choć jednocześnie przyznawał, że to właśnie Kieślowski przy pomocy medium bardzo tradycyjnego podjął próbę opisania doświadczenia człowieka współczesnego – „uwięzionego w rzeczywistości", choć przeczuwającego istnienie innych jej wariantów.

© ANITA PIOTROWSKA

EUYASIK / WIKIPEDIA

Buchara, Uzbekistan. Tu zmierzał Ibn Neishavazi.

Fatum

ŁUKASZ LAMŻA

Gdy brunatne opary dosięgały nozdrzy alchemika, ten oglądał rzeczy niezwykłe i wspaniałe, rzeczy zwykłe i przewidywalne, rzeczy zrozumiałe i niewyobrażalne – zawsze jednak niewątpliwie rzeczy przyszłe.

Tylko trzech ludzi poznało konsekwencje czynów. Losy ich zbadał Maurice Longchamps, paryski antykwariusz, który po latach zgłębiania tej historii opisał je w swojej skromnej broszurze, fatalnie zatytułowanej „Dzieje grzechu", wydanej w zaledwie stu egzemplarzach *in octavo* nakładem Drukarni Honoré de Guillot i Synowie, Paryż 1904.

Utrącony sztylet Ibn Neishavaziego

Pierwsza opowieść Longchampsa rozpoczyna się od nieznanej z nazwiska dziewczyny, której perski podróżnik Ibn Neishavazi poświęcił krótki, poetycki rozdział swojej „Księgi drogi". W niewielkiej wsi oddalonej o parę mil od szlaku do Buchary Neishavazi nakazał chłopom napoić konie i zasiadł ze starszyzną, aby posłuchać ich opowieści. Po dłuższym czasie, kiedy z rosnącym zniecierpliwieniem, ale wciąż uprzejmie słuchał tych samych legend i narzekań, które słyszał już tak wiele razy, starcy niechętnie odesłali ciekawskiego przybysza do dziewczyny, na którą wołano Aisha.

Neishavazi przywykł do spotykania wszelkiej maści wróżów, widzących jasno i daleko, zarośniętych kobiet śmierdzących potem i uryną, i wywracających oczami epileptyków, którzy z kuglarską zręcznością chwytali rzucone im po seansie denary. Tym bardziej zaskoczyła go ta dziewczyna o twarzy oszpeconej bliznami ↦

↦ po ospie, która skromnie pochyliła oczy, zamiast chytrze zerkać na końskie juki i wzory na tkaninach, by podstępnie odgadnąć kraj jego pochodzenia. Dziewczyna, jak to sama w końcu przekazała przez zażenowanego tłumacza, od czasu do czasu potrafiła dojrzeć rozwijający się przed nią, jak samarkandzki dywan, kobierzec konieczności. Czasem, gdy zamyśliła się, wpatrując w migoczące światło strumienia, przed jej oczami stawały odległe miasta, nieznajome twarze, jakiś obtłuczony garniec z łojem, a także przedziwne sprzęty, przypominające skrzynie na posag, raz lśniące i kanciaste, a raz matowe i obłe. Ponieważ jednak nie potrafiła ich nazwać, nie potrafiła też ich ani wyrazić, ani zrozumieć, ten przedziwny dar z czasem poszarzał i spowszedniał.

Teraz Aisha widywała jedynie przyszłość rzeczy otaczających ją, jednak przyszłość ta w niczym nie różniła się od teraźniejszości i przeszłości – bo jakże miałaby poznać, czy to niekończące się następstwo słońca i deszczu, rodzącego się i umierającego bydła oraz chat naprzemiennie płonących i mozolnie odbudowywanych należy do przeszłości, czy przyszłości? Miejscowi nie chodzili do niej po radę, bo zapytana o deszcz albo słabnącą rogaciznę, Aisha wzruszała ramionami, widząc tylko ten niekończący się strumień suszy i urodzaju, życia i śmierci.

Ibn Neishavazi, przyjaciel filozofów i biesiadnik sułtanów, wykazał większe zainteresowanie tą prostą dziewczyną niż jej pobratymcy. Najpierw bezskutecznie próbował dowiedzieć się, czy Allah zechciał sprowadzić na nią odłamek swego boskiego światła i ujawnić jej choćby rąbek tkaniny jego własnego losu. Na próżno. Wiedziony niezrozumiałym impulsem, poprosił starców o możliwość wybrania się z dziewczyną nad rzekę, nad którą – jak twierdziła onieśmielona dziewczyna, najpierw lękając się nahaja, a potem już tylko tych jasnych, uczciwych, wyczekujących oczu przybyłego z daleka mężczyzny – szczególnie często zdarzało jej się, pośród błysków falującej wody, dostrzec rzeczy, które miały dopiero nastąpić.

I to wtedy, gdy siedli nad rzeką, udało się wydobyć z dziewczyny tkwiące w niej światełko, choć stojący nieopodal mężczyźni z wioski z każdą chwilą przyglądali się im z coraz większym zniecierpliwieniem. W pewnym momencie, gdy Neishavazi bezwiednie wyciągnął zza pasa swój ostry *pesh-kabz* i nieuważnie wwiercał się jego czubkiem w małą dziurkę w wilgotnym otoczaku, słońce odbiło się ostro od płaza sztyletu i oślepiło na krótką chwilę dziewczynę. Ta zmrużyła oczy, po czym odwróciła głowę i wbiła wzrok w oczy mężczyzny, by po kilku chwilach wymamrotać, jakby wbrew swej woli: „Nie dotrzesz bezpiecznie do Buchary" – po chwili dodając pośpiesznie: „Panie".

Ostry *pesh-kabz* Ibn Neishavaziego

Zdumiony Neishavazi drgnął, a ostrze noża obsunęło się na kamieniu i z cichym trzaskiem ułamało się tuż przy końcu. Dziewczyna otwarła szeroko oczy i spojrzała na bezużyteczną broń, po czym szybko dodała: „Nie, nie. Myliłam się. Podróż przebiegnie dobrze". Zirytowani chłopi, zaniepokojeni widokiem noża, pośpiesznie skierowali podróżnika w stronę traktu. Ten, wiedziony dręczącym niepokojem, odmówił przypięcia do pasa nowego sztyletu aż do samej Buchary, do której dotarł bez większych trudności.

Tyle wynika z samej „Księgi drogi". Longchamps, referując tę historię, zauważył, że kluczowy dla jej zrozumienia był sam moment odmienienia się historii Neishavaziego na oczach zdumionej dziewczyny. Sam podróżnik w ostatnich słowach rozdziału zapytuje sam siebie, zamyślony: „I całą drogę do Buchary, i jeszcze na trakcie do Samarkandy, nie mogłem opędzić się od tego pytania: skoro dziewczyna widzi przyszłość, to czy nie powinna była od samego początku wiedzieć, że mój nóż ułamie się na kamieniu? Im dłużej zastanawiam się nad tymi rzeczami, tym większa jakby otwiera się pode mną przepaść, i w końcu wydaje mi się, że już nic z tego wszystkiego nie rozumiem".

Brunatny napar

Ostatnie dwie historie opowiedziane przez Longchampsa miały miejsce na dworze Filipa III, z łaski Bożej księcia Burgundii. O ile młoda Aisha otrzymała dar, którego nie chciała, nie rozumiała i którego nikt od niej nie oczekiwał, drugi bohater „Dziejów grzechu" sam sprowadził na siebie swój los.

Jacques był jednym z młodych burgundzkich dworzan, którzy pełnymi garściami korzystali z nadmiernej dobroci suwerena. Spędziwszy kilka lat w Sorbonie, wrócił w nowych modnych ubraniach i z kufrem pełnym tajemniczych ksiąg, z których większości nie potrafił, a reszty nie miał chęci przeczytać, po czym obwieścił swojemu panu, że na jego dwór należy sprowadzić pradawną sztukę alchemii. Książę, łasy na wszelkie nowinki, pozwolił młodemu mężczyźnie na eksperymenty. Jacques, rozkazując się tytułować pretensjonalnym imieniem Georgiusa Maleportiusa, z wielkim entuzjazmem przystąpił do badań.

Pokrywając brak elementarnej wiedzy niespotykaną wręcz wytrwałością oraz bystrością, której nikt się po nim nie spodziewał, w krótkim czasie opanował podstawy ekstrakcji i destylacji, likwacji i kupelacji, zamawiając kolejne naczynia z holenderskich hut szkła i wybierając się na długie wyprawy w góry, torturując materię, aby wydobyć z niej umęczonego tym gwałtem ducha. I tak, pewnej nocy, pochylony nad bańką z wrzącą krwią bydlęcą – do której dodał kozie mleko przepuszczone przez pumeks ze Stromboli, a może był to zmiażdżony srebrnym moździerzem ostrokrzew alpejski? – odurzony brunatnymi oparami i przeczuciem własnej sławy ujrzał pośród ciemności jakby rozwijający się gęsto zapisany zwój. W jednej chwili przed oczami przeleciały mu

DOMENA PUBLICZNA

tysiące stronic, a wypisane na nich słowa od razu, bez czytania, stawały się obrazem, jakby każda litera była oczywistym, widocznym objawieniem.

Mężczyzna padł na ziemię i zwymiotował gwałtownie. Z sąsiedniej komnaty wpadł jego młody pomocnik, Corneille, który miał na te okazje przygotowane wiadro z chłodną wodą i *panacea*. Alchemik odepchnął go jednak i powoli wstał z kolan, ciężko dysząc. Przerażony, wpatrywał się w twarz swojego pomocnika, widząc w niej ogrom rzeczy przyszłych, a na dnie jego oczodołów śmierć, i życie, i znowu śmierć.

Następnego ranka, na miękkich nogach, ale z dumnie podniesioną głową, Georgius Maleportius nierozsądnie popędził do swojego pracodawcy, obiecując mu władzę nad teraźniejszością płynącą z wiedzy o przyszłości. Filip, początkowo nieufny, szybko znalazł się pod przemożnym wpływem swojego alchemika, który już w pierwszym miesiącu trafnie przewidział rozwój pewnego szczególnie przykrego skandalu dworskiego, którego zalążków nie potrafili dostrzec nawet ci książęcy doradcy, którzy nie byli opłacani przez markizów.

Z czasem porady alchemika stały się jednak coraz bardziej bezużyteczne. Czasem na zadane pytanie nie umiał odpowiedzieć wcale, choć, pochylony nad wrzącą kadzią, wdychał jej gryzący opar tak łapczywie, że trzeba go było długo cucić zimną wodą. Innym razem zirytowany książę dowiadywał się, że wszelkie możliwe ścieżki działania kończą się w jeden, ustalony sposób, i ani morderstwem, ani pieniędzmi, ani nawet chrześcijańską miłością i wybaczeniem nie dało się losu odmienić, jakby to jedno uparte wydarzenie stanowiło nieruchomy punkt węzłowy na falującym oceanie przypadków.

Pewnej nocy zdarzyło się jednak coś jeszcze bardziej niezwykłego. Zaledwie chwilę po ich tajemnym spotkaniu, alchemik dopadł zdyszany wychodzącego właśnie po krętych schodach z podziemnej pracowni księcia, bełkocząc coś o odmienionym losie. Gdy zaskoczony książę próbował się dowiedzieć, co spowodowało tę odmianę, w odpowiedzi usłyszał, że była to sama ich rozmowa. Było tak, jak gdyby w momencie informowania księcia o przyszłości wszystko na nowo przekręciło się przed oczami odurzonego alchemika, jak gdyby zajrzał do jednej z tych zabawek dla dzieci wykonywanych przez holenderskich rzemieślników, w których obraz kolorowych kamyczków zostaje po wielokroć odbity na ustawionych pod kątem lusterkach. Książę, pomyślawszy chwilę, przyznał rację Georgiusowi, że wiedząc o przyszłości, faktycznie ją odmienił; jednak w tejże samej chwili zrozpaczony alchemik wydał z siebie kolejny jęk, widząc przed oczami wszystkie konsekwencje tego zrozumienia, i ich dalsze skutki, i jeszcze dalsze, aż przyszłość zmieniła się w jego oczach w niekończący się wir stale zmieniających się ewentualności.

> Pochylony nad bańką z wrzącą krwią bydlęcą – do której dodał kozie mleko przepuszczone przez pumeks ze Stromboli, a może był to zmiażdżony srebrnym moździerzem ostrokrzew alpejski? – ujrzał pośród ciemności jakby rozwijający się gęsto zapisany zwój.

Kolejne próby spełzły już na niczym. Gdy brunatne opary dosięgały nozdrzy alchemika, ten oglądał rzeczy niezwykłe i wspaniałe, rzeczy zwykłe i przewidywalne, rzeczy zrozumiałe i niewyobrażalne – zawsze jednak niewątpliwie rzeczy przyszłe. Kiedy przychodziło jednak do przekazywania tych wizji księciu – lub komukolwiek innemu – już po wypowiedzeniu pierwszej sylaby przez umysł Georgiusa przechodził jakby nagły błysk, zwielokrotniony przez odbicia od wnętrza jego czaszki, rozsadzający głowę, a przyszłość rozpadała się na tysiące wirujących obrazów, których nie sposób było zatrzymać. Nijak nie dało się wrócić do klarowności, z jaką wcześniej widywał przyszłość. Mijały miesiące, a rozgorączkowany władca i umęczony alchemik podejmowali coraz bardziej desperackie próby uspokojenia spazmów zdradzonej przyszłości.

W jednej z najbardziej wyrafinowanych procedur postępowali następująco: gdy Georgiusowi zdarzyło się ujrzeć nad brunatną kadzią coś ważkiego, zapisywał to na kawałku pergaminu, ten wkładał do jednej z sześciu identycznych drewnianych skrzynek, a do pięciu pozostałych wsuwał zwitek z jakąś banalną, nieciekawą obserwacją: ot, taką, że następnego dnia Słońce wstanie na wschodzie. Następnie alchemik wychodził z pomieszczenia, a wchodził do niego książę, który następnie rzucał kością do gry, po czym wrzucał w ogień wszystkie skrzynki z wyjątkiem jednej, wylosowanej. W ten sposób, rozumowali zdesperowani mężczyźni, Georgius nie będzie wiedział, czy książę poznał sekrety przyszłości. W pięciu przypadkach na sześć procedura ta nie przyniosłaby władcy żadnej korzyści, jednak nawet skromny odłamek boskiej wiedzy był dla księcia dobrem bezcennym.

Wszystko na nic. W momencie, gdy książę otwierał skrzynkę z przepowiednią, alchemik, choćby i znajdował się na drugim końcu pałacu, oglądał znajomy błysk, a przyszłość na jego oczach wpadała w niekończące się wirowanie. Z każdą kolejną próbą Georgius popadał w coraz większą apatię, aż w końcu zirytowany książę kazał swojego alchemika powiesić, a potem spalić i rozgnieść jego kości na proch.

Uczeń alchemika

Tajemnica Georgiusa nie zginęła jednak wraz z jego okrutną śmiercią. Jego młody pomocnik, wiernie przyglądający się procedurom alchemicznym mistrza, szybko zorientował się, jakie składniki potrzebne są do przywołania brunatnej mary.

Corneille nie był jednak stworzony na dworskiego alchemika. Brzydziły go tandetne sztuczki Georgiusa, który w odpowiedzi na lamenty starych dam dworu, wywracając mądrze oczami, sięgał do kuferka i wyciągał z niego kuglarskim ruchem szklaną fiolkę zawierającą zazielenioną od chwastów polnych wodę. Brzydziły go kubły wymiocin i wiadra bydlęcego moczu, i ostry ↦

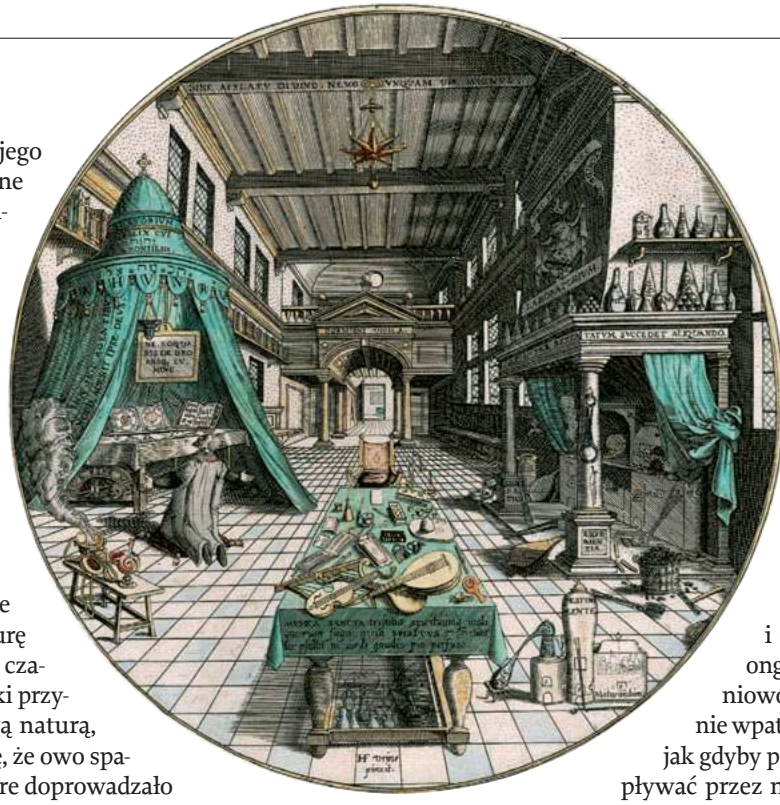

W pracowni alchemika, 1595 r.
Rycina Hansa Vredemana de Vries

WIKIPEDIA

↦ odór saletry przenikający jego ubrania, i tłuste szaroczarne osady pozostałe po nieudanych eksperymentach na sfatygowanych naczyniach laboratoryjnych.

Pokusa przeważyła. Niedługo po śmierci swojego mistrza, gdy Corneille znalazł pracę jako nadworny kopista, w piwnicy kamiennego budynku, w którym mieszkali młodsi urzędnicy księcia, urządził proste laboratorium, starannie odtwarzając zawiłą recepturę Georgiusa. W niedługim czasie wpatrywanie się w znaki przyszłości stało się jego drugą naturą, a Corneille zorientował się, że owo spazmatyczne migotanie, które doprowadzało do rozpaczy jego mistrza i władcę, można wywołać nie tylko zdradzając sekrety przyszłości współczesnym – co mogło szybko sprowadzić na niego niezdrowe zainteresowanie dworu – ale również powierzając je ludziom, którzy jeszcze się nie narodzili.

Ponieważ ze wszystkich efektów wywoływanych przez krwiste opary najbardziej umiłował sobie wpatrywanie się w ten oślepiający oczy i otumaniający umysł chaos zdarzeń i obrazów, począł kompulsywnie spisywać wszystko, co ujrzał, z każdym pociągnięciem pióra wstrząsany kolejnym paroksyzmem światła. W ten sposób wiedział też, że ktoś kiedyś odczyta jego słowa – bo kiedy pewnego razu, na próbę, podjął uprzednio postanowienie, że kolejną kartkę manuskryptu zniszczy, w czasie jej pisania nie towarzyszyły mu żadne nadzwyczajne fenomena. Brakło mu odwagi, aby rzucić losowi wyzwanie i mimo wszystko zachować ową kartkę, i posłuszny przeznaczeniu zniszczył ją natychmiast po jej zapisaniu.

Po śmierci Corneille'a skrzynia z jego zapiskami trafiła do archiwum biblioteki przy klasztorze w Saint-Germain d'Auxerre, gdzie odnalazł ją przypadkiem w 1901 roku szukający rzadkich manuskryptów Longchamps. W „Dziejach grzechu" wspomina, że w momencie otwierania skrzyni poczuł delikatny prąd przechodzący przez jego ciało, a potem z każdą odczytywaną linijką jakby migotanie pod powiekami. Antykwariusz mógł oczywiście konfabulować, aby z kronikarza stać się bohaterem własnej opowieści. Nie da się jednak zaprzeczyć, że odcyfrowywanie przez Longchampsa zapisków Corneille'a stanowiło zasadniczą przyczynę – o tyle szczególną, że następującą kilkaset lat po wywołanym przez nią skutku – owego niekończącego się strumienia migotliwej jasności, który przez długie miesiące towarzyszył francuskiemu kopiście.

Na zakończenie przytoczmy szczególnie ważny wyimek z notatek Corneille'a, powtórzony przez Longchampsa na ostatnich stronicach „Dziejów grzechu":

„Początkowo ten świetlisty pochód stale odmieniających się przyszłości przyprawiał mnie o zawrót głowy i gdy tylko próbowałem przyglądać się poszczególnym składającym się nań obrazom, chwytały mnie torsje i omdlewałem, zupełnie jak ongi mistrz mój Georgius. Stopniowo nauczyłem się jednak, aby nie wpatrywać się w te obrazy i tylko jak gdyby pozwalać im swobodnie przepływać przez moje oczy. Wpadałem przy tym w szczególne odrętwienie, przywodzące mi na myśl ów stan kontemplacyjny, o którym pisał Eckhart z Hochheimu. Jeśli udało mi się uspokoić serce i oddech – co zdarzało się coraz częściej, ogólnie jednak dość rzadko, a osobliwie wtedy, gdy niebo było klarowne, wiatr nie był porywisty, a ja w ciągu dnia wystrzegałem się potraw gorących, pikantnych i burzących krew – zauważałem, że owe stale odmieniające się obrazy są tylko różnymi twarzami jednej historii, zaś poczucie odmieniającej się pod wpływem mojego zapisywania przyszłości jest li i jedynie złudzeniem. W takich chwilach ogarniał mnie niezwykły spokój i cieszyłem się, jak pięknie wszystko jest uporządkowane pod tym wspólnym dachem nieba. Po wybudzeniu z tego stanu natychmiast jednak poczynało się we mnie na nowo rodzić zwątpienie: skoro nie sposób odmienić przyszłości, to dlaczego owo migotanie spada na mnie tylko wtedy, gdy – co wielokrotnie potwierdziłem – mam pewność, iż słowa moje zostaną przez kogoś w przyszłości odczytane?

Myślę, że temu skromnemu słudze Bożemu nie będzie dane zrozumieć tej zagadki i pozostaje mi pokornie podziękować wszystkim osobom czytającym te słowa, którym przecież zawdzięczam tę odrobinę Wielkiego Światła, którą dane mi było ujrzeć. Teraz opadło mnie już tak silne zmęczenie, że z trudem kładę kolejne litery, udaję się więc już na spoczynek. Dobrej nocy".

Należy uznać, że Longchamps postąpił słusznie, paląc manuskrypty pozostawione przez ucznia alchemika, ocalając dla potomności wyłącznie tych kilka urywków, które można przeczytać w „Dziejach grzechu". W ten sposób zagwarantowany jest spokój ducha Corneille'a, a jednocześnie każda osoba czytająca jego słowa przyczynia się w pewnym stopniu do spływającego nań w burgundzkim klasztorze światła, o ile, rzecz jasna, słowa te zdołają wywrzeć wpływ na przyszłość czytającego. Jeśli to możliwe.

© ŁUKASZ LAMŻA

Już w sprzedaży wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego”

O wszechświecie – skąd się wziął i jaki jest
O człowieku – i o tym, dlaczego mimo różnic potrafimy się dogadać
O umyśle – tym genialnym i tym zwykłym
O cywilizacji – jak zmienia nas i naszą planetę
O wielkich ideach naukowych i moralnych
Wielkie nazwiska: Heller, Pawłowski, Vetulani, Wynn, Wierzbicka, Barbour i wielu innych

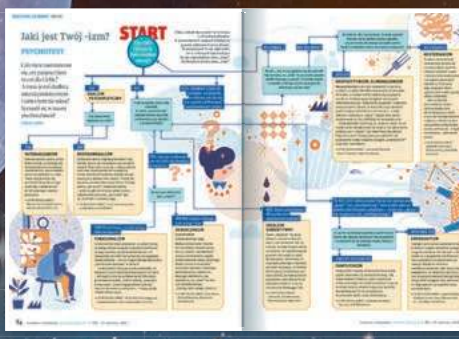

Niezastąpiona lektura na lato!
Ponad 160 stron przewodnika po tajemnicach wszechświata.
Szukaj w salonach prasowych, zobacz na powszech.net/cowiemy i podczas Copernicus Festival!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // MONTAŻ „TP” / NASA.GOV

Organizatorzy:

Współorganizatorzy:

Partnerzy główni:

Przy wsparciu:

Partnerzy:

Partnerzy medialni:

Projekt jest współfinansowany
ze środków Miasta Krakowa

Przypadek. Odgrywa kluczową rolę w najważniejszych koncepcjach naukowych, od kosmologii, przez teorię ewolucji, neurobiologię i kognitywistykę, aż po filozofię. Jego wszechobecność nie może być przypadkowa.

ISBN 978-83-65811-03-5
9 788365 811035

www.copernicusfestival.com // fb.com/copernicusfestival

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY